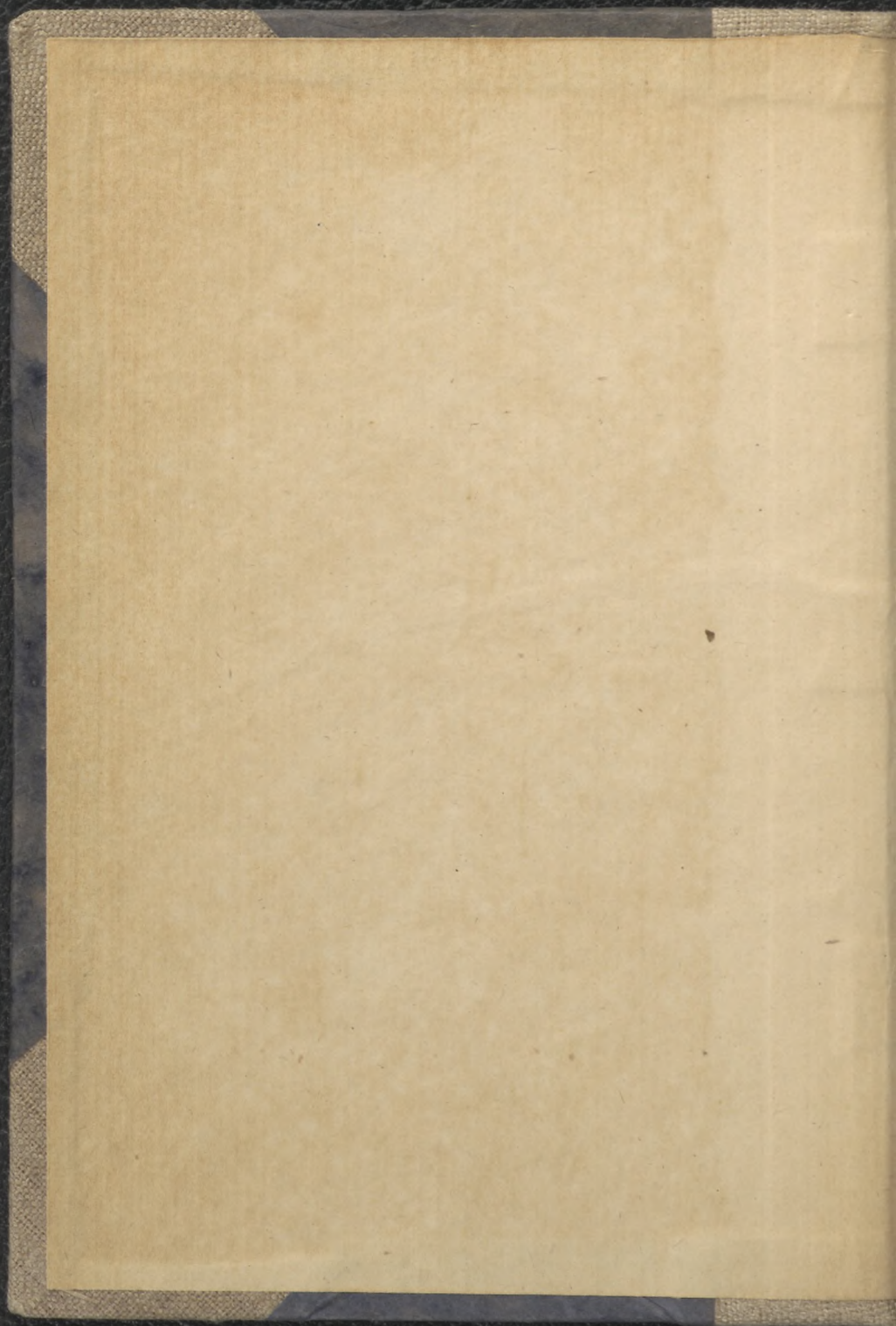
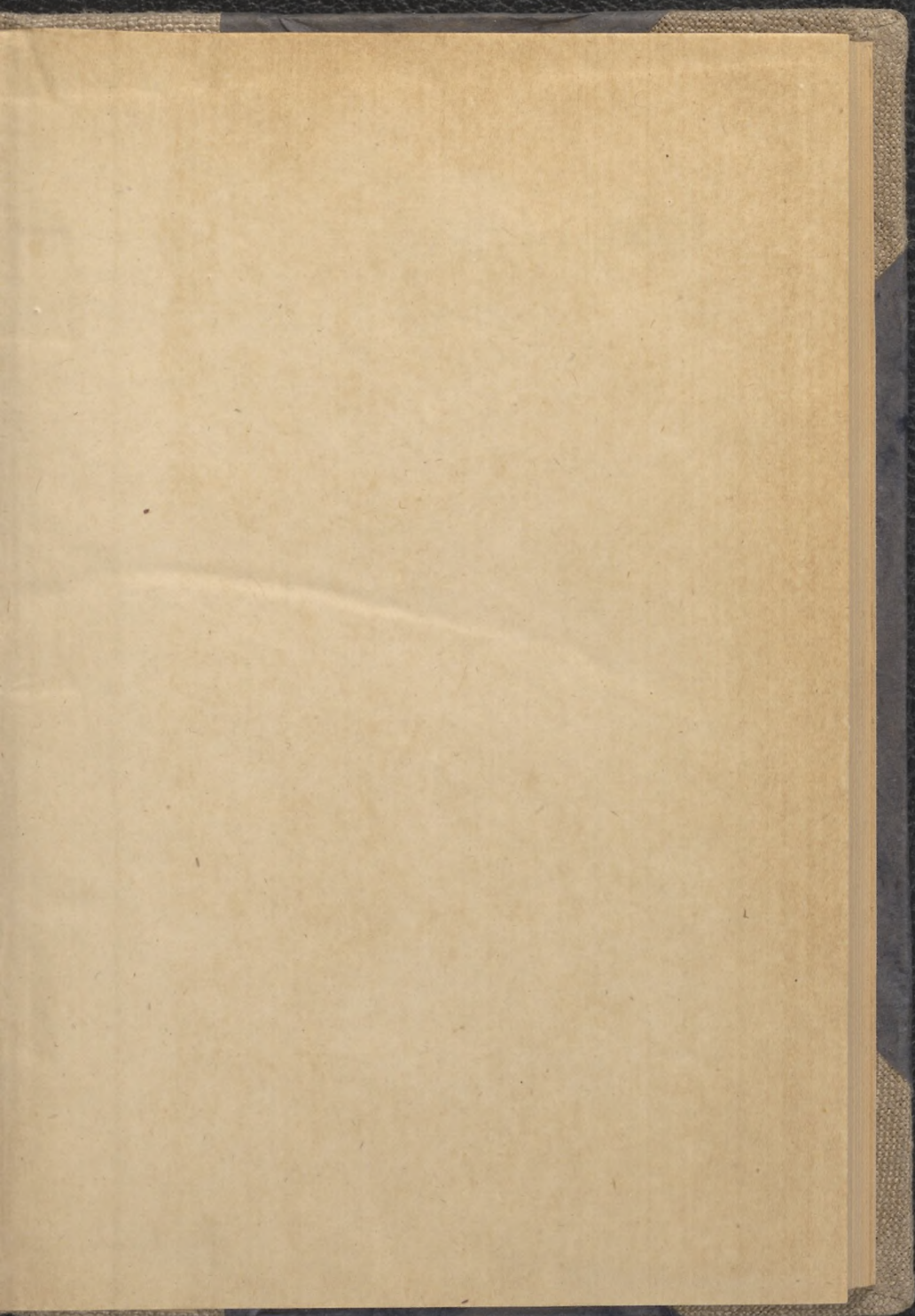
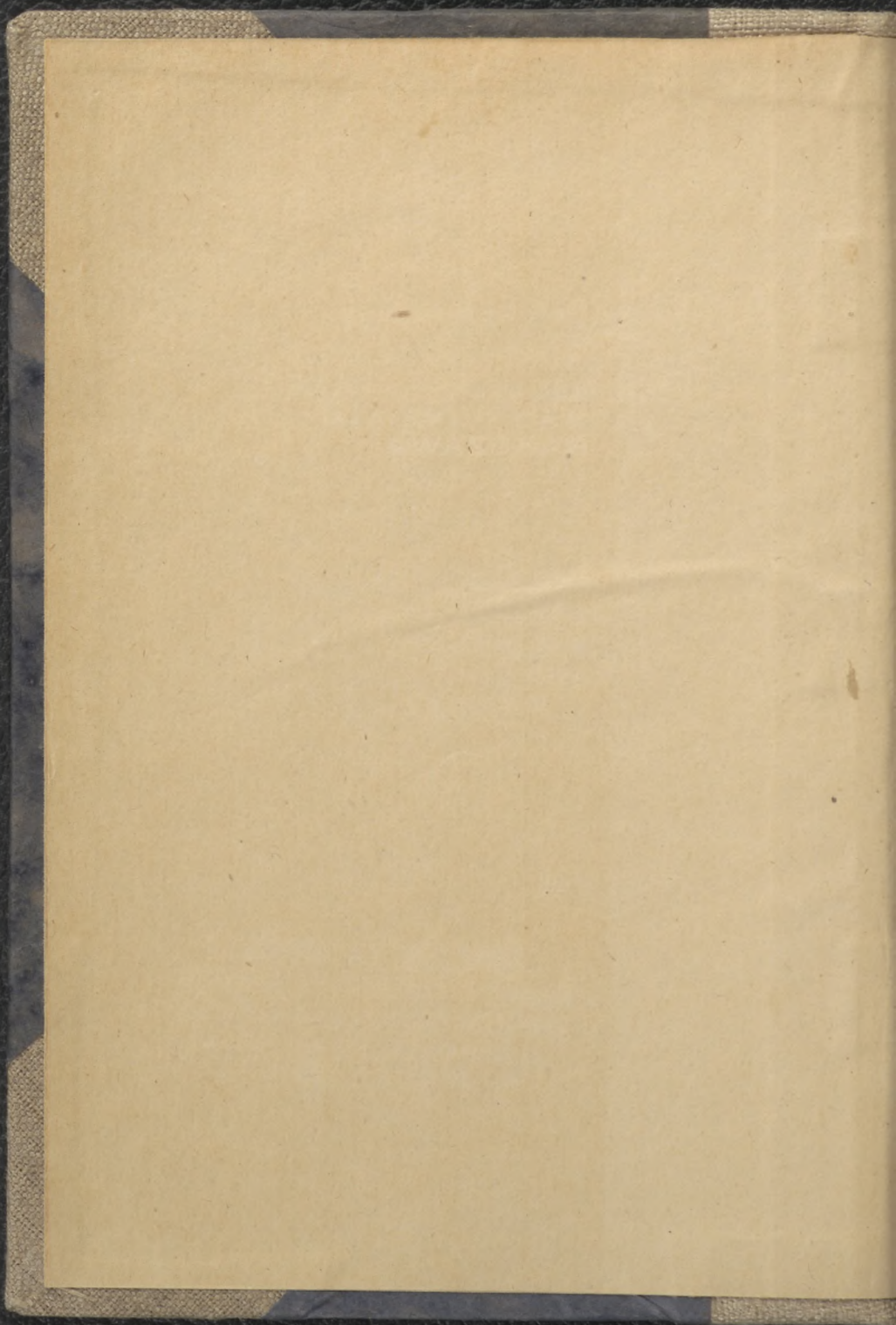


08







N. 151 II 221.508

POTĘGA GIEŁDY

ZWIĄZEK ZAWODOWY
ROBOTNIKÓW I PRACOWNIKÓW
PRZEM. WŁÓKIENNICZEGO W POLSCE
ZARZĄD ODZIAŁU
RAKSZAWA

Przełożyła z angielskiego
BRONISŁAWA NEUFELDOWNA

Winiętę okładkową wykonał
TADEUSZ BULÉWSKI

FRANK NORRIS

POTEGA GIEŁDY

(THE PIT)

POWIEŚĆ

ZWIĄZEK ZAWODOWY
ROBOTNIKÓW I PRACOWNIKÓW
PRZEM. WŁÓKIENNICZEGO W POLSCE
ZARZĄD ODRZĄDU
RAKSZAWA



ZWIĄZEK ZAWODOWY
ROBOTNIKÓW I PRACOWNIKÓW
PRZEM. WŁÓKIENNICZEGO W POLSCE
ZARZĄD ODRZĄDU
RAKSZAWA

ZAMOŚĆ — WARSZAWA

ZYGMUNT POMARAŃSKI I SPÓŁKA

Frank Norris zapowiadał się jako jeden z najwybitniejszych powieściopisarzy amerykańskich, śmierć przedwczesna wszakże przerwała rozwój i działalność tego niepospolitego talentu. Zmarł w 32-gim zaledwie roku życia (ur. 1870 zm. 1902) i pozostawił w swoim dorobku literackim tylko dwie książki; treści do nich zaczerpnął z amerykańskiego świata spekulantów i stworzył niezaprzeczone arcydzieła, które zapewniły mu trwałe miejsce w szeregach wielkich powieściopisarzy.

Powziąwszy zamiar napisania trylogii, która byłaby niejako epopeją pszenicy — Norris zdążył wykończyć tylko dwie jej części. W pierwszej, p. t. „OC-TOPUS“, skreśla walkę rolników kalifornijskich z trustem kolejowym; w drugiej p. t. „THE PIT“, odsłania machinacje na giełdzie zbożowej w Chicago. Część trzecia zawierać miała los pszenicy amerykańskiej w Europie.

Książka niniejsza jest przekładem drugiej części niedokończzonej, niestety, trylogii.

TLÓMACZKA.

II 221.508

1923

WYKONANO W TŁOCZNI „WSPÓŁCZESNEJ“ W WARSZAWIE

1960 D 380/19

ROZDZIAŁ I.

O godzinie ósmej, w przedsionku wewnętrznym teatru „Auditorium“, przy oknie kasy biletów do łóż, Laura Dearborn, młodsza jej siostra, Page, wraz z ciotką Wessels, czekały jeszcze na resztę towarzystwa. Wielki, poruszający się zwolna, tłum mężczyzn i kobiet w strojach wieczorowych zapełniał przedsionek od ściany do ściany. Ze wszystkich stron unosił się szmer rozmów i odgłos tupotu niezliczonych nóg, od czasu do czasu zaś, gdy zewnętrzne i wewnętrzne drzwi wejściowe otwierane były jednocześnie, wpadała nagła fala wilgotnego, lodowatego powietrza; powietrza przenikającego do szpiku kości, które jest właściwością wieczorów w Chicago przy końcu lutego.

Włoskie towarzystwo Wielkiej Opery wystawiało dzisiaj jeden z najpopularniejszych utworów swego repertuaru, a Cresslerowie zaprosili obie siostry oraz ich ciotkę do swej łoży. Umówiono się, że towarzystwo spotka się w przedsionku teatralnym o trzy kwadransy na ósmą; ale kwadrans już minął, a Cresslerów jeszcze nie było.

— Nie pojmuje — szepnęła Laura zaniepokojona — co może ich zatrzymywać. Czy jesteś pewna, Page, że pani Cressler wyznaczyła spotkanie tu, w przedsionku?

Laura Dearborn miała lat, mniej więcej, dwadzieścia dwa lub trzy, postawę wytworną, pełną godności. Nawet pod osłoną płaszcza operowego można było odgadnąć, że ma

piękne ramiona i szyję. W niesłychanie szczupłej kibici nie można było się dopatrzeć wyraźniejszej wypukłości, a jednak nie było też w niej nic kańciastego. Smukła była jak gałąź wierzbiny — i równie giętka, równie prosta.

Obok tej, pełnej uroku, smukłości, najwybitniejszym rysem charakterystycznym młodej dziewczyny była bladość jej twarzy. Nie była to jednak bladość, spowodowana brakiem koloru. Bladość Laury Dearborn stanowiła sama w sobie kolor. Była raczej odcieniem niż barwą, jak kość słoniowa; gorąca jej bladość, przechodziła ku szyi w ton przedziwny, jakby ciemnego złota. Śród tej bladości czola i lic, piwne oczy, o głębokiem spojrzeniu, płonęły roziskrzonym blaskiem. Nie były duże, ale, w jakiś nieokreślony sposób, wybitne. Nie można było o tych oczach nie mówić, nie zwrócić na nie uwagi, a znajomi Laury twierdzili, że rozmawiając z nią, muszą patrzeć prosto w jej źrenice. A ta przedziwna bladość i te niezwykle piwne oczy stanowiły ostry kontrast z kruczą barwą włosów, niesłychanie gęstych, bujnych, mieniących się jakimiś ponuremi, tragicznymi blaskami — ciężkie ich zwoje układały się jak fryzura bohaterki romansu, skazanej na smutne przejścia.

Dzisiaj na szczycie tych kruczych pukli lśniła biała egretka i drgała za każdym ruchem młodej dziewczyny. Laura była niezaprzeczenie piękna. Usta miała trochę za duże, wargi energicznie zaciśnięte, a nikt nie przypuszczał, że młoda dziewczyna uśmiecha się łatwo, bo też wyraz jej twarzy na ogół był raczej poważny.

— Może — odezwała się znów Laura — będą nas szukali przed teatrem.

Ale Page potrząsnęła głową. Była o pięć lat młodszą od siostry, skończyła właśnie rok siedemnasty. Uroda jej nie mniej zwracała uwagę, niż piękność siostry. Ale na młodzieńczej twarzyczce malował się wyraz większej znacznie powagi. Ciemna szatynka z odcieniem brązowym, prosta była jak trzcina, a kibic, nierozwinięta jeszcze naleźycie, miała niewiele łagodniejsze kształty, niż postać chłopca.

— Nie, nie — odparła na pytanie Laury. — Przyszli.

by tutaj, nie czekaliby na dworze w taki zimny wieczór. Czy nie sądzisz, ciociu?

Ale pani Wessels, chuda, mała osoba w średnim wieku, z płaskim, śpiczasto zakończonym nosem, nie miała żadnego w tym względzie zdania. Uwolniła się od wszelkiej odpowiedzialności co do danego położenia i, czekając, znalazła rozrywkę w liczeniu osób, które przechodziły gęsiego przez kołowrotek, gdzie sprawdzano bilety. Wysoki, otyły mężczyzna we fraku, spocony, w przekrzywionym krawacie, stał tutaj i oddzierał kupony od biletów, nie przerywając głośnego wołania, które górowało nad szmerem tłumu:

— Proszę mieć bilety w pogotowiu! Proszę mieć bilety w pogotowiu!

— Co za tłum! — szepnęła Page. — Widziałaś już kiedy taki tłok... wszyscy znajomi... i tacy, których się zna z widzenia i ze słyszenia... A jakie toalety!...

Ilość osób wzrastała z każdą chwilą; niepodobna było posunąć się naraz dalej, niż na cal. Kobiety były, prawie bez wyjątku, w jasnych sukniach, białych, blade - niebieskich, zielonych i różowych, a osłaniały je niezwykle bogate płaszcze i peleryny zdumiewających fasonów. Prawie wszystkie były z gołą głową i prawie wszystkie miały we włosach egretki, których dziesiątki i setki chwiały się i drgały i migotały w tłoku. Oko zatrzymywały wszędzie przepych materiału, bogactwo przybrania, koronki, białe i powiewne, jak piana, szeleszczące, błyszczące jedwabie, miękkie atłasy, ciężkie aksamity, brokatele i plusze — niemal wszystkie białe białością wspaniałą, olśniewającą w blasku lamp elektrycznych.

Mężczyźni w długich czarnych płaszczach i atłasowych szalikach, z rękoma wsuniętymi pod łokcie towarzyszących im kobiet, prowadzili je lub łagodnie popychali naprzód, usiłując nie oddalać się od swego towarzystwa. W rękach, obciśniętych w białe rękawiczki, trzymali w pogotowiu bilety.

Pomimo lodowatego powiewu, który od czasu do czasu wpadał przez drzwi wejściowe, w przedsionku było nieznośnie gorąco — w upalnej atmosferze unosiły się ciężkie

fale przeróżnych woni — zapach więdnących kwiatów, perfum, a nawet ostra woń futer.

Na dworze panowało dokuczliwe zimno. Przez cały dzień mroźny wiatr dął od jeziora, a od godziny piątej popołudniu padał sypki śnieg. Stangreci na kozłach karet, zajeżdżających szeregiem przed teatr, otuleni byli po uszy w futra. Piana zamarzała na munsztukach koni, a koła pojazdów, tocząc się po suchym, zmarzniętym śniegu, skrzypiały żałośnie. Pomimo to po bokach głównego dojazdu, a nawet po przeciwległej stronie ulicy, zgromadził się tłum i wychylał się ciekawie z po za barczystych policjantów — tłum obdartych nędzarzy, drżących w łachmanach, którzy znajdowali niewytłómaczoną przyjemność w przyglądaniu się temu nieskończonemu pochodowi miljonerów.

Liczba pojazdów była taka wielka, że już w znacznej odległości od teatru musiały jechać w jednym szeregu i posuwać się tylko od czasu do czasu, a od okna do okna karet, w taki sposób unieruchomionych, biegała gromada wyrostków z rękoma pełnemi zeszytów i broszur, wołając:

— Partycje, partycje i libretta! partycje z fotografjami wszystkich artystów!

W przedśionku tłok zmniejszał się stopniowo, aż wreszcie ustał — najwidoczniej zaczęła się uwertura. Inni ludzie, czekający podobnie jak Laura i jej siostra, spotykali się ze znajomymi i wchodzili do wnętrza. Laura, dla której ten wieczór operowy był doniosłym wypadkiem, rzeczą upragnioną i oczekiwaną z gorączkową niecierpliwością młodej dziewczyny, przez dwadzieścia dwa lata mieszkającej w małym mieście w Massachusetts, była wprost zrozpaczona. Nie widziała nigdy wielkiej opery, nie chciałaby utracić, ani jednej nuty, a tymczasem mogła stracić całą uwerturę.

— Ach, Boże! — zawołała. — Czy to nie okropne? Nie mogą pojąć dlaczego nie przychodzą.

Page, która przez dwa lata przebywała w stolicy, gdzie odebrała wielko - światowe wychowanie i utraciła nieco z siły wrażliwości, próbowała uspokoić siostrę.

— Niewiele stracisz — rzekła. — Melodja uwertury

powtarza się w pierwszym akcie... Słyszałam już raz tę operę.

— Kto wie, czy wogóle zobaczymy pierwszy akt — odparła Laura ze smutkiem.

Z niepokojem przypatrywała się twarzom opóźniających się przybyszów. Nikt nie troszczył się o to, że się spóźnia. Niektórzy przystawali jeszcze i gawędzili. Tuż za młodemi dziewczętami i ich ciotką dwaj mężczyźni zagrożeni byli w rozmowie, z której dobiegały je, od czasu do czasu, pojedyncze frazesy.

— ...Przypuszczam, że podniesie trzydzieści centów na dolarze... Mówię ci, mój drogi, że to była zupełna kłapa!

— ...Nie powinien był nigdy próbować tworzyć syndykatu. Zysk na krótki termin był za mały, a zapasy są duże.

Page trąciła siostrę łokciem i szepnęła:

— Ci panowie rozmawiają o bankructwie Helmicka. Landry Court mówił mi o tem. Pan Helmick miał syndykat zbożowy i zbankrutował dzisiaj, czy też wkrótce ma zbankrutować.

Ale Laura, zajęta rozglądaniem się i szukaniem Cresslerów, prawie nie słuchała. Ciotka Wessels, która myliła się ciągle w liczeniu, zaczynała coraz od początku, a jej usta w milczeniu tworzyły wyrazy: „sześćdziesiąt jeden, sześćdziesiąt dwa a dwa sześćdziesiąt cztery“. Za niemi zaś głosy ciągnęły dalej:

— Mówią, że Porteous zamierza podtrzymywać rynek po cenie dwadzieścia sześć.

— Bo powinien. Zboże warte tego.

— ...W życiu swoim nie widziałem takiego żądani dopłat do zadatków. Niektóre firmy żądały osiem centów.

Page zwróciła się do pani Wessels.

— Ciociu, spojrzij no na tego pana, tam, przy okierku kasowem... odwrócony jest do nas plecami, ręce trzyma w kieszeniach paltota... Czy to nie pan Jadwin, którego mamy poznać dzisiaj? Wiesz, o kim mówię?

— Kto? Pan Jadwin? Nie wiem. Nie wiem, mo- dziecko. Ja go nigdy nie widziałam.

— Zdaje mi się jednak, że to on, — ciągnęła dalej Page. — Miał być razem z nami dzisiaj. Słyszałam jak pani Cressler mówiła, że go zaprosi. Jestem pewna, że to pan Jadwin. On także na nich czeka.

— To zapytaj go Page, dlaczego nie przychodzą — zawołała Laura. — My już przecież nic nie usłyszymy!

Ale Page potrząsnęła głową.

— Widziałam go w towarzystwie raz jeden tylko i to już wieki temu u Cresslerów... Powiedzieliśmy sobie „dzień dobry“ i tyle... nie poznałyby mnie napewno. A zresztą to może wcale nie pan Jadwin.

— Dziewczęta, nie nudźcie. Cresslerowie będą tu za minutę. Jestem prawie pewna, że kurtyna jeszcze spuszczone.

Mężczyzna, o którym mówiły, odwrócił się w tej chwili i rozejrzał się w przedsiönku. Ujrzały człowieka nieokreślonego wieku — sądząc z twarzy, mógł mieć zarówno lat czterdzieści jak trzydzieści pięć. Gęsty wąs, przyprószony siwizną, zasłaniał mu usta. Oczy miał przy mrużone i łagodne. W zębach trzymał niezapalone cygaro.

— To pan Jadwin, napewno — szepnęła Page, odwracając wzrok. — Ale mnie nie poznaje.

Laura również spojrzała w inną stronę.

— Dlaczego nie pójdiesz prosto do niego i nie przedstawisz mu się, albo mu się nie przypomnisz? — zauważyła.

— Ależ, Lauro, nie wypada — odparła Page. — Nie mogłabym odezwać się do niego za żadne skarby świata.

— Ciociu — zwróciła się Laura do pani Wessels — czy naprawdę nie wypada? Czy Page naprawdę nie mogłaby zapytać pana Jadwina?

Ale pani Wessels, nieświadoma form i obyczajów towarzyskich, była bezradna. I znów zrzuciła z siebie wszelką odpowiedzialność.

— Nie wiem, nie wiem — odparła. — Ale Page nie powinna być zbyt śmiała.

— Kiedy nie o to chodzi — protestowała Page. — Ale poprostu dlatego... nie wiem, no, nie chcę... Lauro.

Umarłabym chyba! — wybuchnęła nagle — a zresztą, co-
by to pomogło? — dodała.

— Jak chcesz... Ale teraz to już nie usłyszymy
pierwszego aktu — oświadczyła Laura stanowczo ze łza-
mi w oczach. — A ja tak się cieszyłam!...

— Moje dzieci — odezwała się pani Wessels — rób-
cie, jak chcecie. Tylko ja nie pozwoliłabym sobie na taką
śmiałość.

— Ale, czyż to byłaby wielka śmiałość, gdyby Page
albo... ja przemówiła do niego. Przecież i tak poznamy
go za kilka minut.

— Lepiej poczekać Lauro — zauważyła ciotka. —
Może sam podejdzie i przemówi do nas.

— Jakim sposobem? — zawołała Laura. — Prze-
cież nas nie zna... A gdyby nas znał nawet, nie uczyniłby
tego, bo byłoby to niegrzecznie.

— W takim razie, myślę, że byłoby to niegrzecznie
i z twojej strony, moje dziecko.

— Nie sędzę — odpowiedziała. — To rola kobiety.
Jeżeli pan Jadwin jest dżentlmenem, wie, że nie może
przemówić pierwszy. Więc pójdę i zapytam go — oświad-
czyła nagle.

— Jak chcesz, Lauro — rzekła ciotka.

Niemniej jednak Laura nie ruszyła się z miejsca
i minęło znów pięć minut.

Page skorzystała z tego, żeby objaśnić siostrę, kto
jest pan Jadwin. Laura dowiedziała się zatem, że jest ka-
walerem i ma wielki majątek, którego się dorobił na pla-
cach w Chicago. Niektóre z nich w dzielnicy handlowej —
już zabudowanej — są olbrzymie; powiedział jej to Lan-
dry Court. Jadwin, w przeciwieństwie do pana Cresslera,
nie przeciwstawiał się spekulacji. Jakkolwiek nie jest
członkiem Izby Handlowej, niemniej, od czasu do czasu
bierze udział w zakupach pszenicy, albo innego zboża, czy
też artykułów żywności. Jest zdania, że jednakże wszyst-
kie syndykaty są skazane na bankructwo i przepowiedział
upadek Helmicka przed półrokiem. Ma duże wpływy, zna-
ny jest dobrze wszystkim, którzy, jak mówi, „znaczą“ w
Chicago, finansisci zasięgają jego rady, nazwisko jego na

liście dyrektorów danego towarzystwa jest wystarczającą rękojmią, ludzie początkujący szukają jego poparcia; słowem „mocny“ człowiek.

— Nie mogę zrozumieć,— odezwała się Laura z roztargnieniem, zajęta jedynie opóźnianiem się Cresslerów. —Przecież umawialiśmy się napewno dzisiaj i w tem miejscu. Wiecie, — zawołała, uderzona nagłą myślą — mogłybyśmy zatelefonować do nich i dowiedzieć się, czy już wyjechali, albo czy się co nie stało.

— Nie wiem... nie wiem... — szepnęła ciotka.

Żadna wszakże nie okazywała gotowości wprowadzenia w czyn propozycji Laury, a minuty mijały.

— Idę — oświadczyła Laura, spoglądając na siostrę i ciotkę, jakgdyby chciała zapytać, co też mają przeciw temu postanowieniu.

— Jabym nie mogła — oświadczyła Page.

— Poczekam jeszcze trzy minuty — mówiła dalej Laura — a jeżeli Cresslerów nie będzie, zapytam pana Jadwina. Wydaje mi się to zupełnie naturalne i nie uważam tego wcale za śmiałość.

Czekała przez trzy minuty, a gdy Cresslerowie się nie zjawili, powtórzyła po raz dwudziesty:

— Nie mogę pojąć... nie rozumiem.

Poczem, nagle, otulając się w płaszcz, przeszła przez przedsionek i zbliżyła się do Jadwina.

Zanim przystanęła widziała, że spojrzął na nią. Przyczem, gdy widocznie zrozumiał, że, idąca ku niemu młoda kobieta, chce doń przemówić, Laura dostrzegła na jego twarzy wyraz podejrzenia niemal nieufności. Niewątpliwie nie wiedział nic o tem towarzystwie, mającym się przyłączyć do Cresslerów w przedsionku. Dlaczego ta dziewczyna chce z nim mówić? Coś jej się stało, a instynkt mężczyzny, już niezbyt młodego, nakazujący trzymać się zdala od kłopotów młodych kobiet, ujawnił się w zaniepokojonem spojrzeniu, jakie wysłał do Laury z pod gęstych brwi.

Ale spojrzenie to zgąsło równie szybko, jak zapłonęło. Laura odgadła, że rozważył, iż w takim miejscu — w przedsionku teatralnym — niema chyba powodu do po-

dejrzeń. Wyjął cygaro z ust, a Laura, która ze drzeniem szła ku niemu, odzyskała w zupełności równowagę, z chwilą, gdy miała doń przemówić i, głosem pewnym, bez śladu zakłopotania, rzekła:

— Przepraszam pana.. pan Jadwin, jeśli się nie mylę...

Zdjął kapelusz, widocznie zaskoczony tem, że nieznajoma zna jego nazwisko, a ona była już teraz gotowa traktować go pogardliwie, gdyby zaszła tego potrzeba.

— Tak jest, — odparł, teraz daleko więcej zmieszany, niż ona. — Nazywam się Jadwin.

— Zdaje mi się — mówiła Laura dalej, — że mieliśmy wszyscy być dzisiaj razem z Cresslerami. Ale jakoś nie przychodzą, a my... moja siostra, moja ciotka i ja... nie wiemy, co począć.

Widziała, że jest zakłopotany, ale świadomość, że opanowała sytuację, że mogłaby jemu swoją wolę narzucić, przywróciła młodej dziewczynie całą pewność siebie.

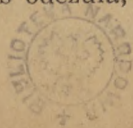
— Nazywam się Dearborn — rzekła. — Zdaje mi się, że pan zna moją siostrę, Page.

Czemsś nieuchwytnem w obejściu narzuciła mu wrzenie, że, jeżeli nie znałby jej siostry Page, jeżeli przez chwilę posądzałby ją o zbytnią śmiałość, wyrządziłby jej śmiertelną obelgę. Nie przebaczyła mu jeszcze tego podejrzliwego spojrzenia, jakie wysłał na pierwsze spotkanie jej wzroku; jeszcze jej za to zapłaci.

— Pannę Page.. siostrę pani... pannę Page Dearborn? Naturalnie, że ją znam — odparł. — I pani też czekała? Jaka szkoda! — I pozwolił sobie na niezręczną uwagę: — Nie wiedziałem, że pani będzie w naszym gronie.

— Ja też nie wiedziałam, że pan będzie z nami dzisiaj wieczór... dopiero Page powiedziała mi to przed chwilą — odpowiedziała z miejsca.

Położyła lekki nacisk na pierwszych wyrazach, ale to wystarczyło, żeby Jadwin doznał uczucia, że go strofowano. Dlaczego ogarnęło go takie uczucie — nie umiałby powiedzieć; za co to strofowanie — nie mógłby w danej chwili określić; Laura zaś odczuła, że on jakby się cofał, ustępując jej miejsca.



Kto jest ta wysoka, urodziwa młoda kobieta, o poważnej twarzy, bez uśmiechu, taka pewna siebie, która zwróciła się do niego w taki sposób, jakby jego czyniła odpowiedzialnym za nieobecność Cresslerów, jakgdyby z jego winy musiała czekać w przewiewnym przedsiönku? Jest bardzo wyniosła — czemże ją obraził? Gdyby sam był jej się przedstawił, gdyby jej się był narzucił, nie mogłaby być dumniejsza i powściągliwsza w obejściu.

— Myślałam, że możeby pan zatelefonował — zauważyla.

— Nie mają telefonu, na nieszczęście — odparł.

— O!...

To już był ostatni cios — Cresslerowie nie mają telefonu! Zdawało się, że i za to powinien być odpowiedzialny. Nie wiedząc, co począć, przez chwilę miał ochotę popędzić na ulicę w poszukiwaniu posłańca, któryby zaniósł bilecik do Cresslerów; podrażnienie Jadwina nie ustąpiło bynajmniej, gdy Laura oświadczyła lodowatym tonem:

— Sądzę, że trzeba by jednak w jakiś sposób się dowiedzieć.

— Nie wiem — odparła bezradnie. — Przypuszczam, że nie można nic innego zrobić, tylko czekać. Przyjdą z pewnością niebawem.

Page i pani Wessels przyglądały się zdaleka rozmawiającym i odgadły, że Laura nie była zbyt uprzejma. Pragnąc zawsze, żeby siostra wywarła jaknajlepsze wrażenie, Page była wprost zrozpaczona.

— Laura przybiera swoje „wielkie tony“ biadała. — Wiem dobrze, jak ona mówi.—Poczem odrazu krzyknęła radośnie: — Nareszcie, nareszcie! są, i jeszcze w porę!

Weszli Cresslerowie i reszta towarzystwa — dwaj młodzi ludzie, a Page z ciotką zbliżyły się i usłyszały, jak pani Cressler — wytworna, starsza osoba, z pudrowanymi włosami, w przepysznym, gronostajami przybranym, płaszczu—zawołała donośnym głosem, jakgdyby samo oznajmienie tego faktu było ostatecznym nieodwołalnym słowem, w tej sprawie:

— Most był podniesiony!

Cresslerowie mieszkali po stronie północnej. Oznajmienie pani Cressler położyło koniec całemu zajściu, jak nagle zatrzaśnięcie drzwi.

Jadwin został przedstawiony pani Wessels i Page i skwapliwie zapewnił, że pamięta bardzo dobrze młodą dziewczynę. Dwaj panowie, którzy towarzyszyli Cresslerom, znali już siostry Dearborn i ich ciotkę, a jeden z nich był nawet takim bliskim znajomym młodych panien, że mówiły mu poufale po imieniu.

Był nim Landry Court, młodzieniec dwudziestotrzyletni, który miał łączność ze sztabem wielkiej firmy pośredników Gretry, Converse et Co. Wybitnie przystojny, niskiego wzrostu, ruchliwy, zwinny, pogodny, blondyn, oczy miał ciemne i bystre, jak ślepie jamnika. Zdobywał sympatję niemal od pierwszego wejrzenia i należał do tych niewielu szczęśliwców, którzy cieszą się względami zarówno mężczyzn jak i kobiet. Otwarte spojrzenie i zdrowa cera kazały przypuszczać, że jest zdrowy na duchu. I w istocie Landry był równie czysty nazewnątrz jak i na wewnątrz. Szczerzy, serdeczny, uczucia miał subtelne, a przytem pełen był uniesień i entuzjasmów. Do osiemnastego roku życia marzył o tem, żeby zostać prezydentem Stanów Zjednoczonych.

— Tak, tak — rzekł Landry — nie mogliśmy się przedostać przez most, bo był podniesiony. Musieliśmy czekać, aż zaholują trzy statki. Myślę, że legalnie wolno holować, dwa naraz, a my musieliśmy przeczekać trzy. Tak, panie; trzy, niech pan tylko pomyśli! Ja się tem zajmę jutro. Tak, panie; niech się pan tem nie przeraża. Ja się tem zajmę.

Kiwnął głową z głęboką powagą.

— I cóż, wejdziemy? — spytał pan Cressler.— Obawiam się, Lauro, że straciliśmy uwerturę.

Cressler, wysoki, chudy, brodaty i przygarbiony, z tego samego typu, co Lincoln — typu pochodzącego ze środkowego Zachodu — był niemal drugim ojcem dla panien Dearborn, które utraciły rodziców. W Massachusetts, przed laty trzydziestu, Cressler był farmerem, a młyn pana Dearborn zabierał stale jego zboże do mielenia. Znali się

oddawna i pozostali szczerymi przyjaciółmi, niemal braćmi. Gdy w latach, poprzedzających wojnę, nastąpił wielki ruch na Zachód, Cressler był jednym z pierwszych, który opuścił swoją farmę i wyemigrował z rodziną w kierunku Mississippi. Narazie osiedlił się w Sangamon County w Illinois. Przez pewien czas uprawiał pszenicę i, dzięki wojnie, która spowodowała wyżkę cen wszystkich artykułów żywności, stał się bogatym — na owe czasy — człowiekiem.

Niebawem zaniechał uprawy roli, przeniósł się do Chicago — wszedł do Izby Handlowej i w ciągu kilku lat został milionerem. Podczas wojny turecko-rosyjskiej zakupił, wspólnie z dwoma handlarzami zbożowymi z Milwaukee, cały zapas pszenicy. W końcu trzydziestego dnia tego syndykatu, spółnicy obliczali zysk na blisko milion; w tydzień później zdawało się, że mają już półtora miliona, poczem wszyscy trzej stracili głowy; przetrzymali zapasy kilka dni za długo, a gdy nadszedł czas rozrachunku przekonali się, że nie mogą zbyć olbrzymich ilości pszenicy bez obniżki ceny. W ciągu trzech dni pszenica, którą utrzymywali w cenie dolara i 10 cent., spadła na sześćdziesiąt centów. Dwaj spekulanci z Milwaukee, byli zrujnowani, a dwie trzecie olbrzymiej fortuny Cresslera znikły, jak obłok dymu.

Ale skorzystał z nauki. Odtąd już nigdy nie spekulował. Jakkolwiek pozostał w Izbie Handlowej, poświęcił się handlowi komisowemu, nie ulegającemu wpływom wahań rynkowych. Bał się spekulacji, jak ospy, protestował wytrwale przeciw tworzeniu syndykatów zbożowych, uważając, iż nie należy do tego dopuszczać w żadnych okolicznościach.

Towarzystwo poszło gęsiego przez kołowrotek, a wtedy drugi młodzieniec, który przybył z Landrym Court'em, zdołał zbliżyć się do Laury i, utonąwszy spojrzeniem w jej oczach, szepnął:

— Jednak pogardziła pani niemi... Moje biedne kwiatki.

Ale ona pokazała mu pojedynczy storczyk, przypięty na ramieniu do sukni pod płaszczem.

— Staralam się wybrać najpiękniejszy i sądze, że

mi się to udało... nieprawda, panie Corthell? A wybór był trudny.

— Już tem samem, że znajduje się na sukni pani, jest najpiękniejszy.

Corthell mógł mieć lat dwadzieścia osiem albo trzydzieści; brunet, niezbyt kształtnie zbudowany, nosił niewielką, śpiczastą brodę i wąsy, zaczesane w górę, jak Francuz. Z zawodu był artystą i poświęcił się malowaniu witraży, wykazując w tej specjalności prawdziwy talent. Ale nie zależał bynajmniej od zarobków swoich, gdyż rodzice — dawno zmarli — pozostawili mu bardzo znaczny majątek. Miał wspaniałą pracownię w gmachu Sztuk Pięknych, gdzie odbywały się przyjęcia raz na dwa miesiące, albo też gdy wykończył specjalnie piękny witraż. Podróżował, czytał, studjował, pisywał niekiedy, a w sprawach, dotyczących malowania i topienia szkła uważano go za powagę. Był też jednym z dyrektorów nowej galerji sztuki, umieszczonej w dawnym budynku wystawowym na Lake Front.

Laura znała go od dość dawna. Podczas jej dwukrotnego pobytu u Page, Corthell widywał ją kilka razy na tydzień. Pewnego dnia nawet oświadczył się o jej rękę; ale ona, pochłonięta wówczas przez studja, trawiona ambitnem pragnieniem zostania wielką aktorką do ról szekspirowskich, odpowiedziała mu, że nie mogłaby kochać nic oprócz swej sztuki. Corthell uśmiechnął się i powiedział, że może poczekać; stosunki ich, rzecz dziwna, nic na tem nie ucierpiały. Gdy odjechała, korespondowali stale, a on przesłał jej maleńki witraż — prawdziwy klejnot — na którym namalował scenę z „Dwunastej nocy“.

W f o y e r, gdzie panowie zdejmowali płaszcze i zostawiali kapelusze, Laura słyszała, jak Jadwin spytał pana Cresslera:

— Co się dzieje z Helmick'iem?

Cressler wzruszył niecierpliwie ramionami.

— Warjat! co on ma za pojęcie o syndykacie!..

Dwaj inni panowie, składający również płaszcze i kapelusze w f o y e r, spojrzeli bystro na rozmawiających

— widocznie upadek Helmick'a budził zajęcie w całym mieście.

Z poza ciężkiej kotary, którą zasłaniała wejście na salę widzów, dobiegał stłumiony odgłos muzyki, a następnie długa salwa oklasków. Na lica Laury wystąpił rumieniec zniecierpliwienia, pośpieszyła za panią Cressler; Corthell odsunął kotarę, gdy wchodziła.

W sali było ciemno; fala gorącego powietrza, przesycona pomieszaną wonią kwiatów, perfum, mebli i gazu, owionęła Laurę, przyspieszając bicie jej serca. Był to bowiem niezapomniany, upajający zapach teatru, z którym tak rzadko się spotykała, a który miał dla niej niepokonany urok.

Sala zapełniona była szczelnie. Nigdzie miejsca wolnego. Mężczyźni, a nawet kobiety, stali stłoczeni; w danej chwili wszyscy klaskali z entuzjazmem. Laura słyszała ze wszystkich stron:

— Bravo!

— Świetnie, doskonale!

— Znakomicie!

— Encore! Encore!

Pomiędzy głowami ludzi i poniżej balkonu, który odcinał się jasnym blaskiem w otaczających ciemnościach — Laura dostrzegła część sceny. Wyobrażała ogród: w głębi widniał zamek, na lewo klomb, a na prawo pawilon. Przed rampą sławna śpiewaczka — kontralt — przebrana za chłopca, dziękowała ukłonami słuchaczom, mając ręce pełne kwiatów.

— Jaka szkoda — szepnął Corthell do Laury, gdy szli wraz z innymi wzdłuż bocznego skrzydła do łoży. — Jaka szkoda, to już drugi akt, straciła pani cały akt pierwszy i tę słynną arję. Powtórzy ją jednak i to specjalnie dla pani, pokieruję tak oklaskami, że ją z pewnością jeszcze raz zaśpiewa. Chciałem tak bardzo, żeby pani właśnie to usłyszała.

Gdy weszli do łoży, okazało się, że towarzystwo było nieco za liczne, tak, że Jadwin i Cressler musieli stać, żeby widzieć scenę. Jakkolwiek mówili szeptem, niemniej przybycie ich powitano przyciszonymi: „Psst! Psst“.

Pani Cressler wskazała Laurze miejsce na przedzie łoża. Jadwin zdjął z niej płaszcz, a ona usiadła wygodnie na krześle i powiodła wzrokiem dokoła. Niewiele mogła zobaczyć. Wszystkie światła były przyćmione; dostrzegła tylko poprzez mrok mnóstwo falujących wachlarzy, które kołysały się, jak ćmy nocne w zmierzchu.

Wnet jednak zwróciła wzrok na scenę. Oklaski ucichły a śpiewaczka rozpoczęła na nowo arję. Melodja była prosta, tempo łatwe; nie był to bardzo wysoki poziom muzyczny, ale dla Laury arja stała się wprost objawieniem.

Siedziała, jak pod urokiem — splotła dłonie, uwagę wyteżyła największym wysiłkiem. Cudna jest taka muzyka, cudny taki głos, cudna taka orkiestra, cudne takie uniesienie, wywołane prostem pięknem dźwięku. Nigdy, nigdy nie zapomni tego wieczoru, tego pierwszego wieczoru w Wielkiej Operze — całego tego podniecenia, tego świata woni, kwiatów, wytwornych strojów, pięknych kobiet i przystojnych, eleganckich mężczyzn.

Z bezbrzeżną litością cofała się myślą do ciasnego, małostkowego życia rodzinnego miasta, które opuściła na zawsze, do ograniczonego horyzontu, do maleńkiego koła drobnych obowiązków, rzadkich, nielicznych rozrywek — czytelnia, kilka koncertów, trywjalne zabawy. Jak łatwo być dobrym i szlachetnym, gdy taka muzyka jak ta, której dziś słucha, staje się częścią naszego życia; jakże ponętny jest majątek, jeżeli toruje drogę do takiego bezmiernego szczęścia, jakiego w tej chwili doznaje. Szlachetność, czystość, odwaga, poświęcenie wydawały się o tyle więcej warte, niż przed kilku chwilami. Wszelkie rzeczy, nie bezwzględnie niegodne, stały się bohaterskie — wszelkie rzeczy i wszyscy ludzie.

Landry Court stał się młodym rycerzem „bez trwogi i zarzutu“. Córthell — pięknym kapłanem sztuki z epoki wczesnego Renansansu. Nawet Jadwin zamienił się w księcia handlu, w wielkiego pioniera finansowego. A ona sama — ach, nie wiedziała.. śniła o Laurze innej, lepszej, łagodniejszej, piękniejszej, którą każdy kocha mocno i tkliwie,

która kocha każdego i która umrze pięknie, cicho, gdzieś w dalekim ogrodzie — umrze z wielkiej miłości—pięknie, cicho, wśród kwiatów; umrze, skutkiem rozdartego serca, a cały świat będzie ją oplakiwał i będzie łzy wylewał, gdy ją znajdą umarłą i piękną w ogrodzie, wśród kwiatów i ptaków, w dalekiej krainie, gdzie zawsze króluje poranek i gdzie rozbrzmiewa precudna muzyka. I Laura tak się martwiła o siebie, taka była rozczulona samą siłą pragnienia dla siebie dobroci, szlachetności i kobiecości, że siedziała na przedzie łoża Cresslerów w ów przedziwnie uroczy wieczór i łzy spływały obficie po jej policzkach, spadając na palce, obciśnięte w białą rękawiczkę.

Śpiewaczka kontraltowa znikła, a jej miejsce zajął na scenie tenor — tegi, barczysty młodzieniec, w ponsonowym pluszowym kaftanie i popielatych jedwabnych trykotach. Wysunął podbródek, wyciągnął rękę, dłoń przycisnął do serca i śpiewał do pawilonu, który od czasu do czasu chwiał się, pod powiewem przeciągu, idącego zza kulis.

Arję przyjęto z entuzjazmem — musiał ją powtórzyć trzykrotnie. Nawet Corthell, krytyk niesłuchanie surowy, kiwał głową, na znak uznania. Laura i Page były w dłonie do ostatka. Landry Court wszakże, chcąc wywrzeć wrażenie, przybrał minę niezadowoloną.

— Nie jest przy głosie dzisiaj. Jaka szkoda. Trzeba go było słyszeć w piątek w „Aidzie“.

Teraz ukazała się primadonna, wielka sopranistka i popisała się arją, która zapewniła jej sławę — wykonała ją też wprost zdumiewająco. Poczem scena przez chwilę była pusta, powoli zapadał na niej mrok, orkiestra przycichła niemal do szeptu i tenor z sopranistką powrócili. On pochwycił ją w objęcia, odśpiewał kilka taktów, poczem, trzymając ją ciągle jedną ręką w pół, odsuwał się od niej stopniowo, dopóki nie stanęła na przedzie, w środku sceny. Wtedy przybrał postawę uwielbienia i podziwu, podniósł oczy w zachwycie, a ona zcichła, przy akompaniamencie przytłumionych, rozmarzających dźwięków skrzypiec, zaczęła swoje solo.

Laura zamknęła oczy. Nigdy jeszcze nie doświadczy-

ła uczucia takiego ukojenia, ukołysania, takiej tęsknoty. Ach, gdybyż tak kochać! Kochać i być kochaną. Dzisiaj już taka miłość nie istnieje. Zapragnęła oderwać się przymocowaną od wstrętnego, zmaterjalizowanego życia nowoczesnego, z którem była związana tak silnie, i unosić się w odległą przeszłość, po przez różowe opary i przezroczyście zasłony, albo zasiać w srebrnej łodzi, ciągnionej przez łabędzie, i powierzyć się łagodnemu prądowi rzeki, płynącej zwolna a wiecznie...

Ale w myśli jej zaczął się wdzierać poziomy pierwiastek. Tuż obok, światła były takie przyćmione, że nie mogła powiedzieć gdzie, prowadzona pocichu rozmowa, stopniowo narzucała się jej uwadze. Mimo wszelkich wysiłków, nie mogła jej odegnąć, a teraz, gdy orkiestra odzywała się coraz ciszej, aż wreszcie głos i instrumenty zlały się w jeden, zaledwie dosłyszalny szept, drgający wruszeniem miłosnem i tkliwym uniesieniem, w uszy Laury wpadły, wypowiedziane męskim, ochrypłym głosem, wyrazy:

— Brak wynosi conajmniej milion buszli. Dwieście wagonów miało przybyć wczoraj w wieczór z Milwaukee...

Ruchem rozpaczy odwróciła głowę na chwilę, rozglądając się wśród mroku. Nie mogła jednak dojrzeć nikogo, niewpatrzonego w scenę. Dlaczego mężczyźni nawet tutaj nie mogą zapomnieć o interesach? Dlaczego zgrzyt handlu musi psuć całą harmonję tej wzniosłej chwili?

Nagle wszystkie dźwięki zagłuszone zostały grzmo-tem oklasków. Tenor i sopranistka kłaniali się i dziękowali uśmiechem z poza światła rampy. Sopranistka znikła i niebawem ukazała się na balkonie pawilonu, a gdy oznajmiała, że gwiazdy i ptaki nocne śpiewają wspólnie: „On kocha cię“ — głosy tuż obok Laury mówiły w dalszym ciągu:

— ...sto sześć wagonów...

— ...sparaliżowali zwyżkę...

— ...pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

Naraz światła zajaśniały. Akt się skończył.

Laura oprzytomniała po pięciu minutach dopiero. Wyszła z Corthell'em do f o y e r za lożami. Wszyscy space-

rowali. Powietrze było przepełnione urywaną paplaniną tłumu kobiet. Ale ona przebywała myślą gdzieś daleko — ona i Cheldon Corthell. Zdawało się, że widziała tylko smagłą, romantyczną twarz jego, z jedwabistą brodą i wymownemi oczyma, gdy niski głos jego, mówiący nad jej uchem, był jakby dalszym ciągiem melodji tylko co skończonego duetu.

Instynktownie odczuła, co jej powie, do czego usiłuje ją przygotować. Odczuła również, że nie spodziewał się, iż dzisiaj wieczór w ten sposób do niej mówić będzie. Wiedziała, że ją kocha, że, prędzej czy później, muszą powrócić do przedmiotu, który przez długi czas był z ich rozmów wyłączony; spodziewała się, że to nastąpi, gdy będą sami, odosobnieni, w zaciszu, nie zaś wśród tłumu, olśniewających światła elektrycznych, szmeru setek rozmów, wpadających do ich uszu. Zdawało się wszakże, iż te doniosłe sprawy wynikają same z siebie, niezależnie od czasu i miejsca, podobnie jak narodziny i śmierć. Nie pozostało tedy nic innego, jak pogodzić się z sytuacją i Laura, bez zdziwienia, rozróżniła nareszcie z całą świadomością pośród szeptu Corthell'a wyrazy:

— A zatem nie mam chyba potrzeby powtórzyć pani raz jeszcze, że ją kocham.

Odetchnęła głęboko.

— Wiem. Wiem, że mnie pan kocha.

Usiadł na otomanie w rogu i Corthell, świadomy zwyczajów towarzyskich, nadawał rozmowie pozór banalnej gawędki. Laura wszakże, rozegzaltowana, zahypnotyzowana nastrojem uroczego wieczoru, o nic już nie dbała; nie chciała nawet poniżyć się do zachowania pozorów.

— Tak, tak. Wiem, że mnie pan kocha, — powtórzyła.

— I to wszystko, co pani może mi powiedzieć? — nalegał. — Czy to dla pani niczem, że mi pani sobą świat zasłania?

Odyskiwała powoli równowagę. Miłość, ostatecznie, milsza jest w rzeczywistości — nawet wśród tego tłumu, w tej atmosferze jedwabiu i klejnotów, wśród tego pokazu towarzystwa wielkowiejskiego — niż w mistycznym ogro-

dzie romantycznej, wyśnionej krainy. Laura uczuła się znów nowoczesną, pełną sił żywotnych, kobietą — przestała być legendową dziewicą z czasów rycerskich.

— Niczem dla mnie? — odparła. — Nie wiem. Wolę jednak, żeby mnie pan kochał..

— Niechże pani pozwoli zatem, żebym kochał na zawsze—mówił dalej.—Pani wie, co mam na myśli. Rozumieliśmy się wzajemnie od początku. Odrazu i prosto. Kocham panią całym sercem. Pani wie teraz, że mówię prawdę; pani wie, że może mi ufać. Nie będę od ciebie żądał, żebyś związała swoje życie z mojem i dzieliła mój los. Chcę u ciebie wyprosić wielkie szczęście — podniósł głowę gwałtownie z dumą — i wielki zaszczyt.. daj mi sposobność złozenia u swych stóp wszystkiego, co jest we mnie dobrego. Gdybym był lepszym człowiekiem sam z siebie, nie powazyłbym się mówić o tem; ale jeśli jestem silniejszy lub odważniejszy, to dlatego, że coś z ciebie stało się częścią mojej istoty i odrodziło mnie. A więc, jeśli ci ofiaruję siebie, to tylko zwracam ci dar, jaki od ciebie otrzymałem. Staralem się zachować go dla ciebie, zachować, jak świętość, czysty i nieskażony. Wraca do ciebie, będzie twój, jeżeli go zechcesz.

Nastąpiło długie milczenie; grono mężczyzn w cylindrach i białych rękawiczkach szło po schodach. Fala przechadzających się skierowała się ku wejściom do teatru. Dzwonek elektryczny zabrzmiał wezwaniem.

Laura nareszcie podniosła wzrok, a gdy oczy ich się spotkały, Corthell ujrzał łzy w jej źrenicach. To wyznanie jego miłości było dla niej uwieńczeniem największego uniesienia szczęścia, jakiego dotąd zaznała. Ach, tak, jest kochana, zupełnie tak samo, jak kochana była bohaterka Opery. Przez ten jeden wieczór przynajmniej piękno życia było nieskażone, a ona go nie zaćmi okrutnym słowem. Świat jest piękny. Wszyscy ludzie są dobrzy, szlachetni i szczerzy. Jutro, wraz z szeregiem powszednich spraw i obowiązków, znikło gdzieś w odległej dali. Laura nagle zwróciła się do towarzysza i, ulegając porywowi, niepomna skutków, zawołała.

— Ach, jakim ja rada, jak się cieszę, że mnie pan kocha!

Ale, zanim Corthell zdążył odpowiedzieć, stanęli przed nimi Landry Court i Page.

— Szukaliśmy was—rzekła młoda dziewczyna spokojnie.

Page była niezadowolona. Brała siebie i swoją siostrę — wogóle zresztą cały tryb życia — niesłuchanie poważnie. Nie miała poczucia wesołości. Nie była pobłażliwa: jej pojęcia o przyzwoitości i przyjemnościach były równie niewzruszone, jak stałe gwiazdy. Ładnie zachowuje się Laura — ukrywa się po kątach z Sheldonem Corthell'em. Daleko mniej wystarcza, żeby ludzie gadali. Jeżeli nie ma poczucia zobowiązań względem pani Cressler, niech przynajmniej pamięta o zachowaniu pozorów.

— Zaczynają — odezwała się Page uroczyście. — Myślę, że chyba dosyć już straciłaś z opery.

Powrócili do łoża, gdzie gromadziła się już i reszta towarzystwa.

— I cóż, Lauro — spytała pani Cressler, gdy usiedli — jakże ci się podoba?

— Nie wyszłabym stąd... nigdy — odparła. — Zostałabym tu nazawsze.

— Mnie podoba się najlepiej młodzieniec — zauważyła ciotka Wessels;—ten, który jest, zdaje się, przyjacielem wysokiego mężczyzny w płaszczu. Ale, dlaczego on taki smutny? Dlaczego nie żeni się z tą młodą panną?... Zobaczmy... nie pamiętam, jak się nazywa.

— Kapitałny głos — oświadczył Landry Court. — Ale to już nie to, co było. Wielki hulaka... pije. Tak, panie, jak smok. Miał już raz atak delirium tremens w Filadelfji... za sceną i przebił kulisę sztyletem teatralnym.

Wszyscy roześmieli się, a Landry im zawtórował.

— Ta muzyka—zauważył Corthell—wydaje mi się właściwem przejściem od naiwnej melodji szkoły włoskiej do kunsztownej zawilności Wagnera. Muszę przyznać, że porywa mnie niekiedy...

Jadwin, który podczas antraktu palił cygaro w przed-sionku, potarł podbródek, zamysłony.

— Bardzo to wszystko piękne — rzekł — nie wątpię, że ta muzyka jest arcydziełem; ale zapewniam was, że wolałbym słuchać starej pieśni, przy gitarze, niż tego całego huku, tej wrzawy operowej.

Orkiestra wracała — muzykanci wysuwali się po jednemu z za niskich drzwi za sceną, mało co większych od wejścia do budki króliczej. Siadali przed pulpitami, unosząc poły fraka, rozkładali nuty; niebawem rozpoczęło się strojenie instrumentów i powstała hałaśliwa fala najrozmaitszych dźwięków—przytłumione warczenie trąb, głuchy pomruk basetli, cichy bełkot fletów i klarnetów, przerywany od czasu do czasu przenikliwym świegotem i zgrzytem skrzypiec — fala przeraźliwej kakofonji, zagłuszająca nieustanną wrzawę rozmów, jaka rozlegała się w całym teatrze.

Nagle światła w sali przygasły, a zajaśniała blaskiem rampa sceniczna. Ze wszystkich stron teatru przebiegały przez salę energiczne szepty: „Psst! Psst!“ Za sceną odezwały się trzy poważne, grobowe uderzenia wielkiego drewnianego młota; dyrektor orkiestry podniósł pałeczkę, następnie opuścił ją z wolna, wszystkie instrumenty zabrzmiały jednocześnie tonem minorowym, spotęgowanym przytłumionem dudnieniem kotła, i kurtyna podniosła się, ukazując rynek średniowieczny. Sopranistka siedziała w zadumie na ławce. W tym akcie miała swoją „wielką scenę“. Ubrana w luźną, przepasaną jedwabnym sznurem, białą szatę, z szerokimi otwartymi rękawami, tak, że ręce obnażone były do ramion, włosy miała rozpuszczone.

— Teraz właśnie jest główny akt — szepnęła pani Cressler, opierając się na ramieniu Laury. — Wspaniała jest później. Wspaniała...

— Żeby też ci panowie przestali mówić! — rzekła Laura, rozglądając się rozpaczliwie wśród ciemności, albowiem pomiędzy dwiema falami tonów dobiegały ją słowa:

— ...bilans Izby rozrachunkowej trzy tysiące dolarów...

Tymczasem primadonna wstała, oparła podbródek na łonie i, patrząc ponurym wzrokiem z pod brwi, a rękę trzy-

mając wyciągniętą nad światłami rampy, ulżyła stroskanemu sercu długim recitativem. Naraz wszedł baryton, zbliżył się do rampy z lewej strony i, z wściekłym gniewem, zwrócił się do primadonny. Ona zaś załamała ręce błagalnie, nalegając, żeby ją opuścił, wołając od czasu do czasu:

„Va via, va via —
Vel chieco per pietà“.

Poczem odrazu, przy ogłuszających już teraz dźwiękach orkiestry, padli sobie w objęcia.

— Co to znaczy? — szepnęła ciotka Wessels w osłupieniu. — A ja myślałam, że ten pan z brodą jej nie cierpi.

— Jakto, ciociu, nie widzisz, że to księżę? — usiłowała objaśnić Laura. — Przebacza jej... Zresztą nie wiem dobrze... Zajrzyj do libretta.

— ...spisek niżkowców... siedemdziesiąt centów... i, naturalnie, załamał się.

Teraz wchodzi powiernica primadonny, mezzo - sopran, i zaczyna się trio, które ma mierne powodzenie. W końcu baryton dobywa miecza, a primadonna pada na kolana, śpiewając:

„Io tremo, ahimé“.

— Teraz znów zwarjował—szepnęła ciotka Wessels, zaglądając do libretta. — Nie mogę zrozumieć. Mówi... libretto powiada, że ona mówi: „drzę“... Nie rozumiem dlaczego...

— Uwważaj — odezwała się Page, — teraz wchodzi tenor i wszystko się wyda.

Tenor, z gołą głową, wpada nagle na scenę i, wściekły, z dłońmi na piersi, pochylając się naprzód, zwraca się do barytona. Wszyscy śpiewają po włosku, ale tenor, Paryżanin, posługuje się tekstem francuskim i teraz rzuca barytonowi obelgę:

„Oh! traître infâme,
Oh! lâche et coupable“...

— Nie pojmuję dlaczego on się nie ożeni z tą młodą osobą i nie zakończy tej całej awantury — zauważyła ciotka Wessels.

Akt dobiegał końca. Primadonna odśpiewała swoją „wielką scenę“, w której głos jej zniżył się do altowego C, a przetrzymała nutę tak długo, że ciotka Wessels zaczęła się niepokoić. Gdy śpiewaczka skończyła, teatr zatrzęsł się od oklasków, sopranistka, która ukazała się, oparta na ramieniu swej powiernicy, musiała powracać trzykrotnie.

Z kolei następuje pojedynek między barytonem a tenorem, który, śmiertelnie raniony, pada w objęcia przyjaciół, wydobywając z gardła urywane, namiętne tony. Chór — złożony ze straży miejskiej i mieszczan — tłoczy się w głębi sceny. Sopranistka z powiernicą wracają. Bas, czarnobrody mężczyzna o grubym karku, ponury, tajemniczy, rozdziela chór na prawo i na lewo i zbliża się do rampy. Ukazuje się kontralt, przebrany za chłopca. Sopranistka zajmuje przód sceny i akcja potoczyła się swoim biegiem.

Skrzypce śpiewały namiętnie i kwiliły unisono, wszystkie smyczki poruszały się razem, jak części dobrze uregulowanej maszyny. Kotły grzmiały w dokładnie oznaczonych przerwach. Dyrektor wybijał takt z wściekłością, jakgdyby wyciągając z jakiejś głębi tony i struny końcem swojej pałeczki; oboje i klarnety gwizdały, basetle pomrukiwały, a flety i piccolo odzywały się zdumiewająco zawiłą płynną falą piskliwych dźwięków i rullad.

Na scenie każdy śpiewał. Sopranistka na środku wydobywała najwyższe tony, energicznie kręcąc całą postacią, i wyrzucała je w powietrze przy pomocy gwałtownych ruchów głowy. Na prawo stał bas, przyczajony, chmurny — w przerwach muzyki słychać było głos jego, powtarzający:

„Il perfido, l'ingrato“;

po lewej stronie sopranistki zaś baryton intonował niezrozumiałe dźwięczne frazesy, bijąc się w piersi i mieczem wskazując leżącego tenora. Dalej, z lewej strony, kontralt,

w trykotach i pluszowym kaftanie, zwrócony ku publiczności, wyciągał ręce lub odrzucał je wtył. Za każdą wysoką nutą śpiewaczka podnosiła brwi, a wysuwała podbródek w kryzę, gdy głos jej zbiegał do niższej skali. W pewnych przerwach tony jej łączyły się z tonami sopranistki, gdy śpiewała:

„Addio, felicità del ciel!“.

Tenor uniósł się na jednej ręce, podtrzymywany przez przyjaciół i wtórował tematowi, prowadzonemu przez sopran, słowami:

„Je me meurs,
Ah, malheur!
Ah, je souffre!
Mon âme s'envole“.

Chór utworzył półkole tuż za nimi; kobiety po jednej stronie, mężczyźni po drugiej. Pozostawiał bardzo wiele do życzenia; widocznie utworzony naprędce, z Bóg wie jakich żywiołów, przez impresarja, który nagle stał się oszczędny. Kobiety były otyłe, podstarzałe i do przykrości „swojskie“; mężczyźni drobni, wychudli i śmieszni w źle dopasowanych kostjumach. Niemniej wyćwiczeni byli sumiennie. Wykonywali wszystkie ruchy razem, poruszali się masą jednocześnie i bez przerwy, powtarzali ciągle:

„O, terror, O blasfemia“.

Zaczął się finał. Każdy z obecnych na scenie postąpił krok naprzód i powtarzał wszystko od początku z wyższego tonu. Głos sopranistki drgał aż pod sufitem. Orkiestra podwoiła się, dyrektor wybijał takt rękoma, dłonią i całą postacią.

„Il perfido, l'ingrato“;

grzmiał bas.

„Ineffabil misterio“.

odpowiedział baryton, uderzając się w pierś i mieczem wskazując rannego przeciwnika; naraz zadźwięczał znów sopran i płynął zdumiewającym crescendo, którego obecni słuchali z zapartym oddechem, poczem śpiewaczka wyrzuciła sławne altowe C, wytrzymała je tak długo, że chór powtórzył czterokrotnie:

„O, terror, O blasfemia“.

Poczem pałeczka dyrektora opadła z gwałtownością ciosu. Nastąpił przeciągły wybuch harmonji, olbrzymi końcowy akord, do którego przyczyniał się każdy głos i każdy instrument. Śpiewacy stanęli w pozach jak do żywego obrazu, tenor padł nawznak z ostatnim jękiem:

„Je me meurs“,

a sopranistka runęła w objęcia powiernicy. Zasłona spadła.

Teatr grzmiał od oklasków. Kurtyna podnosiła się raz po raz. Tenor powstał, wziął się za ręce z barytonem, sopranistką oraz innymi artystami i wszyscy kłaniali się wielokrotnie. Wreszcie kurtyna opadła poraz ostatni, zabłysły światła wielkiego pająka a z każdego piętra dobiegały krzyki sprzedawców programu:

„Libretto! Tekst opery! Słowa i muzyka opery!“.

Podczas tego ostatniego antraktu Laura pozostała w łóżu z panią Cressler, Corthell'em i Jadwinem. Reszta towarzystwa wyszła popatrzeć z balkonu na foyer.

W łóży rozmowa toczyła się o urządzeniu sceny; Corthell opowiadał, jak w „Afrykance“, w Operze Paryskiej, cała „budowla“ na scenie z kulisami bocznymi i głębią obraca się, gdy nadpływa okręt Vasco de Gamy. Jadwin skrytykował ten efekt, dlatego, że nie obracali się wraz z kulisami aktorzy, a za tę krytykę nazwany został przez panią Cressler i Corthell'a nudziarzem. Zamierzał odpowiedzieć, gdy pani Cressler zwróciła się do artysty, podając mu lornetkę, i zapytała:

— Kto są ci ludzie, siedzący w trzecim rzędzie w

krzesłach?... niech pan spojrzy... tam, w środkowym skrzydle... ta kobieta w czerwonej sukni. Czy to nie państwo Gretry?

Narazie Jadwin i Laura zostali tedy wyłączeni z rozmowy, a kapitalista pochwyił szybko tę sposobność i zwrócił się do młodej dziewczyny. Laura niebawem stwierdziła ze zdziwieniem, że usiłował być przyjemny i, zanim zamienił kilkanaście zdań, zdobył się na niezręczny kompliment. Ze sposobu obejścia odgadła, że zwracanie uwagi na młode dziewczęta było dla Jadwina czemś niezwykłym. Intuicją odczuła, że tego pierwszego wieczora ich znajomości zainteresowała go nagle.

Nie miała ani sposobności, ani ochoty przyjrzeć mu się baczniej podczas rozmowy w przedsiönku, ale teraz, siedząc i słuchając jego mowy, uczuła, że ją pociąga. Wysoki, silnie zbudowany — możnaby zeń wykroić dwóch Corthell'ów — Jadwin miał dłonie duże i szerokie; dłonie aferzysty, który wiedział, jak pochwyić, a nadewszystko jak zatrzymać.

Te szerokie, silne dłonie i bystre spokojne oczy pochwycą i obejmą cel z olbrzymią mocą i wytrwają niezachwianie, bez zmęczenia, dopóki cel nie zostanie osiągnięty. A te dwie długie, muskularne ręce, jakże daleko mogły sięgnąć, jakie olbrzymie zdolne były poprowadzić interesy...

Jeden z wielkich manewrów jego kolegi finansisty dopełnił się dzisiaj właśnie — bankructwem Helmick'a, a przy akompanjamencie melodji słynnej opery mężczyźni rozmawiali o tem podniesionym szeptem; jeden wielki przywódca leżał w tej chwili pobity, walcząc ostatniem technieniem jedynie już o istnienie. Jadwin patrzył na całą przebieg katastrofy. Nie dosięgnęła go, lecz stał jej blisko, śledził ją pilnie, był z nią w zetknięciu, przewidując każdą fazę stopniowego upadku i fatalny koniec.

Głosy dwóch mężczyzn, które tak bardzo drażniły Laurę na początku widowiska, odezwały się znów nagle:

— ...działy się straszne rzeczy tam, na posadzce giełdy... dziś rano... Dalibóg! bili się, a zniżkowcy rzucili się na nich...

I nagle, pomiędzy dwiema częściami muzycznego dra-

matu namiętności i uczucia, narzuciła się Laurze świadomość tego drugiego dramatu, który rozgrywał się jednocześnie — nawet w tej chwili — tuż obok niej, równie porywający, równie namiętny; ale rzeczywistszy, aktualniejszy, nowocześniejszy; rozgrywał się w samym sercu środowiska, w którym żyła. A oto ów Jadwin siedział z całym spokojem, wyfraczony, i słuchał dobrodusznie przepięknej muzyki, która mu była zupełnie obojętna, i napuszonej deklamacji, patrzył spokojnie na te wszystkie pozy i na tę całą mimikę. Jakże to wszystko musiało mu się wydawać czcze i marne.

Zdziwienie ogarnęło Laurę. Jakto! zrazu zwróciła się do tego człowieka wyniośle, przybrała swoje „wielkie tony“, przyrzekała sobie, że go upokorzy i że mu zapłaci za pierwsze nieufne spojrzenie, jakim ją obrzucił. A teraz obserwuje go i ta obserwacja ją zajmuje. Jakkolwiek wiedziała, że nie ma nic wspólnego ze wzniosłymi wrażeniami, jakie jej dał dotąd dzisiejszy wieczór, niemniej zaczęła dostrzegać w Jadwinie niejedno godne podziwu. Tak było zawsze. Powiedziała sobie, że jest zawsze nieobliczalna, pełna sprzeczności. Kobiety to dziwaczne istoty, tajemnicze, nawet dla siebie samych.

— Cieszę się bardzo, że się pani tak dobrze bawi — dobiegał ją głos Corthell'a z za jej pleców.—Byłem tego pewien. Nic tak nie przemawia do wrażliwości, jak taka muzyka... a z pani temperamentem...

Dał jej wprost odczuć jej płęć. Teraz była znów już tylko kobietą, ze wszystkimi ograniczeniami kobiety, a jej stosunek do Corthell'a nie mógł być nigdy inny—uświadomiła to sobie teraz — tylko płciowy. Z Jadwinem inna sprawa. Między nimi więcej było równości, więcej koleżeństwa. Corthell mówił tylko o jej sercu i do jej serca. Jadwin zaś dał jej odczuć — albo raczej odczuła to sama z siebie, rozmawiając z nim — że ma ona tak dobrze głowę jak i serce.

I ostatni akt opery niezupełnie pochłonął jej uwagę.

Artyści wchodzili i wychodzili, orkiestra zawodziła i huczała, słuchacze sypali oklaski; w końcu tenor, pod wpływem nagłego poczucia obowiązku i nieubłaganej ko-

nieczności, wyrwał się z objęć sopranu i, urągając srogiemu losowi i deklamując o próżności sławy i o sercu swem, które pęka z bólu, ale pogardza łzami, pozwolił wprowadzić się ze sceny swemu przyjacielowi, basowi. Sopranistka po raz piąty w ciągu sztuki zemdląła i padła w objęcia swej cierpliwej powiernicy.

Słuchacze, przypomniawszy sobie nagle o kapeluszach i okryciach, zaczęli się krzątać i dużo osób wychodziło już, zanim kurtyna zapadła.

Cresslerowie ze swoim towarzystwem szli do przedśionka w ostatnich szeregach. A gdy opuszczali foyer, gdzie dochodziły pierwsze przeciągi z ulicy, dosłyszeli okrzyki:

— Deszcz pada!

— Pada porządnie.

I tak było w istocie. Powietrze nagle ociepliło się i suchy śnieg, który padał od zmierzchu, zamienił się w posępny, drobny deszcz.

Uzucie niemiłego zdziwienia ogarnęło w przedśionku tych, którzy nie przybyli w karetach i tych, których karety jeszcze nie nadjechały. Zapanował zły humor; kobiety, z głowami osłoniętymi gazą lub koronką, otulone w płaszczce, kłóciły się z mężami, kuzynami lub braćmi, z powodu braku parasoli. Tłok panował nie do zniesienia, duszono się, a egretki na ufryzowanych głowach kiwały się i chwiały, poruszane różnemi powiewami — raz wilgotnym, chłodnym, idącym z zewnątrz, to znów suchym, gorącym, który szedł duszną falą od drzwi wewnętrznych sali teatralnej. Tu i owdzie przeciskali się przez tłok lokaje z parasolami, szukając z niepokojem swoich panów.

Na dworze, na chodnikach i na jezdni panował zamęt nieopisany: policjanci, z dobytymi pałkami, usiłowali, bijąc i popychając, zaprowadzić jaki taki porządek; młodzi ludzie, w ociekających deszczem cylindrach i białych rękawiczkach, biegali gorączkowo, szukając swych pojazdów. Na końcu, przy zasłonie u wejścia, portjer, olbrzymi chłop, w zahaftowanym złotem mundurze, wykrzykiwał numery dorożek tubalnym głosem, który zagłuszał wszelkie inne dźwięki. Dorożkarze, w lśniących płaszczach nieprzemakal-

nych, w których odbijały się światła latarni, odpowiadał na wezwanie i podjeżdżali; między dorożkarzami a policjantami wybuchały wściekłe kłótnie; dokoła rozlegało się zatrzaskiwanie drzwiczek kareciany, a turkot kół na bruku grzmiał, jak odgłos toczących się wozów artyleryjskich.

— Może zawołać powóz? — krzyknął obdarty wyrostek arabski, stając przed Cressler'em.

— Doskonale! Leć prędko—odparł Cressler. Poczem, podnosząc głos, bo wrzawa potęgowała się z każdą chwilą, dodał: — Lauro, jaki macie numer? Dziewczęta, pojedziecie najpierw. Dziewięćdziesiąt trzy... Dalej, sprowadź go, chłopcze, co tchu! Dziewięćdziesiąt trzy!... No, ruszaj, a prędko!

Kareta zajęchała. Pożegnali się z pośpiechem; z pośpiechem Laura podziękowała pani Cressler za cudowny wieczór. Corthell wsadził panie do karety, poczem wsiadł sam, zamknął drzwiczki i ruszyli z miejsca.

Laura opadła na wilgotne poduszki i wsunęła się w głąb karety.

— Co za wieczór! Co za wieczór! — szepnęła.

Podczas jazdy i ona i Page prosiły artystę, który znał dobrze operę, żeby im nucił lub gwizdał arje, które im się najlepiej podobały. Za każdym razem wpadały w zachwyt. Tak, to ta melodia właśnie; czy nie piękna? nie cudowna?

Ale ciotka Wessels była ciągle jeszcze niezadowolona.

— Nie rozumiem — żaliła się — dlaczego ten młodzieniec, ze spiczastą brodą, nie ożenił się z tą panią i nie położył końca tej całej awanturze. Jak tylko zdawało się, że się wszystko ułoży, on zaczynał nanowo bić się w piersi i wychodził. Mojem zdaniem, oni wszyscy powarjowali.

— Ale, księżę, czy ciocia nie rozumie... ten, który śpiewał basem... — usiłowała tłómaczyć Page.

— Ach, ten wcale mi się nie podobał — przerwała ciotka Wessels. — Tak tupał nogami...

Ale interesowała ją sama sala widzów, a nadewszystko tualety dekolowane, które wywarły na nią szczególne wrażenie.

— Jak żyję nie widziałam takiego ubrania—oświadczyła. — A ta kobieta w łoży obok nas... Czyś ty to widziała? — Podniosła brwi i zacięła usta. — No, już nic więcej nie powiem...

Kareta toczyła się przez niezbyt jasno oświetlone ulice, wiodące do dzielnicy północnej, gdzie mieszkały Dearborn'ówny. Do wnętrza pojazdu dochodziły odgłosy kopyt końskich, człapiących w błocie, które utworzyło się na jezdni, skutkiem topniejącego śniegu i deszczu. Po szymbach karety spływały długie smugi wody. Jechali wzdłuż Wabash Avenue, a potem przez ulice State i Clarke, zupełnie prawie puste.

Laura, po chwili, wpadła w zadumę i nie odzywała się prawie wcale. Spędziła wieczór niezwykły, dzięki nie tylko samej muzyce, ale i z innych powodów.

Corthell oświadczył jej się ponownie, a ona, pod wpływem chwilowego uniesienia, dała mu odpowiedź zachęcającą. Niezwłocznie potem miała ową krótką rozmowę z kapitalistą Jadwinem, która przywróciła jej równowagę i uspokoiła ją.

Zimne powietrze i deszcz ochłodził jej pałające lica i tętniące skronie. Zapytała siebie teraz, czy istotnie uczniwie kocha artystę. Nie, nie kocha go; i, jadąc w karecie przez puste ulice dzielnic handlowych, uświadomiła sobie najzupełniej wyraźnie, że Corthell'a poślubić nie chce. Chce jednak, żeby ją kochał, żeby ją obsypywał niezliczonymi atencjami, jak czynił dotąd z delikatnością bez zarzutu. Powiedzieć mu: „Nie, panie Corthell, nie kocham pana, nigdy nie będę pańską żoną“ — byłoby — tym razem — wyrokiem ostatecznym. Corthell odszedłby, a ona nie miała zamiaru dopuścić do tego.

Nagle wyrwana została z zadumy. Myśląc o tem wszystkim wyglądała oknem karety przez małą przestrzeń szyby, z której starła mgłę. Teraz nagle narzucił się jej uwadze dziwny wygląd otoczenia, gdy pojazd skręcił z ulicy Jackson w ulicę La Salle, i wydała okrzyk zdumienia.

Gmachy biurowe po obu stronach ulicy były oświetlone od parteru do poddasza. Przez okna widziała sylwetki kantorzystów i buchalterów, bez surdutów, pochylonych

nad biurkami. Każde biuro było otwarte i w każdym wrzała widocznie gorączkowa praca. Chodniki roily się od tłumów, jakby w południe. Gońcy biegali w różne strony, a na rogach stały grupy mężczyzn, pogrążonych w poważnej rozmowie. Całe to otoczenie było na nogach, pomimo godziny pierwszej po północy!

— Co to jest?... co to wszystko znaczy? — szepnęła Laura.

Corthell nie mógł wyjaśnić, ale naraz Page zawołała:

— O! ja wiem... Landry mi powiedział.. nazwał te ulice „dzielnicą komisjonerów“. A to są biura pokątnych agentów giełdowych, które pracują nadetatowo... to ta sprawa Helmick'a... wiecie?

Laura spojrzała i osłupiała. Tutaj zatem rozpętał się ten drugi dramat, wrzała ta druga tragedia wśród nocy, gdy ona i tylu innych siedzieli w otoczeniu kwiatów i woni, słuchając muzyki. I przed oczyma jej duszy stanęło groźne, ohydne widmo. Ach, ten dramat „Kantoru wypłaty prowizji“, gdzie szelest milionów buszli ziarna i brzęk milionów dolarów i tupot i dzikie krzyki tysięcy ludzi przepełniały powietrze wrzawą bitwy! Tak, tu rozgrywał się dramat śmiertelnej powagi — tu był istotny dramat i tragedia i konanie i wrzask śmiertelnych zapasów.

A echa te wdzierają się nawet do sanktuarjum sztuki, przecinały zgrzytem melodje włoskie i tok miłej rozmowy, wskrzeszały do gorączkowego życia — w porze, gdy świat cały winien być pogrążony we śnie — wszystkie te ponure głązy gmachów biurowych. Prerażająca była ta praca wśród nocy. Miała to samo znaczenie, co szpitale polowe po bitwie — szpitale i namioty dowodzących generałów. Opatrywano rany, zadane we dnie, liczono zmarłych gdy kapitanowie i dowódcy, zamknięci, w kwaterach głównych, szkicowali plany dalszych zapasów armji, które miały rozpocząć się ze świtem.

— Tak, tak, to jest to, napewno, — mówiła dale Page. — Patrz, tam jest gmach, w którym pan Helmick ma swoje biura. Landry pokazywał mi to wszystko kiedyś. A spojrzysz za siebie. Podniosła klapę, zasłaniając okienko w tyle karety.—Patrz, tam, na koniec ulicy. Tam

jest gmach Izby Handlowej, gdzie się odbywa cała spekulacja zbożem... tam są giełdy zbożowe.

Laura odwróciła się i spojrzała. Po każdej stronie perspektywy wznosiły się, tonące w jarzącym blasku, gmachy. Lecz poza krańcem ulicy, wązka szczelina przedierała ołowiane chmury. Długa, blada smuga światła snuła się na widnokręgu, a na jej tle odcinała się ostro ciemna masa, tworząc czarny, potężny wał przeciw plamie świetlanej.

I to było ostatnie wrażenie Laury z przeżytego dziś wieczoru. Oświetlone gmachy biurowe, plusk deszczu, świetlana mgła na niebie i wznoszący się przeciw niej wał gmachu Izby Handlowej, czarny, groźny, spoczywający na swoich fundamentach, niby potworny sfinks o ślepych oczach, milczący, poważny — przyczajony tam bez dźwięku, bez znaku życia wśród nocy i ulewy.

ROZDZIAŁ II.

Miastem rodzinnem Laury Dearborn było Barrington, w prowincji Worcester, w Massachusetts. Urodziły się tam obie — i ona i Page — i tam mieszkały do śmierci ojca, która nastąpiła w czasie, kiedy Page miała zacząć uczęszczać do szkoły wyższej. Matka, rodem z Karoliny Północnej, zmarła dużo wcześniej.

Laura kształciła się niezwykłym trybem. Gdy ukończyła szkołę wyższą, brała jeszcze przez cztery lata lekcje prywatne od ubogiego doktora teologii, który odbywał studia w szkole teologicznej imienia Harvarda. Była ambitna i uczyła się gorliwie, a zadanie jej nauczyciela polegało raczej na kierowaniu nauką, niż na zmuszaniu do pilności.

W ciągu krótkiego czasu, nauczyła się języka francuskiego tak, że mogła swobodnie czytać i niebawem знаła Racine'a w oryginale równie dobrze jak Shakespeare'a. Do literatury zapalała wprost namiętnością. Wczytywała się w Tennysona i poetów epoki wiktoriańskiej, szybko też zawarła bliską znajomość z poetami i pisarzami Nowej Anglii. Modnych powieściopisarzy nowoczesnych nie znała prawie wcale i to świadomie. Niekiedy tylko, jako ustępstwo, pozwalała sobie na czytanie utworów Howellsa.

Średnio zamożny, gdy sam prowadził niewielki młyn, Dearborn nie miał możliwości zaoszczędzenia większego majątku i gdy Laura, przy pomocy miejscowego adwokata,

zlikwidowała interes, rozporządziła młynem i uregulowała zobowiązania, obciążające, szumnie przez adwokata nazwane „dobra“, — pozostał tylko niewielki fundusz, który wystarczył na kupno biletu dla Page do Chicago i opłatę kursu nauki w seminarjum.

Cresslerowie, po śmierci Dearborna, nalegali na siostry, żeby przyjechały na Zachód i zobowiązali się zaopiekować się Page przez czas pobytu w uczelni. Laura wysłała dziewczynkę niezwłocznie, sama jednak zwlekała z wyjazdem.

Na szczęście siostry nie miały potrzeby żyć z odziedziczonego spadku. Dearborn miał siostrę — bliźniaczkę ciotki Wessels — za bogatym handlarzem wełny w Bostonie, a ta siostra oddawna już złożyła dla siostrzenic znaczną sumę, która miała im być wypłacona w razie śmierci ojca. Przez szereg lat suma ta powiększyła się jeszcze składanemi odsetkami. Tak, że, gdy Laura i Page stanęły na stopniach cmentarza w Barringtonie zupełnie same na świecie, miały przynajmniej tę pewność, że są niezależne.

Przez dwa lata Laura mieszkała sama w mocno zbudowanej siedzibie z niskimi sufitami i wielkimi kominkami, i zastanawiała się nad swoim dalszym losem. Rodzice umarli; umarła też i ciotka w Bostonie. Ze wszystkich krewnych pozostała jedynie ciotka Wessels. Page kończyła nauki w Geneva Lake, oddalonem o dwie godziny drogi od Chicago. Cresslerowie byli najdroższymi przyjaciółmi osieroconych dziewcząt. Ciotka Wessels, sama wdowa, mieszkała też w Chicago, i dołączała swoje prośby do nalegań pani Cressler. Wszystko ciągnęło młodą dziewczynę na Zachód, wszystko wskazywało jej, że jedna faza jej życia dobiegła końca.

Nadto miała też Laura swoje ambicje. Nie przybrały one jeszcze w jej umyśle określonego kształtu, ale niewyraźnie widziała się kiedyś, w dalekiej przyszłości, aktorką, grającą rolę bohaterki Shakespeare'a. Ten pomysł jej był więcej pragnieniem niż ambicją, ale w Barringtonie, w Massachusetts, urzeczywistniony być nie mógł.

Przez rok odraczała, zwlekała, nie mogąc pogodzić się z myślą opuszczenia starego domu i grobu na cmentarzu z

kaplicą metodystów. Dwukrotnie przez ten czas odwiedzała Page i za każdym razem wielkie miasto rzucało na nią urok swego czaru. Za każdym powrotem do Barringtonu, miasteczko traciło w jej oczach. Było malownicze, ale rozpaczliwie ciasne. Życie było jałowe, „duch Nowej Anglii“ panował z całą surowością; a ten duch wydawał jej się prawdziwym kultem; rodzajem religji, w której Stara Panna była kapłanką, Dewotka celebrantką, bóstwem uwielbianem Wielka Szpetota, a rytuałem—nieubłagana praca dokoła gospodarstwa domowego. Laura nienawidziła tego.

Fakt, że była anglikanką i wołała czytać swoje modlitwy, niż słuchać napisanych i odmawianych na pamięć przez kapłana prezbiterjańskiego, uważano za pozostałość z obrzędów pogańskich — za coś niemal barbarzyńskiego. Gdy dobrała sobie kobietę i „wynajętego mężczyznę“ do zarządzania domem, odczuwała nagane całego miasteczka, jakgdyby złożyła tem dowód jakiegoś niesłychanego zwyrodnienia.

Przesilenie nastąpiło, gdy Laura pojechała sama do Bostonu, by widzieć Modrzejewską w „Marji Stuart“ i w „Makbocie“ i za powrotem, ogarnięta entuzjastycznym zapalem, dała do zrozumienia, że jest niemal zdecydowana pójść w ślady wielkiej artystki. Grono pań djakonek, z kapłanem prezbiterjańskim na czele, odwiedziło ją z zamiarem przemówienia jej do rozumu i wywarcia „zbawionego“ wpływu.

Zdążyli jednak tylko wyłuszczyć przyczynę wizyty. Temperament południowy, który Laura odziedziczyła po matce, wybuchnął nareszcie i członkowie „komitetu“, zanim zdążyli zdać sobie sprawę z tego co zaszło, znaleźli się na ulicy, przed domem, patrząc na siebie wzajemnie osłupiałym wzrokiem, zmieszani, oszołomieni gwałtownością wybuchu długo tłumionego wzburzenia i powstrzymywanego gniewu, który, niby istotna siła fizyczna, wymiółł ich z mieszkania młodej dziewczyny.

W tejże samej chwili Laura, która rzuciła się na łóżko płakała gwałtownie, tak, że łkanie wstrząsało jej postacią od stóp do głowy. Ale nie żałowała ani trochę tego,

co powiedziała i, zanim minął miesiąc, pożegnała Barrington na zawsze i wyruszyła do Chicago, gdzie miała odtąd zamieszkać.

Kupiono dom na brzegu północnym i postanowiono, że ciotka Wessels zamieszka ze swemi siostrzenicami. Przez czas urządzania domu, Laura i Page mieszkały w niewielkim pensjonacie w pobliżu. Zaproszenie Cresslerów do teatru przyszło niebardzo w porę, w największym rezerwachu przeprowadzki. Dziewczęta spędziły już jedną noc w nowej siedzibie i musiały się ubierać na widowisko w nieumeblowanych pokojach, wśród niesłychanych trudności. Tylko taka przynęta, jaką była opera włoska, wysłuchana w łoży, mogła zniewolić je do przyjęcia zaproszenia w takiej porze i w podobnych okolicznościach.

Nazajutrz po przedstawieniu, Laura obudziła się rano w łóżku — jedynym niemal w całym domu sprzętem, stojącym na właściwym miejscu, i wnet ogarnęła ją przynębiająca świadomość, że ją czeka dzień uciążliwej pracy. Deszcz padał jeszcze, pokój był zimny, ogrzewany narazie tylko piecykiem naftowym, a przez szpary okienic wewnętrznych, zamkniętych, z powodu braku rolet, przedostawała się smuga posępnego światła wilgotnego poranku, tak częstego w Chicago.

Nastrój zatem był dokoła bardzo ponury i Laura żałowała teraz, że nie pozostała przy pierwotnym zamiarze mieszkania w pensjonacie do czasu zupełnego urządzenia nowej siedziby. Ale zdarzyło się, że kończył się właśnie miesiąc ich pobytu w pensjonacie, uważała zatem, że, zamiast wynajmować pokoje na drugi miesiąc, lepiej, a przede wszystkim taniej, będzie przenieść się do własnego domu. Była to dla niej rzecz zupełnie nowa i wyobrażała sobie, że będzie można wprowadzić się i ustawić wszystko na miejscu w ciągu tygodnia.

Siedziała w łóżku skulona, drżąc z zimna i patrzyła na tualetę teatralną, którą, w braku ustawionej szafy, powiesiła na kurku od gazu. Od kuchni dobiegał głos świeżo najętej „dziewczyny“, która rozpałała ogień na śniadanie. W pokoju panował rozpaczliwy nieład. Skrzynie i pudła

zaścielały posadzkę, krzesła w pokrowcach stały spiętrzone jedne na drugich; w jednym rogu oparty był o ścianę zwinięty dywan, stos materaców zajmował róg drugi.

Laura, rozglądając się dokoła, uświadomiła sobie popełniony błąd.

— Dlaczego, ach dlaczego — szepnęła — nie pozostałyśmy w pensjonacie do czasu uporządkowania tego wszystkiego?

Z sąsiedniego pokoju dochodził odgłos kroków ciotki Wessels. Laura zwróciła się do Page, która spała jeszcze obok niej, z szyją okręconą pończochą, zabezpieczając się w ten sposób od przeziębienia.

— Page, Page! Obudź się, dziewczynko. Późno już, czeka nas moc roboty.

Page, obudzwszy się, przecierała oczy.

— Och, Lorciu, co za mróz! Zapalmy piecyk i pozostajmy w łóżku dopóki się pokój nie ogrzeje. Moja złota, czyś ty nie śpiąca?... Ach, jak cudownie było wczoraj wieczorem, prawda? Która z nas wstanie, żeby piecyk zapalić? Tymczasem połóż się siostrzyczko — prosila — oziebiasz łóżko.

W tej chwili weszła ciotka Wessels, już ubrana, i siostry jednym tchem zaczęły ją błagać, żeby zapaliła piecyk. Ciotka, czyniąc zadość ich żądaniu, zauważyła ze skwapliwością kobiety, przewidujące; trudności sposobu postępowania, do którego nie ma zaufania.

— Nie sądzę, żeby ta wynajęta dziewczyna co umiała. Powiada teraz, że nie potrafi napalić w piecu. Doprawdy Lauro, myślę, że ci się to dobrze uprzykrzy, zanim dojdiesz z tem wszystkim do ładu. A mówiłam ci od początku, że praktyczniej byłoby wynająć mieszkanie.

— Nie martw się, ciociu — uspokajała Laura. — Damy sobie radę. Już ja tu porządek zaprowadzę.

Była blisko dziesiąta, zanim minęło śniadanie. Jadły je na stole kuchennym, kuchennymi nożami i widelcami i omawiały plan kampanji.

— Landry Court nie ma zajęcia dzisiaj... powiedział mi dlaczego, ale zapomniałam... i zapewnił, że przyjdzie

nam pomóż — zauważyła Laura, a ciotka Wessels uśmiechnęła się znacząco.

Landry Court był zakochany po uszy w Laurze, a że nie robił z tego tajemnicy, nikt w domu o tem nie wątpił. Ciotka Wessels uważała, że to śmieszne i ilekroć wzmianowano o tej sprawie mówiła o Landrym „ten chłopiec“.

Page wszakże z całą powagą wywodziła, że to wszystko bardzo ładnie, ale Landry jest skromnym, ciężko pracującym młodzieńcem, który musi dobijać się stanowiska i nie ma czasu na stracenie; jeżeli zatem Laura mniema, że nic z tego nie będzie, nie należy go łudzić i trzymać przy sobie, bo to wcale nieładnie.

— Zdaje mi się — odpowiadała zazwyczaj Laura, patrząc znacząco na ciotkę — że nasza dziewczynka ma sama*oko na pewnego, ciężko pracującego, młodzieńca.

Ta odpowiedź niezmiernie rozdrażniała Page.

— Słuchaj, Lauro,—wołała zaperzona z roziskrzonymi oczyma i przyspieszonym oddechem—słuchaj, Lauro, to wcale nieprawda i ty wiesz, że ja tego nie lubię i mówisz tak tylko po to, żeby mnie rozgniewać. Nie chcę, żebyś opowiadała, że ja latam za jakimkolwiek mężczyzną albo zajmuję się jego miłosnemi sprawami. Zdaje mi się, że mam trochę szacunku dla siebie, co zaś do Landry'ego, jesteśmy tylko dobrymi przyjaciółmi; ja oceniam jego zdolności handlowe i jego zapobiegliwość a on poprostu szanuje mnie jako przyjaciółkę i tyle. „Oko na niego“, słyszał to kto! Jakgdybym jeszcze nigdy nie widziała mężczyzny!

Niebawem po śniadaniu Landry zjawił się istotnie.

— Załatwiłem już mnóstwo rzeczy — zwrócił się do Laury, która rozpakowywała szkło i drobiazgi, jakie Page podawała, wydobywając je z głębi skrzyni. — Dlatego się spóźniłem. Kazałem przysłać gazetę tutaj, telefonowałem do pensjonatu, żeby pod tym adresem przysyłali wszystkie listy, jakie dla pań nadejdą, zawiadomiłem też towarzystwo gazowe, żeby zaprowadzili połączenie.

— O, to dobrze — rzekła Laura.

— Tak, myślałem i o tem, poleciłem też, żeby codziennie przywozili lód i dałem znać do towarzystwa tele-

fonów, że pani chce, żeby wstawili telefon. A, i jeszcze wstąpiłem po drodze do młeczarni i kazałem, żeby tu przynosili mleko w butelkach... No, a teraz do czego zabierzemy się najpierw?

Zdjął kurtkę, zakasał rękawy od koszuli i zanurzył się w chaosie skrzyń i pudeł, które zapełniały pokoje i korytarze pierwszego piętra. Siostry słyszały jak zabrał się do dzieła potężnymi uderzeniami młotka kuchennego.

— Co zrobić z tą żardynierą?... Gdzie powiesić tę lampę? — wołał od czasu do czasu ze schodów.

Laura, odpakowawszy szkło, zeszła na dół i zabrała się z Landrym do zawieszania firanek w bawialni.

Landry spojrzał na górną część framug okiennych bystym wzrokiem.

— Rozumiem, rozumiem — odparł na objaśnienia Laury. — Rozumiem, A teraz, gdzie świder i drabinka? Potrzeba mi też trochę mosiężnych gwoździ, a posługacz musi mi oddać młotek.

Posłał kucharkę po świder, odwołał posługacza od pieca, huknął na wyższe piętro do Page z zapytaniem, gdzie są gwoździe mosiężne i wydelegował Laurę do trzymania drabinki.

— A teraz, Landry — dyrgowała Laura — tę pręty muszą być o trzy cale niżej od szczytu framugi.

— Dobrze — odparł, wchodząc na drabinę; — znaczą miejsce świdrem, a pani mi powie, czy tak dobrze. Cofnęła się, przechylając głowę w bok.

— Nie; wyżej, Landry. Trochę więcej w górę... albo nieco niżej... tak. Teraz doskonale. Proszę zejść i dopomóż mi do wkręcania haków.

Ułożyli na ziemi stos poduszek, usiedli przy sobie i zabrali się do roboty. Ręce jego dotykały mimowoli jej dłoni, a głowy ich stykały się co chwila. Page i pani Wessels rozpakowywały bieliznę na górze. Kucharka i posługacz, z wielkim hałasem i brzękiem żelaznych sprzętów, porządkowali kuchnię.

— Będziecie miały bardzo ładne mieszkanie, — zauważył Landry.

Myślał o zdaniu, którem mógłby się oświadczyć, gdy

nadarzy się sposobność. Oczy Laury i jej dar odczuwania rozumieją go. Ona tę myśl odgadnie i odczuje, jakiej doniosłej jest dla niego wagi. Landry tak rozumiał zabieganie o wzajemność w miłości.

Poprzedniego wieczora ten wygadany artysta zmonopolizował Laurę zupełnie. Teraz zaś przyszła kolej na niego i ten dzień, poświęcony załatwianiu spraw domowych, wydał mu się nieskończenie pożądanym od pompy i etykiety fraka i łoża operowej. Tego ranka stosunek między nim a Laurą był czarujący, poufny, pozbawiony wszelkiej sztywności towarzyskiej i nastęrczający mnóstwo sposobności. Nigdy jeszcze nie wydawała mu się ładniejsza. Ubrana była w różowy flanelowy szlafroczek z długimi rękawami, włosy, skrecone niedbale w wielki węzeł, układały się w artystycznym nieładzie i spadały drobnymi loczkami na policzki i uszy.

— Nie mogłem słowa przemówić do pani wczoraj wieczór — dodał po chwili z wyrzutem.

— Nie starał się pan o to.

— Bo to była kolej tamtego — mówił dalej. — A jak często pozwoli mi pani przychodzić, gdy już wszystko będzie urządzone? Dwa.. trzy razy na tydzień?

— Jakgdyby pan pragnął mnie widywać tak często.. Zresztą ja już zaczynam być starą panną, a ty, panie Landry, nie możesz tracić czasu na bywanie u starych panien.

Zaprotestował gorąco. Zapewniał, że jest młodemi dziewczętami znudzony. Dobre są do tańca, ale gdy mężczyzna staje się już za stary do takich rozrywek, potrzeba mu kogoś rozsądnego do rozmowy. Tak, naprawdę. Kogoś rozsądnego. Woli rozmawiać pięć minut z nią...

— Landry, nie blagujesz? — zapytała, jakgdyby powiedział rzecz nie do wiary podobną.

Zaklinał się, że mówi szczerą prawdę. Łypał oczami, uderzał pięścią w dłoń.

— Z taką starą panną, jak ja? — powtórzyła Laura.

— Zkąd stara panna! Jaka stara panna! — wołał. — Panno Lauro, przecież ty mnie rozumiesz... Gdy patrzę prosto w twoje oczy...

Kucharka stanęła we drzwiach, oznajmiając, że czło-

wiek przyniósł węgle i wręczyła Laurze kwit do podpisania. Potem Laura musiała pójść zobaczyć, czy półki w kuchni należycie dopasowane i przybite, a gdy odeszła, zjawił się pracownik towarzystwa gazowego, żeby otworzyć gazomierz i Landry musiał go dopilnować. Minęło pół godziny zanim zdołali ponownie usadowić się na poduszkach w bawialni.

— Tyle jest jeszcze rzeczy do zrobienia — odezwała się Laura. — Bez pańskiej pomocy, nie wiem cobyśmy poczęły. Landry, to bardzo zacnie z twojej strony, żeś przyszedł.

— Jabym dla pani zrobił wszystko na świecie... — zawołał, zachęcony jej słowami — wszystko... Lauro, ty wiesz, że to nie frazes. Nietylko dlatego, że chcę, żebyś mnie pokochała... a Bóg jedyny wie, jak gorąco tego pragnę.. ale i dlatego, że nad życie lubię być przy tobie i dopomagać ci... Dzięki temu wszystkiemu—objął ruchem ręki cały chaos dookoła — dzisiaj, — oświadczył z uroczystą powagą — mam wrażenie, że wchodzę w twoje życie. I chcę, żebyś wiedziała, iż, siedząc tak przy tobie i wbijając te haki do firanek, doznaję wzniosłych wrażeń; tak, to podnosi mego ducha. Panno Lauro, ty nie wiesz, jakie uczucie ogarnia mężczyznę w towarzystwie dobrej i pięknej kobiety.

— Jakgdybym ja była ładna i piękna!... Landry, proszę tu wbić jeszcze jeden hak.

Podsunęła mu fałdę firanki, ale on pochwycił jej dłoń i poniósł ją do ust. Nie cofnęła dłoni, nie zgromiła go, zawołała natomiast, jakgdyby zajęta zupełnie czem innym:

— Landry, mój chłopcze, ostrożnie, ukłójesz mnie w palce. Ach! widzisz, jużes ukłół.

Pełen współczucia i skruchy odwrócił jej dłoń, szukając zadraśnięcia.

— Boli.. — szepnęła.

— Gdzie?.. gdzie?.. — zawołał. — A to bydlę ze mnie... jestem niepokieszony....

Wskazała plamkę na kostce, zamiast na palcach, a Landry, oczywiście, na plamce tej złożył pocałunek.

— Co za szaleństwo!.. — łajęła. — Przecież jestem taka stara, że mogłabym być...

— Nie taka stara jednak, żeby nie módz zostać moją żoną — oświadczył.

— Głupi jesteś, mój Landry, zupełnie głupiutki!.. — odparła. — Może mi oddasz moją rękę?

— Ani myślę! — zawołał mocniejszym uściskiem obejmując jej palce. — Nie zwrócę jej, dopóki nie powiem... albo dopóki ty, panno Lauro, nie powiesz, że nadejdzie dzień.. kiedy mi ją oddasz na własność.. na dolę i niedolę.

— Mówisz, jakgdybyś chciał tego na serjo — rzekła, przedłużając chętnie sytuację.

Miała była Laurze świadomość, że ten wrażliwy młody chłopiec jest taki w niej zakochany; miłe przeświadczenie, że dotknięcie jej ręki, a nawet drżenie jej powiek porusza go do głębi.

— Jakgdybym chciał na serjo! — zawołał. — Panno Lauro, ty wcale nie wiesz, jak gorąco ja chcę! Ależ... ależ... ja o niczem innem nie mogę myśleć!

— Doprawdy? — drwiła — Ilu pannom powiedziałaś to już dotychczas?

Landry zacisnął usta.

— Panno Dearborn, to obelga!

— Ach, Boże! — zawołała Laura, wycofując nareszcie dłoń z jego uścisku.

— A teraz pani ze mnie drwi. To niepoczewie... to bardzo niepoczewie.

— Nie odpowiedziałam jeszcze na pańskie pytanie — zauważyła Laura.

— Na jakie pytanie?

— Pytał pan przecież, kiedy pan może przychodzić, gdy mieszkanie będzie urządzone. Zdawało mi się, że pan chciał wiedzieć...

— A co będzie z drugim śniadaniem? — spytała Page, stając we drzwiach. — Czy wiecie, że to już po dwunastej?

— Służąca musi coś mieć dla nas — odparła Laura. — Mówiłam jej, żeby coś przygotowała naprędce... kawę

— Wtedy już ja dawno żyć nie będę... to jedyna pociecha — odparła.

— Corthell ma pełno szalonych pomysłów, — mówił dalej Landry, podając jej książki. — Niezły to człowiek i lubię go nawet, ale należy do tych ludzi, którzy zdobywają opinię mądrych i posiadających zmysł artystyczny, dzięki temu, że napadają na to, co się wszystkim podoba, a wychwalając pod niebiosa książkę czy obraz lub sztukę teatralną, o której nikt nic nie słyszał. Gdy cokolwiek stanie się popularne, Sheldon Corthell odrazu nie może o tem mówić bez wstrętu. Ale idzie do pierwszego lepszego sklepu antykarskiego na Archer Avenue, wydobywa tam z rupieci starą patelnię mosiężną albo imbryk do kawy, przyniesiony na sprzedaż przez obdartego żyda rosyjskiego, ustawia ten „zabytek“ w swoim gabinecie i prawi każdemu o „dekadencji amerykańskiego przemysłu artystycznego“. Słyszałem go nieraz. Ale on tylko tak pozuje!.. to jedynie poza.

Półka tymczasem zapełniła się.

— Już dosyć, Landry. Tu już nic więcej się nie zmieści.

Zabierała się do zejścia z drabiny.

— Ostrożnie — upominał Landry, — proszę mi podać rękę.

Wyciągnęła dłoń, a gdy schodziła Landry, nawpół świadomie, objął jej kibić. Zdumiał się własną śmiałością, albowiem nie uczynił tego z premedytacją — ramię jego spoczęło na jej kibici, zanim zdążył zdać sobie sprawę z tego co czyni. I nagle ogarnęła go lekka obawa. Jak Laura to przyjmie? Czy nie posunął się zadaleko?

Ale zdawało się, że Laura wcale tego nie zauważyła, cała jej uwaga skupiona była pozornie na to, żeby dostać się bez szwanku na ziemię. Zeszła i otrząsnęła spódnice.

— No, — rzekła — skończyliśmy. — Proszę spojrzeć... jestem cała zakurzona.

Wtem odezwało się pukanie do uchylonych drzwi i weszła kucharka.

— Co będzie na kolację, panno Dearborn?—spytała. — Nic w domu niema.

— O, Boże! — zawołała Laura z zakłopotaniem. — Nie pomyślałam wcale o kolacji. Czy naprawdę w domu nic niema?

— Nic, prócz kilku jajek i kawy,—odparła kucharka obojętnie, jakgdyby ta cała sprawa była jej zupełnie obca i wcale jej nie dotyczyła.

Laura odprawiła ją, mówiąc, że się jeszcze namyśli.

— Będziemy musieli wyjść i coś kupić — rzekła. — Pójdziemy wszyscy. Znudziło mnie już to siedzenie w domu.

— Nie, ja mam plan lepszy—oświadczył Landry.— Zapraszam was wszystkie na obiad. Znam restaurację, gdzie można dostać najlepszy stek w Ameryce. Deszcz ustał. Proszę spojrzeć.

Wskazał okno.

— Ale jesteście takie brudne i pomęczone.

— Pójdziemy zaraz. Jest jeszcze wczesnie, nie zastaniemy zatem nikogo i będziemy mogli dostać osobny pokój. Niech mi pani nie odmawia... bardzo proszę.

— Zobaczymy, co powie Page i ciotka Wessels. Ciotka, oczywiście, musi pójść z nami.

— Ależ naturalnie, — odrzekł. — Nie wpadłoby mi do głowy prosić panie bez ciotki.

W kilka chwil później obie siostry, pani Wessels i Landry wychodzili z domu, ale, zanim weszli do samochodu, przeszli na drugą stronę ulicy, Laura bowiem oznajmiła, że chce zobaczyć jak od zewnątrz wyglądają firanki bawialni.

— Zdaje mi się, że dosyć wysoko założone — rzekła. Landry wszakże oglądał sam dom.

— Najładniejszy dom dokoła — rzekł.

W istocie dom nie był pozbawiony pewnej malowniczości. Zbudowany z materiału mocnego, mury miał grubo, fundamenty ciężkie. Architektura zatracąca o gotyk, zwłaszcza w drzwiach i oknach. Z trzech stron otaczały kamienicę szerokie trawniki, co jej nadawało pozór wytworności i wyłączności. Latorośl winna pięła się gęsto

wzdłuż południowej ściany; latem fuksję, pelargonje i bratki kwitły na rabatach przed wejściem frontowem. Na trawnikach po bokach wznosiły się kępy drzew, tak, że cała siedziba wydawała się miłą oazą wśród domów z żółtego miczigańskiego piaskowca, ciągnących się dokoła we wszystkich kierunkach nieskończonym szeregiem.

— Podoba mi się tutaj — zawołała Laura. — Sądzę, że dom nasz należy do ładniejszych w Chicago.

— A przedewszystkiem nie wygląda, jak dom świeżo zubożonych dorobkiewiczów, nie uderza popospolitą okazyłością.

Ciotka Wessels wszakże nie była zadowolona.

— Ciekawam, Lauro, — zauważyła — jak zdołamy ogrzać ten cały dom jednym piecem. Przyznam się, że ja nie mam pojęcia.

Samochód — a raczej pociąg samochodowy, złożony z trzech wozów, na sposób czikagoski — zajechał i Landry towarzyszył paniom do miasta. Przez całą drogę Laura nie mogła się powstrzymać od wyglądania przez okna, przypatrując się z zaciekawieniem życiu ulicznemu i samym ulicom.

— Zdradzasz się — zauważyła Page. — Każdy od razu pozna, że jesteś z prowincji.

— To i cóż? — odparła Laura. — Jestem z prowincji i wcale się tego nie wstydzę.

Chicago, wielkie szare miasto, zajmowało ją w każdej chwili i pod każdym względem. Na razie nie wiedziała jeszcze czy jej się podoba; nie mogła wybaczyć brudnych ulic, niektórych ubogich zaułków, które rozpościerały się niby rakowate narośle w samym środowisku wytwornych, bogatych dzielnic. Czarne kominy, które zamykały każdą perspektywę ulic handlowych i sadze, co plamiły suknię i rękawiczki, przejmowały Laurę smutkiem i wstrętem.

Życie wszakże było imponującym tętnem. Dokoła, z każdej strony, w każdym kierunku, olbrzymia machina pracy zgrzytała i grzmiała od świtu do zmroku i od zmroku do świtu. Nawet teraz, niesiona samochodem w środowisko dzielnicy handlowej, Laura słyszała, widziała i czuła w każdym nerwie drganie ruchu tej potężnej maszyny.

Poczerwiałe wody rzeki, widziane przez chwilę, gdy samochód toczył się przez most na State Street, znikwały pod flotą łódek, parowców jeziorowych, statków z Sheboyganu i Mackinacu, łodzi z Duluthu, naładowanych zbożem, lub wiozących węgiel, który przesycił powietrze nieuchwytnym pyłem, skunerów, przepełnionych produktami, niechlujnych wiosłówek, przyczepionych do przodu większych statków, zaś ze wszystkich stron garbatę, czerwone budowle elewatorów zbożowych zamykały widnokrąg.

Zanim wjechali na most północnego wybrzeża rzeki, przed oczami Laury przesunęła się wielka stacja krańcowa kolei żelaznej. Rozpościerała się na znacznej przestrzeni nieprzejrzaną siecią krzyżujących się we wszystkich kierunkach torów. Tu i owdzie wznosiły się semafony i słupy sygnałowe. Kilkanaście pociągów towarowych i pasażerskich dyszało ciężko, czekając na rozkaz odjazdu. Odłączone lokomotywy wpadały do szop i wylatywały z nich, w poszukiwaniu swoich pociągów, lub też dostawiały wagony towarowe, które zczepiano w jeden szereg, a łoskot kół i świst wypuszczanej pary przepełniały powietrze piekielnym wrzaskiem.

Mężczyźni w czapkach krzyczeli ochryłym głosem, wymachując rękami lub wywijając czerwonymi chorągiewkami; wozy, zaprzężone w rosłe, silne konie, żrące obrok z worków do pyska przywiązanych, stały tyłem do otwartych wagonów, z których ładowano na nie ciężary. Pociąg odjeżdżał z hukiem. Zanim uderzy północ będzie daleko, pędząc linią Północną-Zachodnią i wioząc towar—krew życiodajną narodów — do miejscowości, o których Laura nigdy nie słyszała.

Inny pociąg, zadyszany, jakby wydający ostatnie tchnienie z wyczerpania, rozwrzeszczany wszystkimi świstawkami, buchający kłębamii pary i dymu, nadjeżdżał, stanął i wyrzucił falę pasażerów — przemysłowców, przedsiębiorców i kupców, którzy z różnych zakątków i krańców kontynentu przywozili odżywczy eliksir — umowy handlowe.

Albo znów ulica South Water; cały oddział wagonów

i wozów targowych, ustawionych tyłem do drzwi wagonowych i pozostawiających tylko wąskie kręte ścieżki między, ciągnącemi się bez końca, szeregami koni, niby w obozie kawalerji. Najróżnorodniejsza „ogrodowizna“, warzywa i owoce, w niezliczonych koszykach, skrzynkach, pudełkach i workach, rozpostarły się na chodnikach po obu stronach ulicy. Ścieżki zasłane były zwiędłemi liśćmi kapusty, i zgniłemi pomarańczami. Mdlawa woń zepsutych jarzyn przepełniała powietrze. Płodne łono matki-ziemi opróżniało się, zaścielając owocami swemi asfalt i płyty kamienne dzielnicy.

Tu była żarłoczna paszcza miasta, która pochłaniała środki odżywcze, sprowadzane ze wszystkich stron olbrzymiego obszaru, dla nakarmienia potwornego olbrzyma.

Laura uświadomiła sobie całą doniosłość, całe znaczenie tego, co widziała przed sobą. Wielkie szare miasto, nie obawiając się żadnego współzawodnika, narzucało zwierzchnictwo swoje obszarowi większemu niż niejedno królestwo starego świata. Wpływy tego potwora odczuwano na przestrzeni tysięcy wiorst po za jego granicami.

W odległej dali, śród śniegów i mroków lasów północnego Wisconsinu, wgrzyzały się w korę drzew kilkowiekowych siekiery i piły, poruszane siłą rozędu miasta. W równej odległości na południu kilofy i wiertaki, tą samą mocą w ruch wprowadzone, rozsadzały żyły antracytu. A siła ta również poruszała koła żniwiarki i siewnika w oddalonych o tysiące wiorst Jowie i Kansasie, za jej sprawą śruby niezliczonych parowców żłobiły bruzdy na wodach Sault Sainte Marie.

Dla niej i przez nią wszystkie Stany środkowe, cały wielki północny zachód wrzał handlem i przemysłem; zgrzytały tartaki, płonęły i huczały fabryki, rzucając w niebo czarne słupy dymu; wirowały koła, tłoki wskakiwały do swoich cylindrów, zęby w kołach zaczepiały się o zęby, do rynien chłodzących wpadały z sykiem strumienie roztopionej stali.

Tu rządziła władza despotyczna, — ujarzmiła, bez oporu, cały świat jezior i prerji. Tutaj, w samym środku kraju, biło serce narodu, z którego wypływać musiała jego

bezbrzeżna potęga, niezmierna, niewyczerpana jego żywotność.

Tutaj, ze wszystkich jej miast, pulsowało najprawdziwsze życie, tu ujawniała się prawdziwa potęga i prawdziwy duch Ameryki; olbrzymiej, brutalnej brutalnością młodości, pogardzającej współzawodnictwem; zdrowej i silnej; niepowstrzymanej w swej ambicji, wyzywającej w świadomości swej olbrzymiej potęgi, niewyczerpanej w swych bogactwach, nieograniczonej w swych pożądaniach. Niepowstrzymanej w pracy, niepokonanej w odwadze; ujarzmiającej dzikość odrazu w jednym pokoleniu, lekceważącej klęskę i, po przez płomień i gruzy kraju w popiołach, powstającej ponownie w postaci odrodzonej, potężnej, tytanicznej.

Laura, ogłuszona hukiem i wrzawą, oślepią blaskiem, przyglądała się z natężoną uwagą.

— Jest w tem wszystkim coś straszego — szepnęła, jakby do siebie — coś obłądnego. Chwilami nawet coś nieludzkiego. To niby wielka fala, zalewająca wszystko dokoła. Dobrze jeżeli jednostka może utrzymać się na powierzchni i płynąć z prądem, ale jeżeli raz upadnie, jakże straszliwie szybko pójdzie na dno i zostanie unicestwiona.. jak rozpaczliwie szybko i z jaką okrutną obojętnością!

Długo nie mogła się otrząsnąć z tego przygnębiającego wrażenia i nawet wesoły nastrój podczas kolacji nie zdołał dręczących refleksji rozproszyć. Ogarnęła ją lekka obawa — strach przed olbrzymią, okrutną maszyną życia wielkowiejskiego i przed ludźmi, którzy tę maszynę w ruch puszczają i ujarzmiają. A ludzie ci wydali jej się nawet straszniejsi niż miasto samo — ci ludzie, dla których cały ten zamęt współzawodnictwa, targów i podstępów nie miał grozy, którzy nie znali lęku wobec tych zapasów na śmierć i życie. Czyż ci, którzy maszynę tę umieją nagiąć do swoich celów, nie muszą być straszniejsi, bezwzględniejsi brutalniejsi — niż ona?

W duszy młodej dziewczyny wezbrała nowa fala obawy. Zresztą co kobiety wiedzą o trybie życia mężczyzn? Ot i Landry, taki młody, taki wesoły, taki pozornie niewinny — wiedziała, że cieszy się opinią dobrego businessma-

na. I on także zatem ma swoją odwrotną stronę. Dla niego ta Bitwa Uliczna jest podniecającą rozrywką. Pod jego chłopięcą powierzchownością ukrywa się szorstkość, męska śmiałość i hart, który wytrzyma cios, odeprze napaść.

Ach, ci mężczyźni z miasta, co kobiety wiedzą o nich, o tem ich drugim życiu, które—wolni od wpływu żony lub matki, córki czy siostry, prowadzą codziennie od dziewiątej rano do wieczora? Jestto życie, w którem kobiety nie mają udziału, a gdyby w to życie weszły, nie poznałyby syna, ani męża, brata ani ojca. Człowiek, o wytwornem obejściu, czystem sumieniu i czystych rękach, zasiadający z niemi do śniadania lub kolacji, to jeden mężczyzna a drugi... Taki inny... A kto i kim on jest? Tam, w bagnie dzielnicy handlowej, został przekształcony w wiecznie szalejącej Bitwie Ulicznej — i stał się twardy, nieugięty, bezbrzeżnie samolubny, nie proszący o względy i nie znający ich dla innych. Pochwycony w szpony napaści, splugawiony kulakami ordynarnych współników i ciemnych sprzymierzeńców, kroczy ku zwycięstwu w szeregach armji, wiecznie idącej naprzód i wiecznie się cofającej, armji, która raz w bezlitośnym ataku depce nieprzyjaciela, to znów w odwrocie, równie nielitościwa, trąca wczorajszych sojuszników, w panicznej ucieczce szukając ratunku; zawsze okrutna, zawsze samolubna, zawsze nie znająca miłosierdzia.

Porównanie tych mężczyzn z Corthell'em było nieuniknione. Laura знаła go, jako człowieka dla którego dzielnica handlowa była obcą dziedziną, miał ręce niesplamione, nogi niezbrukane. Spędzał życie łagodnie, w spokojnej, cichej atmosferze sztuki, w kulcie dla piękna, zrównoważony, spokojny, malując, czytając lub wykończając swe piękne witraże. Jego kobiety mogłyby znać, z nim mogłyby sympatyzować. A on mógłby wejść całkowicie w ich życie, mógłby im dopomagać i być im bodźcem. Jakież życie wolałaby — businessmana czy artysty?

Nagle Laura zastanowiła się. Ostatecznie przecież i ona jest córką pogranicza a krew tych, którzy tworzą nowy świat, płynie w jej żyłach. Tak, życie Corthell'a jest

pięknie; powab zamglonych, malowanych witraży, urok przyćmionych pracowni malarskich, panującej w nich harmonji barw, ich oryentalizmu jest silny. To wszystko, niewątpliwie, ma rację bytu. Czarowało ją zawsze, wbrew jej woli. Życie w otoczeniu bezwzględnej piękna jest rozkoszą — daje wypoczynek umysłowi a zmysłom ukojenia.

Ale nie do mężczyzny z pracowni malarskiej tęskniła jej istota kobieca. Jakkolwiek ohydna jest Bitwa Ulicy niemniej jednak to walka. Tylko silny i odważny może ją podjąć, a postać, do której zwracała się wyobraźnia i sympatje Laury nie była postacią artysty, c miękkiej dłoni i mowie łagodnej, dźwięcznej, barwnej, o wytwornem obejściu, artysty wrażliwego, pełnego temperamentu; postać to była bojownika, niewiadomego i nieznanego kobiecom; surowego, potężnego, nieubłaganego, zakutego w pancerz wojenny, walczącego przy odgłosie trąb i staczającego zacięty bój, wśród rozdzierających okrzyków przywódców.

Niedługo siedzieli przy stole, a gdy zabierali się do wyjścia, było około szóstej. Wyszędłszy na ulicę przekonali się, że pogoda ponownie uległa nagłej zmianie — padał teraz śnieg obfity. Ostry wicher, idący od jeziora, hulał znów po ulicach. Błoto i stopniały śnieg zamarzały ponownie, a północną stronę każdego słupa latarnianego i telegraficznego pokryła warstwa lodu.

Na domiar złego okazało się, że wagony linji tramwajowej, prowadzącej do dzielnicy, w której panny Dearborn mieszkały, były przepełnione.

— Niema innej rady — oświadczył Landry — tylko trzeba iść aż na ulicę Clarke, a jeśli tam dostaniecie się panie do tramwaju, co jest wątpliwe o tej porze dnia, to i tak będziecie musiały stać przez całą drogę.

Przystanęli na rogu, niepewni co dalej począć. Znajdowali się teraz w środowisku dzielnicy handlu detalicznego. Tuż obok nich wznosił się olbrzymi gmach, zbudowany w starym stylu z „żelaznym frontem“; w setkach okien wystawowych widniały stosy materiałów i tkanin, mebli i przeróżnych sprzętów, niby kalejdoskop, migocący w oślepiającym blasku niezliczonych światel.

Z każdych drzwi, wychodzących na ulicę, wypływała fala kupujących, przeważnie kobiet, wytwornie ubranych, albowiem nagromadzone towary przeznaczone były dla bogatej klienteli. Panie te przystawały przez chwilę w progu, podnosiły kołnierze fokowych futer, wtulały dłonie w muffki i szukały wzrokiem wzdłuż ulicy swoich karetok lub samochodów.

Naraz jedna z pań, spostrzegłszy Laurę, zaczęła jej dawać znaki muffką i pośpieszyła ku niej. Była to pani Cressler.

— Lauro najdroższa! Ty tutaj?.. Jakże się cieszę z tego spotkania!

Pocałowała Laurę w policzek, przywitała resztę towarzystwa uściskiem dłoni i zaczęła rozpytywać o nową siedzibę sióstr. Czy im czego brak? Czy może w czym dopomóc? Poczem, przerywając zniecierpliwione pytania, położyła dłoń na ramieniu Laury i rzekła:

— Mam ci jeszcze coś powiedzieć.

Zacisnęła usta i odsunęła się od młodej dziewczyny, wpatrując się w nią wymownym spojrzeniem.

— Mnie?.. coś powiedzieć?

— Dokąd idziecie teraz?

— Do domu; ale nie możemy się dostać do naszego tramwaju. Musimy iść do...

— Nie pójdziecie nigdzie, tylko ty, Page i pani Wes-sels pojedziecie ze mną do domu na obiad.

— Ale myśmy już jadły obiad — zawołały wszystkie jednocześnie.

Page zaczęła objaśniać sytuację, ale pani Cressler nie myślała ustąpić.

— Moja karetka czeka — oświadczyła. — Nie wstępuję dziś po Karola, bo ma jakiegoś pana z Cincinnati i pójdą razem na obiad do klubu Calumet.

Skończyło się na tem, że siostry wraz z ciotką wsiały do karety pani Cressler, a Landry oświadczył, że wie, iż panie mają go dosyć na jeden dzień i pożegnał się.

To, co pani Cressler miała do powiedzenia Laurze, było widocznie przeznaczone dla niej samej tylko. Gdy

kareta zajechała przed dom panien Dearborn, pani Cressler posłała lokaja, żeby powiedział służącej, że panie nie wrócą na noc, tylko dopiero nazajutrz rano, po pierwszym śniadaniu. Cresslerowie mieszkali bardzo blisko, na tej samej ulicy.

Przybywszy z gośćmi do domu, pani Cressler zaproponowała gorącą herbatę i sandwicze, ale siostry i ciotka były takie zmęczone, że oświadczyły, iż pragną jaknajprędzej dostać się do łóżka. Wskazała im zatem gościnne pokoje. Page i pani Wessels oznajmiły, że będą spały razem, a skoro tylko drzwi zamknęły się za nimi i pozostały same, młoda dziewczyna wybuchnęła.

— Laura uważa, że to w porządku włóczyć się tak po nocy i zostawiać dom na opiece dwojga sług, o których nikt nie wie. Jakgdyby jutro rano nie było nic do roboty! Nie mam pojęcia jak my sobie z tem wszystkim damy radę!.. nie skończymy nigdy urządzić tego naszego domu!.. Ten cały Landry Court to większa przeszkoda niż pomoc... Widziałaś przecież, ciociu... co on sobie myśli?... Lata po pokojach, jakgdyby on wszystko robił i tylko wprowadza zamieszanie... gubi rzeczy, stawia meble na niewłaściwym miejscu, zapomina, gdzie co położył, a potem rozsiada się z Laurą i prawi jej androny, a ona słucha. Nie widziałam nigdy nic podobnego. Najpierw Corthell, a potem Landry, a za parę dni będzie znów ktoś inny. Laura doprowadza mnie stale do rozpaczki! Żeby też taka duża, dorosła dziewczyna ciągle flirtowała i pozwalała każdemu mężczyźnie, który się do niej zbliży, przypuszczać, że on jest ten jedyny na całym świecie. To wprost nieprzyzwolicie. A ten Landry... jakgdyby nie wiedział, że mamy teraz co innego do roboty, a nie ciągle baraszkować... Mogłabym go bić,.. Lubię, żeby mężczyzna brał życie poważnie i usiłował dojść do czegoś, nie zaś marnował najlepsze lata na uganianiu się za kobietami starszemi, które mogłyby być jego babkami i ani myślą wyjść za niego.

Laura była na wpół rozebrana, gdy pani Cressler zapukała do jej pokoju.

— Przyniosłam ci szlafroczek — rzekła, wchodząc.

Powiesiła go na poręczy w nogach łóżka, usiadła na niem i wpatrywała się w Laure, która stała przed dużym zwierciadłem, mając głowę spuszczoną, a ręce zajęte odpinaniem warkoczy. Od czasu do czasu rozlegał się dźwięk szpilki, rzuconej na srebrną tackę, którą miała pod ręką. Po chwili podniosła podbródek, potrząsnęła głową i grube warkocze opadły swobodnie poniżej pasa.

— Jakie ty masz śliczne włosy, dziecko — szepnęła pani Cressler.

Sposobiła się do długiej rozmowy ze swoją faworytką, ale teraz, skoro miały całą noc przed sobą, nic nie nagliło. Rozmowa zaczęła się powoli, oderwanymi zdaniami i uwagami, niekoniecznie wymagającymi odpowiedzi — były to poprostu początki rozmowy, której jakby nie pragnęły obie przedłużyć.

— Mówiono mi, — odezwała się pani Cressler, — że mała Gretry pali co wieczór dziesięć papierosów przed pójściem spać. Znasz Gretrych... byli wczoraj w operze.

Z ust Laury wybiegł jakiś nieokreślony szept zainteresowania. Z głową przechyloną w bok przesuwała wolno, miarowo szczotkę po długiej, gęstej fali niezwykle bujnych włosów. Pani Cressler przypatrywała jej się bacznie.

— Dlaczego nie upinasz włosów modnie, Lauro? — zauważyła — niżej na karku.. widzę, że wszystkie panie tak się teraz czeszą.

— Jaki to ładny pokój — rzekła Laura. — Myślę, że i nasz pokój gościnny urządzię w tym samym rodzaju... na białe ze złotem.. Dlaczego nie upinam modnie włosów? O, nie wiem... Jak spadają tak nisko, zaczepiają się o kołnierzyk, a nadto sędzę, że moja głowa wydawałaby się za płaska.

Zapadło milczenie. Laura miarowemi ruchami rąk splotła wszystkie włosy w jeden warkocz i przerzuciła go na plecy, poczem zdjęła spódnicę, a pani Cressler podała jej szlafroczek i przyniosła z gotowalni czerwone atlasowe watawone pantofelki.

Ogień na kominku syczał głośno. Laura przysunęła fotel, usiadła wprost ognia i oparła podbródek na dłoni.

Pani Cressler wyciągnęła się na łóżku i podłożyła rękę pod głowę.

— Słuchaj, Lauro, — zaczęła nareszcie — mam ważną nowinę dla ciebie. Moja droga, zdaje mi się, że zrobiłaś wielką konkietę!

— Ja! — szepnęła Laura, rozglądając się dokoła. Udawała zdziwienie, jakkolwiek odgadła odrazu, że pani Cressler ma na myśli Corthell'a.

— Podbiłaś pana Jadwina... był z nami na operze.

Laura, zupełnie zaskoczona, wyprostowała się i skierowała na mówiącą szeroko otwarte oczy.

— Pana Jadwina! — zawołała. — Ależ nie rozmawialiśmy ze sobą nawet pięciu minut. Przecież ja go prawie nie znam. Widziałam go pierwszy raz wczoraj wieczór.

Ale pani Cressler potrząsnęła głową, zamykając oczy i zaciskając usta.

— To nic nie stanowi, Lauro — odezwała się po chwili. — Jak ja mówię, że młoda dziewczyna wpadła w oko mężczyźnie, to możesz mi wierzyć. Ja się znam na tem. Moja droga, możesz go o palec owinąć, jeśli zechcesz.

— O, jestem pewna, że się pani myli.

— Bynajmniej. Znam Curtisa Jadwina od lat piętnastu; to jeden z naszych najdawniejszych przyjaciół. Czytam w jego myślach, jak w książce, i mówię ci, że ten człowiek jest w tobie rozkochany.

— Mam nadzieję, że pani tego nie powiedział, — zawołała Laura, zdecydowana okazać królewski gniew, gdyby tak było istotnie.

Pani Cressler pośpieszyła ją uspokoić.

— Naturalnie, że nie. Ale przez całą drogę wczoraj wieczorem.. pojechał z nami do domu, jak wiesz... mówił o tobie, a skoro tylko rozmowa skierowała się na jaki inny temat nie brał w niej udziału. Dopytywał o różne szczegóły dotyczące ciebie, chciał wszystko wiedzieć i powiedział, że jesteś rozumniejsza i inteligentniejsza od wszystkich pańien, jakie zna.

Laura machnęła ręką pogardliwie, jakgdyby chcąc powiedzieć, że nie przywiązuje do tego wielkiej wagi.

— I że jesteś wprost śliczna. Powiedział, że nie pa-

mięta, żeby kiedykolwiek widział piękniejszą od ciebie kobietę.

Laura odwróciła głowę, osłaniając dłonią policzek. Nie odpowiedziała narazie, poczem, po chwili, spytała:

— Czy on... ten pan Jadwin był... kiedy żonaty?

— Nie, nie. To kawaler i bogaty! Mógłby nas kupić i sprzedać. A nie myśl, droga Lauro, że wysnuwam wnioski na wiatr. Sądzę, iż mam dosyć doświadczenia światowego, żeby wiedzieć, że mężczyzna, któremu spodoba się ładna twarzyczka i dowcipna rozmowa, zechce odrazu zgiąć kark pod jarzmo małżeńskie. Moje domysły polegają nietyle na tem, co powiedział, ile na ten, czego nie mówił. Odczuwałam wprost co myślał. Lauro, mówię ci, był zupełnie wzięty. A Karol powiedział mi, że Jadwin dzisiaj rano przy śniadaniu znów mówił o tobie.

Laura podwinęła nogę pod siebie i siedziała wpatrzona w ogień. Przez długą chwilę milczały obie. Niewielki zegar z brązu i czarnego marmuru wydzwonił pół do dziewiątej. Pani Cressler zauważyła:

— Ten Sheldon Corthell wydaje się bardzo miły, nieprawda?

— Tak, — odparła Laura w zamyśleniu — jest miły.

— I utalentowany — mówiła dalej pani Cressler. — Ale zdaje mi się, że on świata poza tobą nie widzi, co?

Laura wzruszyła ramionami w milczeniu.

— Karol nie może go znieść; jakie ci mężczyźni mają dziwaczne uprzedzenia, nieprawda? Mówi o nim zawsze, jakgdyby był tylko wyższym gatunkiem szklarza. Curtis Jadwin lubi go, zdaje się... A co myślisz o nim... o panu Jadwinie, Lauro?

— Nie wiem — odparła, nie odwracając wzroku od ognia. — Myślę, że to człowiek mocny... moralnie, oczywiście i że... mógłby być dobry i... szczodry. Wydaje mi się, że nie jest to rodzaj mężczyzny, do którego kobiety lgną odrazu... ale nie wiem... Przecież zaledwie go znam.

— Tem lepiej. Która z nas chciałaby mieć za męża mężczyznę, za którym uganiają się kobiety? Ja napewno nie. Powiem ci tylko, Lauro, a jak będziesz w moim wieku przekonasz się, że to prawda: mężczyzna, którego lu-

bią mężczyźni, nie kobiety, bywa zawsze najlepszym mężem.

Laura skinęła głową..

— Tak, — odparła od niechcienia. — Zdaje mi się, że to prawda.

— Powiedziałaś, że masz wrażenie, iż to człowiek dobry i szczodry. A więc, tak jest w istocie. I jaki przytem dobroczynny. Czy wiesz, że ma szkołę niedzielną w zachodniej dzielnicy, dla dzieci misji, i zdaje mi się, że zajmuje się tą szkołą więcej niż swoimi interesami. Chce ją rozszerzyć, żeby się stała największą szkołą niedzielną w Chicago. Ma ambicję na tym punkcie. Nie chciałabym, żebyś pomyślała, że on jest dobry pocziwą, słamazarną, dobrocją, bo taki nie jest. Lauro, — zawołała — mówię ci, że to kapitalny człowiek! Nie chcę ci go zachwalać, bo pragnę, żebyś go polubiła. Ale nikt nie zna Curtisa Jadwina lepiej niż Karol i ja, a my go poprostu kochamy. To najlepszy, najwspaniałomyślniejszy... zresztą poznasz go sama i przekonasz się....

I znów zaległo milczenie. Laura w zadumie patrzyła ciągle w ogień.

— Słuchaj, Lauro, chciałam ci jeszcze coś powiedzieć, — odezwała się po chwili pani Cressler. — J... Karol i ja tak go nazywamy... otóż J. mówił mi w tych dniach, że chce utrzymywać w szpitalu dzieciennym specjalną pielęgniarkę, która opiekowałaby się tylko dziećmi z jego szkoły niedzielnej, w razie jeżeli, które zachoruje. Chciałby jednak zainteresować tem także inne osoby i zamierza urządzić składkę. On sam da podwójną sumę składek, zebranych w ciągu sześciu miesięcy, to jest, jeżeli się zbierze dwa tysiące, on złoży cztery... rozumiesz? Postanowiliśmy zatem z Karolem i Gretrymi, że urządzimy teatr amatorski, żeby zebrać jaknajwięcej pieniędzy. J. przyznał, że pomysł jest dobry, mówiliśmy o tem, powracając z opery i J. zapytał, czyby panna Dearborn nie chciała wziąć udziału. Lauro, musisz to zrobić dla nas. Przecież to poniekąd twoja specjalność. Nie dawaj mi teraz żadnej odpowiedzi. Namysł się, J. marzy o tem, żeby ciebie w to wciągnąć.

— Zrobiłabym to z przyjemnością — odparła Laura.

— Ale muszę się jeszcze zastanowić.. mam tyle roboty, około urządzania domu, długo jeszcze potrwa, zanim taki duży dom jak nasz, będzie doprowadzony do porządku, mogę nie mieć czasu. Ale, w każdym razie, zawiadomię panią.

Pani Cressler zaczęła opowiadać szczegóły projektu. Landry Court będzie jednym z aktorów, liczyła też, że Laura swoim wpływem zniewoli Corthell'a do objęcia jakiej roli. Page przyrzekła dopomóc. Laura przypomniała sobie teraz, że siostra już jej coś wspominała. Wszelako projekt był jeszcze taki nieustalony, że nie nastrecał tematu do dłuższej dyskusji, rozmowa powróciła tedy niebawem do głównego przedmiotu.

— Czy pani wie — zauważyła Laura w odpowiedzi na zachwalanie przez panią Cressler zdolności handlowych Jadwina — że ja nigdy nie o nim nie słyszałam. Ja nic o nim nie wiem.

Ale pani Cressler skwapliwie dała wszelkie informacje. Opowiadała, że Curtis Jadwin ma lat trzydzieści pięć i zaczął życie bez centa w kieszeni. Urodził się w Michiganu, pochodził z rodziny farmerów, prostych, uczciwych ludzi, którzy orali i siali, by się wyżywić. Kończył tylko szkoły niższe, zaniechał dalszych studjów w szkole wyższej w Grand Rapids, albowiem wszedł w spółkę z właścicielem stajni, z końmi do wynajęcia. Z czasem odkupił interes i prowadził go sam.

Ktoś w Chicago był Jadwinowi winien pieniądze, a nie mogąc zapłacić, ofiarował mu kilka placów na Wabash Avenue. Jadwin tedy przeniósł się do Chicago. Z natury rzeczy, w miarę jak miasto się rozrastało, podnosiła się wartość placów na Wabash Avenue — w pobliżu ulicy Monroe. Sprzedał place i kupił inne nieruchomości, które również sprzedał, potem kupił grunt gdzieindziej i tak dalej, dopóki nie został właścicielem najlepszej handlowej dzielnicy w mieście. Ale teraz już nie kupuje i nie sprzedaje. Posiadłości jego są takie rozległe, że zarządzanie niemi pochłania prawie zupełnie jego czas.

Ma biuro na Rookery, a może bliskie sąsiedztwo Izby Handlowej skłoniło go do drobnych spekulacji pszenicą od

czasu do czasu. Naogół potępia spekulację — nie ma jednak na tym punkcie zasad stanowczych, jak pan Cressler. Lecz jest konserwatystą i puszcza się niekiedy na drobne operacje. Życie, oczywiście, nie upłynęło mu bez kilku przygód miłosnych, ale nie natrafił jeszcze na tę, która zaprowadziłaby go do stopni ołtarza. Mieszka na Michigan Avenue, prawie na rogu ulicy Dwudziestej Pierwszej, w jednym z tych nieznośnych domów z żółtego wapienia. Ciotka prowadzi mu gospodarstwo, a dom jego wiecznie pełen siostrzeńców i siostrzenic, którzy go niemilosiernie wyzyskują. Dopomaga im wszystkim, a ile tego jest, Bóg jeden wie. Cała banda smarkaczy i urwisów, która oblewa się kolońską wodą i brata się ze służbą.

Pora była już późna — pani Cressler wstała nareszcie.

— Na miłość boską, Lauro, spojrzij, która godzina! A to cię przetrzymałam... przecież ty musisz być śmiertelnie śpiąca.

Wychodząc, zatrzymała się we drzwiach i rzekła:

— Urządź się tak, żebyś mogła wziąć udział w przedstawieniu, J. zmusił mnie do przyrzeczenia, że cię nakłonię.

— Zdaje mi się, że to się da zrobić — odparła Laura. — Muszę tylko najpierw zaprowadzić ład w domu.

Gdy pani Cressler odeszła, Laura położyła się niezwłocznie. Skoro wszakże zgasła światło, przypomniała sobie, że nie „przykryła“ ognia na kominku; zachowała ten zwyczaj z czasów, kiedy mieszkała w Barringtonie i codziennie obchodziła dom dla bezpieczeństwa. Wyszła z łóżka i zasypała ogień łopatką popiołu, poczem uklękła przed kominkiem i, wpatrzona w gasnący żar, zastanawiała się nad wypadkami ostatnich dwudziestu czterech godzin.

Okazało się, że znalazła w Chicago coś więcej nad szczęk i gorączkę zapasów o przewagę i władzę, więcej nad odgłosy huku walki, więcej nad dźwięki muzyki.

Najpierw Sheldon Corthell, spokojny, przekonujący, wymowny. Potem Landry Court, ujmujący bujną młodością, chłopięcymi, szalonymi wybrykami; a teraz

niespodziewanie — zjawia się oto nowy żywioł — mężczyzna dojrzały, doświadczony, którego zaledwie zna. I życie nie wydało się młodej dziewczynie jeszcze nigdy takie rozkoszne — takie podniecające. Czują, jak osnuwa ją dookoła niewidzialna, nieuchwytna sieć romantyczna i jak miłość, rzecz dla niej najpożądańsza, najbardziej upragniona ze wszystkich znanych, szła ku niej niewzywana.

Pierwotna jej odraza do wielkiego szarego miasta znikła szybko.

Patrzyła na nie teraz przychylniejszemi oczyma.

— Wydaje mi się, — szepnęła do siebie w końcu, klęcząc przed ogniem w zadumie i wpatrując się w rozżarzone jeszcze węgle — że będę tutaj bardzo szczęśliwa.

ROZDZIAŁ III.

Pewnego poniedziałku rano, w jaki miesiąc później, Curtis Jadwin wyszedł z biura swojego, w gmachu Rookery i, skręcając w stronę południową, podążył do biura agentów i komisjonerów giełdowych Gretry, Converse S-ka, mieszczącego się na parterze w gmachu Izby Handlowej.

Dochodziła godzina dziewiąta; powietrze było łagodne, słońce świeciło. Ulica La Salle roiła się od ludzi, życie wrzało dokoła drzwi niezliczonych biur agentów i komisjonerów. Na prawo, w przedsionku gmachu Illinois Trust, tworzyły się ustawicznie i rozpraszaly grupy urzędników, gości, agentów, klientów i depozytarjuszów. Na lewo, gdzie fasada Izby Handlowej zamykała ulicę, zdumiewający panował ruch, a nieprzerwana fala ludzi płynęła tam i z powrotem przez olbrzymie drzwi wejściowe. Zdawało się, że tutaj, u tego wejścia, ześrodkowuje się życie całej okolicznej dzielnicy.

Dwa prądy, toczące się wartko przez ulice La Salle i Jackson, spotykały się tutaj wraz z dopływami, które je zasilały z Fifth Avenue oraz z ulic Clarke i Dearborn. W miarę zbliżania się prądów, potęgowała się ich szybkość. Ludzie — niby rozbitki, unoszone wzburzoną falą—skręcając w ulicę La Salle z Adams, Monroe, a nawet z Madison Square, o wiele dalszego, przyspieszali kroku. Przed Illinois Trust, szli już truchtem a przed Rookery kłusem.

Ale na rogu ulicy Jackson, gdzie od Izby Handlowej dzieła ich tylko szerokość ulicy, kłus stawał się galopem, a młodzieńcy i chłopcy, pod pozorem wymijania wozów, wózków i różnych wehikułów, tym galopem pędzili przez jezdnię, i, zadyszani, wpadali do gmachu, tonęli w zamięcie i znikali w mroku wnętrza.

Jadwin nieraz przyglądał się tej scenie i, jakkolwiek nie był obdarzony bujną wyobraźnią, powziął przekonanie, że we wnętrzu gmachu Izby Handlowej istnieje jakaś siła niezwyciężona, która wciąga i wyrzuca falę uliczną. W tem wnętrzu pieni się i grzmi wielki wir. Otchłan szumiących wód wchłania i wysysa życiowe prądy miasta, niby paszcza olbrzymiej kloaki, niby żołądek potwornej bestji, by je potem wyrzygać, wypluć i pochwycić nanowo w wirze, i nanowo wysysać.

I tak dzień w dzień. Bez końca, bez przerwy. Otchłan bezdenna, rycząca, wchłania i wypluwa, wysyłając spieniony wir ze swej potężnej głębi daleko w świat, kanałami miasta. Straszna w samym ośrodku, łagodnieje podstępnie w obwodzie, staje się przekonywająca, wysyła falę taką spokojną, że ludzie powierzają jej swój los z przyjemnością, w mniemaniu, że nie grozi im najłżejsze niebezpieczeństwo. Ale obwód Otchłani nie kończy się na granicach miasta. Cały północny zachód, cały obszar Pszenicy na świecie odczuwa jej wir i jej groźną potęgę; zawrotny jej prąd bieży, bieży i bieży aż ziarno w elewatorach zachodniej Jowy poruszy się i posypie i ulegnie jej dośrodkowej sile, a ludzie na ulicach Nowego Jorku odczuwają, że tajemnicze chwasty z jej głębi owijają się dokoła ich nóg, oplatają ich ciało, obezwładniają ich i ponoszą, oszołomionych, bezsilnych, powrotną falą do Otchłani.

Niemniejsza była ośrodkowa potęga Otchłani. Nagły prąd wybiega nazewnątrz z wrzającej głębi i oto, na dziesiątkach giełd kontynentu europejskiego, powstaje panika, dziesiątki banków Starego Świata, mocnych jak kamienne wzgórza, drżą i chwieją się w posadach. Niespodziewany kapryśny zwrot wiru wewnętrznego sprawia, że jakiś odległy kanał wysycha i klęska głodowa spada na właścicieli winnic we Włoszech północnych, na górników w kopal-

niach węgla Prus Zachodnich. Natomiast zapełnia się kanał inny, a wygłodzony muzyk stepów rosyjskich, wynędział kulis z nad wód Gangesu nasycając się nagle i składają ofiary dziękczynne przed ikonem i posągami bożka.

Tam, w samym środku tego ładu, położonego między oceanami Nowego i Starego Świata, w sercu interesów ludzkich, pieni się i huczy Otchłań. Jakby Pszenica, Karmicielka Narodów, tocząc się majestatycznie szeroką falą z Zachodu na Wschód, napotkawszy w biegu swoim na przeszkodę, doprowadzona do gniewnego szału malsztremu, wybuchała nadziemską mocą, z siłą pierwotną, pokrewną trzęsieniu ziemi i grozie lodowców — i pieniała się i złorzeczyła, że marne plemię ludzkie ośmiela się wyzywać jej potęgę i wznosić zapory na jej drodze.

Nic dziwnego, że Cressler wyśmiał pomysł zmonopolizowania pszenicy, a teraz Jadwin, idąc ulicą Jackson do biura swego agenta w gmachu Izby Handlowej, patrząc na przypływ i odpływ w jej drzwiach, przypomniał sobie olbrzymią rzekę pszenicy, która toczyła się przez ten gmach z farm Jowy i rancieó w Dakoty do młynów i sklepów piekarskich w Europie.

„Może Karol ma słuszość w tem co mówi“ — rzekł sobie w duchu — „zmonopolizować ten towar... Boże wielki!“

Gretry, Converse i S-ka nazywała się firma agentów, która zawsze pośredniczyła w rzadkich spekulacjach Jadwina. Converse umarł już dawno, wszakże zachowała nazwę pierwotną i była jedną z najstarszych i najpoważniejszych. Miała sławę firmy konserwatywnej i znana była raczej jako koncern Niedźwiedzi niż Byków*), posiadała olbrzymi majątek i olbrzymie znaczenie. Zniechęcała klientelę wiejską, drobnych awanturników, wiedząc dobrze, iż ci najpierw padają, niezdolni do wyrównywania różnicy i uiszczania żądanych dopłat, i zostawiają agentom swoim odpowiedzialność za własne zgubne spekulacje.

W wybitniejszych potężnych Niedźwiedziach miała

*) W amerykańskim żargonie giełdowym Bear, niedźwiedź, oznacza zniżkowca. Bull byk — zwyżkowca. (Prz. tłum.)

firma przyjaciół, w Niedźwiedziach o mocnym chwycie, wytrwałej szczęce, zdolnych do powalenia najsilniejszego Byka. Ztąd też lekceważyła *outsiderów*, publiczność — Jagnięta. Jagnięta! Nieśmiała, niewinna, słaba trzo-
da, równie nie na miejscu przy ulicy La Salle, jak szcze-
niak w klatce pantery; Jagnięta, na które Byki i Niedź-
wiedzie nie raczą nawet zwracać uwagi, a które we wspól-
nej walce, staczanej rogami i pazurami, miażdżą na
śmierć, traktując je w szale zapasów.

Jadwin nie udał się odrazu do głównego biura Gre-
try'ego, lecz, po wejściu do gmachu, minął schody, pro-
wadzące z prawej strony na drugie piętro, wszedł do kory-
tarza po za niemi, a stamtąd do pokoju klientów firmy
Gretry, Converse i S-ka. Wszystkie wybitniejsze firmy
agentów giełdowych miały biura na parterze gmachu,
biura o dwóch wejściach, jedno z ulicy, drugie z korytarza.
Na ogół wejście z korytarza prosto do pokoju klientów
firmy — tak też było w biurach Gretry-Converse.

Znalazłszy się w tym pokoju, Jadwin przystanął i
rozejrzał się dokoła.

Nie miał pojęcia dlaczego Gretry tak usilnie wzywał
go do siebie na dzisiaj rano, ale, przed rozmową z agentem,
chciał się dowiedzieć po czemu sprzedawana jest pszenica.
Pokój był obszerny i ciemny, gdyby nie gaz, palący się
jaskrawym płomieniem, bez klosza. Na ścianie naprzeciwi-
ko drzwi widniała wielka czarna tablica, pokryta kolumna-
mi cyfr, wypisanemi kredą i oświetlonemi w górze szere-
giem płomyków gazowych, osłoniętych blaszanym reflektorem.
Przed tą tablicą stały szeregi krzeseł, zajętych przez
ludzi nieokreślonego zawodu i zajęcia, nędznie ubranych,
młodych i starych, o zmęczonych oczach i niezdrowej
cerze, którzy palili, krztusili się i wyrzucali przez zęby
plwociny, albo prowadzili bez końca rozmowy.

Młody człowiek bez kurtki, mając mankiety od ko-
szuli podpięte metalowemi klamerkami, przechadzał się
po platformie przed tablicą. Do tejeż przytwierdzony był
aparatus telegraficzny, który od czasu do czasu brzęczał
i stukał, a wtedy młodzieniec wypisywał kabalistyczne,
nieczytelne prawie, cyfry pod kolumnami, mającemi za

nagłówki pierwsze litery pewnych towarów i papierów, albo wyrazy „Wieprzowina“, „Owies“ lub większemi literami „Pszenica majowa“. Powietrze w pokoju zatęchłe, duszne, ciężkie było od dymu tytuniowego; rozlegał się tu jedynie cichy szmer rozmów, klekot aparatu telegraficznego i stuk kredy, przesuwanej po tablicy palcami markiera.

Ale nikt w pokoju nie zwracał uwagi na tablicę. Jedne cyfry ustępowały miejsca drugim, telegraf zaś klekotał, a kreda stukała nieprzerwanie. Niektórzy z obecnych siedzieli nawet odwróceniem plecami; jeden rozłożył chustkę do nosa na kolanach, przetaił i wsadził na nos okulary, a otworzywszy dziennik z przed dwóch dni, zaczął czytać pilnie, tworząc ustami każdy wyraz. Ci „nieokreśleni“ zbierali się tutaj, sami nie wiedząc dlaczego. Każdy dzień zastawał ich na tem samym miejscu, trzymających w ustach te same cuchnące, tłące się cygara, a w rękę te same dzienniki z przed dwóch dni. Siedzieli bez ruchu, ogłupieni, zahypnotyzowani i wsłuchiwali się w odległy łoskot Otchłani, który dobiegał po przez sufit z posadzki nad nimi.

Jedna z tych postaci — człowiek bardzo stary, z karpawemi oczami, zgrzybiały, w zgniecionym cylindrze, w paltocie wypełzłym, wytartym, poplamionym — wydawała się Jadwinowi znajoma. Przypominała mu jakby dawne wypadki, ale nie mógł powiedzieć jakie. Nie widział wyraźnie twarzy starca, bo ten siedział doń plecami i gryzł sandwicz, który trzymał w drżącej ręce.

Jadwin, przekonawszy się, że pszenicę sprzedawano po 94, wyszedł, rad, że się wydostaje z przygniatającej atmosfery pokoju.

Gretry był w biurze obecny i niezwłocznie przyjął Jadwina, ten zaś zasiadł na krześle przy jego biurku i przez chwilę rozmawiali o rzeczach potocznych. Gretry, mężczyzna barczysty, zrównoważony, o gładkiej wygolonej twarzy, ociężały był, jak wół; ubrany był w nieodzowny garnitur z granatowego szewiotu, za uchem sterczał mu wykałacz z gęsiego pióra a w klapie marynarki widniał znaczek Wielkiej Armji. Z Jadwinem łączyły go ściśle sto-

sunki. Przybyli do Chicago prawie jednocześnie i razem dorobili się majątku. Należeli do jednego klubu, jadali codziennie razem drugie śniadanie u Kinsley'a i na zmianę odwozili się wzajemnie w sobotę po południu do domu. W połowie lata każdy odkradał interesom dwa tygodnie i udawał się na połów ryb do Geneva Lake w Wisconsinie.

— Wiesz — mówił Jadwin — widziałem w twoim pokoju klientów starca, który mi przypomniał Hargusa. Pamiętasz tę jego sprawę, którą chciał przeprowadzić zanim umarł? Jak to dawno temu?... Dalibóg, będzie już chyba z piętnaście... nie, ze dwadzieścia lat.

Sprawa, o której wspominał Jadwin, była legendową operacją Izby Handlowej — zmonopolizowanie pszenicy wrześnieowej, przeprowadzone przez tegoż Hargusa, milionera, który w następstwie potroił swój majątek i stracił go w niespełna rok później, skutkiem mactwa jednego ze swoich współników. Podbił pszenicę do dwóch dolarów blisko, był swego czasu wszechpotężnym królem i odtąd o wszelkich tranzakcjach podobnych mówiono określeniami ze sprawy Hargusa. Speculanci mówili: „Prawie tak źle, jak ze sprawą Hargusa“. „Zupełnie jak krach Hargusa“. „Interes taki olbrzymi, jak spekulacja Hargusa“. Hargus stał się postacią legendową, mityczną, bohaterką, w aureoli swoich milionów.

— Tak, dwadzieścia lat napewno — ciągnął dalej Jadwin. — Gdyby Hargus mógł odżyć, byłby zdumiony różnicą w sposobie prowadzenia dzisiejszych interesów. Dwadzieścia lat... Tak, będzie tyle... Słuchaj, Sam, starzejemy się, co?

— Myślę, żeś ty istotnie widział Hargusa — odparł agent. — On nie umarł... Starzec, w zgniecionej rurze i zatłuszczonym paltocie? Tak, to Hargus.

— Co! — zawołał Jadwin. — To Hargus?

— Naturalnie. Przychodzi tu codzień. Urzędnicy dają mu od czasu do czasu dolara.

— A więc nie umarł? I to był Hargus, ten obdarty, złamany nędzarz... brrr! Nie chcę myśleć o tem, Samie!

I Jadwin, poruszony do głębi, siedział przez chwilę, nie mogąc wymówić słowa.

— Tak, panie, — mruknął zgryźliwie agent, — to był Hargus.

Poczem zapanowało dłuższe milczenie. Wreszcie Gretry zawołał wesoło:

— Słuchaj, chcę z tobą o czemś pomówić.

I, zniżając głos, mówił, dalej:

— Jak wiesz, mam swoich korespondentów w Paryżu... wszyscy agenci mają... i nie trzymamy ich nazwisk w tajemnicy. Ale przez ostatnie sześć miesięcy pracował dla mnie w cichości jeszcze ktoś specjalny. Mogę ci tylko tyle powiedzieć, że jestto nie najmniej wybitny członek legacji Stanów Zjednoczonych. Przysłał mi on od czasu do czasu, jak nazywają reporterzy, „wiadomości wyłączone“.. płacę mu za to takie sumy, że mógłbym za te pieniądze utrzymywać prywatny jacht parowy. Ale mam od niego wiadomości o dzień lub dwa wcześniejsze niż ktokolwiek inny. Dotychczas nie przysłał mi nic donioślejszego. Dopiero dzisiaj rano nadeszło to.

Wziął depezę z biurka i przeczytał:

— „Utica — kwatera główna — modyfikacja — organiczna — spólistnienie — w ciągu miesiąca“ — co znaczy — dodał — to... właśnie odcyfrowałem — i podał Jadwinowi kartkę papieru, na której było napisane:

„Do francuskiej Izby Deputowanych wniesiony będzie napewno w ciągu miesiąca wniosek, przewidujący wysokie cła przywozowe od zboża obcego“.

— Zrozumiałeś? — spytał Jadwina, odbierając kartkę. — Nie zapomnisz?

Zmiał kartkę i spalił ją starannie w płomyku gazowym.

— Orjentujesz się? — ciągnął dalej. — Zdaje mi się, że my we dwóch, ty i ja, możemy utracić klikę Porteous'a.

— Hm! — szepnął Jadwin zdumiony. — Moglibyśmy zawikłać sytuację. Ale, mówiąc prawdę, Samie, postanowiłem zaniechać wszelkich spekulacji, po tym moim ostatnim interesie. Człowiek wdaje się w tę niebezpieczną grę i brnie coraz głębiej, i zanim zdoła sobie zdać sprawę, nie może się już wydostać... nie może i nie chce. Najpierw

podrapią mu nos, a on wzamian bije, ale uderza w powietrze, traci równowagę i pada. Ja nie chcę już robić pieniędzy. Mam swój mająteczek i, zanim się zestarzeje, chcę jeszcze użyć życia.

— Co ty pleciesz, J.! — odparł Gretry. — Czy to spekulacja? Przecież nie jestem niemowłębem w tych interesach, prawda? Przyznasz, że znam się na tej zabawie, co? Mówię ci więc J., że to znalezione pieniądze. Człowiek, który sprzedaje na podstawie tego pszenicę na krótki termin, to jakby już miał pieniądze w kieszonce od kamizelki. Ach, głupstwo, dasz się namówić, oczywiście. Czyhałem na tę bandę Byków już dawno, jeszcze przed bankructwem Helmick'a i teraz nareszcie doczekałem się, mam na nich sposób. Słuchaj J., przecieżes ty nie z tych co odrzucają pieniądze. Kupiłbyś cały syndykat, żebyś wiedział, że możesz go sprzedać z zyskiem. A tu nastęcza się sposobność przeprowadzenia doskonałego interesu na niżkę. Słuchaj, skoro tylko ta wiadomość przedostanie się na giełdę zbożową, ceny odrazu runą i spadać będą na złamanie karku. Porteous z całą swoją bandą nie zdoła, dla ocalenia siebie, utrzymać cen ani przez jedną minutę.

— Wiem, Samie, — odparł Jadwin — a cały kłopot nie polega na tem, że ja nie chcę spekulować, lecz na tem, że się do spekulacji palę! I dlatego powiedziałem, że od tych interesów będą się trzymał zdala. Pociąga mnie niewiele zarobek, ile sama gra. Gdybym raz zaczął, najmniejszą spekulację, zapalałbym się stopniowo coraz bardziej, próbowałbym coraz większej gry, aż wreszcie rzuciłbym na rynek jakiś olbrzymi interes, który wzamian powaliłby mnie i przygniótł, zamiast zysk przynieść. Wiesz, Sam, jak mi powiedziałeś, że ten nędzarz, który tam żuje sandwiche, to Hargus, zrobiło mi się zimno.

— Przecież nie żądam od ciebie, żebyś zaryzykował cały majątek, ani jego piątą część, ani nawet dwudziestą!... Nie bądź idjotą, J. Jesteśmy firmą solidną, poważną, czy nie? Czy ja mówię w ten sposób jeżeli nie jestem pewny swego? Posłuchaj. Pozwól, żebym sprzedał dla ciebie milion buszli. Tak... wiem, że takiego wielkiego polecenia jeszcze dla ciebie nie wypełniałem. Ale tym ra-

zem zamierzam puścić się całą siłą pary, podstawić nogę bandytom Porteous'a i wysadzić ich z siodła raz na zawsze. Otrzymałiśmy dzisiaj rano raport zbożowy, a jeżeli zapasy skontrolowane są takie znaczne jak przypuszczam, ceny spadną, co wywoła niemałe zamieszanie na rynku. Sprzedam dla ciebie po najlepszych cenach, jakie będzie można uzyskać, a ty możesz pokryć różnicę, kiedy zechcesz przed końcem maja.

Jadwin wahał się. Czuł, iż nadarza mu się korzystna sposobność, a jednak szósty zmysł, niewytłómaczony instykt, właściwy tylko spekulantowi z urodzenia, ostrzegł go ponownie, jak się to już nieraz zdarzyło. Niejednokrotnie w ciągu handlowej kariery swojej miewał Jadwin tę intuicję, ten węc h, przecucie, że musi schwytać sposobność, inaczej bowiem Fortuna, która towarzyszyła mu tak długo, porzuci go, zagniewana; jednocześnie wszakże powstawało w głębi jego świadomości nieokreślone ostrzeżenie. Zdawało mu się teraz, że w otaczającej go atmosferze czuje jakiś wpływ, nagły, nowy pierwiastek, obecność nowej siły. Szczęście, wielka potęga, wielkie bóstwo wyłoniło się niespodziewanie z zaświata i przemknęło ponad jego głową z szelestem iskrzących się skrzydeł...

— Z tym całym interesem trzeba będzie obchodzić się jak ze szkłem, — zauważył Gretry w zamyśleniu, mrużąc oczy. — W ciągu dwudziestu czterech godzin sprawa może się stać własnością publiczną, nie mamy zatem za dużo czasu. Nie zamierzam wywołać zniżki, rzucając milion albo nawet więcej buszli niespodziewanie na rynek. Podzielię zlecenia, mniej więcej, równomiernie. Widzisz, — dodał — jest jeszcze jedna ważna okoliczność, która przemawia na naszą korzyść. Będziemy mogli sprzedawać na mocnym rynku. Maklerzy giełdowi zasłyszeli coś o warjackich pogłoskach wojennych i są tacy spłoszeni, jak dziewczęta w szkole widokiem wielkiego szczura. A nawet i bez tego rynek jest bardzo mocny. Porteous zaczyna mnie niecierpliwic i na dobre do spółki z tą swoją bandą podbili ceny do niemożliwości. Dziewięćdziesiąt cztery za pszenicę majową! To poprostu śmieszne. Powinna być sprzedawana po osiemdziesiąt i niżej. Najłżejsze pchnięcie,

a ta wyśrubowana cena runie odrazu. No i cóż, — spytał zniecierpliwiona, patrząc bystro na Jadwina — ubijemy interes? Jeżeli twoje zwykłe szczęście cię nie opuści, J. sprawozdanie, stwierdzające znaczne zapasy skontrolowane, daje ci szansę zupełnie fantastyczne.

Jadwin roześmiał się i wyjął z kieszeni garść półdolarówek.

— Sam, — rzekł — niech los zadecyduje. Cetno-licho?

— Dajże pokój! — zaprotestował Gretry; ale naraż, pod wpływem instynktu szulerskiego, jaki wyhodowało w nim spędzone w giełdowej atmosferze życie, zawołał:

— Dobrze. Ale daj mi słowo, że się nie cofniesz. Jeżeli cetno, zgodzisz się na moją propozycję, jeżeli nie, odrzucisz... Dajesz słowo?

— A, no, — zobaczymy — odparł Jadwin, ubawiony tym swoim dziecinnyim pomysłem, ale, rzucając na biurko przykryte dłonią monety, był pewien, że wziął liczbę parzystą. „Nie mogłoby być inaczej“ myślał „wiem, że jest parzysta“.

Jakoż nie omylił się.

— All right — rzekł — zgadzam się.

— Na milion buszli?

— Tak, na milion. Ile będziesz potrzebował na dopłatę do zadatków?

Gretry przez chwilę wypisywał cyfry na odwrotnej stronie koperty.

— Pięćdziesiąt tysięcy dolarów, — oznajmił w końcu.

Jadwin wypisał czek i, trzymając go przed oczyma, rzekł do skrawka papieru:

— Żegnaj! Już takich, jak ty, więcej nie zobaczę.

Gretry nie roześmiał się.

— Hm! — mruknął. — Ujrzymy ich pełną torbę, zanim minie miesiąc.

* * *

*

Tego samego ranka Landry Court znalazł się koło

dziewiątej w parterowym korytarzu Izby Handlowej. Wyszedł właśnie z biura Gretry, Converse i S-ka, gdzie, wraz z innymi maklerami, otrzymywał zlecenia na dzień dzisiejszy.

Kupował dwa jabłka przy stoliku z gazetami na końcu korytarza, gdy przyłączyli się doń Semple i młody żyd, nazwiskiem Hirsch, maklerzy drobnych firm przy ulicy La Salle.

— Halo, Court, masz jakie nowiny?

— Halo, Barry Semple! Halo Hirsch!

Landry ofiarował im po połówce drugiego jabłka i przez chwilę stali w trzech, u stóp schodów, rozmawiając i jedząc jabłka, zatknięte na ostrzu scyzoryka.

— Jestem trochę zamroczony — mówił Semple, z pełnemi ustami. — Wróciłem późno z knajpy. Jeden z moich przyjaciół przyjechał z Europy i kilku kolegów witało go małym obiadem. Mój przyjaciel opowiada niesłychane rzeczy; przebywał przeważnie w Konstantynopolu w jakimś dziennikarskim interesie. Ta cała Turcja i sułtan i te wszystkie ich sprawy to ładna heca, jak się zdaje. Mój przyjaciel mówi, że o mało nie przyszło do awantury z powodu zajścia z Higginsem paszą i że przedstawiciel brytański wyłożył rzeczy jasno sekretarzowi sułtana. Mój przyjaciel mówi, że Konstantynopol przypominał mu stopy dekoracji z operetki, rozstawionych w błocie. Słuchaj, Court, on powiada, że ulice tam są brudniejsze niż w Chicago.

— Co ty pleciesz! — wtrącił Hirsch.

— Fakt, mówię ci! A psy! Powiedział nam, że teraz wie dokąd wędrują wszystkie żółte psy po śmierci.

— Ale, powiedzno, — zauważył Hirsch — co to za interes z tym Higginsem paszą? Myślałem, że to się dawno skończyło.

— Widzicie, bo to właśnie teraz... — odparł Semple i spojrzął w tejże chwili na zegarek. — Myślę, że czas pójść na górę, już blisko pół do dziesiątej.

Szli we trzech po schodach, przyłączywszy się do innych maklerów, którzy w coraz większej liczbie dążyli

w tym samym kierunku. Hirsch został zatrzymany przez brata.

— Dostałem pudełko cygar dla ciebie.

— Doskonale! — odparł Hirsch poczem dodał; — Czy wiesz co w sprawie Higginsa paszy? Pamiętasz ten zatarg między Anglią a Turcją? Mówiono mi, że w tych dniach przedstawiciel francuski w Konstantynopolu wyłożył sprawę dokumentnie samemu sułtanowi.

— Czyżby? Giełda nie odczuła tego wcale. Myślę, że to kawał... Ale tam idzie Kelly. On będzie wiedział. Ma bliskie stosunki z ludźmi Porteous'a. Możeby go zapytać...

— Spytaj go i powiesz mi potem. Ja muszę już iść na górę.

Brat Hirsch'a, zbliżywszy się do Kelly'ego, zaczął:

— Słuchaj, chłopcze, mówią mi, że zanosi się na burzę między Anglią a Turcją, z powodu zajścia z Higginsem paszą i brytańskie ministerjum spraw zagranicznych zagroziło sułtanowi przesłaniem ultimatum. Już widzę co się będzie działo na giełdzie, jeżeli to prawda.

— Nic nie wiem—odparł Kelly. — Ale się dowiem... bądź pewien.

Tymczasem Landry, dotarłszy do szczytu schodów, zwrócił się na prawo i przez wielkie szerokie drzwi wszedł do halli Izby Handlowej na wyższym piętrze.

Do tej wielkiej halli światło wpadało z obu stron przez wysokie okna kolorowe, dach podtrzymywały cienkie słupy żelazne, suto ozdobione. Na lewo umieszczone były czarne tablice, na których wypisywano biuletyny, za nimi zaś, w północno-zachodnim rogu halli, na obszernej przestrzeni, otoczonej żelazną barjerą, mieściło się biuro telegraficzne „Western Union“. Na prawo, po drugiej stronie, stały rzędami stoły, a na nich widniały starannie ułożone torebki papierowe, zapelnione do połowy próbkami różnorodnego ziarna, stoły te ciągnęły się wzdłuż ściany zachodniej od drzwi, któremi wchodziła publiczność do drzwi, prowadzących do pokoju telefonowego.

Środek halli zajmowały ogrodzone kwadraty, t. zw. trybuny agentów. Na lewo i nawprost miał Landry trybunę, gdzie obliczano prowizję, na prawo trybunę zbożową,

a niemal pod samą galerją dla publiczności, znacznie większą niż dwie poprzednie, trybunę pszeniczną, do której prowadziła z boku niby furtka dla sprawozdawcy urzędowego.

Naprzeciwko galerji, wysoko na ścianie południowej, przytwierdzona była wielka tarcza, na której duża wskazówka zaznaczała bieżące ceny pszenicy, stosownie do fluktuacji cen na giełdzie. W danej chwili skazówka stała na 93 i trzy ósme, czyli na cenie końcowej dnia poprzedniego.

Narazie wszystkie trybuny były jeszcze puste. Landry zawiesił kapelusz i żakiet w garderobie, przy wejściu północnem, i włożył starą kurtkę tenisową z flaneli niebieskiej w paski. Poczem, z gołą głową, wsunawszy ręce w kieszenie, przeszedł leniwie przez hallę i usiadł na jednym z krzeseł, rzędem ustawionych przed telegrafem. Przejrzał jeszcze raz bacznie depesze i zlecenia, które trzymał w ręku, a utrwaliwszy je w pamięci, podarł kartki na drobne kawałki i rozglądał się dokoła, układając w myśli plan kampanji na ranek dzisiejszy.

Landry Court obdarzony był w pewnym znaczeniu podwójną indywidualnością. Zdała od sąsiedztwa i wpływu ulicy La Salle był „narwany“, roztrzepany, niepraktyczny, unosił się łatwo — słowem przedstawiał się jak ostatni człowiek na ziemi, któremu możnaby powierzyć przeprowadzenie poważnego interesu. Ale wraz z rozgwarem ulic dokoła Izby Handlowej, a nadewszystko wraz z ruchem i atmosferą giełdy zbożowej, budził się w nim inny zupełnie Landry Court; zupełnie nowy splot nerwów zaczynał działać wraz z uderzeniem gongu, oznajmiającym godzinę pół do dziesiątej, a pierwsza wywołana na giełdzie cyfra puszczała w ruch zupełnie nowy system maszyneryi mózgowej. I od tej chwili do zamknięcia posiedzenia nie było czujniejszego, przebieglejszego, przytomniejszego agenta, maklera, czy pokątnego pośrednika, niż ten sam młodzieniec, który nigdy nie wiedział napewno do kogo jest zaproszony na wieczór tego samego dnia.

Landry Court, znany pannom Dearborn, różnił się wielce od młodego człowieka, który teraz siedział, oparty

łokciami na krzesła i, zmrużywszy oczy, zacisnąwszy usta, zaczął rozważać jakie też uspokojenie zapanuje tego ranka na giełdzie.

Tymczasem halla zaczęła się zapełniać. Do przestrzeni, ogrodzonej żelazną barjerą, gdzie mieściły się setki przyrządów telegraficznych, przybywali po dwóch i po trzech „operatorzy“. Zawieszali kapelusze i „ulstery“ na kołkach, wbitych, w ścianę tylną i w kurtkach płóciennych, lub tylko w kamizelkach siadali na swoich krzesłach, albo na stołach, rozmawiając wesoło i dowcipkując. Kilku zabrało się niezwłocznie do pracy i tu i owdzie rozpoczął się suchy trzask funkcjonującego aparatu.

Z korytarzy przez drzwi południowe napływali coraz większymi partjami agenci i kupcy zbożowi. Odgłos kroków odbijał się silnym echem od wysokiego sklepienia dachu. Goniec przebiegał przez hallę, wywołując niezrozumiałe nazwisko.

Kupcy i agenci stopniowo skupiali się przy trybunie zbożowej i pszenicznej, a na stopniach tej ostatniej dwaj mężczyźni, z których jeden w jedwabnej czapce, włożonej zupełnie na bakier, rozmawiali poważnie przyciszonym głosem, skrzyżowawszy ręce na kolanach.

Winston, wysoki, barczysty mężczyzna, lat około trzydziestu pięciu, obdarzony niskim basowym głosem, wspólnie z Landrym wykonywał zlecenia dla domu Gretry-Converse; zbliżył się teraz do Court'a i, bez wszelkiego powitania, zauważył ostrożnie:

— Co znaczy ta gadanina o nieporozumieniu między Turcją a Anglią?

Ale, zanim Landry zdążył odpowiedzieć, zbliżył się do nich trzeci agent firmy Gretry. Był to młody człowiek, nazwiskiem Rusbridge, wygolony brunet z głęboko osadzonemi oczyma, roziskrzonemi nieustającym podnieceniem.

— Mówię wam, że w tem coś jest, w tem coś jest! — zawołał.

— Gdzieżeś to słyszał? — spytał Landry.

— O... wszędzie. — Rusbridge zatoczył ręką nieokreślony ruch. — Zdaje się, że Hirsch ma dokładne in-

formacje. Podobno mówią o zmobilizowaniu eskadry śródziemnomorskiej.

— Możebym zapytał reportera agencji „Inter-Ocean“, ten chyba wie. Widziałem go tutaj dzisiaj rano... Albo może zatelefonujesz do „Associated Press“ — proponował Landry. — W biurze nie mówiono mi ani słowa.

— Och, „Associated“! Oni zawsze wszystko wiedzą, może nie? — szydził Winston. — Już do nich dzwoniłem. Nie mogli „potwierdzić pogłoski“. Oni tak zawsze. Możesz wydać półmilion na wynajmowanie osobnych drutów, na specjalną obsługę i prenumeratę komunikatów agencji, a zawsze pierwsze wiadomości podobne zwąchasz tutaj. Pamiętacie, jak to młynarze z północnego zachodu sprzedali sto pięćdziesiąt tysięcy worków od jednego zamachu? Giełda mówiła o tem na trzy godziny przed rozesłaniem urzędowym nowiny, wiedziała, zanim nadszedł pierwszy telegram. Przypuścimy, że czekalibyśmy wówczas na wiadomości z „Associated“ albo od kupców, co wtedy?

— Założę się, że chodzi o to zajście z Higginsem paszą — zauważył Rusbridge.

— Słyszałem coś o tem dzisiaj rano — odparł Landry — tylko, że...

— A co! Cóżem wam mówił? — przerwał Rusbridge. — Powiedziałem, że pogłoska dotarła wszędzie. Nie ma dymu bez ognia. I nie żdziwiłbym się bynajmniej, gdyby jeszcze przed południem telegramy doniosły nam, że brytańskie ministerjum wojny przesłało ultimatum.

I, naturalnym biegiem rzeczy, w kilka chwil później, Winston, stojąc na stopniach trybuny zbożowej, słyszał od pewnego maklera, który się dowiedział od przyjaciela, który właśnie otrzymał depeszę od kogoś, „co dobrze wie“, że brytański sekretarz stanu ministerjum wojny wysłał do Porty ultimatum i że stosunki dyplomatyczne między Turcją a Anglią mają być zerwane.

W jednej chwili w całej halli nie mówiono o niczem innem i z każdej grupy rozmawiających dobiegały wyrazy: „Sekwestr komory celnej“, „ultimatum“, „kwestja wschodnia“, „zajście z Higginsem paszą“. Była to wielka

nowina dnia i niebawem agenci i maklerzy zaczęli otrzymywać mnóstwo depeesz, odwołujących zlecenia sprzedaży i nakazujących nie zawierać tranzakcyj na wysokie zaliczki. Agenci zaś telegrafowali do swoich pryncypałów, że rynek otwarty będzie tendencją mocną i zwyżkową.

Było już blisko pół do dziesiątej. Od strony „Western Union“ szło coraz silniejsze przerywane stukanie aparatów telegraficznych. Gońcy biegali w różne strony, przeciskając się między wzrastającym z każdą chwilą tłumem agentów i maklerów, popychając się wzajemnie i wywołując bez przerwy nazwiska tych, dla których nieśli depesze. Szum głosów ludzkich rozlewał się, jak wzbierająca, spieniona fala.

Landry, stojąc w tej chwili na krawędzi trybuny pszenicznej, skierował wzrok na budkę telefoniczną pod galerją dla publiczności i ujrzał kościstą postać pana Cresslera, który, jakkolwiek nigdy nie spekulował, bywał regularnie co rano na giełdzie. Cressler zmierzał do jednego z okien frontowych gmachu, a kieszeń miał pełną pszenicy, którą wziął z torebki, leżącej na stole z próbami. Otworzywszy okno, wysypał ziarno na gzems i przez długą chwilę stał zapatrzony z zajęciem w niezliczone gromady gołębi, które sfrunęły przed okno i, bijąc skrzydłami, zbierały ziarna nerwowemi ruchami stukających żółtych dziobków.

Landry rzucił okiem na zegar umieszczony na ścianie tylnej. Było dwadzieścia pięć minut po dziewiątej. Stał na swoim zwykłym miejscu, od strony północnej trybuny pszenicznej, na najwyższym stopniu. Halla była pełna. Dookoła niego tłoczyli się agenci, maklerzy i kupcy — Hirsch, Semple, Kelly, Winston i Rusbridge; groźny Leaycraft, który uchodził za człowieka, rozporządzającego największą ilością pszenicy majowej, a pracował tylko dla siebie; lekceważony Grossmann, żyd, który nosił koszulę flanelową i na którego wywoływania nikt nigdy nie zwracał najlżejszej uwagi, Fairchild, Paterson i Goodlock nierozłączna trójka, reprezentująca bandę Porteous'a, ludzie milczący, w średnim wieku, których zadaniem było mówić

tylko przy sprzedaży lub zakupie miliona buszli na miejscu.

I inni jeszcze i jeszcze inni — wytrawni weterani giełdowi i niedoświadczeni rekruci, ludzie, którzy w przeszłości panowali chwilami nad całą giełdą, a teraz zadawali się rolą podrzędnych maklerów, sprzedających i kupujących tego samego dnia, radzi z zarobku 10 dolarów. Znowu inni, którzy może w danej chwili układali plany, mogące w ciągu tygodnia uczynić z nich milionerów; i jeszcze inni, którzy pod maską obojętności, usiłowali ukryć troskę wczorajszej porażki.

I stali tak wszyscy czujni, w pogotowiu, uchem wyęzonym chwytając najlżejszy dźwięk, okiem bacznie szukając najdrobniejszego śladu znamiennego wyrazu we wzroku rywalów, podnieceni, z nerwami naprężonymi do najwyższego stopnia, gotowi rzucić się w głąb najciaśniejszego ujścia, napaść nieubłagane na najmniejsze niebrońione miejsce.

Grossmann, mały żydek, w plugawej flanelowej koszuli, pocił się, zdenerwowany oczekiwaniem, niezdolny zachować milczenia do chwili, gdy dany będzie sygnał, przesuując po ustach drżące palce. Winston, silny, spokojny, założył ręce na plecy, czekał nieruchomy, stojąc mocno, z powagą posągu, i patrzył bacznie wrokiem na Kelly'ego, posadzając go, że ma jakiś „głupi interes“ na widoku. Trójca Porteous'a — Fairchild, Paterson i Goodlock — niby wyższa nad wszystkich, niewzruszona, stała odwróconą plecami do trybuny, rozmawiając i śmiejąc się.

Sprawozdawca urzędowy wszedł na swój stółek w małej klatce na krańcu halli i zamknął drzwi za sobą. Wywoływanie gońców było już teraz nieprzerwanym chórem. Biegli ze wszystkich stron gmachu i we wszystkich kierunkach, mijając się, popychając, z rękami pełnymi żółtych kopert. Z budek telefonicznych dochodził przeciągły, dźwięczny odgłos dzwonek. Aparaty „Western Union“ stukały z zajadłą wściekłością. Młodzieńcy z gołą głową śpieszyli jeden do drugiego, naradzali się przez chwilę, porównywali depesze, poczem rozstawali się i pędzili dalej. Z różnych stron gmachu wybiegały nawoływania. Przy stole agentów

zaczęto już spisywać pierwsze ilości napływającej pszenicy, wywóz i przywóz.

A wszystkie te odgłosy, stukanie telegrafu, wywoływanie gońców, krzyki maklerów, tupot setek nóg, brzęczenie sygnałów telefonicznych wzbijały się w powietrze, tworząc w górze potężny rozgwar, który szedł ze sklepienia na sklepienie pod wysokim dachem i wybiegał z każdych drzwi, każdego otwartego okna, nieprzerwanym hukiem zataczającego się grzmotu.

Na trybunie pszenicznej zaczęły się odzywać pojedyncze oferty, niby pierwsze odosobnione strzały na linii bojowej. Grossmann podniósł rękę, krzycząc.

— Sprzedaję dwadzieścia pięć na maj po dziewięćdziesiąt pięć i jedna ósma.

Zaś Kelly i Semple wrzasnęli prawie równocześnie:

— Daję siedem ósmych na maj!

Sprawozdawca urzędowy wychylił się, chcąc pochwycić te pierwsze cyfry, i spojrzął na zegar na krańcu halli. Wskazówki stały kątem prostym.

Poczem, nagle przecinając w poprzek falę potęgujących się odgłosów i szmerów, padł ostry dźwięk wielkiego gongu. Ręce, konwulsyjnymi ruchami wznosiły się w górę ponad stłoczonym morzem głów, poruszały się w powietrzu niezliczone dłonie z rozpostartymi palcami. Wszelkie zdania i wyrazy utonęły w wybuchu rozgwaru, wśród którego cały tłum kupców, agentów, maklerów runął ku środkowi halli, popychając się, szarpiąc, kopiąc, walcząc o lepsze miejsce kułakiem i butem.

Wskazówka na wielkiej tarczy nad zegarem drgnęła i, jakby pchnięta burzliwym tchnieniem giełdy, poruszała się w górę po stopniach swego koła. Przystawała, chwiała się, zatrzymała się w końcu, a w tejże chwili setki przyrządów telegraficznych, rozproszonych w gmachu, zaczęły po całym kraju — od Atlantyku do oceanu Spokojnego, od Mackinaku do Meksyku — rozsyłać wieść, że na giełdzie zbożowej w Chicago nastąpiła niewielka zwyżka i że pszenicę majową, którą dnia poprzedniego notowano w końcu dziewięćdziesiąt trzy i trzy ósme, dzisiaj rano notowano odrazu dziewięćdziesiąt cztery i pół.

Ale zwyżka nie przyniosła korzystnej sprzedaży. Groźny Leaycraft i trójca Porteous'a, Fairchild, Paterson i Goodlock, kiwali głowami, gdy giełda ofiarowała dziewięćdziesiąt cztery za część zapasów. Cena trzymała się mocno. Grossmann, co chwila, tym samym żalonym głosem rozpaczy, któremu towarzyszył ten sam ruch, jakby rzucającego oszczepu, krzyczał;

— Sprzedaję dwadzieścia pięć na maj po dziewięćdziesiąt pięć i ćwierć!

Trzymał w powietrzu pięć rozpostartych palców, chcąc wykazać liczbę „kontraktów“, czyli partyj po pięć tysięcy buszli, które chciał sprzedać a każdy palec reprezentował jeden „kontrakt“.

I w tej to chwili zaczęły nagle napływać zlecenia sprzedaży do przedstawicieli firmy Gretry-Converse. Nawet inne domy — Teller i West, Burbank i S-ka, Mattieson i Knight — otrzymały swój udział. Było w tem coś niewytłómaczonego, oszałamiającego. Któż to odważył się sprzedawać, wobec potężnej kliki Byków, panującej nad obrotami i wszelkimi widokami mocnego rynku?

Landry, między innymi, otrzymał również zlecenie sprzedaży. Kazano mu wyładować trzysta tysięcy buszli po dziewięćdziesiąt cztery i wyżej. Śledził bacznie Leaycraft'a, pewien, że ten podbije cenę. Ale stało się, że uczynił to nie on, lecz trójca Porteous'a. Stojąc na środku halli, Paterson nagle wyrzucił rękę w górę i przyciągnął ją do siebie, chwytając powietrze — utarty ruch nabywcy.

— Daję jedną ósmą na maj.

Landry już był przy nim. Dwadzieścia głosów huknęło „sprzedane“ i tyłuż kupców poskoczyło ku niemu z wyciągniętymi rękoma. Landry wszelako uprzedził ich.

— Sprzedane, sprzedane.

Paterson skinął głową, Landry zapisywał transakcję, a wskazówka na tarczy posunęła się znów naprzód i znów stanęła.

Poczem ożywienie osłabło, transakcje dokonywały się leniwie, naprężenie początkowe minęło. Landry poprzestał jednak na sprzedaniu Patersonowi dziesięciu „kontraktów“; miał przecucie, że dalsza zwyżka nastąpi później

i pośpiesznie powziął plan. Sprzeda jeszcze pięćdziesiąt tysięcy buszli jeżeli cena dojdzie do dziewięćdziesięciu czterech i pół i będzie wtedy „macał“ rynek, oddając tu i owdzie małe partje, dla wypróbowania jego mocy; poczem, skoro odczuje, że rynek jest dosyć mocny, rzuci całe sto tysięcy odrazu, zanim tendencja zdąży osłabnąć.

Żałosny głos Grossmanna odzywał się od czasu do czasu, ale nikt nawet nie udawał, że go słyszy. Trójca Porteous'a i Leaycraft trzymali ceny na dziewięćdziesiąt cztery i jedna ósma, ale nie ujawniali skłonności do prze-forsowania dalszej zwyżki. Przez całe pięć minut nie dokonano żadnej tranzakcji. Giełda czekała na sprawozdanie z zapasów skontrolowanych.

I w gorączce tych porannych interesów i transakcyj rozwiła się idjotyczna wieść o ultimatum angielskiem do Porty. Pogłoska, wiadomość skąd powstała, tak samo wiadomo jak, znikła i teraz wszyscy równocześnie z niej drwili. Anglja miałaby wypowiedzieć wojnę Turcji! Taki głupi żart! Gdzie tu sens? Co za osioł puścił znów w ruch ten stary wytarty straszak wojenny? Niemniej jednak zwyżka utrzymywała się. Przypuszczano, że albo Leaycraft albo banda Porteous'a gotowa jest podtrzymać rynek; i, w miejsce bajki o ultimatum, zaczęło się rozpowszechniać mniemanie, że spodziewany raport stwierdzi spadek „skontrolowanych“ i że zupełnie pewne jest, iż zwyżka podniesie się jeszcze o parę punktów.

W miarę osłabienia zajęcia dla sytuacji bezpośredniej, tłum w halli zaczął się przersedzać; tu i owdzie była już pustka; nawet Grossmann, zniechęcony, cofnął się i zasiadł na ławce pod galerją dla publiczności. I jakiś duchesołości, dziwnie sprzeczny z rozgorączkowaniem, jakie panowało jeszcze przed kilku chwilami, — ogarnął pozostałych. Groźny Leaycraft, zarówno jak i Paterson z kliki Porteous'a, a nawet uroczysty Winston znaleźli sobie rozrywkę w skręcaniu otrzymanych depez w spiczaste pociski i rzucaniu ich w dal, z głęboką powagą śledząc bieg papierowych strzał. Na galerji gość jakiś — niewątpliwie podróżujący farmer z Zachodu — oparł nogi o barjerę i wnet cała halla zaczęła jęczyć „buty, buty, buty“.

W chwilę potem jeden z maklerów pędził zadyszany od strony pokoju telefonicznego, rzucił się na stopnie trybuny, łokciami utorował sobie drogę między agentami i ryknął ofertę.

— Zwarjował! — krzyknął Hirsch. — Patrzcie, zwarjował. Uważajcie, wpadnie w furję!

Schwytał maklera za ręce i pociągnął na środek. Inni podjęli ten okrzyk i zaczęło się popychanie przybysza od jednego do drugiego. Szarpali go, rozwiązali mu krawat, zrzucili z głowy kapelusz i wrzeszczeli na całe gardło: „Zwarjował! Zwarjował!“.

Podeszli inni maklerzy i agenci a Grossmann, nie wiedząc co się dzieje, podbiegł szybko i z szeroko otwartymi oczyma, wymachując ręką, na wszelki wypadek jęknął żalosnym głosem:

— Sprzedam dwadzieścia pięć na maj po dziewięćdziesiąt pięć i ćwierć!

Ale ofiara, człowiek dobrodusznej natury, włożył napowrót zrzucony kapelusz i powtórzył ofertę.

— Idź spać, — orzekł Hirsch.

— To on pobił Billy Patersona.

— Słuchaj, koń go ugryźł. Pilnuj go, wścieknie się lada chwila.

To zajście stało się natchnieniem do nowej „hecy“, która miała wielkie powodzenie — grono agentów zorganizowało się, utworzyli „komitet przeciwkrawatowy“ i, obchodząc dokoła hallę, zrywali starannie związane szaliki nieostrożnych, co nie usunęli się w porę. Grossmann oburzony „temi małpiemi pomysłami“, wycofał się ze środka sali stanął przed Leaycraft'em, plecami doń odwrócony i wymyślał, mruczając pod nosem, a tymczasem groźny Leaycraft, który prowadził poważną rozmowę ze swym sąsiadem, pozatykał ostrożnie szereg strzałek papierowych dokoła opaski na kapeluszu żyda i potem — bez cienia wesołości i nie przerywając rozmowy — podpalił papierki.

Landry mniemał obecnie, że dziewięćdziesiąt cztery i jedna ósma, to najwyższa cyfra, jakiej może się spodziewać dzisiejszego ranka i zaczął „odrabiać“ otrzymane zle-

cenia sprzedaży. Sprzedawał potrochu pszenicę aż wreszcie została mu tylko jedna duża partja.

Poczem, zupełnie nagle, z niewyjaśnionej przyczyny bezpośredniej, pszenica, wśród wybuchu okrzyków i złorzeczeń, podskoczyła na dziewięćdziesiąt cztery i ćwierć i, zanim giełda zdołała zaczerpnąć tchu, zbroczyła jeszcze o jedną ósmą a potem do pięciu ósmych.

Był to bezwątpienia skutek raportu o zapasach skontrolowanych, a jakkolwiek cyfry odnośne nie zostały jeszcze ogłoszone, niemniej był to znak, że raport nietylko już nadszedł ale, że może wywołać zniżkę.

W kilka chwil później został wywieszony na galerji pod tarczą i stał się wielką niespodzianką dla całej niemal giełdy. Nikt nie wyobrażał sobie, że zapasy są takie obfite, tak dalece wystarczające na pokrycie zapotrzebowania. Odbiło się to na giełdzie niezwłocznie. Podaż pszenicy wzmagala się błyskawicznie, cena zaczęła spadać, skazówka na wielkiej tarczy opadła na dziewięć dziesiąt trzy i siedem ósmych.

Landry był na wpół przytomny. Nie przewidział tego spadku. Nie można liczyć na te przeklęte „skontrolowane“ a on miał jeszcze do rozporządzenia pięćdziesiąt tysięcy buszli. Teraz nie można wcale przewidzieć jak niska cena spadnie. Trzeba zatem działać szybko i radykalnie. Przedostał się przemocą do kliki Porteous'a, odepchnął żydka Grossmanna, który mu stał na drodze i wyrzucił rękę niemal w twarz Patersona, krzyząc:

— Sprzedam pięćdziesiąt na maj po siedem ósmych.

Było to ostatnie z jego zleceń sprzedaży z wczesnego ranka.

Paterson potrząsnął głową.

— Sprzedam pięćdziesiąt na maj po trzy czwarte.

Nagle jakiś instynkt ostrzegł Landry'ego, że zbliża się dalsza zniżka. Wisiała w powietrzu dokoła niego. Odczuwał niemal fizycznie nacisk ponownych zwałów pszenicy przytłaczających cenę. Zrozpaczony poskrobał w ramię Patersona.

— Sprzedam pięćdziesiąt na maj po pięć ósmych.

— Biore, — odparł tamten, zlorzecząc, jakgdyby odpowiadał na wyzwanie.

I w środowisku tego zamętu, wśród tego spadku ceny, Szczęście, złociste bóstwo, przesunęło się ze szmerem i blaskiem swoich błyszczących skrzydeł i, zanim jeszcze telegraf w biurze Gretry'ego zasygnalizował niżkę, zwrot konjunktury odbił się już na karcie wymiany Landry'ego i Curtis Jadwin był zobowiązany pokryć przed południem na ostatni dzień maja dostawę miliona buszli pszenicy na ręce przedstawicieli wielkich Byków giełdy.

Ale teraz zakończyły się właściwe obroty ranne i giełda miała pełną tego świadomość. Grossmann, uparty, jakby zahypnotyzowany jedną myślą, stał na zwykłym swoim miejscu na najwyższym stopniu trybuny, i, od czasu do czasu, rzucał, swój krzyk żalony, któremu towarzyszył ten sam rozpaczliwy giest:

— Sprzedam dwadzieścia pięć na maj, po dziewięćdziesiąt pięć i trzy czwarte.

Nikt go nie słuchał, agenci stali dokoła w postawach wyczekujących, patrząc na siebie wzajemnie, czekając sami nie wiedzieli na co, nie odchodzili w obawie, że może jeszcze „coś się wytłómaczy“, w chwili, gdy opuszczają hallę.

Wrzawa zmniejszała się stopniowo, ustawała i znów wybuchała, poczem nagle ucichła. Tu i owdzie tylko odzywała się oferta, jak przerywany trzask ręcznej broni po zaprzestaniu kanonady.

Przez chwilę krzyki ponowiły się. Naraz rozległ się dźwięk gongu.

Agenci zaczęli powoli opuszczać hallę. Ukazał się stary woźny w mundurze i łagodnie popychał ku drzwiom grupy, wśród których dogorywały jeszcze leniwie podaży i popyt. Strofujący głos jego powtarzał bez przerwy:

— Panowie, koniec. Idźcie teraz na śniadanie. Czas na śniadanie. Panowie, proszę wychodzić, bo będę musiał zameldować.

Fala ruszyła ku drzwiom. Na galerji powstali nieliczni goście i zabierali się do odejścia. Na prawo od wejścia do halli tłum agentów i maklerów tłoczył się i popy-

chał, jeden przez ramię drugiego sięgał do wieszadeł po swój kapelusz i „ulster“, a potem, w coraz liczniejszych gromadach, wychodzili drzwiami południowymi i północnymi, w drodze do swoich biur.

Halla opróżniała się powoli. Trybuny agentów opustoszały, a wrzawa ucichła zupełnie, odezwały się raz jeszcze tylko aparaty telegraficzne wspólnie z okrzykami gońców.

Posadzka, czysto zamieciona zrana, zasłana teraz była rozsypanem ziarnem owsa, pszenicy i jęczmienia, wiązkami siana, strączkami, łupinami jabłek i pomarańczy, podartymi gazetami, resztkami kart wymiany, zmiętymi pociskami papierowemi, a nadewszystko niezliczoną ilością żółtych blankietów telegraficznych, które leżały poddeptane i zabrukane setkami nóg. Były to ostatki pola bitwy, opuszczone przeszkody i strzaskany oręż walczących armji, szczątki zatargu, podarte, połamane, które, po skończeniu codziennych zapasów, zaścieleły plac boju.

Wreszcie skołał nawet stuk ostatniego aparatu telegraficznego. Operatorzy rzucili się tłumnie do wieszadeł z płaszczami, poczem, opowiadając wesołe koncepty, wyszli z gmachu. Po chwili ukazały się szorowaczki, niosące dymiące cebry, a zamiatacze, pchając przed sobą wielkie miotły, zaczęły zbierać na stopy śmiecie z posadzki.

Pomiędzy trybuną zbożową, a pszeniczną zjawilo się teraz grono bardzo młodych ludzi — niektórzy nie przekroczyli jeszcze wieku chłopięcego; byli to pomocnicy agentów. Każdy z nich trzymał w rękę długą książkę rachunkową, a zadanie ich polegało na zapisywaniu umów w ciągu ranka zawartych, na notowaniu kolei każdej partji pszenicy, która w ciągu operacyj giełdowych przechodziła może dwadzieścia razy z rąk do rąk. Wołania tych młodzieńców: „Pszenica, sprzedana firmie Teller i West“, „Pszenica majowa, sprzedana firmie Burbank i S-ka“, „Owies majowy, sprzedany firmie Gretry, Converse i S-ka“ — odbijały się głośnem echem od ściany do ściany w opustoszałej halli.

Bury kot, przystrojony w psią obrożę z niklu i czerwonej skóry, wyszedł z ubieralni i sunął leniwie po posadz-

ce. Był widocznie w przyjaznym nastroju, albowiem, w odpowiedzi na życzliwe powitania wychodzących agentów, podnosił ogon, wyginał grzbiet w kabłąk i ocierał się o nogi pustych krzesel. Odźwierny, wszedłszy, pospuszczał wysokie kolorowe okna, przy pomocy długiego pręta. Z kąta, gdzie kilku stolarzy naprawiało stół od prób, dobiegał zgrzyt piły i stuk młotka.

Wreszcie odeszli nawet pomocnicy handlowi i odrazu zapanowała wielka cisza, przerywana tylko ostrym zgrzytem piły stolarskiej i głosem odźwiernego, rozmawiającego wesoło z szorowaczkami. Odgłos kroków, dobiegający zdala, odbijał się tu echem, jak w kościele.

Szorowaczki zalały posadzkę gorącą wodą z mydlinami. Przed stolikami próbek Murzyn zmiatał do śmieć całe buszle porzrzuconej, zgniecionej, podeptanej pszenicy.

Kampanja dnia dzisiejszego skończyła się. Minęła już godzina druga. Na wielkiej tarczy na wschodniej ścianie wskazówka stała — niby straż — na 93. Stuk i ryk wiru, potężnej siły, która kieruje falą pszenicy, odezwie się dopiero następnego ranka.

Wreszcie odeszły szorowaczki, opuścił hallę i odźwierny. Rozpostarła się bezwzględna cisza, zapanował niezamącony niczem spokój. Promienie słońca popołudniowego wpadały przez okna zachodnie długimi równoległymi smugami, pełnemi wirujących złocistych pyłków. Nigdzie najlżejszego dźwięku, znikąd żadnego odgłosu. Pustka opanowała giełdę zbożową.

Jedynie na skraju opuszczonej trybuny pszenicznej, w miejscu, gdzie światło słoneczne padało najgorętszym promieniem, pozostał atom życia w ogromnej pustej halli — bury kot mył się i lizał starannie sierść od wewnętrznej strony uda, podniósłszy wysoko nad łbem łapę, jakby wywichnięta.

ROZDZIAŁ IV.

We frontowej bawialni Cresslerów zebrało się nieliczne towarzystwo — Laura i Page Dearborn, pani Wessels i panna Gretry, niezgrabna, dziewiętnastoletnia dziewczyna o pospolitej twarzy, wystrojona w niebieską jedwabną dekoltowaną suknię. Curtis Jadwin i pan Cressler, pałac, stali przy kominku. Landry Court wiercił się na kanapie, udając, że słucha słów panny Gretry, która opowiadała mu długą historję swoich odwiedzin u jakiejś bogatej krewnej, posiadającej majątek ziemski w Wisconsinie i hodującej przeróżne gatunki drobiu. Posiada więc trzy tysiące kur — bramy, fawerolle, houdany, dorkingi, a nawet pawie i oswojone przepiórki.

Sheldon Corthell, trzymając w palcach niezapalony papieros, rozprawił z Laurą i panią Cressler o wiosennej wystawie akwarelistów, czemu Page przysłuchiwała się znudzona. Ciotka Wessels przewracała kartki albumu rodzinnego, licząc fotografie pani Cressler w nim zawarte.

Podano właśnie czarną kawę. Była to trzecia próba sztuki, która miała być odegrana na rzecz funduszu, mającego zapewnić utrzymanie opiekunki dzieci w szkole niedzielnej Jadwina przy szpitalu, i pani Cressler zaprosiła członków trupy na obiad. Teraz czekano właśnie na przybycie „reżysera“, pana Gerardy, który się zawsze spóźniał.

— Mojem zdaniem — zauważył Corthell — akwarella, która rości pretensje, że jest czemś więcej od szkicu,

przekracza zakreślone jej granice. Drobiazgowo wykonaną akwarellę należy, według mnie, oceniać tą samą miarą, co malowidło olejne. A jeżeli tak jest, dlaczego odrazu nie malować obrazów olejnych?

— A z tem wszystkiem, proszę pana, ani jednego jajka na śniadanie w całej miejscowości — mówiła panna Gretry cienkim głosikiem.

Była zakłopotana, zmieszana. Ze wszystkich obecnych ona jedna pomyliła się co do charakteru zebrania i przybyła w tualecie wieczorowej. Ale przebaczano Izabeli Gretry takie pomyłki; przyzwyczajono się do tego, że stale robiła wszystko na opak; stale wyrывała się z niebacz-
nem zdaniem, stale zdarzały się jej niemiłe wypadki, stale ukazywała się w niestosownej tualecie. Pomimo lat dziewiętnastu, pozostała nierozwiniętym, niezgrabnym podlotkiem.

— Nigdy ani jednego jajka i trzy tysiące kur w kur-nikach — ciągnęła dalej. — Niech pan tylko pomyśli! Jedne miały pypeć, inne... czy ja wiem co? Dosyć, że nie znosiły wcale jajek.

— Trzeba było łechtać je w pięty — oświadczył z wielką powagą Landry.

— Łechtać w pięty?

— Najlepszy środek w świecie na kury, które nie chcą jaj znosić. To je podnieca. Każdy wie o tem.

— Ktoby to pomyślał! Napiszę jutro do ciotki Alicji.

Cressler obciął czubek świeżego cygara i, zwracając się do Curtisa Jadwina, zauważył:

— Myślę, że Leaycraft sam stracił blisko pięćset tysięcy.

Mówił o transakcji Jadwina pszenicą majową, dokonanej w ubiegłym tygodniu. W połowie sesji porannej, naj-
zajutrz po sprzedaży miljona buszli Jadwina, wybuchła nowina o wniosku, złożonym w izbie francuskiej. Śród niesłychanej wrzawy cena spadła.

Panika opanowała zwyżkowców. Groźny Leaycraft był odrazu zdruzgotany. Trójca Porteous'a usiłowała po bohatersku wziąć na swoje barki pszenicę, ale ciężar był

za wielki. Ustąpili i oni, a pozbawiona ich poparcia pszenica majowa, z początkowych dziewięćdziesięciu trzech i pięciu ósmych, spadła po pierwszym ataku na dziewięćdziesiąt dwa; w tej cenie trzymała się przez chwilę, poczem znów spadła na dziewięćdziesiąt jeden i pół na dziewięćdziesiąt jeden i, w przewlekłym dreszczu osłabienia, spadała dalej do dziewięćdziesięciu, osiemdziesięciu dziewięciu a wreszcie — w końcowym upadku — zsunęła się do osiemdziesięciu ośmiu centów.

Po tej cenie Jadwin zaczął „pokrywać”. Groziło niebezpieczeństwo, że zakup takiej wielkiej partji mógł spowodować poprawę ceny. Ale Gretry, wytrwały mistrz giełdy zbożowej, rozpraszał swoje zlecenia i kupował stopniowo, tak, że nagromadzenie zboża trwało kilka dni. Szczęście Jadwina — niezawodny złotoskrzydły anioł-stróż, jakby wziął pod swoją bezpośrednią opiekę tę sprawę; sprawozdania o wczesnych deszczach w pasach pszenicznych trzymały cenę na jednym poziomie, tak, że transakcja powiodła się świetnie, a Gretry śmiał się w kułak, zadowolony, że podszedł bandę Porteousa. Jadwin nie znał dokładnie sumy zarobku przyjaciela. Sam otrzymał od Gretry'ego czek na pięćdziesiąt tysięcy dolarów, z których każdy cent był czystym zyskiem.

— Nie będę ci wieszował — mówił dalej Cressler — wolałbym raczej, żebyś poniósł stratę, gdyby cię to mogło na dobre powstrzymać od giełdy. A teraz zapaliłeś się... Wiem... dobry Boże, czyż ja nie wiem... Znam to z własnego doświadczenia. Wiem jak się człowiek wciąga w tę grę spekulacyjną...

— Karolu, to nie była spekulacja—przerwał Jadwin. — To była pewność. To były pieniądze znalezione! Gdybym się dowiedział, że wartość jakiejś nieruchomości podniesie się wkrótce, to kupiłbym ją, nieprawda?

— Tem gorzej, jeśli ta transakcja wydała ci się taka łatwa i pewna. Czy wiesz — dodał nagle, — czy wiesz, że Leaycraft wyjechał do Dubuque, gdzie będzie prowadził księgi w koncernie towarowym?

Jadwin szarpnął wąsa. Patrzył na Laureę ponad głowami Landry'ego i panny Gretry.

— Karolu, — rzekł znienacka — na honor, jaka ona cudowna... jakie ta dziewczyna ma cudowne włosy.

Laura miała dzisiaj włosy upięte bardzo wysoko — lśniące kruczki spłoty podtrzymywał oryginalny, ręcznie rzeźbiony grzebień z kości słoniowej, odziedziczony po babce. Ubrana w suknię z czarnej tafty, z różą ponsową przypiętą do stanika, siedziała na fotelu wyprostowana, a przechyliwszy głowę nieco w bok, słuchała uważnie co mówił Corthell.

Nowa siedziba pań Dearborn była już teraz w zupełnym porządku, — wszystko stało na swoim miejscu, rozpoczął się normalny tryb życia. Pierwszy miesiąc w nowem otoczeniu dał Laurze nieprzerwany szereg drobnych rozkoszy. Do szablonowych rozrywek towarzyskich nie miała upodobania. Zostawiła je Page, która, skoro tylko minął Wielki Post, rzuciła się w wir „herbatek“, „klubów tanecznych“, obiadów i widowisk teatralnych. Pani Wessels była jej opiekunką; z wielkiem zadowoleniem towarzysząc ładnej siostrzenicy, uczestniczyła w przeróżnych rozrywkach, które zapełniały czas młodej dziewczyny.

Co piątek przesiadywała na galerji eleganckiej szkoły tańca, przyglądając się tańczącej Page od „pierwszego walca“ do ostatniej figury kadryla. Liczyła przytem starannie tańczące pary, a w drodze powrotnej do domu wysnuwała zawsze wnioski z porównania danego wieczoru z poprzednim, a także skwapliwie informowała Laurę ile razy Page tańczyła z jednym i tym samym młodzieńcem.

Laura spędzała czas zupełnie inaczej. Zabrała się do systematycznego czytania dzieł poważniejszych; dwa razy w tygodniu — w poniedziałki i czwartki — miała lekcję francuskiego. Corthell zastąpił przy niej panią Wessels i towarzyszył jej na liczne koncerty i odczyty. Zdołał nawet nakłonić panie do tego, że raz na tydzień poświęcały mu specjalnie popołudnie i spędzały je w jego pracowni w gmachu Sztuk Pięknych, gdzie czytał głośno „Wigilję Ś-tej Agnieszki“, „Sordello“, „Światło Azji“ — poematy, które przekładnią wyrazów, niejasnością, zdumiewającą, arabską retoryką oszałamiały nic nie rozumiejącą ciotkę Wessels i wprawiały ją w osłupienie.

Dla Laury miały te czytania wielki urok. Pracownia była wytwornie urządzone, wysoka, światło przyćmione; dźwięk głosu Corthell'a odbijał się od ciężkich portjer aksamitnych przyciszonym szeptem. Woń delikatnych ka-
żidel unosiła się w powietrzu.

Takt i subtelność artysty nie mogły nie oddziaływać na Laurę. Nigdy nie wspomniał słowem o rozmowie w f o-
y e r Opery; ale całem obejściem dawał jej do poznania, że ją kocha wiernie i stale. Że cierpliwie czeka na niespo-
dziewany, a jemu sprzyjający, rozwój wypadków.

Landry Court odwiedzał Laurę ilekroć tylko pozwo-
liła. Raz jeden uprosił ją, żeby wraz z Page towarzyszyły mu na operę komiczną i był niepokieszony, że Laura nie okazała wielkiego zajęcia dla widowiska. Przy każdej na-
darzającej się sposobności wybuchał gorącym wyznaniem miłosnem. Ustawicznie zapewniał o swym głębokim sza-
cunku, z zupełnie niepożądaną skwapliwością i powagą.

Ale niebawem sytuacja skomplikowała się szybko wejściem na scenę osoby niespodziewanej. Tą osobą był Curtis Jadwin. Niepodobna było zaprzeczyć faktowi, że Jadwin zakochał się w protegowanej pani Cressler. Ten „businessman“ nie posiadał wymownej powściągliwości Corthell'a, ani jego taktu; starszy od Laury, światowiec, przyzwyczajony postępować w każdej sytuacji jawnie, prostą drogą, Jadwin, w przeciwieństwie do Landry'ego Court'a, nie bał się Laury wcale. Od początku zniewolona była zająć stanowisko obronne. Jadwin był zaczepny, nakazujący, a zaloty jego cechowała uporczywość i gwałtowność prawdziwego ataku.

Landry był posłuszny na każde jej skinienie, Corthell drażnił ją tylko w tych rzadkich chwilach, kiedy mówił wyraźniej o swej miłości; Jadwin zaś nie zostawiał jej czasu do zastanawiania się nad sposobem obrony. Nie pozwalał jej nawet wybierać miejsca i czasu szermierki, a chcąc zapobiedz jego wtargnięciu do poufnej, osobistej dziedziny, którą pragnęła zachować zamkniętą, Laura musiała się uciekać do niewieściego kunsztu działania na zwłokę i do wybiegów strategii kobiecej.

Urządzał się tak, żeby ją spotykać wszędzie. Wciąż-

gnął panią Cressler do swojej kampanji jako pomocnicę, i spotkania następowały jedne po drugich ze zdumiewającą szybkością. Raz łoża w teatrze, to znów obiad, koncert, a najczęściej przejażdżka po parku Lincolna kłusakami Jadwina. Zaprosił nawet Cresslerów i Laurę do swojej szkoły niedzielnej na uroczystość wielkanocną, z której Laura wyniosła mętne wspomnienie olbrzymich napisów (a były to wyjątki z Pisma Ś-go), całych snopów lilji, hymnów, wybiegających z ogłuszającym wrzaskiem z siedmiuset rozwartych szeroko ust, i unoszącej się ponad tem wszystkim przykrej woni ubóstwa i brudu, zmieszanej z zapachem lilji i aromatycznych festonów z liści ewonimuszowych.

Tak minął pierwszy miesiąc jej nowego życia. Laura nie zaprzętała sobie głowy myślą o przyszłości. Za bardzo radowała się wyzwoleniem z ciasnego widnokregu otoczenia poprzedniego. Nie zastanawiała się nad skutkami. Wszystko pójdzie własnym trybem, a skutki nastąpią bez wysiłku z jej strony. Nigdy nie zapytywała siebie, czy kocha jednego z trzech mężczyzn, ubiegających się o jej względy. Była pewna, że nie jest jeszcze gotowa do zamążpójścia. Myśl o małżeństwie przejmowała ją nawet pewnym niesmakiem. Lubiła bardzo Landry'ego Court'a; rozkoszowała się popołudniowymi godzinami, spędzanymi w pracowni Corthell'a; przejażdżki w parku koźmi Jadwina sprawiały jej niesłychaną przyjemność. Pragnęła, aby to wszystko trwało jaknajdłużej, ale nie ominęła ani jednej sposobności, żeby nie oburzyć ciotki Wess' oświadczeniem:

— Nie kocham nikogo... Nie pójdę nigdy zamąż.

Page, zawsze moralistka, paradująca swemi ideami o „dobrych manierach“, oświadczyła kategorycznie, wydymając usteczka, że jej siostra jest flirciarka. Tak jednakże nie było. Laura nigdy nie zwodziła swoich wielbicieli, nigdy nie ukrywała przed jednym, że inny dotrzymywał jej towarzystwa, gdy zdarzało się zatem, że, podobnie jak dzisiaj, wszyscy trzej byli razem, nie traciła równowagi duchowej ani humoru.

Nareszcie, około godziny pół do dziewiątej, zjawił się

pan Gerardy. Przez całą zimę teatry amatorskie były bardzo w modzie, a Gerardy stał się niezbędny i był rozrywany. Stąd nadawał sobie tony i stosował metodę surowości. Pozował na mistrza nieubłaganego, wiecznie niezadowolonego, obchodził się z amatorami bez ceremonji, łajał ich i pomiatał nimi. Niskiego wzrostu, popędlawy, nosił surdut o wiele za ciasny, powiewający krawat purpurowy, przeciągnięty przez pierścionek, i olbrzymie mankiety z wielkimi spinkami z onyksu meksykańskiego. W butonierce miał zawsze nieodzowny ponsowy goździk, zeschnięty, pokurczony, żaloszny. Przesiąknięty wonią perfum, mówił o sobie jako o artyście i dawał do zrozumienia, że, w chwilach wolnych od kierowania teatrami amatorskimi, poświęcał się malowaniu krajobrazów. Corthell ignorował go zupełnie — udając, że go nawet nie widzi.

Z egzemplarzem sztuki w ręku, pan Gerardy stuknął w obcasy na środku posadzki i skrupulatnie wszystkim po kolei złożył ukłon, przyczem głowa jego za każdym razem opadała naprzód, jakgdyby wywichnięta.

Poczem wyjaśnił przyczynę opóźnienia. Mówił po angielsku bez akcentu cudzoziemskiego, ale kiedyś zwroty były czysto francuskie.

— Proponuję, żebyśmy zaczęli odrazu — oznajmił. — Dzisiaj akt drugi, a potem, jeżeli starczy czasu, trzeci... z egzemplarza. Na dzisiaj będzie dosyć.

I położył rękę, na znak, że nie dopuści do najmniejszego protestu.

Wszyscy słuchali go uważnie, oprócz Corthell'a, który, odwrócony doń plecami, mówił w dalszym ciągu do Laury, nie zniżając głosu, tak, że podczas przemowy Gerardy'ego słychać było urywki zdań: „Rozkład cieni i światła“... „rozplanowanie farb“... „efekty kompozycji“.

Pan Gerardy łypnął groźnie oczami w jego stronę i uderzył ostro egzemplarzem w dłoń.

— Dosyć rozmowy — krzyknął. — Do roboty! Tutaj jest scena. Panno Gretry, czy mogę prosić? — Opróżnił niewielką przestrzeń na końcu pokoju, usunąwszy krzesła. — A teraz proszę uważać. Tutaj — postawił krzesło po

swej prawej stronie z takim rozmachem, jakgdyby zatykał sztandar — jest przedsiónek wiejskiego pałacyku lorda Glendale.

— Aha! — szepnął Landry, mrugając uroczyście na Page — krzesło jest przedsiónek domu.

— A tutaj — wrzasnął Gerardy, ciskając wściekle spojrzenie na Landry'ego i stawiając z hukiem drugie krzesło — jest ławka darniowa i stół składany, nakryty do śniadania.

Page roześmiała się, zasłaniając się egzemplarzem sztuki. Gerardy z rozdętymi nozdrzami odwrócił się do niej plecami. Starsi, którzy nie mieli brać udziału w przedstawieniu, — Jadwin, Cresslerowie i ciotka Wess' — cofnęli się w najdalszy kąt, a pani Cressler oznajmiła, że będą stanowili publiczność.

— Na scenę! — wołał Gerardy spocony, skutkiem zabiegów z meblami. — Marion wchodzi nieśmiało i z wahaniem na lewo od środka. Kto jest Marion?... Panno Gretry proszę; i, na miłość boską, niechże pani uważa na swoją kolej. Pst! pst! — krzyknął, wymachując rękoma. — Proszę o chwilę ciszy. A teraz, Marion.

Izabela Gretry, trzymając egzemplarz w ręku, a palec na wyrazach, od których miała zacząć, weszła tedy i mówiła:

— „Ach, raz jeszcze stary dom rodzinny. Oto pnące róże“...

Ale pan Gerardy, zaciskając usta, jakgdyby w bohaterским wysiłku dla pokonania wzburzenia, rzucił się na krzesło, odwrócił się plecami i gwałtownym ruchem założył nogę na nogę. Panna Gretry umilkła, bardzo zmieszana, i patrzyła z przerażeniem na podnoszące się konwulsyjnie ramiona reżysera.

Nastąpiło naprężone milczenie, poczem:

— Czy to... czy to nie tak?

Jakgdyby te słowa nacisnęły sprężynę, pan Gerardy zerwał się na równe nogi.

— Wielki Boże! Którędy pani weszła?... czy to jest na lewo od środka? Weszła pani przez darniową ławkę i składany stół, nakryty do śniadania. Ładny to bę-

dzie widok na przedstawieniu! Marion przełazi przez darniowe śniadanie i składaną..., przez darniową ławkę i składany stół... cha, cha, cha! Śliczne wejście na scenę! — I klasnął w dłonie, uśmiechając się sarkastycznie. — Publi- czność będzie zachwycona.

Panna Gretry tymczasem wróciła znów na lewo od środka.

— „Ach, raz jeszcze stary dom rodzinny. Oto...”

— Stop! — huknął pan Gerardy. — To się nazywa nieśmiało i z wahaniem? Jeszcze raz te słowa... Nie, nie. To zupełnie nie tak. Powolniej, więc... Proszę, niech pani uważa na mnie.

I urządził wejście z przesadnym efektem, wlokąc jedną nogę za drugą, czepiając się urojonego płotu i mówiąc drżącym falsetem:

— „Ach! stary dom rodzinny... ach... raz jeszcze. Oto...” Widzi pani tak trzeba mówić. A teraz, powtórzmy to wejście. Niech pani nie wchodzi zbyt prędko po podniesieniu kurtyny. Uwaga! Klasnę w dłonie zamiast kurtyny i będę liczył do trzech. — cofnął się i, wsunawszy egzemplarz pod pachę uderzył w dłonie — a teraz, raz... dwa... trzy.

Ale Izabela Gretry, pamiętając o roli, pomieszała kierunki sceny.

— „Ach, stary dom rodzinny“...

— Na lewo od środka — przerwał reżyser, tonem udreżonej cierpliwości.

Umilkła, wylękniona, i, mniemając, że powiedziała za prędko, zaczęła ponownie:

— „Oto pnące...”

— Na lewo od środka.

— „Ach! stary dom rodzinny“...

Pan Gerardy poruszył się rozpaczliwie na krześle, oparł głowę na dłoni i zamknął oczy. Miał postawę Galileusza, który, wśród tortur, oświadczył: „A jednak się porusza“.

— Na lewo od środka.

— Och!... och, tak. Zapomniałam.

Pan Gerardy zwrócił się do świecznika z gorzkim uśmiechem:

— Cha, cha, cha! Ona zapomniała.

Marion jeszcze raz powtórzyła wejście, a pan Gerardy dawał gorączkowe sygnały Page, wołając ochryplym szeptem:

— Lady Mary, teraz na panią kolej. Za minutę pani wchodzi. Proszę pamiętać ostatnie wyrazy.

— Tymczasem Marion mówiła dalej:

— „Oto pnące wino“...

— Róże.

— „Pnące róże i wino...“

— Same róże, bez dodatku.

— „Oto pnące róże same“...

— Panno Gretry, czy pani zechce wyświadczyć mi nadzwyczajną przysługę i trzymać się ściśle egzemplarza?

— Myślałam, że pan powiedział...

— Dalej, dalej, dalej! Na Boga, jak można być taką głupią?... Lady Mary, teraz pani.

— „Oto pnące róże objęły stare kamienie miłującym uściskiem. Ptaki siedzą w tych samych starych gniazdach...“

— Dobrze, dobrze... lady Mary, gdzie pani jest? Pani wchodzi od przedsionka.

— Czekam na ostatnie wyrazy — broniła się Page. — Wchodzę po słowach: „Czyż niema tu już nikogo, ktoby mnie pamiętał?“

— Słuchaj — szepnęła Landry podchodząc z tyłu do Page — jakby do pysznie wyglądało, żebyś tak mogła wejść, prowadząc charta!

— Ach, tak... panno Gretry! — krzyknął Gerardy, — opuściła pani ostatnie wyrazy. — Stał się teraz niemile ugrzecznony. — Proszę powtórzyć jeszcze raz.

— Pies wyglądałby kapitalnie na scenie, — szeptał Landry. — I wiem skąd mógłbym psa dostać.

— No skąd?

— Od jednego z moich przyjaciół. Ma przecudnego niebieskawo - szarego...

Spostrzegli się nagle, że panuje złowieszcze milczenie.

Reżyser, skrzyżowawszy ręce, patrzył na Page piorunującym wzrokiem.

— „Nikogo ktoby mnie pamiętał“ — wybuchnął nareszcie. — Powtórzyła trzy razy.

Page pośpieszyła na scenę, mówiąc:

— „Ach, i znów precudny poranek. Latorośl winna skąpiana w rosie“. — Poczem podniosła głos i, zwracając się w stronę domu: — „Arturze!“

— „Arturze“ — ostrzegł reżyser — to pan, panie Corthell. Gotów pan?... dobrze. A teraz, panno Gretry, pani ma tu coś do powiedzenia.

— Kiedy nie mogę, — szepnęła Izabela, trzymając chusteczkę na twarzy.

— A to co? Proszę dalej. Pani mówi: „Nie mogę być tutaj widziana, Zdradziłoby to wszystko“. Poczem ukryje się pani w altance. No, proszę, po tych wyrazach dopiero mówi Artur.

— Nie mogę — wyjąkała dziewczyna z po za chusteczki.

— Pani nie może? A to dlaczego?

— Bo... bo mi krew idzie z nosa.

Tu pan Gerardy stracił zupełnie panowanie nad sobą. Odwrócił się, schwytał się ręką za głowę i wznosił oczy, jakgdyby w milczącym błaganu do nieba; poczem wykręcił się i, trzęsąc swoim egzemplarzem przed obliczem nieszczęsnej Marion, krzyknął wściekłym tonem:

— Tego tylko jeszcze brakło. Powinna pani nareszcie zrozumieć, że kto ma próbę teatralną, temu nie może krew iść z nosa. To nieprzyzwoicie.

Panna Gretry wyszła śpiesznie, a Laura zbliżyła się, żeby oznajmić, że gotowa jest czytać rolę Marion.

— Nie, nie! — krzyczał pan Gerardy. — Pani... ach, gdyby wszyscy byli tacy jak pani! Pani bardzo uprzejma, ale to nie dosyć. Jestem znieważony.

Wszyscy, zdziwieni, otoczyli Gerardy'ego. Usiłowali go uspokoić — wszak panna Gretry nie miała zamiaru go lekceważyć; zdarzało jej się to rzeczywiście często, jest

bojaźliwa, nerwowa. Ale pan Gerardy był głuchy na wszelkie perswazje. O, nie! Wie dobrze co się należy dżentlmenowi. Zamknął oczy, podniósł brwi, aż do osady włosów i szeptał z godnością, że jest obrażony. Na wszystkie wyjaśnienia odpowiadał tylko jednym frazesem:

— Nie można sobie pozwolić na krwawienie nosa podczas próby teatralnej.

Laure zaczęło ogarniać rozdrażnienie. Nieszczęsna Izabela Gretry opuściła pokój, tonąc we łzach. Nieodpowiednia toaleta, strofowanie, jakiego nie szczędził jej pan Gerardy i wreszcie krwawienie nosa przygnębiło ją tak dalece, że była bliska spazmów. Udała się z panią Cressler do jadalni, skąd dobiegały od czasu do czasu odgłosy jej rozpaczki. Laura uważała, że czas jest wdać się w tę sprawę. Ostatecznie kim jest ten jegomość Gerardy, że ośmiela się takim tonem przemawiać? Biedna Izabela nic nie zawiniła. Laura wpatrzyła się w małego Francuza przenikliwym wzrokiem, a Page, która w tej chwili spojrzała na siostrę, poznała „wielkie tony“ i szepnęła do Landry'go:

— Niech on się ma na baczności, posunął się do ostatecznych granic tego, na co Laura pozwoli.

— To nieprzyzwoicie — powtarzał z uśmiechem Francuz. — To niedopuszczalne. Jestem obrażony.

— Panie Gerardy — odezwała się Laura—przeistany o tem mówić, bardzo proszę.

Nastąpiła chwila milczenia. Pan Gerardy udawał, że nie słyszy. Sapał głośno, a Page skwapliwie zauważyła, że Marion nie występuje w scenach następnych. Wreszcie pan Gerardy, przybierając zwykły wyraz twarzy, rzekł:

— Grajmy dalej. Nic nie zyskamy na stracie czasu. Teraz lady Mary i Artur... proszę na scenę.

I próba rozpoczęła się na nowo. Laura, która nie występowała w tym akcie, powróciła na krzesło w rogu pokoju.

Ale grono, które tu początkowo siedziało, rozpierzchło się. Pani Cressler pozostała w jadalni z małą Gretry, zaś Jadwin, ciotka Wessels i Cressler prowadzili ożywioną dyskusję na temat odczytywania myśli i spirytyzmu.

Spostrzegłszy, że Laura powróciła na dawne miejsce, Jadwin odłączył się od nich i usiadł przy niej.

— Biedna panna Gretry! — zauważył. — Zawsze to samo. Nie ma szczęścia. Posłałem (po sole angielskie.

Laura miała wrażenie, że kapitalista jest tego wieczora przystojniejszy niż zwykle. Nie ubierał się nigdy z takim „szykiem“ jak Sheldon Corthell lub Landry Court, ale ona nie spodziewała się też po nim tego. Nie nosił nigdy, jak zauważyła, garniturów „stylowych“, ale każde jego ubranie wykonane było z najlepszego materiału przez pierwszorzędnego krawca.

— Może przejdziemy do saloniku — zaproponował zmienacka. — Karol kupił w ubiegłym tygodniu nowy zegar, istny cud. Powinna go pani obejrzeć.

— Nie — odparła. — Dobrze mi tutaj i chcę widzieć jak Page gra w tym akcie.

— Obawiam się — rzekł znów po chwili — że pani niezbyt przyjemnie spędziła czas w niedzielę popołudniu.

Miał na myśli uroczystość wielkanocną w swojej szkole. Laura wyszła przed końcem, tłumacząc się newralgią i zaproszeniem na obiad.

— Dlaczego?... przeciwnie — odparła. — Tylko istotnie miałam lekki ból głowy.

Z przykrością stwierdziła, że wspomnienie, jakie jej pozostawił Jadwin z owego popołudnia nie było dlań pochlebne. Wygłosił w szkole przemowę, poważną, to prawda, ale w tonie stanowczo konwencjonalnym. A widok, jaki przedstawiał, kierując śpiewami, wybijając takt książką z psalmami i oświadczając między jednym werseciem a drugim, że w „wersecie następnym pragnie usłyszeć głos każdego“, nie przemawiał do jej wyobraźni. Wyobrażała sobie Sheldona Corthell'a w tej roli i nie mogła się powstrzymać od uśmiechu. Musiała przyznać, pomimo protestów sumienia, że woli pracownię malarską od szkoły niedzielnej.

— Jakże mi przykro — zauważył Jadwin — że pani miała ból głowy. Sądzę, że moje małe baki (zawsze w ten sposób mówił o dzieciach swojej szkoły) robią więcej hałasu niż muzyki.

— Zajęły mnie bardzo.

— Nie, niech mi pani wybaczy, ale obawiam się, że tak nie było. Moje małe baki nie są zajmujące... ani gdy kto na nie patrzy, ani gdy ich słucha. Ale ja... nie wiem doprawdy sam, — zaczął szarpać wąsa; — wydaje mi się, że przebywanie wśród nich i kierowanie nimi o d p o w i a d a mojemu usposobieniu. Pani wie, że to Moody skierował mnie na tę drogę. Był tutaj przed pięciu laty; poszedłem na jeden z jego wielkich mityngów, a potem byłem na wszystkich. Rozmawiałem z nim i, mówię pani, panno Lauro, że poruszył mnie do głębi. Nie zwróciłem się „ku religji“. Nie, bynajmniej. Ale uświadomiłem sobie, że należy się ocknąć i zabrać do czynu i przyszedłem do przekonania, że zasady kupieckie są równie dobre w religji jak na ulicy La Salle że, gdyby duchowni przystępowali do ocalenia duszy z taką samą energją, przebiegłością i siłą spółzawodnictwa jak do ocalenia dolarów, moglibyśmy osiągnąć wielkie wyniki. Wziąłem tedy w swoje ręce sześć zbankrutowanych koncernów szkół niedzielnych, które przez cały czas zwalczały się tylko wzajemnie, złączyłem je wszystkie razem... utworzyłem prawidłowy trust, jak-gdyby to były odlewnie żelaza... wydalilem ludzi niekompetentnych, osadziłem na ich miejsce swoich podwładnych i dałem całemu przedsięwzięciu podstawę handlową. I teraz, ośmielam się twierdzić, że w całym Chicago niema lepiej z o r g a n i z o w a n e j szkoły niedzielnej. Jestem pewien, że gdyby Moody był tutaj dzisiaj, powiedziałby, „Jadwinie, sprawileś się doskonale, jesteś dobrym i wiernym sługą bożym“.

— Nie wątpię o tem, panie Jadwin, — pośpiesznie zapewniła Laura. — I niech pan nie przypuszcza, że ja nie uznaję, iż pan dokonywa wzniosłego dzieła.

— To dzieło odpowiada mojemu usposobieniu — powtórzył. — Przywiązałem się do swoich małych baków, a od czasu do czasu zdarza się, że znajdę takiego, którego warto pchnąć dalej. Przed jakimi czterema miesiącami wpadł mi w oko chłopiec, mogący mieć lat szesnaście; nazywa się Bradley... Billy Bradley; ojciec zakamieniały pijak; matka praczka, siostra... nie mówmy o niej; wydał mi

się sprytny i chętny do pracy; dałem mu tedy zajęcie w biurze swego agenta... adresowanie listów, nic więcej narazie. A dzisiaj, panno Lauro, ten chłopiec ma już własne biurko i agent mówi, że jest to najlepszy z jego pracowników. Powierzoną sobie pracę wykonywa tak dokładnie, że mogłem wywalić dwóch innych urzędników, którzy siedzieli, próżnując i spoglądając na zegar, czy nie nadeszła pora na drugie śniadanie. Bradley sam załatwia ich robotę lepiej i szybciej niż oni we dwóch i oszczędza mi dwadzieścia dolarów tygodniowo, to znaczy tysiąc rocznie... Panno Lauro — zagadnął znienacka — dlaczego pani nie obejmie klasy w tej szkole? Małe baki nie są wcale takie straszne przy bliższem poznaniu.

— Ja! — zawołała Laura ze zdumieniem i potrząsnęła głową. — O nie, panie Jadwin. Byłabym tylko przeszkodą. Niech pan mnie dobrze zrozumie. Jestem pełna najgorętszego uznania dla pańskiego dzieła, ale uczestniczyć w niem nie mogę... nie czuję powołania. Nie mam najmniejszych zdolności do takiej pracy i psułabym tylko robotę innych. Moje wychowanie było takie odmienne, a, jak pan wie, jestem anglikanką, „z najciaśniejszej sekty Faryzeuszów“ — dodała z uśmiechem — uznaję władzę biskupią. Mówiłabym pańskim małym bąkom o odpuszczaniu i przebaczeniu grzechów, o znaczeniu gromnic w kościele...

— Mniejsza o to — odparł. — Ja myślę o wpływie bezpośrednim, o... bezpośrednim wpływie, jaki kobieta piękna, czystego serca i szlachetnego umysłu, roztacza wszędzie dokoła siebie. Wiem czem taki wpływ stałby się dla mnie. I wiem, że nietylko moje małe baki, ale i każdy nauczyciel, każdy nadzorca w tej szkole, odrodziłby się, odnalazłby w sobie nowe natchnienie, nowe bodźce do pracy, z chwilą, gdyby pani przestąpiła próg gmachu. Mężczyznom potrzebne są dobre kobiety, panno Lauro.. mężczyznom, którzy kierują sprawami świata. Wierzę w kobiety, jak wierzę w Chrystusa. Ale nie wierzę, żeby zostały stworzone, jak i Chrystus, po to, by doskonalić, po za pewną granicą, tylko własną duszę i kształcić tylko własny umysł, żyć w cieplarnianej, dyletanckiej atmo-

sferze, w odosobnieniu i wyłączności jakiegoś oszklonego świata. Nie, dalibóg, takie kobiety nie są dla Stanów Zjednoczonych i dla mężczyzn, którzy w nich wytwarzają największy naród na kuli ziemskiej. Mężczyźni mają całą władzę, jakiej pragną, w swoich rękach, ale potrzebne im są kobiety, które zwracałyby ich na prostą drogę i uczyły ich kierować tym innym rodzajem życia, gdzie znój nie panuje wszechwładnie. Od chwili, w której panią poznałem, zacząłem sobie uświadamiać, że taki inny rodzaj życia istnieje, ale nie mogę życia tego rozpocząć i pokierować niem bez pani. Niema takiego trybu życia teraz, które miałyby dla mnie wartość i nie obejmowało pani. Nie mam chyba potrzeby mówić, że pragnę, żeby pani została moją żoną. Myślę, że pani dobrze o tem wie, bez słów z mojej strony. Kocham panią miłością mężczyzny, nie chłopca, poważnie, głęboko. Nie mogę pani wcale wyrazić jak poważnie i jak głęboko. Pragnę mieć panią za żonę. Lauro, dziewczyno moja kochana, wiem, że mógłbym dać ci szczęście.

— Kiedy nie o to właściwie chodzi, — odparła Laura zwolna, czując, gdy umilkł, że spodziewa się od niej odpowiedzi.

— A więc o co? Czy pani mnie nie kocha? Czy nie sądzisz, pani moja najdroższa, że będziesz mogła czasem mnie pokochać?

Laura wahała się przez długą chwilę. Odpięła różę od stanika i, obrywając płatki, wsuwała je między zęby. Z przeciwnego krańca pokoju dobiegały głośnie strofowania pana Gerardy'ego. Pani Cressler i panna Gretry w drzwiach jadalni śledziły uważnie przebieg próby. Ciotka Wessels i pan Cressler rozprawiali o seansach spirytystycznych, siedząc na kanapie przy bocznej ścianie pokoju. Po chwili Laura odezwała się.

— I nie o to także — rzekła.

— O cóż zatem?

— Nie wiem... sama dokładnie, nie wiem. Ale przedewszystkiem, zdaje mi się, że nie chcę wyjść zamaż, panie Jadwin... za nikogo.

— Będę na panią czekał.

— Ani też zaręczyć się...

— Ale przecież, prędzej czy później, musi nadejść dzień, kiedy pani się i zaręczy i wyjdzie za mąż. Panno Lauro, będziesz musiała zapytać siebie kiedyś, czy kochasz człowieka, który pragnie zostać twoim mężem. Dlaczegoż więc nie masz teraz zadać sobie tego pytania?

— To też ja sobie to pytanie zadaję — odparła. — Już siebie zapytałam.

— I cóż pani postanawia?

— Tego nie wiem.

— Czy nie sądzisz, panno Lauro, że mnie czasem pokochasz?.. Lauro, jestem pewien, że zdołam obudzić w tobie miłość.

— Nie wiem, — odpowiedziała Laura po chwili. — To odpowiedź głupia, ale jedyna, jaką dać mogę, jeżeli mam być uczciwa... a usiłuję szczerze być uczciwa względem pana i względem siebie samej. Moje obecne życie daje mi zupełne szczęście. Lubię pana i pana Cresslera i panna Corthell'a... wszystkich. Ale, panie Jadwinie — spojrziała mu prosto w twarz, z wielką powagą w ciemnych oczach — dla kobiety małżeństwo jest sprawą taką doniosłą... mężczyzna nigdy nie zrozumie jak dalece doniosłą. Trzeba być taką pewną. A ja teraz pewna nie jestem. Nawet, gdybym była pewna pana, nie mogę powiedzieć, że jestem pewna siebie. Kiedy niekiedy mówię sobie, a nawet biednej, poczciwej cioci Wess', że nie będę nigdy kochała nikogo, że nigdy nie wyjdę za mąż. Ale byłabym bardzo zgnębiona, gdybym sądziła, że to się sprawdzi istotnie. Marzę, jak o największym szczęściu, o tem, że kiedyś pokocham kogoś całym sercem i całą duszą i że będę wierną żoną, a miłość męża stanie mi się osłoda życia. Ale jestem pewna, że ten dzień jeszcze nie nadszedł.

— A gdy nadejdzie — nalegał, — czy będę pierwszy, który się o tem dowie?

Uśmiechnęła się poważnie.

— Ach, — odparła — nie będę wiedziała, że ten dzień nadszedł, dopóki nie uświadomię sobie faktu, że kocham człowieka, który zapragnął mieć mnie za żonę; a wtedy może już być zapóźno... dla pana.

— Ale teraz, przynajmniej — upierał się — pani nie kocha nikogo.

— Teraz — powtórzyła — nie Kocham nikogo.

— I mogę w tem czerpać zachętę?

Nagle owładnął Laurą niewytlómaczony duch przeciwieństwa i sprawił, że stała się odrazu kobietą bardzo odmienną od tej, która co tylko mówiła poważnie o doniosłym znaczeniu małżeństwa. Wahala się przez chwilę, przechylając filuternie głowę w bok i patrząc na płatki róży opadłe na jej dłoń. Wreszcie rzekła przyciszonym głosem:

— Jeżeli pan chce...

Ale, zanim Jadwin zdążył odpowiedzieć, Cressler i ciotka Wess', którzy zwierziali się sobie wzajemnie ze swoich „przeczuć“, „doświadczeń“ i różnych niepojętych rzeczy, jakie się zdarzyły, zwrócili się do rozmawiającej pary.

— J. — rzekł Cressler — czy zdarzyło ci się kiedy co osobliwego... jakieś ostrzeżenie, przeczucie, czy coś w tym rodzaju? Rozmawialiśmy z panią Wessels o spirytyzmie. Lauro, a ty miałaś kiedy „przecucie“?

Potrząsnęła głową.

— Nie, nigdy. Obawiam się, że jestem za wielką materialistką.

— A ty, J.?

— Ja wierzę tylko trochę w „szczęście“. Niedawno, gdy Gretry zaproponował mi transakcję pszenicą, rzuciłem na stół garść monety i powiedziałem, że, jeśli liczba półdolarówek będzie parzysta, zgodzę się na transakcję. Byłem wszakże odrazu pewien, że będzie parzysta... nie omyliłem się.

— I zarobił pan huk pieniędzy — wtrąciła Laura. — Wiem, mówił mi o tem pan Court. Stało się istotnie wspa-
niale.

— Stało się bardzo źle, Lauro — rzekł Cressler poważnie. — Mam nadzieję, że my wszyscy zdołamy opanować tego człowieka i zniewolić go do złożenia nam uroczystej przysięgi, iż nie będzie już nigdy szulerował pszenicą.

Laura ze zdumieniem spojrzała na Cresslera. Słowo „szulerować“ miało dla niej jakieś podejrzané znaczenie; dźwięczało brzydko i łączyło się w jej umyśle z pojęciem znieprawienia najgorszego rodzaju.

— Szulerował! — powtórzyła półgłosem.

— Oni tam na ulicy La Salle nazywają to sprzedażą i kupnem, — ciągnął dalej Cressler. — Ale to jest poprostu gra szulerska, stawiają na warunki rynkowe na całe tygodnie, a nawet na całe miesiące zgóry. Ty zakładasz się, że pszenica pójdzie w górę, a ja że spadnie. Ci wszyscy maklerzy, agenci, pośrednicy na giełdzie nie posiadają pszenicy; nigdy jej nawet nie widzą; nie wiedzieliby co z nią począć, gdyby była ich własnością, zboże, jako takie, nic ich nie obchodzi. Ale troszczą się o nie dziesiątki tysięcy farmerów w Jowie i Kansasie lub Dakocie, a bardziej jeszcze niż farmerzy, setki tysięcy nędzarzy w Europie. Jedni zboże sieją i zbierają, drudzy je spożywają. Zarówno dla tych jak i dla tamtych jestto kwestja życia i śmierci. A między nimi staje spekulant czikagoski, który podbija lub obniża cenę, bez żadnej przyczyny, na korzyść swojej kieszeni. Widzisz, Lauro, mówiąc o szulerce, to miałem na myśli.

Cressler mówił bardzo poważnie, a Laura, zainteresowana, słuchała z natężoną uwagą.

— Jeżeli obniżymy nadmiernie cenę pszenicy — ciągnął dalej, — cierpi na tem farmer... człowiek, który ją uprawia i gromadzi; jeśli podbijemy cenę za wysoko cierpi nędzarcz w Europie..., człowiek, który pszenicą się karmi. A pożywieniem chłopu na Kontynencie jest chleb, nie mięso, albo kartofle, jak u nas. Jedynym sposobem na to, żeby nie cierpiał ani farmer amerykański ani chłop europejski jest utrzymanie ceny pszenicy na poziomie przeciętnej, słusznej wartości. Z chwilą inflacji lub zniżki ktoś na tem cierpi bezwzględnie. A tem właśnie zajmują się nieustannie ci szulerzy... podbijają lub strącają cenę. Pomyśl tylko... pożywienie setek tysięcy ludzi jest na łasce kilku spekulantów z giełdy zbożowej. Oni ustanawiają ceny. Oni decydują ile chłop ma płacić za swój bochenek chleba. Jeśli zapłacić nie może, przymiera poprostu głó-

dem. Co zaś do farmerów, sprawa jest poprostu śmieszna. Jeżeli wybuduję dom i wystawię go na sprzedaż, oznaczam cenę własną; a jeżeli cena, jaką ofiarują nie odpowiada mi, nie sprzedaję domu. Ale jeżeli zbiorę w Jowie pszenicę, muszę ją sprzedać, bez względu czy chcę czy nie chcę, po cenie ustanowionej przez kilku ludzi w Chicago, którzy, chcąc się zбоżycić, zmuszają mnie do brania ceny, doprowadzającej mnie do bankructwa. •

Laura skinęła głową. Zainteresowanie jej wzmagало się, odślaniał się przed nią po raz pierwszy w życiu inny, nieznaný jej, porządek rzeczy.

— Ale to dopiero jedna strona sprawy — zaczął znów po chwili Cressler, niebacząc na jowialne protesty Jadwina. — Tak, wiem, jestem nieprzejednany, gdy chodzi o spekulację. Byłem sam spekulantem i doprowadziłem siebie do ruiny, wiem zatem co mówię. A oto co jeszcze chciałem powiedzieć. Ci ludzie, sami szulerzy... dobrze, nazwij ich spekulantami, jeśli chcesz... Ach, iluż zdolnych, obiecujących młodzieńców widziałem zmarnowanych... zupełnie i beznadziejnie zmarnowanych i zrujnowanych przez spekulację! Wpłatać się w spekulację jest tak łatwo, jak przejść przez ulicę. Zarabiają trzysta, pięćset, a nawet tysiąc dolarów niekiedy w ciągu paru godzin, nie zagiąwszy nawet palca. Pomyśl tylko co to znaczy dla dwudziesto-pięcioletniego chłopca, który pracuje w biurze za siedemdziesiąt pięć dolarów na miesiąc. Musiałby pracować może dziesięć lat, żeby zaoszczędzić tysiąc dolarów, a tu naraz zarabia je lekko w ciągu jednego ranka. Czy sądzisz, że zdołasz wobec tego powstrzymać go od dalszej spekulacji? Przedewszystkiem dowiadujesz się, że porzucił ucziwą posiadłość... O! widziałem to setki razy... i zaczyna się włóczyć po biurach przy ulicy La Salle, wdaje się w jedną i drugą spekulacyjkę i w końcu tak się zawikła, że się już wydostać nie może; a potem jakiś biljoner, który trzyma cały rynek w dłoni, zaciśnie jeden palec i nasz młodzieniec jest zrujnowany na ciele i duszy... Utracił chęć, a nawet zdolność do interesów prawidłowych i włóczy się w dalszym ciągu dokoła giełdy, aż nagle zupełnie staje się starcem, a potem ktoś pewnego dnia pyta: „A gdzie jest ten

a ten?“ i wtedy stwierdzasz fakt, że młodzieniec poprostu znikł... zginął. Mówię ci, że siła pociągająca tej szulerki giełdowej jest czemś, o czym ten, kto jej nie doświadczył, nie może mieć najłżejszego pojęcia. Gorsza jest od alkoholu, a nawet od morfiny. Gdy cię raz pochwyci, trzymamocno i pociąga za sobą, pociąga, a im bliżej jesteś końca, tem wygrana wydaje się łatwiejsza, aż nagle wpadasz w wir... J., chłopcze kochany, trzymaj się zdaleka!

Jadwin ze śmiechem pochylił się i przyłożył palce do piersi Cresslera, jakgdyby zatykając kolek.

— No, a teraz zamknęliśmy go, panno Lauro, — oznajmił. — Zaczny chłop z tego Karola, tylko czasem opęta go jakiś zły duch i otwiera upusty jego wymowy.

Cressler dobrodusznie zawtórował im śmiechem, ale uśmiech Laury był sztuczny, a spojrzenie jej poważne. Tymczasem próba szła swoim biegiem i teraz Page z przeciwnego krańca pokoju skinęła na Laurę, wołając:

— Lauro... Beatryczo, już trzeci akt, jesteś potrzebna.

— Ach, muszę iść coprędzej! — zawołała Laura, chwytając egzemplarz. — Biedny pan Gerardy.. dręczymy go pewnie strasznie.

Przebiegła przez pokój i stanęła obok reżysera, który rozstawiał meble na scenie, według egzemplarza.

— Tutaj stół kuchenny, tu staroświeckie biurko, tutaj szafa z rozsuwanemi drzwiami, tutaj okno. *Voilà!*... Kto zaczyna? Aha, ta młoda osoba z chorym nosem. „Marrion“. Siedzi robiąc pończochę. A potem księżna. To pani, panno Dearborn. Pani przerywa... pamięta pani. Ale pani... ach, pani nie omyli się nigdy. Gdyby wszyscy byli jak pani... Doskonale, zaczynamy.

Mała Gretry czytała swoją rolę znośnie, a pan Gerardy przerywał wskazówkami. Wreszcie, w danej chwili, Laura, która miała grać rolę księżnej, weszła, mówiąc:

— „Przepraszam, ale drzwi były otwarte. Czy mogę wejść?“

Pan Gerardy szepnął:

— *Elle est vraiment superbe!*

Laura była w każdym calu, w każdym ruchu arysto-

kratka, odwiedzającą siedzibę oficjalisty. Trudno było o większą godność w postawie, o bardziej czarującą łaskawość w obejściu. Przytem odrazu wniosła ze sobą atmosferę teatralną, która oddziałała na całe otoczenie. Wnętrze domku wiejskiego zaznaczyło się odrazu wyraźnie, z chwilą, gdy weszła na urojoną scenę.

Gerardy chodził na palcach od jednego do drugiego, szepecąc:

— Wspaniała ta nasza księżna, co? Byłaby z niej kapitalna aktorka zawodowa.

Ale pani Wessels nie podzielała tego zdania. Śledząc siostrzenicę wzrokiem rzekła do Corthell'a:

— To, są tylko „wielkie tony“ Laury. Znam ją dobrze w tej roli. Jest zupełnie taka sama, gdy wieczorem schodzi do bawialni, a Page przedstawia jej swego gościa, którego ona jeszcze nie zna.

— A ja wtedy umieram niemal ze strachu, — dodała Page ze śmiechem. — Przecież to zupełnie naturalne, że chcę, żeby moi przyjaciele lubili moją siostrę. Laura zaś wchodzi, jakgdyby szła na jajkach i przekręca nazwiska, z lekceważeniem, mówi naprzykład Pinky, gdy nazywają się Pickney, nie słucha tego, co mówią, tak, że w końcu radabym się schować pod ziemię ze zmartwienia.

Próba zbliżała się do końca. Pan Gerardy krzyczał i rzucał się i kazał niektóre sceny powtarzać raz po raz. O godzinie dziesiątej aktorzy byli zupełnie wyczerpani. Podano skromną kolację, poczem Laura zaczęła zabierać się do odejścia. Ciekawa była kto też odprowadzi ją do domu — Landry, Jadwin czy Sheldon Corthell...

Dzień był słoneczny, nawet ciepły ale, począwszy od dziewiątej niebo się zachmurzyło, a teraz padał rześisty deszcz. Pani Cressler prosiła, żeby siostry i pani Wessels przenocowały u niej, ale Laura odmówiła. Jadwin mówił właśnie Cresslerowi, że należałoby odesłać siostry do domu kareta, gdy Corthell zbliżył się do Laury.

— Posłałem już dawno po dwie dorożki, — rzekł. — Czekają przed domem.

To oznajmienie przecięło kwestję... Na ten raz artysta pobił wytrwałego Jadwina,

Gdy zamieniono pożegnania przy wyjściu, Page zwróciła się do Landry'ego:

— Odwieziesz nas do domu, a potem weźmiesz jeden z naszych parasoli. Możesz wsiąść z ciotką i ze mną; miejsca jest dosyć. Niepodobna, żebyś szedł do domu bez parasola w taką ulewę.

Landry zrazu odmówił wyniośle. Jest może za ubogi — oświadczył — żeby paradować szeregiem dorożek, ale jest też zbyt dumny, żeby nimi jeździć, gdy kto inny płaci.

Page złażała go ostro. Co to znaczy? Także pomyśl! Niech nie będzie taki głupi. Nabawi się zapalenia płuc dla idjotycznego conceptu, a ona nie chce brać na siebie odpowiedzialności.

— Bywają ludzie, — oświadczyła w końcu, — którzy nie mogą się pogodzić z tem, że są dorośli.

— Dobrze zatem, — odparł, — pojedę, ale jeżeli będę mógł dać woźnicy dolara napiwku.

Page zacisnęła usta.

— Kto może dawać dolarowe napiwki — rzekła, — może przedewszystkiem wynająć dorożkę.

— A więc siedemdziesiąt pięć centów, — oświadczył stanowczo. — Ani centa mniej. Inaczej czułbym się upokorzony.

— Landry Court, czy zechcesz łaskawie sprowadzić mnie do dorożki? — zawołała.

I Landry, bez dalszych słów, stał się posłuszny.

— A teraz, panno Lauro, jeżeli pani gotowa... — zawołał Corthell, zbliżając się.

Trzymał nad jej głową parasol, z którego woda spływała na jego ramiona.

Ponowiono pożegnania dokoła i artysta sprowadził Laurę ze śliskich stopni. Wsadził ją troskliwie do dorożki, poczem wsiadł sam i opuścił okna.

Laura usadowiła się wygodnie głęboko w rogu, a poprawiając spódnicę mówiła:

— Co za flaga! Ktoby to pomyślał, że będzie deszcz? Obawiałam się zrazu, że pan wcale nie przyjdzie, — doda-

ła. — Pani Cressler powiedziała przy obiedzie, że pan ma jakieś ważne posiedzenie komitetu w Instytucie Sztuk Pięknych, zdaje się... w sprawie przyznania nagród... czy tak?

— Tak jest, — odparł obojętnie, — było tam coś takiego. Sądzę, że to bardzo ważne... dla Instytutu. Ale dla mnie istnieje dzisiaj tylko jedna rzecz doniosłej wagi, — mówił umyślnie lekkim tonem, jakgdyby oznajmiając Laurze fakt dobrze jej znany — a mianowicie przebywanie z panią. To zdumiewające... Pani nie ma pojęcia do jakiego stopnia podporząkowałem życie swoje temu jedyjnemu pragnieniu.

— Nie spodziewa się pan chyba, że ja w to uwierzę, — odparła.

Wiedziała, że te słowa wywoływały u innych wielbicieli gwałtowny protest. Ale Corthell nigdy nie powiedział tego, co oczekiwała, i to miało w nim dla niej specjalny urok. W danej chwili interesował go więcej wpływ miłości dla Laury na niego samego, niż sposób, w jaki ona tę miłość przyjmuje.

— To ciekawe — mówił dalej. — Nie jestem już przecież chłopcem. Nie ulegam zachwytom. Znałem dużo kobiet i widziałem tyle tego, co tłum nazywa miłością, że wiem dobrze jakie to płocze, czcze, że jest to próżność nad próżnościami. Wyobraziłem sobie, że poeci są w błędzie, że to idealści, że widzą rzeczy nie takimi, jakimi są, ale jakimi miećby je chcieli. A jednak, — odetchnął głęboko, — t a k i e s z c z ę ś c i e p r z y p a d ł o m n i e w u d z i a ł e. I c a ł y t e n p r z e d z i w n y c u d j e s t w m o j e m s e r c u, t r z y m a m g o w d ł o n i, j a k c o ś t a j e m n i c z e g o, p r z e p i ę k n i e e g z o t y c z n e g o. P o e c i m y ł ą s i ę i s t o t n i e, — d o d a ł. — Z a m a ł o w n i c h b y ł o i d e a l i z m u. C h c i a ł b y m... a c h, m n i e j s z a o t o.

— Co by pan chciał? — spytała, gdy urwał nagle.

Laura, zanim jeszcze się odezwała, wiedziała, że byłoby lepiej, gdyby nie nalegała, iżby mówił dalej. Intuicją podejrzewała, że umyślnie doprowadził ją do tego pytania. A stwierdzając, że pragnęła utrzymać rozmowę w tym tonie, uświadomiła sobie, iż mknie ku niedwuznacznej kokieteryj. Spozrzęła teraz fałszywy krok, zda-

wała sobie sprawę, że bacność jej osłabła. W każdym razie postąpiłaby z większą godnością, gdyby była okazała tylko lekkie zainteresowanie pragnieniem Corthell'a.

I stwierdziła, że znów postąpiła pod wpływem nagłego porwy i ogarnęło ją nawet zdumienie, że wobec tego mężczyzny tak często porwy brały w niej górę nad rozsądkiem. W towarzystwie Court'a, albo Jadwina była zawsze spokojna i zrównoważona. Ale Corthell miał moc rozbudzenia wszystkiego, co było popędliwe i niewytlómaczone w jej naturze. Dla Landry'ego była tylko jak starsza siostra, wyrozumiała, dobrotliwa. W obcowaniu z Jadwinem wysuwała się na pierwszy plan cała szczerza, poważna strona jej charakteru. Ale Corthell poruszał w niej mętne, nieznane głębie, pewne pierwiastki lekkomyślności; i dopóki trzymał ją pod siłą swego wpływu, nie mogła na jedną chwilę zapomnieć o swojej płci.

Przerażało ją odkrycie w sobie tej osobliwej osobistości, tego drugiego upartego, porywczego Ja. Zaledwie je poznawała; przejmowało ją lękiem, a jednak, ku wielkiemu swemu zdziwieniu, nie mogła mu być niechętna. Pewien urok tkwił w chwilowem poddawaniu się władzy tej śmiałej obcej istoty, która była jednak nią samą.

Tymczasem Corthell odpowiedział:

— Chciałbym, — rzekł — chciałbym, żeby pani mogła mi coś powiedzieć... sam nie wiem co... cokolwiek byłoby już tak dużo.

— Ale cóż ja m o g ę powiedzieć? — protestowała. — Nie wiem... ja... cóż ja mogę powiedzieć?

— Musi to być tak albo nie, — wybuchnęła. — Ja dalej istnieć tak nie mogę.

— Ale dlaczego? Dlaczego? — zawołała Laura. — Dlaczego musimy.. zakończyć wszystko? Dlaczego zmieniać bieg rzeczy? Jesteśmy zupełnie szczęśliwi teraz. W życiu swoim nie byłam taka szczęśliwa, jak przez ostatnie kilka miesięcy. Nie chcę żadnej zmiany. A... jesteśmy w domu.

Dorożka zatrzymała się. Page i ciotka Wessels już weszły. Pokojówka, trzymając parasol w ręku, stała w przedsionku, w blasku światła, płynącego jasną smugą.

z nawpół otwartych drzwi. Laura, wysiadając usłyszała głos Page, która wołała, że przybyli mają parasole i że pokojówka niepotrzebnie czeka.

Dorożka odjechała, a Corthell i Laura weszli na schody.

— Nie wstąpi pan do nas? — spytała. — W bibliotece jest ogień na kominku.

Wymówił się późną porą i przez kilka sekund stali w przesionku, rozmawiając. Nagle Corthell ściągnął rękawiczkę z prawej dłoni i rzekł:

— Sądzę, że otrzymałem odpowiedź wyraźną. Pani nie pragnie zmiany. Rozumiem. Chce pani przez to powiedzieć, że mnie pani nie kocha. Gdyby pani mnie kochała tak, jak ja panią, pragnęłaby pani tego właśnie... zmiany. Pożądałaby pani, jak ja, tej przedziwnej zmiany, która stwarza nowe niebo i nową ziemię.

Tym razem Laura nie odpowiedziała. Przez chwilę panowała cisza, poczem Corthell odezwał się:

— Wie pani co... myślę, że trzeba będzie wyjechać.

— Wyjechać?

— Tak, do Nowego Jorku. Może do Paryża. Wynałazi tam nowy sposób topienia szkła, oddawna już zamierzalem zapoznać się z tą świeżą metodą. Niebardzo mnie to wprawdzie zajmuje... teraz. Ale sądzą, że lepiej będzie wyjechać... odrazu w tym tygodniu jeszcze. Nie mam wielkiej ochoty, ale zdaje się, że... w danych okolicznościach... tak będzie najlepiej.

Wyciągnął prawą dłoń z uśmiechem, jak spostrzegła Laura.

— A więc, panno Dearborn, żegnam.

— Ale dlaczego pan ma wyjeżdżać? — zawołała szczerze zmartwiona. — Jak to zupełnie... ach, niech pan nie wyjeżdża! — i z jakimś rozpaczliwym pośpiechem dodała: — To byłoby zupełne szaleństwo.

— Mam więc zostać? — nalegał. — Czy pani mi każe zostać?

— Naturalnie, że każe, — odpowiedziała. — Wyjazd pański przerwałby próby. Zepsułby moją rolę. Prze-

cież pan jest moim bezpośrednim partnerem. Proszę, niech pan zostanie.

— Mam zostać przez wzgląd na rolę pani? Czy nie ma nikogo, którego pani wolałaby zamiast mnie?

Uśmiechnął się prosto w jej oczy, a ona odgadła co miał na myśli. Odpowiedziała mu z uśmiechem i nagle, gdy spojrzała w jego oczy, wstąpił w nią duch jakiejś wyzywającej odwagi.

— Niema nikogo, kogo wolałabym zamiast pana.

Corthell gwałtownym ruchem pochwycił jej dłoń.

— Lauro! — zawołał — zakończmy raz na zawsze tę szermierkę, to igranie. Skarbie mój najdroższy, kocham cię całą mocą tego, co jest we mnie najlepsze. Pozwól, że bym ci dał to wszystko, co tylko mężczyzna może dać dobrego kobiecie.

Laura rzuciła mu uśmiech.

— O ile pan doprowadzi do tego, że pana pokocham, — odparła.

— A czy pani sądzi, że zdołam? — zawołał.

— Niech pan spróbuje... pozwalam, — rzekła.

Spodziewała się, że teraz, bez dalszych słów, odejdzie. Uważała, że złoży dowód subtelnej rycerskości, jeżeli zyskawszy już tyle, nie będzie się narazie domagał niczego więcej. Z niepokojem czekała na jego następne słowa. Zaczęła się obawiać, że zbyt zaufała jego taktowi.

Corthell wyciągnął dłoń ponownie.

— A więc to tylko dobranoc, a nie pożegnanie.

— Tak, to dobranoc, — rzekła Laura.

Po tych słowach wyszedł, a z piersi Laury uleciało głębokie westchnienie ulgi.

Page i Landry siedzieli jeszcze w bibliotece. Laura przyłączyła się do nich i przez kilka chwil stali we troje przed kominkiem, rozmawiając o projektowanym widowisku. W końcu Page skorzystała z pierwszej sposobności, by powiedzieć dobranoc i pójść spać. Ostentacyjnie zostawiała zawsze Landry'ego i Laurę samych i dawała wyraźnie do poznania, że rozumie, iż pragną pozbyć się jej jaknajprędzej.

— Pamiętaj tylko — rzekła do Laury surowym to-

nem — zamknąć drzwi na klucz i zgasić gaz w przedsionku. Anna już dawno poszła spać.

— I na mnie czas, trzeba zmykać, — oznajmił Landry po wyjściu Page.

Laura wyszła za nim do przedsionka i wyszukała dlań parasol.

— Przecudna była pani dzisiaj, — mówił, stojąc przy drzwiach i trzymając rękę na klamce. — Przecudna... Nie mogłem oderwać wzroku od pani i nie słyszałem nikogo tylko panią. I teraz — oświadczył uroczyście — będę widział pani oczy i będę słyszał głos pani przez całą noc. Chciałbym wyjaśnić — dodał — jak to było z temi dorożkami... dlaczego przyjechałem z panną Page i panią Wes-sels? Pan Corthell... to były jego dorożki oczywiście. Ale musiałem zdobyć parasol... a woźnicy dałem siedemdziesiąt pięć centów.

— Naturalnie... naturalnie... — rzekła Laura, nie bardzo odgadując do czego zmierza.

— Nie chcę, żeby pani przypuszczała, że pozwalam, żeby mi ktokolwiek fundował.

— Naturalnie, Landry; rozumiem.

— Ach! — zawołał — pani nie wie co to za rozkosz dla mnie, gdy patrzę w oczy kobiety, która naprawdę rozumie.

Laura spojrzała na niego, dziwiąc się, co ona też takiego powiedziała.

— Landry, zechciej, proszę, zgasić światło w przed-sionku. Ja nigdy nie mogę dostać tak wysoko.

Zostawił drzwi otwarte i zgasił płomień w matowym, czerwonym kloszu. Wnet otoczyła ich zupełna ciemność.

— Dobranoc, — rzekła Laura. — A to ciemno, co?

Landry wyciągnął rękę, by uchwycić jej dłoń lecz palce jego, szukające po omacku, dotknęły jej kibici. Nagle Laura uczuła, że obejmuje ją ramieniem i, zanim zdążyła choćby pomyśleć o oporze, pochwycił ją w ramiona i wycisnął pocałunek na jej policzku.

Drzwi wejściowe zamknęły się i pozostała sama, z tchem w piersi zapartym, ośzołomiona, patrząc w mrok szeroko otwartemi oczyma.

Zrazu ogarnęło ją tylko bezbrzeżne zdumienie. Szybkim ruchem podniosła dłoń do policzka, szepcząc:

— Co to?... Dlaczego?... dlaczego?...

Poczem pobiegła pędem po schodach, wpadła do swego pokoju, zatrzasnęła drzwi za sobą, zapaliła światło i, sama nie wiedząc dlaczego, wpatrzyła się w odbicie swej twarzy w lustrze i w dłoń, która pocierała znieważony policzek.

Po chwili wezbrała w niej fala gwałtownego gniewu. Ona, Laura, panna Dearborn, która nie kocha żadnego mężczyzny, która nigdy nie czyni żadnych ustępstw, nigdy się nie poddaje, której „wyniosłe obejście“ stało się przysłówiowe, została, mimo puklerza swej dumy, we własnym domu, we własnej warowni, pocałowana jak podłotek, jak pokojówka, po ciemku, w kącie.

I to przez — wielkie nieba!

Landry'ego Court'a — tego smarkacza, którego, jak mniemała, trzymała w granicach należytego posłuszeństwa i głębokiego szacunku. Landry Court ośmielił się, odważył się ją pocałować, wyrządzić jej tę małostkową, pospolitą zniewagę, zniżając ją do poziomu przystojnej pokojówki, ośmieszając ją.

Stała wyprostowana w całej swej wysokości na środku sypialni; dłonie zwieszonych rąk zacisnęły się w pięść, pierś falowała szybkim oddechem, z oczu sypały się iskry, lica płonęły. Od czasu do czasu z ust wybuchały przyciszzone wyrazy:

— Za kogo on mnie ma? Jak śmiał?... Jak śmiał?...

Wszystko co mogła powiedzieć, wszelkie potępienie, jakie mogła sformułować sprawiło, że położenie jej stawało się tem głębsze, tembardziej upokarzające. Wszystko to mówiły już przedtem całe pokolenia dziewcząt sklepowych, uczennic i sług, z którymi zrównała ją wyrządzona obelga. Powinnaby powiedzieć Landry'emu, żeby nie odważył się więcej pokazywać jej na oczy — zupełnie, jak rozwścieczona éma nocna na rogach ulicznych lub piknikach niedzielnych mówi do napastnika „żeby nie odważył się dopóki życia przemówić do niej“. Nigdy dotychczas nie doznała takiej zniewagi. A jednocześnie z tą myślą zabrzmiał w jej uszach chrapliwy głos nierządnic z balów publicznych

oznajmiającej, że „nikt nigdy dotychczas jej nie pocałował“.

Ze wszystkich obelg, ze wszystkich upokorzeń ta jedna pozbawiała ją możliwości godnego protestu.

Im gwałtowniejszą odczuwała urazę, tem śmieszniejsza stawała się cała sprawa.

Ale tej urazy nie zapomni, nie zapomni, a Landry Court przekona się, że dzień, w którym zapomniał o szacunku jaki zawsze, jakoby miał dla niej, był najprzykrzejszy w jego życiu. Oszukiwał ją zatem stale. Dlatego, że nierozważnie pofolgowała mu nieco, że go dopuściła do pewnej poufałości, oto jak jej nadużył. O, ale da mu nauczkę. Tacy są mężczyźni. Powinna była wiedzieć, że do tego dojdzie. Z umysłu rozumieją opacznie, wyzyskują jej szczerłość, jej dobre serce i życzliwą koleżeńskość.

Głupia była flirtując — tak, to najwłaściwsze określenie — flirtując z Landrym i Corthell'em i Jadwinem. Nie ulega wątpliwości, że udzielali sobie wzajemnie wiadomości o postępach, jakie czynili w jej łaskach. Może nawet stanął między nimi zakład kto ją pocałuje pierwszy. Albo przynajmniej żaden z nich nie wahałby się jej pocałować, gdyby mu dała możliwość.

Ale, jeżeli zasługuje w jakimkolwiek stopniu na naganą za to, co Landry uczynił — odpokutuje. Stała się nazbyt dostępna, bawiło ją zachęcanie ich, dwuznaczne kokietowanie. Czas skończyć tę całą zabawę, dać im wszystkim odprawę, i to niedwuznaczną. Jest dziewczyną uczciwą — powiedziała sobie w duchu. Jest w głębi serca szczerą; wyższa nad pustą rozrywkę flirtowania. Weszła w nowe życie ze złego punktu i czas najwyższy, zacząć nanowo — czystą kartą — by wykazać tym mężczyznom, żeby nie ośmielili się przypuszczać, iż mogą sobie pozwolić na najdrobniejsze choćby poufałości.

Wzburzenie jej było tak wielkie, chęć wprowadzenia w czyn powziętej decyzji taka gorąca, że wprost fizyczną niemożliwością dla niej stało się zwlekanie, choćby godziny jeszcze, z oczyszczeniem się z rzekomego podejrzenia. Jeżeli jej trzech wielbiciele pozwolili sobie choćby w najdrobniejszej części fałszywie zrozumieć jej postępowanie, trze-

ba to sprostować niezwłocznie, należy ich osadzić na właściwym miejscu i to bezwzględnie.

Zadzwoiła na pokojówkę, Annę, której mąż był odźwiernym domu.

— Jeżeli Henryk nie śpi jeszcze — rzekła Laura — powiedz mu, żeby zaczekał aż go zawołam, albo niech się położy w ubraniu. Musi jeszcze dzisiaj coś załatwić dla mnie. Coś ważnego.

Dochodziła już północ. Laura zdjęła kapelusz i wolałkę i, wraz z płaszczem, rzuciła na łóżko. Poczem zapaliła jeszcze jedno światło i przysunęła krzesło do biurka między oknami.

Pierwszy bilecik przeznaczony był dla Landry'ego Court'a. Napisała go niemal jednym pociągnięciem pióra i położyła starannie datę, żeby wiedział, że bilecik został napisany niezwłocznie po jego wyjściu. A brzmiał, jak następuje:

„Proszę niech Pan nie próbuje widzieć się ze mną kiedykolwiek i w jakichkolwiek okolicznościach. Oznajmiam Panu kategorycznie, że nie chcę naszej dalszej znajomości“.

List do Corthell'a był trzdniejszy i zadowolili ją dopiero po kilkakrotnym przepisywaniu.

„Drogi Panie Corthell“, napisała „zażądał Pan dzisiaj wieczór odemnie, żebyśmy zakończyli naszą szermierkę i igraszkę. Podzielał zupełnie zdanie Pańskie, że jest to pożądane. Zanim rozstaliśmy się mówiłam w nagłym porywie rzeczy, których nigdy żałować nie przestanę. Nie chcę, żeby Pan mnie źle rozumiał lub tłómaczył sobie fałszywie moje postępowanie pod jakimkolwiek względem. Pan się oświadczył o moją rękę, a ja, bardzo nierozważnie i niesumiennie dałam Panu — z umysłu — odpowiedź, w której z łatwością możnaby się dopatrzeć zachęty. Niechże Pan zechce teraz zrozumieć, że nie życzę sobie, żeby Pan starał się o moją miłość. Takie postępowanie Pana byłoby dla mnie wprost przykre, a dla Pana beznadziejne. Nie wzbudza Pan we mnie teraz i nigdy nie wzbudzi takiego uczucia, jakie powinienabym żywić, gdybym miała zostać Pańską żoną. Niech Pan już nigdy, w jakimkolwiek sposób

nie powraca do tej sprawy. Przyczyniłoby mi to tylko zmartwienia i dotknęłoby mnie boleśniej.

„Szczerze przyjazna

Laura Dearborn“.

List do Curtisa Jadwina był mniej więcej w tym samym duchu, ale napisała go z większą łatwością, niż poprzedni. Ogarnęło ją uczucie spokojnej powagi, jakby coś się w niej uciszyło. A oto treść listu:

„Drogi Panie Jadwin!

„Gdy Pan dzisiaj wieczór zapytał, czy zechcę zostać Pańską żoną, zasłużył Pan na prostą, szczerą odpowiedź, ja zaś pod wpływem kaprysu, odpowiedziałam obłudnie, czego teraz poważnie żałuję i proszę, żeby mi Pan wybaczył.

„Pozwoliłam sobie powiedzieć, że Pan może dopatrywać się zachęty w moich nierozważnie wypowiedzianych słowach. Niewymownie mi przykro, że do tego stopnia zapomniałam co winnam własnej godności i szczerości Pańskiej.

„Jeżeli pozwoliłam sobie wzbudzić w Panu wrażenie, że przystałabym kiedykolwiek na poślubienie Pana, śpieszę temu zaprzeczyć. Bez względu na to, co powiedziałam Panu dzisiaj, muszę odpowiedzieć teraz tak, jak powinna byłam odpowiedzieć wówczas, szczerze, bez wahania: nie.

„Jest to — nalegam na to stanowczo — ostatnie słowo między nami w tej nieszczęsnej sprawie, jeżeli mamy pozostać, czego pragnę bardzo, dobrymi przyjaciółmi.

„Szczerze przyjazna

Laura Dearborn“.

Zapieczętowała, zaadresowała wszystkie trzy koperty, przykleiła marki i spojrzała na mały podróźny zegarek w skórzanym futerale, stojący na biurku.

— Nie mogłabym spać, nie mogłabym spać, — szepnęła, — gdybym nie wiedziała, że są wysłane.

W odpowiedzi na dzwonek zjawił się Henryk, a Laura wręczyła mu listy, polecając, aby je wrzucił niezwłocznie do najbliższej skrzynki.

Skoro wyszedł, usiadła znów przy biurku oparła łokieć na niem i zakryła twarz dłonią. Ogarnęło ją nagle wielkie znużenie, a gdy po długiej chwili opuściła dłoń, pal-

ce jej były wilgotne. W końcu jednak uspokoiła się nieco. Bądź co bądź miała przeświadczenie, że się usprawiedliwiła, że życie jej zacznie się jutro od czystej strony; a gdy wreszcie usnęła, zapadła w nieświadomość bez marzeń, w sen zupełnie niemal zrównoważonego umysłu.

Obudziła się późno następnego ranka i zjadła śniadanie w łóżku, między dziesiątą a jedenastą. Później, gdy zatarło się echo wzburzenia ostatniej nocy, powstała w Laurze bardzo naturalna ciekawość. Ciekawa była jak też każdy z trzech mężczyzn „to weźmie“. Pomimowoli pragnęła zobaczyć ich miny przy czytaniu odprawy.

Wczesnym popołudniem, gdy Laura siedziała w bibliotece, czytając „Ogrody Królowej“, umyślny posłaniec przyniósł odpowiedź Landry'ego Court'a. Była to jedna długa tyrada bez związku, tu i owdzie nawet zamazana łzami. Landry protestował, błagał, poniżał siebie w proch. List jego roił się od wykrzykników, a zakończony był przeciągłym jękiem rozpacz.

Laura z całym spokojem podarła list w strzępy, wrzuciła je do ognia na kominku i powróciła do swego Ruskina.

Nieco później, ponieważ pogoda była ładna, postanowiła pojechać do Parku Lincolna, o niecały kwadrans drogi od jej domu oddalonego, odbyć tam krótką przechadzkę i zobaczyć ile też pąków zaczyna się rozwijać.

Gdy Laura wychodziła, Anna wręczyła jej papierowe pudełko, które tylko co przyniósł mały goniec.

Pudełko, było pełne róż „Jacqueminot“ na ich łąkach zaś spoczywał bilecik od Corthell'a — napisał tylko jeden wiersz:

„A więc to miało być jednak pożegnanie“.

Laura poleciła Annie, żeby zaniósła róże do pokoju Page.

— Powiedz panience, że jej te róże daruję; ja ich nie chcę. Może się w nie przystroić dziś wieczór na tańce — rzekła.

A w duchu dodała sobie:

„Małeńkie pączki w parku będą piękniejsze“.

Bawiła po za domem przeszło dwie godziny, albo-

wiem wracała piechotą. Powróciła zaróżowiona od ruchu, rozochociona przechadzką, orzeźwiona powietrzem, idącym od jeziora; w butonierce zakietu jaśniał młody liść klonowy. Anna, otworzywszy jej drzwi, szepnęła:

— Jakiś pan przyszedł zaraz, jak tylko pani wyszła. Powiedziałam mu, że pani niema w domu, ale powiedział, że poczeka. Jest teraz w bibliotece.

— Kto to taki? Czy powiedział jak się nazywa? — spytała Laura.

Anna podała jej kartę wizytową Curtisa Jadwina.

ROZDZIAŁ V.

Wiosna zstąpiła tego roku na Chicago w roziskrzonej szacie bladej zieleni. Przez tygodnie całe słońce świeciło bez przerwy. Jezioro, osłonięte szarą mgłą miesięcy zimowych, skostniałe od ostrych powiewów północno - wschodnich wichrów, wyzwoliło się z okowy lodowej, przybrało lazurową barwę, a stopniowo wygładzona jego powierzchnia migotała srebrzystym połyskiem.

W parkach pękały pąki, strzelały w górę młode pędy. Dzikie kasztany pierwsze okrywały się liśćmi. Potem wysuwały się z pąków delikatne listki wiązów i klonów. Zbrukany, czarny śnieg na trawnikach przed domami stopniał już dawno i napełniał rynny strumykami. Na wszystkie strony widziano robotników, zajętych układaniem darniny w prostokątne płaszczyzny.

W powietrzu unosiła się rozkoszna woń dojrzwania, woń krążących soków odżywczych, wilgotnej ziemi, wyzwalającej się z martwoty zimowej, wątłych gałązek i latorośli przeżających się w korze pod tchnieniem powracającego ciepła.

Po stronie północnej, na skwerze Washingtona, wzdłuż Lake-shore Drive, na całym bulwarze Parku Lincolnna, przez ulice Erie, Huron i Superior, North State, North Clarke i aleję La Salle, błyski zieleni snuły się po drzewach z wierzchołka na wierzchołek niby pierwsze iskry

rozpalających się suchych gałęzi. Można było niemal słyszeć w wyobraźni trzask płonącego chróstu, gdy całe pęki żółtawo - zielonych blasków jaśniały tu i owdzie wśród wiązków i klonów.

Co rano wcześniej wdzierało się słońce przez okna wschodnie do sypialni Laury Dearborn. Codziennie popołudniu liście rzucały gęściejszy cień na spuszczone story czytelnicy. W pokojach ciemnozielone muchy budziły się z letargu, brzęczały i fruwały, szeleściły skrzydełkami. Usunięto podwójne okna, a miejsce ich zajęły żaluzje i markizy płócienne.

I nagle zupełnie puste ulice wypełniły się wozami, na których widniały spiętrzone materace, bujaczki i klatki z ptakami; rozpoczęła się nieunikniona „przeprowadzka wiosenna“. Na przemian z wozami meblowymi toczyły się wielkie dwukołowe wózki ręczne, naładowane dużymi wiązkami w drodze z dzieciennego pokoju na łąki. Rodziny i drzewa ulegały zarówno popędowi do „transplantacji“, opuszczały leże zimowe, emigrowały z nastaniem wiosny do nowych okolic, zapuszczały korzenie w innej ziemi. Wróble na chodnikach swarzyły się i budowały ze szmat gniazda między gzemsem a dachem. W parkach odzywały się słodkie trele maszek. Ukazały się wózki kwaciarek i w każdym domu, na każdym trawniku żelazne urny, skrzynki przed oknami napełniały bratkami, pelargonją, fuksją i pnącym winem. Zakwitły znów rabaty kwiatowe, oczyszczone ze słomy i nawozu.

W końcu nastąpiła trzydniowa ulewa, poczem zapanaowało znów słońce na bezchmurnym niebie i wiatry prosto z południa powiały silnym tchnieniem, rozdmuchując w płomień żar, przyczajony w wierzchołkach drzew i u ich stóp w trawie.

Liście zapłonęły, niby prawdziwy ogień, od którego zajmowała się i trzeszczała gałąź po gałęzi; nawet najsuchszą, najbardziej martwą pochwycił niewyciężony wir zieleni. Parki i bulwary olśniewały promienną jasnością. Z krańca na kraniec, wzdłuż i w szerz miasta szła wezbrana przedziwna pożoga nadchodzącego lata.

Poczem nagle wszystko: liście, kwiaty, trawa, wszyst-

ko w pełnym rozkwicie zatrzymało się bez ruchu, upał zaś, idący z tej całej wrzącej zieleni, wznosił się niby wielki słup nad miastem i zawisł w tęczowym blasku nieba — bezmierny.

Od czasu do czasu zdawało się, że ten słup załamuje się, a wtedy nawiedzały miasto burze letnie, zataczały się grzmoty z ogłuszającym hukiem, spadały ulewy, potopem niemal grożące. Ale słup załamywał się jedynie po to, by powstał nanowo silniejszy. — Zaledwie ucichł grzmot, przestał deszcz i wysunęło się znów słońce, ludzie mieli wrażenie, że następuje szybko odbudowa potężnej niewidzialnej kolumny, która przygniatała miasto swoją podstawą, wznosząc się wyżej i wyżej w orzeźwioną deszczem kryształowo czystą atmosferę.

Wówczas woń wilgotnego kurzu zalanych bruków, stęchła, ostra — niezapomniane wzywy ulic miejskich po ulewie przepęłniły powietrze i rozpoczynała się na nowo drobna praca, pod kapiącymi wiązami i na parujących chodnikach.

Wieczory były rozkoszne. Zawczasie jeszcze było na wędrowkę ku północy nad jeziora w Wisconsinie, ale o siedzeniu w domu, po zapadnięciu wieczoru, nie mogło być mowy. Gdy minęła godzina szósta, na wszystkich ulicach w sąsiedztwie domu panien Dearborn rozsiadały się całe grona rodzinne na budowanych w tym celu przed każdym domem, platformach. Wynoszono krzesła, pokrywano stołnie kobiercami i kilimami. Z wnętrza domu, przez otwarte okna salonu i bawialni, wybiegały wesołe dźwięki fortepianów. Dzieci biegały tłumnie po chodnikach nawołując się wzajemnie do zabawy. Dziewczęta w bluzkach koszulowych i młodzieńcy w garniturach flanelowych przechadzali się wspólnie. Odwiedzano się na platformach, częstowano lemoniadą i ponczem z czerwonego wina. W fotelach na najwyższym stopniu starsi mężczyźni, zamożni kamienicznicy, kapitaliści w białych kamizelkach, okrywających tłuste brzuchy, złożywszy słomkowe kapelusze na kolanach, palili w błogiem milczeniu bardzo wonne cygara, trawiąc obiad i zażywając wywczasu na świeżem po-

wietrze po brudzie i gorączkowym pośpiechu dzielnic handlowych.

W taki to wieczór, w ostatnich dniach wiosny, Laura Dearborn i Page przybyły do Cresslerów, którzy, jak inni mieszkańcy, siedzieli na frontowych stopniach swego domu. Dearbornówny prawie codziennie teraz odwiedzały Cresslerów. Niekiedy Page przynosiła ze sobą mandolinę.

Zdawało się, że każdy dzień cieplej pogody potęguje urodę obu siostr. Kasztanowate włosy Page nie były nigdy bujniejsze, świetny koloryt jej lic nie miał nigdy więcej uroku, chłopiące zarysy drobnej kibici — niezupełnie jeszcze rozwiniętej i nieco kańciastej — nie posiadały nigdy więcej czaru. Komicznie poważny wyraz niebieskawo-szarych oczu nie znikł jeszcze, ale spojrzenie ich pogłębiło się w jakiś nieokreślony sposób i cała dojrzałość, której brakło jeszcze nierozwiniętej postaci, ujawniała się z pod długich rzęs.

Laura zaś była istotą prawdziwie królewską. Bardzo smukła jeszcze, bez śladu zaokrąglenia w biodrach ani w kibici, nie uderzała najlżejszą dysharmonją w postaci, pomimo niezwykłe wysokiego wzrostu; szła od niej równowaga i niezamącona pewność siebie udzielnej pani z czasów feudalnych.

Krucze włosy nosiła upięte wysoko, jak koronę. Ciepło bujnej wiosny złagodziło przedziwną bladość jej twarzy, ale wzamian cały przepych nadchodzących nocy letnich błyszczał w jej ciemnych piwnych oczach.

Dzisiaj zarzuciła płaszcz na koszulową bluzkę i wpięła pęk fiołków za pasek. Ale skoro tylko przywitaa się z obecnymi i zajęła miejsce, zsunęła płaszcz z ramion.

I wtedy spostrzegła po raz pierwszy od chwili przyjscia, że Landry Court stoi w półcieniu przedsiönka za krzesłem pani Cressler.

— Przyszedł dzisiaj pierwszy raz od... od tego wieczoru—szepnęła śpiesznie pani Cressler do Laury.—Powiedział mi o... no, wiesz, o tem, co się zdarzyło... Przyszedł na obiad, a potem, biedny chłopiec, płakał niemal na mojem ramieniu. W życiu swoim nie widziałaś takiej skruchy.

Laura podniosła podbródek lekkim ruchem niedowie-

rzania. Ale gniew jej oddawna już należał do przeszłości. Łagodna z natury nie mogła żywić urazy bardzo długo. Narazie jednak powitała Landry'ego tylko krótkim skinieniem głowy.

— Jaki gorący wieczór! — szepnęła, wachlując się częścią gazety pana Cresslera. — Nigdy jeszcze chyba nie miałam takiego pragnienia.

— Nic dziwnego — rzekła pani Cressler. — Izabello — zawołała, zwracając się do panny Gretry, siedzącej naprzeciwko, — czy nie masz pod ręką lemoniady? Nalej, proszę, dwie szklanki dla Laury i Page.

Page szepnęła podziękowanie, ale Laura odmówiła.

— Proszę tylko o zwyczajną czystą wodę — rzekła. — Czy jest gdzie w pokoju? Może pan Court zechciałby przynieść, dobrze?

Landry znikł i w minutę potem wrócił pędem, niosąc dzbanek, z którego połowę wylał z pośpiechu. Laura podziękowała z uśmiechem, lecz mówiąc doń po nazwisku starała się dać mu do poznania obejściem, że, jakkolwiek obelga jest zapomniana, niemniej dawne stosunki ani na chwilę jedną nie będą przywrócone.

Nieco później, gdy Page grała na mandolinie, a Landry wtórował jej gwizdaniem, pani Cressler skorzystała ze sposobności, by szepnąć Laurze:

— Czytałam dzisiaj korespondencję z Paryża w *Inter-Ocean* i widziałam nazwisko pana Corthell'a na liście przyjezdnych z Ameryki do „Continentalu“. Przypuszczam — dodała, — że nieobecność jego potrwa długo. Ciękawam czy on też kiedykolwiek powróci. Wydaje mi się, że człowiekowi z jego talentem, z jego upodobaniami daleko bardziej odpowiada atmosfera Paryża niż Chicago. Niemniej jednak uważam, że to było bardzo nieładnie z jego strony, iż zerwał nasze widowisko. Założyłabym się o ciastko, że nie chciał dalej brać w niem udziału dlatego, żeś ty się wycofała. Nie mógł się doczekać odegrania w czwartym akcie tej sceny miłosnej z tobą. A gdy oznajmiłaś, że nie będziesz grała, oczywiście i on się usunął: a potem skoro wycofaliście się oboje, wszyscy przestali interesować się

całą imprezą. Jadwin zachował się wobec takiego niepowodzenia bardzo przyzwoicie, czy nie?

Laura kiwnęła głową potakująco.

— Odczuł to jednak jako przykry zawód — ciągnęła dalej pani Cressler, — widziałam wyraźnie. Mniemał, że przedstawienie zainteresuje mnóstwo osób dla jego szkoły niedzielnej. Ale nie odezwał się słówkiem jednym, gdy się nie udało. Czy on przyjdzie dzisiaj?

— A zkadże ja mam wiedzieć, jeżeli pani nie wie? — odparła Laura.

Jadwin był stałym niemal gościem Cresslerów podczas pierwszych ciepłych wieczorów. Mieszkał w stronie południowej miasta i odległość między domem jego a Cresslerów była bardzo znaczna. Rzadko jednak zdarzało się żeby nie przyjechał. Przybywał w swoim, zaprzężonym w dwa konie „Rex“ i „Rox“, amerykańskie dwuosobowym. Konie Jadwina nie były „na pokaz“ wytrenowane bandażami, nakolannikami oraz przeróżnymi aparatami stajni, niemniej jednak mężczyźni na chodnikach, zarówno amatorzy jak i hodowcy zawodowi, — mężczyźni znający się na dobrej rasie — przystawali zawsze, by popatrzeć na przebiegającą dobraną parę szlachetnych zwierząt, o łbach podniesionych, o nastawionych uszach, roziskrzonych ślepiach, oddychającą silnie, głęboko, idącą zgodnie, równo, jak maszyna, chodem długim, miarowym, wyrzucając nogi od łopatki do kolana, od kolana do pęciny, od pęciny do przegubia, kończąc odrzuceniem kopyt, na chwilę osadzonych poczem znów podnosząc je i wyrzucając naprzód.

Jadwin przywdziewał zawsze na te odwiedziny czarnej miękki kapelusz, z opuszczonemi skrzydłami, przypominający te, które noszono podczas Wojny Domowej, popielaty płaszcz „od kurzu“ z czarnym aksamitnym kołnierzem i łosiowe rękawiczki, przepoczone i pomarszczone od wysiłku, z jakim trzymał na wodzy rasowe zwierzęta podczas jazdy.

— Page gra bardzo ładnie, — zauważyła pani Cressler, gdy młoda dziewczyna odłożyła mandolinę. — Spodziewam się, że J. przyjedzie dzisiaj, — dodała. — Lubię go mieć wkoło siebie. To taki serdeczny i szczerzy człowiek.

Laura nie odpowiedziała, zamyślona, i rozmowa urwała się.

Wieczór był niezwykle piękny, pogodny, spokojny i w tej przedziwnej godzinie konania zmierzchu nikt nie miał ochoty rozmawiać. Cressler zapalił drugie cygaro, a smugi błękitnawego dymu tworzyły nad jego głową obłok, zawieszony w nieruchomem powietrzu. W dali, od ujścia rzeki, dochodził ostry gwizd parowca. Gdzieś, w otwartem oknie jednego z sąsiednich domów, skrzypce z towarzyszeniem fortepianu zaintonowały „Serenadę“ Schuberta. Zmierzch, stłumiony gwar miasta, zapadającego w spokój po gorączkowej pracy dziennej, nadawały melodramatycznej melodji jakąś moc uroczystą. Dzieci bawiły się w dalszym ciągu wzdłuż chodników, a ich przerywana wesołość stanowiła część nuty spokoju, na jaką nastrojone były naraźnie wszystkie dźwięki.

Po chwili pani Cressler zaczęła mówić do Laury przyciszoneym głosem. Mówiła, że jedzie z mężem do Okonomowoku w Wisconsinie, gdzie zamierzają spędzić część czerwca. Dlaczego Laura nie chce się zdecydować i pojechać z nimi? Prosiła ją już tyle razy, ale dotąd nie mogła dostać od niej stanowczej odpowiedzi. Jaka przyczyna tego wahania? Czy sądzi, że się znudzi?

— Page może jechać, — odparła. — Chciałabym bardzo, żeby ją pani zabrała ze sobą. Co do mnie... jeszcze nic nie wiem. Nie powzięłam jeszcze żadnego planu na lato. — Urwała nagle. — Ach, przypomina mi się właśnie, że chciałam pożyczyć od pani „Sielanki króla“. Czy mogę je zabrać na parę dni? Pójdę do pokoju i wezmę książkę — dodała wstając. — Nie, panie Cressler, proszę, niech pan zostanie. Pójdę sama.

To mówiąc znikła w pokoju, pani Cressler zaś rzekła do męża:

— Dziwna dziewczyna! Niekiedy wydaje mi się, że nie znam Laury wcale. Tyle w niej sprzeczności. Nie rozumiem zupełnie jej postępowania w sprawie wyjazdu z nami do Okonomowoku!

Pan Cressler pozwolił sobie na łagodny protest.

— Phii! Laura jest zawsze w porządku. Najpiękniejsza z niej dziewczyna w Cook County.

— Ależ, mój drogi, jej uroda nie ma z tem nic wspólnego, — westchnęła pani Cressler. — Ach, Karolu, ja nie wiem...

— Nie wiesz, czego?

— Mam nadzieję, że życie Laury będzie szczęśliwe.

— Na miłość boską, Carrie!

— Jest coś w tej dziewczynie, — ciągnęła dalej pani Cressler, — co mnie przejmuje trwogą o nią.

Cressler zmarszczył brwi, zaskoczony i zdumiony.

— A to co! — zawołał — Carrie, masz źle w głowie.

— Bynajmniej. Bywa niekiedy, że tęsknię za nią, jak matka, i ogarnia mnie o nią niepokój. Są ludzie, stworzeni do trosk i smutków... Zapamiętaj moje słowa, Karolu Cressler: Laura należy do tych ludzi. W sposobie, w jaki patrzy z pod tej całej masy kruczycich włosów, jest niesłychany tragizm; i ten sam tragizm wygląda z jej wielkich, niekiedy bezbrzeżnie smutnych, oczu.

— Banialuki! — rzekł pan Cressler, wracając do swego dziennika.

— Jestem pewna, że Sheldon Corthell oświadczył się o jej rękę — odezwała się pani Cressler po chwili milczenia, — i dlatego wyjechał tak nagle.

Mąż jej mruknął niecierpliwie, zwracając dziennik w stronę światła, idącego od przedsionka.

— Czy nie jesteś tego zdania, Karolu?

— Nie wiem. Ten człowiek nigdy nie budził we mnie wielkiej sympatji.

— Jest niesłychanie utalentowany i bardzo wytworny w obejściu. Czy zauważyłeś kiedy jego ręce?

— Przypominają ręce balwierza. Posadź go w amerykańskie Jadwina i każ mu kierować jego końmi. Czy myślisz, że długo zdoła utrzymać je temi rękami? Wyleci od razu z siedzenia.

— Biedny, mały Landry, Court! — szepnęła pani Cressler. — Ma serce rozdarte. I on też chciał się z nią zenić. Wypaliła mu pewnie porządną perorę. Mogę sobie

wyobrazić Laure, gdy się na serjo rozgniewa. Biedny chłopiec!

— Gdybyście wy, kobiety, przestały opiekować się tym chłopcem, doszedłby jeszcze do czegoś w życiu.

— Powiedział mi, że ma już życie złamane.

Cressler cisnął cygaro, ruchem wielkiego zniecierpliwienia.

— Błazeństwo! — mruknął.

— Wziął to bardzo do serca, Karolu, naprawdę.

— Radbym tego chłopca wziąć w rękę i wytrząsnąć zeń niejedno z tych głupstw, jakimi jest, dzięki wam, kobietom, naszpikowany. Court ma porządną głowę. Jest codziennie na giełdzie a nigdy jeszcze nie kupił garści pszenicy na własny rachunek. Nie wie, co to spekulacja i nie chce się dowiedzieć. Ten chłopiec ma zdrowy rozsądek.

— Dobrze się stało, że Laura go nie chciała — upierała się pani Cressler w zamyśleniu. — Nie są dla siebie stworzeni, to pewne. Ale myślałam, że Corthell dałby jej szczęście. Za Jadwina nie wyjdzie nigdy. I on jej się też oświadczył; nie mówiła mi tego, ale wiem, że tak było. Odmówiła mu wręcz. Zapewnia, że wcale zamaż nie wyjdzie, że nie kocha nikogo i nigdy nikogo kochać nie będzie. Z początku byłabym bardzo rada, gdyby wyszła za J., ale teraz widzę coraz wyraźniej, że mają zupełnie odmienne usposobienia; a jeżeli Laura nie chciała Sheldona Corthell'a, który był, jakby dla niej stworzony, sądzę, że nie można nawet przypuszczać, iż zechce J. Laura ma temperament i duszę artystyczną, lubi malarstwo i poezję, Shakespeare'a i muzykę, a Curtis nie dba zupełnie o to wszystko. Nie mieliby nic wspólnego ze sobą. Tymczasem Corthell, to zupełnie co innego. Laura, mimo wszystko, lubiła go do pewnego stopnia. Interesował ją niezwykle. Gdy mówił o sprawach artystycznych, Laura połykała każde jego słowo. Wiem tylko tyle, że, gdybym była na jego miejscu, nie odjechałabym. Zapamiętaj sobie moje słowa, Karolu: Corthell byłby jedynym mężem odpowiednim dla Laury Dearborn, i ona jeszcze wyjdzie za niego... chyba, że się bardzo mylę.

— Zawsze to samo, Carrie... wszystkie kobiety są jednakowe, — zawołał Cressler — zawsze pełne projektów

mażeńskich. Dlaczego wtrącasz się do Laury? Dziewczyna ma słuszość. Wie co robi i jest zupełnie szczęśliwa. Ale ty nie dajesz jej spokoju i wytwarzasz dokoła niej atmosferę sensacji i mówisz, że „serce ci się krwawi z niepokojem o nią“, i że jest stworzona do troski, i że ma smutne oczy. Jeżeli będzie miała troski, to dlatego, że ktoś inny je dla niej wymyśli. Posłuchaj mojej rady i pozwól, niech kieruje łodzią swoją sama. Da sobie radę, a ty się o to nie troszcz. Ale wiesz, Carrie — mówił Cressler, zmieniając nagle przedmiot rozmowy — Curtis znów spekulował. Jestem tego pewien.

— Co ty mówisz! To bardzo źle, — szepnęła.

— Tak jest, — ciągnął dalej Cressler. — Robił znów w tych dniach razem z Gretrym złodziejskie interesy. Gretry, jak słyszałem, sprzedawał w ciągu całego ubiegłego tygodnia pszenicę wrześnieńską, a dzisiaj rano wprowadzili w czyn znów inną spekulację zbożową. Cała giełda była tem zajęta przed zamknięciem. Mówiono mi, że Curtis dobił do brzegu między ośmiu a dziesięciu tysiącami. Wydaje się, że zawsze wygrywa. Dałbym bardzo dużo, żeby go z tej otchłani wydobyć, ale od czasu udanej spekulacji pszenicą majową, zapada w nią coraz głębiej.

— Czy sprzedał tę posiadłość przy ulicy Washingtona? — spytała pani Cressler.

— Prawda, byłbym zapomniał! — zawołał mąż, — chciałem ci właśnie powiedzieć... Nie, nie sprzedał, tylko wydzierżawił. I zgadnij ile mu płacą... Trzy tysiące rocznie. J. staje się coraz bogatszy, więc dlaczego nie zadawała się własnym interesem, tylko małpuje tych wszystkich szulerów z ulicy La Salle, to dla mnie tajemnica.

Pani Cressler zamierzała odpowiedzieć, ale w tej chwili Laura stanęła w otwartym oknie bawialni.

— Nie mogę jednak znaleźć „Sielanek“ — wołała. — Myślałam, że są na małej półce.

— Poczekaj, znajdę je sama, — odparła pani Cressler, wstając.

— Gdyby pani była tak dobra — rzekła Laura.

W pokoju nie zapalono jeszcze światła. Czytelnia była ciemna i chłodna, a gdy pani Cressler znalazła książkę,

Laura wymówiła się bólem głowy od powrotu przed dom. Usiadły w oknie, wychodzącym na podwórko, gdzie kwitły w całej pełni nasturcje.

— W pokoju chłodniej, nieprawda? — zauważyła pani Cressler.

Laura usadowiła się wygodnie w koszykowym krześle i, ruchem dłoni, zwykłym w ostatnich czasach, przesuwała ciężkie zwoje włosów na jedną stronę, poczem przygładziła je zlekka.

— Zdaje mi się, że upał jest coraz większy — rzekła znużonym głosem. — Myślę, że lato będzie bardzo skwarne. — Poczem dodała: — Pani Cressler, w lipcu ma być mój ślub.

Panią Cressler aż coś zatknęło; wyprostowała się w krześle i chwilę wpatrywała się, z zapartym oddechem, w twarz Laury, zaledwie widoczną wśród ciemności. Wreszcie zdołała zawołać w osłupieniu:

— Co! Lauro! Ślub! Moja najdroższa!...

— Tak, — odparła Laura z całym spokojem. — W lipcu... a może wcześniej.

— A mnie się zdawało, że odrzuciłaś oświadczyzny pana Corthell'a. Sądziłam, że dlatego wyjechał.

— Wyjechał? Nigdy nie wyjeżdżał. Bo to nie pan Corthell tylko pan Jadwin.

— Bogu dzięki! — oświadczyła pani Cressler rozradowana, poczem ucałowała Laurę w oba policzki. — Moje drogie, kochane dziecko, nie mogę ci powiedzieć, jak się cieszę. Od pierwszej chwili mówiłam, że jesteście dla siebie stworzeni. A zdawało mi się ciągle, że powiedziałaś mu, iż go nie chcesz.

— Bo tak też było, — rzekła Laura z całym spokojem poważnie. — Powiedziałaś mu, że go nie kocham... jeszcze mu to powtórzyłam w zeszłym tygodniu.

— A więc dlaczego dałaś mu słowo?

— Mój Boże! — zawołała Laura, ożywiając się nieco. — Pani nie może sobie wyobrazić, jak się to stało. Czy pani przypuszcza, że temu człowiekowi można powiedzieć „nie“?

— Oczywiście; oczywiście! — oświadczyła pani Cres-

sler z radością. — W tem jest cały J. Powinnam była wiedzieć, że cię zdobędzie, jeżeli się o to zaczniesz starać.

— Rano, w południe i wieczorem — mówiła Laura — nie ustawał na chwilę. Zdawało się, że będzie czekał dopóki się nie zdecyduje; ale pewnego dnia napisałam do niego stanowczo „nie“, tak, że nie mógł mieć już żadnych wątpliwości i wtedy zaczął... na dobre. Nie miałam spokoju, dopóki mu nie dałam słowa, a w chwili, gdy się to stało, wsunął mi pierścionek na palec. Zdaje się, że nosił go w pogotowiu w kamizelce od tygodni. Nie,—wyjaśniła, gdy pani Cressler położyła palce na jej lewej dłoni; — nie chciałam go wziąć... jeszcze.

— J. umie być wytrwały—odrzekła pani Cressler.

— Wytrwały! — szepnęła Laura. — Poprostu nie chciał o niczem innym mówić. Twierdził, że go to przyprawia o chorobę. J. rzeczywiście, miewał często gorączkę. Ale, mimo to, przychodził do mnie. Pewnego wieczora, w straszną ulewę... powiem już teraz pani wszystko... Był u nas na obiedzie, a potem w bawialni, powiedziałem mu, jak mogłam najwyraźniej, po raz setny „nie“ i odszedł wcześniej... przed ósmą. Zdawało mi się, że teraz nareszcie zrezygnował. Ale powrócił około dziesiątej, żeby mi oddać pożyczoną książkę... „Jane Eyre“. A padał taki deszcz!... Nie widziałam jeszcze takiego deszczu, jak owej nocy. Pan Jadwin był przemoczony do nitki, a już przy obiedzie miał lekką gorączkę. Wtedy żal mi się go zrobiło. Powiedziałam mu, że może nadal u mnie bywać. Nie chciałam przecież dopuścić, żeby zapadł na zapalenie płuc albo na tyfus. I wszystko zaczęło się na nowo.

— Ale, kochałaś go, Lauro? — spytała pani Cressler. — Kochasz go teraz?

Laura milczała. W końcu zaś odparła:

— Nję wiem.

— Ależ, oczywiście, kochasz go, Lauro, — nalegała pani Cressler. — Nie dałabyś mu słowa, gdybyś go nie kochała. Kochasz go, oczywiście, nieprawda?

— Tak myślę... myślę, że go chyba Kocham, inaczej, jak pani słusznie mówi, nie dałabym mu słowa, że zostanę jego żoną. Spełnia każde najdrobniejsze moje życzenie.

Wydaje się, że od rana do wieczora nie myśli o niczem innym, tylko jak i czem mi się przypodobać. A gdy ostatecznie powiedziałam mu, że wyjdę za niego... mówię pani... nic, tylko zdawało się, że dech zamarł mu w piersi, łzy spływały po jego twarzy i powtarzał tylko: „Niech Bóg panią błogosławi!“ „Niech Bóg panią błogosławi!“ a ręka jego drżała tak, że... — urwała nagle, potem dodała: — Na samą myśl o tem łzy nadbiegają mi do oczu.

— Ale, Lauro, — nalegała pani Cressler, — ty kochasz Curtisa, co? Taka dziwna dziewczyna z ciebie niekiedy. Drogie dziecko, mów do mnie, jakgdybym była twoją matką. Niema na świecie nikogo, ktoby cię kochał więcej niż ja. Kochasz Curtisa, co?

Laura wahała się przez długą chwilę.

— Tak, — zaczęła w końcu powoli. — Zdaje mi się, że go kocham bardzo... niekiedy. A niekiedy znów myślę, że go nie kocham. Nie umiem powiedzieć. Bywają dni, kiedy jestem tego pewna, a innym razem znów zastanawiam się, czy naprawdę chcę wyjść za niego. Myślałam, że gdy przyjdzie do mnie miłość będzie... ach, taka wzniosła; że to będzie coś takiego świetlanego, wspaniałego, jak miłość Julji albo Małgorzaty; coś, co... — Nagłym ruchem uderzyła dłonią w pierś; palce jej zacisnęły się w pięść. — Ach, coś, co wstrząśnie mną do głębi. Myślałam, że taka tylko miłość istnieje na świecie.

— Ach, o takiej miłości czytasz w głupich roman-sach, albo patrzysz na nią w teatrze, — zapewniała pani Cressler. — Jabym się tem nie dreczyła, Lauro. Nie ulega wątpliwości, że J. cię kocha.

Twarz Laury rozjaśniła się nieco.

— O, tak — odparła — to nie ulega żadnej wątpliwości... i to wielka rozkosz. Wydaje mu się, że niema nic zbyt dobrego dla mnie na świecie. Bo, niech sobie pani wyobrazi... nie dalej, jak wczoraj, mówiłam coś o rękawiczkach, zapomniałam już co, doprawdy... coś, że trudno tu dostać ten rodzaj rękawiczek, które lubię. Czy pani uwierzy... wymógł odemnie, że dałam mu swoją miarę, a gdy przyszedł wieczorem, powiedział mi, że kablował do Brukseli,

do jakiegoś słynnego rękawicznika, i zamówił nie wiem już ile par.

— Poznają go po tem! poznają! — zawołała pani Cressler. — Wiem, że będziesz szczęśliwa, najdroższa Lauro. Nie może być inaczej z człowiekiem, który cię tak kocha, jak J.

— Myślę, że będę szczęśliwa, — odparła Laura, poważniejąc nagle. — O! droga pani, tak pragnę zaznać szczęścia. Mam nadzieję, że nie oprzytomnieję kiedyś, gdy będzie już zapóźno, i nie dojdę do przekonania, że to była pomyłka. — Głos jej drżał zlekka. — Nie uwierzy pani jaka stałam się nerwowa. Co chwila jestem inna. Bywam taka rozdrażniona i... och, nie wiem, nie wiem... Ale przypuszczam, że wszystko dobrze się ułoży. — Otarła oczy i roześmiała się krótko. — Nie rozumiem dlaczego z tego powodu płaczę, — szepnęła.

— Lauro, słuchaj — rzekła pani Cressler, — jeśli nie kochasz Curtisa, nie wychodź za niego. To bardzo proste.

— Kiedy widzi pani, może to niemilosiernie i nie po chrześcijańsku, — objaśniała Laura — ale lubię ludzi, którzy mnie lubią, a nienawidzę tych, którzy mnie nie lubią. Wiem, że to źle, ale taką już jestem. Lubię być kochaną. Mężczyzna, który będzie mnie kochał najsilniej, zniwoli mnie do tego, że i ja jego pokocham. A skoro pan Jadwin okazuje mi tyle miłości... zdaje mi się, że do żadnego mężczyzny nie będę czuła takiej sympatji, jak do pana Jadwina. Przypuszczam, że muszę być zimna i niezdolna do wzruszeń.

Pani Cressler nie mogła się powstrzymać od ruchu zdumienia.

— Ty, niezdolna do wzruszeń? Przecież przed chwilą powiedziałaś, że wyobrażałaś sobie, iż miłość musi być taka, jak miłość Julji i jak tej dziewczyny w „Fauście“, i że taka miłość wstrząśnie tobą do głębi.

— Czyżem ja to powiedziała? Może, ale powiedziałam też pani, że co chwila jestem inna. Nie poznają teraz samej siebie. O! słyszy pani? — zawołała, na odgłos kopyt końskich, dobiegający z bocznej ulicy. — To jego ko-

nie. Poznałabym ich chód z największej dali. Wyjdźmy. Wiem, że ucieszy się, jeśli mnie zastanie przed domem, gdy zajędźcie. Ale uprzedzam drogą panią, że to jeszcze bezwzględna tajemnica — rzekła w końcu, kładąc rękę na ramieniu pani Cressler, gdy szły razem ku drzwiom.

— Ależ ma się rozumieć, kochanie, powiedz mi jeszcze jedną rzecz, — mówiła pani Cressler szeptem, — czy weźmiesz ślub w kościele?

— Halo, Carrie! — wołał pan Cressler — jest J.

Laura potrząsnęła głową.

— Nie, chcę, żeby był bardzo cichy... w naszym domu. Spędzimy lato w Geneva Lale. Dlatego to, widzi pani, nie mogłam przyrzec, że pojedę z wami do Okonomowoku.

Pani Cressler objęła Laurę w pól i wyszły na stopnie frontowe. Było już zupełnie ciemno, a powietrze stało się jeszcze skwarniejsze.

Konie Jadwina biegły ulicą miarowym chodem, tak, że zdawało się, iż idzie koń jeden, nie zaś para.

— No, J., jaki rekord wzięłeś dzisiaj? — zawołał Cressler, gdy Jadwin konie zatrzymał.

Zagadnięty nie odpowiedział dopóki nie oddał lejców stangretowi, Murzynowi; poczem wziął zegarek z ręki tego ostatniego, zaciągnął się cygarem i przysunął rozżarzony czubek do cyferblatu.

— Jedenaście i ćwierć minuty — oznajmił, — a musieliśmy jeszcze czekać na most.

Wszedł na stopnie, wachlując się kapeluszem, i spadł na krzesło, które przyniósł dlań Landry.

— Daję słowo, — zawołał, zdejmując powoli rękawiczki, — straciłem zupełnie czucie w palcach. Te zwierzęta pewnego pięknego dnia pozbawią mnie na dobre władzy w rękach.

Po chwili zaproponował Laurze przejażdżkę do parku Lincolna, przyrzekając, że ją odwiezie za godzinę.

— Nie mam kapelusza, — rzekła Laura. — Chciałabym bardzo się przejechać, ale przyszłam tu dzisiaj z gołą głową.

— Moja droga, ja nie krępowałabym się tem bynaj-

mniej, — wtrąciła pani Cressler. — Przejazdźka po parku w taki wieczór będzie poprostu boska!

W końcu Laura wzięła kapelusze Page i Jadwin ją zabrał. Pani Cressler, wraz z resztą towarzystwa, przypatrywali się odjeżdżającym. Siedzieli tuż przy sobie: Jadwin barczysty, ze świeżym cygarem w zębach, z lejcami okręconymi dokoła dużych, twardych rąk; Laura smukła, wyprostowana, blada; krucze gęste zwoje rzucały tragiczny cień na jej czoło.

— Ładna para, — zauważył pan Cressler, gdy odjechali.

Odgłos kopyt ucichł, zaprzęg znikł. Landry Court, który stał z tyłu, zwrócił się do pani Cressler i powtórzył drżącym zlekka głosem:

— Tak, tak, to prawda. Ład... ładna z nich para... nieprawda?... bardzo ładna para, nie można inaczej powiedzieć.

Minął tydzień, a potem dwa; niebawem skończył się maj. Dnia piętnastego tegoż miesiąca ogłoszone zostały formalnie zaręczyny Laury z Curtisem Jadwinem. Datę ślubu oznaczono na pierwszy tydzień czerwca.

Laura nie była nigdy mniej zrównoważona niż przez ten czas. Żywość jej spotęgowała się w trójnasób, ale następowały w niej częste reakcje i wybuchy złego humoru, które troską przejmowały jej przyjaciół i rodzinę.

W tydzień po rozmowie z panią Cressler, Laura oznajmiła nowinę siostrze. Było to w poniedziałek rano. Spędziła czas do śniadania na porządkowaniu szuflad w biurku, które następnie wysypała wonnym proszkiem i zostawiła otwarte, chcąc, by zapach przepoił powietrze w pokoju. Potem udała się do frontowej „bawialni na piętrze“, niosąc stos rękawiczek, pończoch, kołnierzyków i różnych fatałaszków toaletowych. Rzuciła to wszystko przed kominek i usiadła na ziemi, żeby starannie drobiazgi rozgatkować.

Przy małym biureczku, tuż obok, Page, w bluzce koszulowej w białe i niebieskie paski, w spódniczce golfowej, siedziała poważnie i pisała dziennik. Od piętnastego roku życia młoda dziewczyna prowadziła ten pamiętnik, który zamieniał się, z biegiem czasu, na obszerny, chaotyczny

dzieło. Spisywała wszystkie wydarzenia dnia poprzedniego, wizyty i przechadzki, wieczorki tańczące, ocenę nowych znajomych. Oprócz tego zapełniała stronę po stronie „wrażeniami“, „wynurzeniami“, osobistymi rozmyślaniami, cytatami z dzieł poetów, uroczystymi krytykami nowych powieści, które przeplatała zawiłymi, pustymi frazami, pełnymi wykrzykników; były to wyrazy czcze, bez znaczenia, niemniej jednak Page odczytywała te kartki od czasu do czasu, z tajemniczym dreszczem wzruszenia.

Page pisała szybko, bez przerwy jeszcze przez kilka chwil, po wejściu Laury do pokoju. Poczem przestała, i patrzyła przed siebie szeroko otwartymi, zadumanymi oczyma. Napisała znów wiersz i znów przerwała. Laura, siedząc na posadzce, mając ręce pełne rękawiczek, mówiła do siebie półgłosem:

— Te dobre... a te i czarne duńskie to razem osiem... Żeby tylko mogła znaleźć drugą od tej białej pary... O, jest. To będzie dziewięć... dziewięć par.

Odłożyła rękawiczki i zabrała się do pończoch, a wkładając jedną z jedwabnych na rękę, wsunęła palec w stopę.

— Ojej, — szepnęła — nitka pękła, i teraz zrobi się kolejka przez całą łydkę.

Zgrzyt pióra Page ucichł ponownie.

— Lauro, — spytała, zadumana, — jak się pisze „horizont“?

— Przez h, maleńka, — odparła Laura, wstrzymując z wysiłkiem śmiech.

— Lauro, — pytała dalej Page — czy ty bywasz kiedy bardzo, bardzo smutna, niewiedząc dlaczego?

— Nie, nigdy, — odparła starsza siostra, zesuując pończochę z ręki. — Gdy mnie smutek ogarnia, znam dobrze jego przyczynę, możesz być pewna.

Page westchnęła głęboko.

— Och, a ja nie wiem... — szepnęła. — Bywa, że niekiedy nocami nie mogę spać i pragnę, żebym jaknajprędzej umarła.

— Strzeż się mizantropji, maleńka, — odparła starsza siostra spokojnie. — Takie młode, zdrowe stworzenie, jak ty, nie powinno mieć takich ponurych myśli.

— Dzisiaj w nocy, — mówiła dalej Page, — wstałam z łóżka i długo siedziałam w oknie. Dokoła panowała uroczą cisza, księżyc był cudowny i powiedziałam głośno do siebie:

„Tchnienie moje wznosi się ku niebu“...

Wiesz, ten wiersz Tennysona:

„Tchnienie moje wznosi się ku niebu“...
Niechaj dusza moja wnet uleci jego śladem“,

powiedziałam zupełnie głośno, jak teraz, i wydało mi się, że to ktoś inny mówi do mnie... I pomyślałam sobie, jakby to było cudownie opuścić ten świat i wznosić się, wznosić w wyższe sfery i zaznać spokoju... Loreciu droga, jak myślisz, czy ja powinnam wyjść zamąż?

— A to co za pytanie? Dlaczego nie miałabyś wyjść zamąż? Oczywiście, wyjdiesz kiedyś zamąż, jeżeli znajdziesz...

— Chciałabym zostać zakonnica — przerwała Page, potrząsając posępnie głową.

— ...jeżeli spotkasz człowieka, który cię pokocha, — ciągnęła dalej Laura, — którego ty będziesz... będziesz kochała i szanowała. A cobyś ty powiedziała, małeńka, gdyby... gdyby twoja siostra... gdybym ja wyszła wkrótce zamąż?

Page okręciła się dokoła z krzesłem.

— Lauro, słuchaj, — krzyknęła — ty żartujesz? Wychodzisz zamąż? Za kogo? Nie mam pojęcia, ale myślałam, przypuszczałam...

— Mogę ci powiedzieć, — odparła Laura zwolna, — bo jeżeli ja ci nie powiem... powie ci kto inny... pan Jadwin chce, żebym została jego żoną.

— A ty... co? Co mu odpowiedziałas?... Och, Lauro, powiedz mi, jak to było?

— A więc... dlaczego nie miałabym wyjść za niego? Kocha mnie i jest bogaty. Czy to nie dosyć?

— Nie, nie!... wcale nie. Musisz go kochać... czy go kochasz?

— Ja? Kochać? Phii! — zawołała Laura. — Wcale nie. Nie kocham nikogo.

— Lauro, błagam cię — protestowała Page poważnie,—nie... nie mów w ten sposób. Nie powinnaś tak mówić. To szkaradnie.

Laura podniosła wysoko głowę.

— Nie dałabym takiej satysfakcji żadnemu mężczyźnie. I tak być powinno. Mężczyzna powinien kochać kobietę więcej, niż ona jego. Jemu powinno wystarczać jeżeli ona pozwoli, żeby ją obdarzał wszystkim czego tylko zapragnie. Powinien jej służyć, jak średniowieczni rycerze... poświęcić całe życie, żeby zadowolić jej kaprysy; a ona może być chłodna i trzymać go zdaleka, jeżeli jej to dogadza. Tak ja wyobrażam sobie miłość.

— Tak, ale, gdy kobiety ówczesne dały słowo, nie były dumne i obojętne dla swoich rycerzy. Kochały ich w końcu, i wychodziły zamąż z miłości.

— Och, „miłość“ —drwiła Laura. — Nie wierzę w miłość. To głupie romanse i teatr przewracają ci w głowie. Maleńka! — zawołała — będę miała najpiękniejsze suknie. Panna Dearborn ma gust i — odetchnęła głęboko — mówię ci, że to będą poprostu cudowne kreacje.

Gdy wreszcie odezwał się dzwonek, wzywający na drugie śniadanie, Laura zerwała się na równe nogi, poprawiła włosy smukłemi, białemi dłońmi i wybiegła z pokoju, wołając, że minął już ranek, a połowa szufladek jej biurka jest jeszcze w zupełnym nieładzie.

Page została sama i przez długą chwilę siedziała w głębokiej zadumie, wzdychając ciężko; w końcu napisała w dzienniku:

„Świat bez miłości... och, jakież byłoby to straszne! Ach, miłość jest taka piękna, taka piękna, że przejmuję mnie smutkiem. Gdy myślę o miłości w całym blasku jej piękna, jestem smutna... smutna, jak Romola w znanej powieści George'a Eliota pod tym samym tytułem“.

Zamknęła dziennik w szufladzie i wytarła kawałkiem skóry wielbłądziej koniec stalówki, tak że aż błysz-

czała. Biureczko Page było cudem czystości i porządku — wszystko na niem spoczywało w oznaczonym miejscu — papier listowy w geometrycznych równoległobokach, pióra ułożone na świecącej tacce.

Przed kominkiem, gdzie siedziała Laura, badawcze oko Page odnalazło ślady zajęcia siostry — guzik od rękawiczki, białą nitkę, szpilkę od włosów. Page starannie zebrała to wszystko i wrzuciła do kosza od papierów.

— Laura taka rozrzepana — mruknęła.

Gdy Laura oznajmiła nowinę, pani Wessels, ciotka nie okazała zdumienia.

— Spodziewałam się tego w ostatnich czasach — zauważyła. — Lauro, pan Jadwin jest człowiekiem bardzo zdolnym. Chociaż, mówiąc prawdę, myślałam z początku, że twoim mężem będzie pan Corthell. Wyglądał zawsze tak dystyngowanie i elegancko. Przypuszczam, że ten młody Court wpadnie teraz w rozpacz.

— O, Landry, — szepnęła Laura.

— A gdzieś będziesz mieszkała Lauro? Tutaj? Moje dziecko, proszę cię, nie krępuj się, i powiedz mi, bez obawy, że mam się wynieść. Bo przecież...

— Nie, nie! — zawołała Laura energicznie; — zostaniesz tutaj, stanawczo. Porozmawiamy o tem wszystkiem, skoro tylko będę wiedziała coś pewnego o naszych dalszych planach. Nie, my tu mieszkać nie będziemy. Pan Jadwin ma kupić nowy dom... na rogu North Avenue i ulicy State. Naprzeciwna parku Licolna; znasz go... to dom Farnsworth'a.

— Ależ, Lauro, — krzyknęła ciotka Wess' zdumiona, — przecież to pałac! Naturalnie, że go znam. Przecież zajmuję cały czworobok, a ma ciepłą i prawie taką dużą, jak dom. No, no!...

— Tak, wiem, — odparła Laura, potrząsając głową. — Tchu mi brak nieraz, gdy o tem pomyślę. Pan Jadwin mówił mi, że jest tam też wielka galerja z organami... duże organy kościelne, pomyśl tylko! czy to nie cudowne? Czy to nie jest szczęście? I będę miała własny powóz i c o u p é, i, jeżeli zechcę, łożo w operze, i posiadłość ziemską w Geneva Lake... ma być kupiona pojutrze. Zamiesz-

kamy tam po ślubie, a pan Jadwin kupił przecudowny, mały jacht parowy. Pokazał mi fotografie wczoraj. O, maleńka, maleńka! — zawołała, zwracając się do Page. — Niekiedy to wszystko wydaje mi się, jak bajka. Bo, pomyśl tylko... rok temu, a nawet niecały, wegetowałam w Barringtonie, wśród tych przeklętych starych wiedźm, smażąc razem z Martą konfitury i pomagając jej w gospodarstwie, a teraz — rozpostarła szeroko ramiona — zacznę żyć! Pomyśl.. wspaniały dom, służba, powozy, obrazy, ach! maleńka!..

— Ale ja nie myślałabym o tych rzeczach tak ciągle, Lauro, — zauważyła poważnie ciotka Wess'. — Dziecko, nie poślubiasz go dla powozów, organów i wierzchowców. Zaślubiasz tego pana Jadwina, bo go kochasz. Czy nie?

— O! — zawołała Laura — zaślubiłabym ladajakiego gałgana, gdyby mi dał to wszystko... dlatego że mnie kocha.

Ciotka Wess' osłupiała.

— Nie mówiłabym w ten sposób, — zauważyła, — nawet żartem... przynajmniej nie wobec Page.

Jadwin tego wieczora bardzo późno wyszedł z biura i miał już prosto przyjść do sióstr Dearborn na obiad. Zwykła przejażdżka wieczorna z Laurą została z tego powodu zaniechana, a także i dlatego, że Nip — kłusaki nazywały się Nip i Tuck — okulał.

Już o godzinie czwartej popołudniu Laura, pod wpływem niewytlómaczonego kaprysu, zaczęła się sposobić do bardzo starannej toalety. Od owego wieczoru w Operze nie poświęciła tyle uwagi swemu strojowi. Kazała kupić moc kwiatów — kwiaty do udekorowania stołu, kwiaty dla Page i ciotki Wess', wielkie róże do stanika dla siebie i olbrzymi pęk fijołków do wazonu w biljotece. Nalegała, żeby Page ubrała się w najładniejszą toaletę, jaką posiadała, a pani Wessels w suknię grenadinową „od wielkiego dzwo-
nu“.

Dla siebie zaś zdecydowała się na czarną suknię dekolowaną, z rękawami koronkowemi. Włosy upięła wyżej

niż zwykle. Postanowiła też przystroić się w całą swoją biżuterję; więc włożyła wszystkie pierścionki, różę przypięła broszą ametystową, drobne loczki na tyle głowy przypięła agrafką brylantową, w kształcie serca, nawet pasek z wstążki atlasowej przytwierdziła klamrą turkusową.

Do godziny piątej Laura była w najlepszym humorze i, nucąc, zeszła do jadalni, by dopilnować nakrycia stołu.

Poczem, niemal już wtedy, kiedy można było spodziewać się lada chwila przybycia Jadwina, nastrój Laury znów się zmienił i znów z niewiadomej przyczyny.

Page, która, skończywszy tualetę, weszła do pokoju siostry, zastała ją przygnębioną, w najgorszym humorze. Nachmurzona, odpowiadała półsłówkami i nagle oświadczyła, że męczące drobiazgowo kłopoty gospodarskie doprowadzają ją do rozpacy. Dlaczego Jadwin ze wszystkich dni w tygodniu właśnie dzień dzisiejszy wybrał, żeby przyjść na obiad? Mężczyźni nie mają żadnego wyrozumienia, nie umieją ocenić trudności, z jakimi boryka się kobieta. Och, jakaż będzie rada, gdy wieczór dzisiejszy minie!

Następnie, jako ostateczną klęskę oświadczyła, że wygląda, jak wystrojona żona zubożonego handlarza wołów. Niema w jej sukni stylu ani szyku; nie do twarzy jej w tem upięciu włosów, chuda jest jak tyka.

Nagle odpięła różę, cisnęła je na ziemię i rzuciła się na krzesło.

— Nie zejdem na obiad — krzychała. — Ty i ciotka Wess' przyjmiecie pana Jadwina. Powiesz mu, że leżę w łóżku, bo jestem chora... i nie skłamiesz. Położę się zaraz, głowa mi pęka.

Nie pomogły perswazje „błagania“, ani Page, ani ciotka Wess' nie zdołały odwieść jej od tego postanowienia. W końcu Page odważyła się powiedzieć z wyrzutem, że, gdyby była wiedziała, iż Laura nie będzie na obiedzie, nie ubrałaby się tak strojnie.

A wtedy Laura wybuchnęła.

— Page! — zawołała, zdaje mi się, że niewiele otrzymuję wdzięczności za to, że interesuję się twoim osobistym

wyglądem. Żadna panna w Chicago... nawet córka miljonera... nie ma sukien ładniejszych, niż ty. Kombinuję i myślę i chodzę do najdroższych krawcowych, bylebyś tylko była dobrze ubrana, a z chwilą, gdy ośmielam się wyrazić życzenie, żebyś wyglądała jak elegancka panna, spotykam się z odmową. I poco ja to robię? Nie wiem, doprawdy!... Pewnie dlatego, że jestem słabą, niedorzeczną siostrą. Pożegnałam się z myślą, że będziesz mnie kiedykolwiek kochała; ale wymagam, żebyś mnie szanowała.

Laura wstała, pełna godności, surowa. Przybrała swoje „wielkie tony“.

— Wymagam, żebyś mnie szanowała, — powtórzyła, — byłoby z mojej strony źle, gdybym pozwoliła ci lekceważyć i pomijać wszystkie moje życzenia. Ja na to nie pozwolę. Ja tego nie zniosę.

Page, rozgniewana, oburzona, nie odpowiedziała, lecz tylko odetchnęła głęboko i zacisnęła usta.

— Bardzo to wygodnie, moja panno, pozować na pokrzywdzoną niewinność, — ciągnęła Laura dalej. — Ale ty dobrze rozumiesz co mam na myśli. Jeżeli mnie nie kochasz, to przynajmniej nie pozwolę, żebyś ze mnie drwiła... rozmyślnie, wyzywająco. Dziwne to doprawdy — dodała, a głos jej zaczął się załamywać, — że, skoro jesteśmy same we dwie na świecie, nie mamy ani ojca, ani matki, a ty jesteś dla mnie wszystkiem, skoro cię, tak kocham... to powinnaś mieć trochę względów... gdy żądam tylko, żebyś mnie kochała dla mnie samej, a nie... a nie... gdy ja chcę być, och, kochana... kochana... kochana...

Tu siostry już leżały sobie w objęciach, a Page płakała niemniej niż Laura.

— Och, siostrzyczko, — mówiła Laura, — wiem, że mnie kochasz. Wiem dobrze. Ja nie chciałam tego powiedzieć... Musisz mi wybaczyć i być teraz dla mnie bardzo dobra. Wiem, że jestem nieznośna, ale bywam taka rozdrażniona i zdenerwowana... nie na to nie poradzę i musisz się z tem pogodzić... Słyszysz? dzwonek!

W chwilę potem usłyszały, że służąca otwiera drzwi, a potem dobiegł je dźwięk głosu Jadwina i laski jego, wstawianej w wysoki kosz porcelanowy. Laura jednak nie dała

się ubłagać — nie zejdzie, położy się, ma newralgię; jest taka zdenerwowana, że nawet nie może myśleć. A postanowienie jej było takie niewzruszone, że w końcu Page i ciotka musiały same spożyć obiad z Jadwinem i bawić go, jak umiały.

Ale, gdy podano kawę, spotkała ich prawdziwa niespodzianka — weszła Laura, w najskromniejszej ze swoich sukien, niemal klasztornej. Z palców znikły pierścionki. Ani jeden klejnot, najmniejsza ozdoba nie ożywiały jej surowego stroju. Była bardzo spokojna, mówiła cichym głosem i oświadczyła, że zeszła, by wypić szklankę wody mineralnej, poczem niezwłocznie powróci do siebie.

Oczywiście nie uczyniła tego. Dała się namówić na filiżankę kawy. Poczem podano powtórnie wety i, pograżona w żywej dyskusji z Jadwinem, co do nazwy jachtu parowego, zjadła dwa talerzyki galarety z wina zanim się spostrzegła. Wyraziła obawę, że trochę sałaty może jej zaszkodzić, ale, po gorącej namowie Jadwina, zjadła sporą porcję.

— Myślę, że najlepsza byłaby, nazwa klasyczna — oświadczyła. — Coś podobnego do *Ar eth us y* lub *Ne re id y*.

Wstali od stołu i przeszli do biblioteki. Wieczór był parny, brzemienno burzą, woleli zatem zostać w pokoju. Jadwin zapalił cygaro.

— Nazwijcie jacht *Ar tem is*—odezwała się Page.

— Mówiąc szczerze, — zauważył Jadwin—te wszystkie nazwy wyglądają ładnie w druku; ale ich sobie jakoś wyobrazić nie mogę. Trudno je przeczytać i brzmią pretensjonalnie. Ale, jeśli ci się to podoba, *Lauro*...

— Znałam kiedyś młodego człowieka,—zaczęła ciotka *Wess* — który miał łódź... mieszkaliśmy wtedy w *Kenwood*, a pan *Wessels* należał do załogi *F a r r a g u t a*... ten młodzieniec zaś miał łódź, którą nazwał *F a n c h o n*. Pewnego dnia łódź się wywróciła, a on wleciał do wody, on i trzy córki jednej pani, którą dobrze znałam; w dwa dni później znaleźli ich na końcu jeziora, uczepionych jedno drugiego, i tak ich razem wydobyli. Matka tych dziewcząt nie uśmiechnęła się już nigdy w życiu, a włosy jej zbiały.

jak śnieg. To było w roku siedemdziesiątym dziewiątym. Pamiętam doskonale. Łódź nazywała się F a n c h o n.

— Ale to była łódź żaglowa, ciotko, — zauważyła Laura. — A my mamy jacht parowy. To wielka różnica.

— Te wszystkie łodzie spacerowe są bardzo niebezpieczne, — zdecydowała ciotka Wess'. — Nikt nie zdołałby mnie namówić, żebym do którejkolwiek z nich wsiadła.

Jadwin skinął głową w stronę Laury, mrugając.

— To też pozostawimy wszystkich w domu, gdy popłyniemy jachtem, prawda, Lauro? — rzekł.

Nieco później, jeden z „młodzieńców“ Page przyszedł z wizytą i młoda dziewczyna udała się wraz z nim do bawialni. Pani Wessels skorzystała z tej sposobności, żeby się wymknąć niepostrzeżenie, Laura i Jadwin pozostali zatem sami.

— Jakże moja pani spędziła dzień dzisiejszy? — zaczął Curtis.

Siedziała przy stole środkowym, pod lampą wiszącą — jedyną zapaloną w pokoju — i przerzucała kartki „Wieku bajek“, szukając odpowiedniej, a dźwięcznej, nazwy dla jachtu. Jadwin pochylił się nad nią.

— Jak zwykle, — odparła. — Powiedziałam dziś rano Page i ciotce.

— I cóż one na to? — Jadwin położył miękka, ale ciężką rękę na głowie Laury, dodając: — Lauro, w życiu swoim nie widziałem takich precudnych włosów, jak twoje.

— Ani Page, ani ciotka nie dziwiły się. Curtis, daj pokój; drażnisz mnie. — Poruszyła głową niecierpliwie, poczem uśmiechając się, jakgdyby chciała złagodzić swoją szorstkość, dodała: — Każde dotknięcie moich włosów denerwuje mnie... Nie, nie były zaskoczone nowiną. Zdziwiło je tylko, że ślub ma być tak prędko. Curtis, dlaczego nie odłożył ślubu do zimy?

Udał, że nie słyszy, a gdy powróciła do tego przedmiotu, przerwał, dobywając papiery z kieszeni.

— Patrz — rzekł, — to plany zmian w domu w Geneva - Lake. Przynieśli mi je dzisiaj do biura. Budowniczcy tak zmienił jadalnię.

— A więc dobuduje cieplarnię? — spytała Laura żywo, z wielkiem zajęciem.

— Hm... nie, — odparł Jadwin z wolna. — Widzisz, Lauro, trudno byłoby skończyć cieplarnię w ciągu lata. Jak tam pojedziemy, pragnęlibyśmy, żeby wszystko było skończone, prawda? Nie chcielibyśmy mieć gromady robotników, hałasujących dokoła. Pomyślałem więc, że moglibyśmy poczekać na cieplarnię do przyszłego roku, jeżeli ci na tem nie zależy.

Laura przystała na to odrazu, ale Jadwin odczytał w jej twarzy lekkie niezadowolenie. Zamyślił się i przez chwilę szarpał wąsa w zamyśleniu. Może jednak dałoby się przeprowadzić... przyszła mu bowiem pewna myśl, i, uśmiechając się z zakłopotaniem, rzekł:

— Lauro, ja ci coś powiem. Zawrę z tobą umowę.

Sojrzała na niego bacznie, a on usiadł przy stole naprzeciwko i pochylił się naprzód.

— Wiesz, — zaczął, — pomyślałem sobie... Oto co chciałem powiedzieć — oświadczył nagle stanowczym tonem. — Wiesz, Lauro, że od chwili naszych zaręczyn, ani razu... tak, ani razu... ani razu jednego nie pocałowałaś mnie z własnego popędu? Szalony jestem, że mówię teraz w ten sposób, nieprawda? Ale, to byłoby dla mnie... byłoby czemś takim przedziwnem dla mnie... Wiem, — dodał śpiesznie — wiem, Lauro, że jesteś powściągliwa w okazywaniu uczuć. Może nie powinienem się spodziewać, żebyś ty... tak, może to niewiele... Ale przed chwilą pomyślałem, co to za rozkosz byłaby dla mnie, gdyby moja najukochańsza pani podeszła do mnie niekiedy... tak znienacka... i z własnego popędu zarzuciła mi ręce na szyję i pocałowała mnie. I... otóż, pomyślałem sobie o tem i... — Zawahał się poczem nagle zakończył: — I przypomniało mi się, że nigdy jeszcze tego nie uczyniłaś.

Laura nie odpowiedziała, ale uśmiechnęła się zagadkowo, przerzucając w dalszym ciągu książkę.

Jadwin ciągnął dalej:

— Nazwiemy to umową. Pierwszego lepszego dnia... niezadługo, pamiętaj... pocałujesz mnie w ten sposób, to jest, z własnego popędu, znienacka, gdy nie będę o tem my-

ślał, a ja wzamian dam ci tę cieplarnię. Już sobie jakoś poradzę. Każę robotnikom zabrać się do tego jutro... wezmę dwudziestu, jeśli będzie trzeba. I cóż? Zgadzasz się?... Pierwszego lepszego dnia niezadługo... Cóż ty na to?

Laura wahała się, osobiwie zakłopotana, niezdolna znaleźć właściwej odpowiedzi.

— Zgadzasz się na taką umowę? — nalegał Jadwin.

— Jeżeli tak stawiasz kwestję, — szepnęła, — to... zdaje mi się, że... tak.

— A nie zapomnisz? bo ja więcej o tem mówić nie będę. Przrzeknij, że nie zapomnisz.

— Nie, nie zapomnę. Dlaczego nie mielibyśmy nazwać jachtu *Thetis*?

— Chciałem ci zaproponować *Grot*, *Jaskółka*, albo *Strzała*... coś w tym rodzaju... żeby nazwa dawała wyobrażenie szybkości.

— Nie. Najlepiej podoba mi się *Thetis*.

— W takim razie to przecina kwestję. Wszak to twój jacht, *Lauro*.

Później, gdy Jadwin zabierał się do odejścia, stali przez chwilę w przedsionku, gdzie wdział rękawiczki i zapalił świeże cygaro.

— Przyjdę do was około dziesiątej, — rzekł. — Czy nie zawczasie?

Mówił o następnym ranku. Zamierzał zabrać Page, panią Wessels i Laurę na jeden dzień do Geneva Lake, żeby zobaczyć jak postępują roboty około wiejskiej siedziby.

Jadwin postanowił spędzić letnie miesiące po ślubie nad jeziorem, a ponieważ wczesna data ślubu uniemożliwiła wzniesienie nowego budynku, przeto kupił, i teraz kazał przerabiać, stary, ale solidny dom za miastem, niegdyś zamieszkały przez miejscowego sędziego. Laura nie widziała jeszcze swojej przyszłej wiejskiej siedziby. Dom stał na obszernym gruncie, pełnym cienia i drzew owocowych, naprost jeziora. Przez cały ubiegły miesiąc pracowała tam mała armja robotników i mechaników, a Jadwin zdołał natchnąć dostawców własną energją i wytrwałością. Wszelkie prawdopodobieństwo przemawiało za tem, że wszystko będzie gotowe w porę.

— Dobrze, — odparła Laura, w odpowiedzi na zapytanie, — o dziesiątej będziemy gotowe. Dobranoc.

Wyciągnęła rękę. Ale Jadwin odsunął szybko dłoń, pochwycił Laurę w silne objęcia i, zwracając jej twarz ku swojej, okrył pocałunkami lica narzeczonej.

Laura poddała się, protestując.

— Curtis! Co za szaleństwo! Mój drogi, czy nie możesz mnie kochać bez tego ściskania? Curtis! Proszę cię! Taki jesteś brutalny... mój drogi!

Wysunęła się z jego objęć, a spojrzawszy mu w twarz spostrzegła ze zdumieniem, że cała płonie, a oczy są roziskrzane.

— Boże wielki! — szepnął, zaczerpnąwszy tchu głęboko, — Boże wielki, jak ja cię kocham, ty moja jedyna dziewczyno! Kocham każde dotknięcie twojej ręki, zapach twoich włosów przyprawia mnie o szal! Skarbie najdroższy, jakie to wszystko przedziwne! Istny cud!

Poczem nagle opanował się, odzyskał równowagę.

— Dobranoc — rzekł. — Dobranoc. Bóg z tobą! — I po tych słowach wyszedł.

Pobrali się ostatniego dnia w czerwcu tegoż lata o godzinie jedenastej rano w kościele naprzeciwko domu Laury — w kościele anglikańskim, do którego Laura należała. Ślub, bardzo cichy, odbył się w obecności Cresslerów, panny Gretry, Page i ciotki Wess'. Niezwłocznie potem młoda para miała wsiąść do pociągu, który jechał do Geneva Lake, a w którym Jadwin zamówił osobny wagon.

Pogoda w dniu wesela była szkaradna. Ciepły, drobny deszcz padał od samego rana, a około godziny jedenastej zamienił się na ulewę, z towarzyszeniem grzmotów.

Na godzinę przed oznaczonym czasem, Laura zażądała stanowczo, żeby siostra i ciotka pozostawiły ją samą z panią Cressler. Czas mijał. Deszcz padał w dalszym ciągu. Wreszcie brakło już tylko kwadransa do jedenastej.

Page i ciotka Wess' stawiły się przed innymi w kościele, którego wnętrze było zimne, ciemne i wilgotne. Usiadły w pierwszej ławce, mówiąc szeptem i rozglądając się dokoła, na kazalnicę, chrzcielnicę i fotel biskupi. Każdy krok i każdy dźwięk odbijał się głośnym echem w ciemnym

sklepieniu nawy. Zakrystjan, starzec o surowem obliczu, w czapeczce na łysej czaszce i w pantoflach, zajęty był układaniem stosu poduszek w odległym kącie. Deszcz bebnął jednostajnie po dachu i szybach.

Kościół, do którego Page uczęszczała stale co niedzielę rano, wydał jej się dzisiaj osobliwie obcy, świecki, a święci w oknach dziwaczni; całe otoczenie nie wywierało wrażenia miejsca poświęconego. Na chórze organista próbował organy, a od czasu do czasu odgłos dalekiego grzmotu zlewał się z przeciągłym dźwiękiem piszczałek.

— Daję słowo, jak to pada! — szepnęła ciotka Wess', gdy fala spadająca na dach, zaszumiła z podwojoną siłą.

Ale Page wyjęła książkę do nabożeństwa, uklękła i zaczęła odmawiać litanję.

Niecierpliwilo to ciotkę Wess', która podrażniona, rozgorączkowana oczekiwaniem, więcej niż kiedykolwiek pragnęła rozmowy. Czy Page nigdy nie skończy?

— Nowy kostjum Laury pójdzie na nic, — szepnęła.

Page, nie przerywając modlitwy, rzuciła ciotce karzące spojrzenie. Dla przepędzenia czasu pani Wessels zaczęła liczyć ławki, myliła się raz po raz i zaczynała od początku. Od strony zakrystji dobiegł odgłos zamykanych drzwi, poczem znów zapadła cisza; ustało nawet kręcenie się zakrystjana.

— A to cicho dopiero! — odezwała się znów ciotka Wess'. — Ciekawam czy to oni. Słyszałam, jak ktoś trzasnęła drzwiami. Mówiono mi, że rektor był żonaty trzy razy.

Page, nie zwracając na ciotkę uwagi, przewróciła kartkę i zaczęła poważnie: „Wszyscy, którzy dają ładem czy wodą“...

W tej chwili ukazał się pan Cressler i panna Gretry; zajęły miejsca za Page i ciotką Wess' i przyciszonym głosem zamienili powitania. Page niechętnie odłożyła książkę.

— Laura będzie za chwilę, — szepnął pan Cressler. — Carrie została z nią. Idę do zakrystji. J. przyjechał właśnie.

Wstał i oddalił się, idąc na palcach.

Ciotka Wess' zwróciła się do Page, powtarzając:

— Czy wiesz, że rektor tutejszy był trzy razy żonaty?

Ale Page była już ponownie zatopiona w modlitwie, ciotka zwróciła się zatem z tą uwagą do panny Gretry. Ta wszelako zacisnęła usta, wykonała ręką rozpaczliwy ruch i w końcu wykrztusiła:

— Nie mogę mówić.

— Na Boga, dziecko, co ci jest?

— Dostałam czkawki, a jak otworzę usta to mi gorzej.

Ciotka Wess' cofnęła się z oburzeniem.

— Daję słowo, w życiu swoim nie widziałam takich dziewcząt.

Czkawka Izabeli Gretry wyprowadziła ciotkę Wess' z równowagi. „Działała jej na nerwy“. W końcu, wobec tej czkawki i nieprzerwanego szeptu rozmodlonej Page, zmuszona była usiąść na przeciwnym końcu ławki, a w chwili, gdy się nareszcie usadowiła, otwarły się drzwi zakrystji i weszło grono weselne: najpierw — pani Cressler, potem Laura, potem Jadwin i Cressler, potem biskup djecezji, cały w bieli, czcigodny, z modlitewnikiem w ręku. Ostatni wsunął się śpiesznie na palcach kancelista, kościasty, wyperfumowany, z gardenją w butonierze surduta, straszliwie podniecony, mówiąc: „Psst! Psst! dla zasady.

Page, spojrzawszy na Jadwina, widziała, że jest niesłuchanie wzruszony i że trzyma się na wodzy wielkim wysiłkiem. Odgadła też, że ma zaciśnięte zęby. Stał obok Cresslera, z głową pochyloną i nie spuszczał oczu z oblicza Laury.

Ona zaś była zupełnie spokojna, może tylko nieco bledsza, niż zwykle — ale nigdy piękniejsza, nigdy bardziej czarująca. Zaniechawszy tym razem zwykłego czarnego koloru, miała na sobie szykowny kostjum podróżny piaskowej barwy, duży, malowniczy kapelusz, spięty klamrą ze strasów i wielki pęk fijołków za paskiem. Zdjęła rękawiczki i podała je pani Cressler. W tejże chwili Page zaczęła płakać zeicha.

— Już koniec, — szeptała przez łzy, — tracę już ukochaną siostrę.

Ciotka Wess' spojrzała na nią smutnym wzrokiem, odsapnęła i zaczęła szukać w woreczku chustki do nosa.

— Gdyby jej drogi ojciec był tutaj...—szepnęła zdławionym głosem, — i pomyśleć, że to ta sama dziewczynka, którą karciałam za drażnienie kota, stukając napairstkiem po jej główce! Ach, gdyby Jonasz mógł dziś być tutaj.

— Laura już nigdy nie będzie dla mnie taką, jak była! — szlochała Page, a małą Gretry, pod wpływem wzruszenia, porwała głośna czkawka, która we wszystkich kątach budynku odezwała się echem istnego szczekania.

Page nie mogła się powstrzymać od śmiechu, co w połączeniu z łkaniem dławionem w krtani, omal nie przypawiło jej o spazmy.

A teraz odezwał się z ambony głos dźwięczny, doniosły, zaokrąglony:

„Drodzy moi, zebraliśmy się tutaj, w obliczu Boga i wobec tego grona, by połączyć świętym węzłem małżeńskim tego mężczyznę z tą kobietą“.

Duch szacunku, duch uroczystości przejął całe otoczenie. Budynek nie wydawał się już świecki. Wszelkie odgłosy zewnętrzne ucichły; organy zagrzmiały; nigdzie nie było widać drepcącego zakrystjana; gwar miasta dobiegał zaledwie dalekiem, przytłumionem echem; zdawało się, że cały świat ucichł nagle, gdy zaczęła się doniosła chwila w życiu mężczyzny i kobiety.

Page powstrzymała oddech. Fizycznie odczuwała uroczystość sytuacji. Ogarnął ją lęk, a Laura wydała jej się nagle kobietą przeobrażoną, nawpół anielską, nieznaną. Powaga, dźwięcznych słów: „Nakazuję wam obojgu, skoro będziecie odpowiadali w strasznym dniu Sądu Ostatecznego, gdy tajemnice wszystkich serc zostaną ujawnione“..., zaciężyła na jej umyśle przerażającym wprost majestatem.

O, dobrze to mówić swywolnym tonem o małżeństwie, rozmawiać o niem w przystępie wesołości. — A to jednak sprawa uroczysta poważna; ona zaś, Page Dearborn jest dziewczyną złą, grzeszną, pełną obłudy i płochości, zasługującą na karę w owym „strasznym dniu Sądu Ostatecznego“. Nie dalek jak ubiegłego tygodnia oszuka-

ła ciotkę Wess' co do jednego ze swoich „młodzieńców“. Czas przestać. Dzień dzisiejszy będzie stanowczy — odtąd zacznie prowadzić nowe życie.

„Bóg Ojciec, Bóg Syn, Bóg Duch Święty...“

Dla Page głos czcigodnego biskupa zappełniał cały kościół, jak w dniu Zielonych Świątek, gdy Apostołów nawiedzał Duch Święty, „potężny powiew“ przyplął przez budynek.

Uklękła ponownie ale nie zdołała zamknąć zupełnie oczu. Z pod spuszczonej powiek patrzyła bacznie na siostrę i na Jadwina. Co też Laura odczuwa teraz? Jest istotnie bardzo blada. W oczach Jadwina malowało się wzruszenie. Page widziała to wyraźnie. Jak to pięknie, że nawet on, silny, nowoczesny *business man*, jest taki wzruszony! Jak on musi kochać Laurę! Jest subtelny, jest szlachetny; i nagle ta jego subtelność i szlachetność tak przejęła Page, że zaczęła znów płakać. Naraz zabrzmiały wyrazy:

„...Żebyście w świecie przyszłym żyli życiem wiecznem. Amen“.

Nastąpiła chwila ciszy, poczem grono przed ołtarzem ruszyło ku wyjściu.

— Pójdź, — rzekła ciotka Wess', wstając, — już po wszystkim, Page. Pójdź i ucałuj siostrę... panią Jadwin.

W zakrystji Laura stała przez dłuższą chwilę, a każdy po kolei, nawet pan Cressler — składała na jej licach pocałunek. Gdy nadeszła kolej Page, siostry trzymały się długo w mocnym uścisku; ale oczy Laury były ciągle jeszcze suche. Ze wszystkich obecnych ona okazywała najmniej podniecenia.

— Tu jest jakaś przesyłka — zawołał wszędobylski kancelista, przeciskając się śród weselnego grona. — Zakrystjan mówi, że przyniósł to goniec dla pani Jadwin.

Podał Laurze wielkie pudło. Otworzyła je. Spoczywała w niem olbrzymia wiązanka róż *Jacqueminot* i karta ze słowami:

„Niechaj towarzyszy Pani zawsze takie samo szczę-

ście, jakim Pani obdarzała tych wszystkich, którzy Panią znają.

Oddany

S. C.“

Grono weselne, wyszedłszy z kościoła, podążyło śpiesznie przez ulicę naprzeciwko do domu Laury, z kądem młoda para miała zabrać kufry i walizki ręczne. Powóz Jadwina stał już przed bramą.

Zebrali się wszyscy w salonie i mówili jednocześnie, służba zaś zносиła bagaż do powozu.

— Ach! poczekajcie chwilę... Zapomniałam czegoś!
— zawołała naraz Laura.

— Czego? Przyniosą ci! — rzekli Jadwin i Cressler, gdy pobiegła ku drzwiom.

— Nie, nie, — odparła. — To nic... Nie wiedzielibyście gdzie szukać.

Pośpieszyła pędem na drugie piętro, poczem przystanąła, żeby zaczerpnąć tchu i nasłuchiwała. W pustych pokojach panowała cisza. Z dołu dobiegały głosy rozmawiających, — ich śmiech i wesołość. Po chwili Laura zaczęła chodzić od pokoju do pokoju, zaglądając do każdego — najpierw do sypialni ciotki, potem siostry, potem do „bawialni frontowej“ a w końcu weszła do sypialni własnej. Panował tu jeszcze nieład, spowodowany doniosłym faktem dzisiejszego ranka; brakło bardzo wielu ozdób — własnych ulubionych drobiazgów Laury — które zostały zapakowane i wysłane dnia poprzedniego do jej nowej siedziby. Biurko było puste. Na poręczach krzeseł i łóżka zwieszały się różne przybory toaletowe i suknie, których już nigdy nie miała nosić.

Laura stała długo, rozglądając się w milczeniu po pustym pokoju. Tutaj przeżyła najszcześniejszy okres swego życia; nie było tu ani jednego przedmiotu, nawet najdrobniejszego, który nie byłby związany z jakimś wspomnieniem. Teraz opuszcza to wszystko nazawsze. Teraz zacząć się ma nowe, nieznanne życie. Dawne dni, życie dawne minęły bezpowrotnie; gdzież jest teraz owa Laura Dearborn, która jeszcze dzisiejszej nocy spoczywała na

poduszkach tego łóżka? Gdzie mała, czarnowłosa dziewczynka z Barringtonu?

I czem będzie to nowe życie, w które wchodzi pod temi ołowianemi chmurami, wśród tej ciepłej mgły deszczowej? Łzy — nareszcie — napłynęły do jej oczu, łkanie dławilo krtań, oparta jedną ręką o drzwi szeptała:

— Żegnajcie... Żegnajcie... Żegnajcie...

Poczem nagle przeszła przez pokój i, niepomna stroju ślubnego, rzuciła się na kolana przed łóżkiem, a pochyliwszy twarz na złożone dłonie zaczęła się modlić — modliła się w nieuczonych, prostych wyrazach dzieciństwa; modliła się, żeby Bóg zachował ją w swojej opiece i dozwolił, by stała się dobra — modliła się o szczęście; modliła się, żeby Bóg nie odmówił jej swej pomocy w nowem życiu i żeby dał, aby została dobrą i wierną żoną.

A gdy tak klęczała, uczuła nagle na ramieniu swoim dłoń silną, a nawet ciężką. Podniosła głowę i spojrzała poraz pierwszy — prosto w oczy męża.

— Wiedziałem... — zaczął Jadwin — myślałem... Najdroższa, rozumiem, rozumiem.

Powiedział tylko tyle. Lecz nagle ogarnęła Laurę świadomość, że on, Jadwin, jej mąż, „rozumie“ i uprzytomniła sobie także w tej chwili co znaczy być zupełnie, bezwzględnie zrozumianą — zrozumianą bez cienia wątpliwości; zrozumianą do najtajniejszej głębi duszy. I wraz z tą świadomością zrodziło się w niej nowe uczucie. Żadna kobieta, ani najdroższa przyjaciółka, ani nawet Page nie wydała jej się nigdy taka bliska, jak teraz jej mąż. Jakże mogłaby być odtąd nieszczęśliwą? Przyszłość rzucała już pełne blasku promienie.

I w nagłym porywie Laura zarzuciła ramiona na szyję mężowi i przyciągnęła jego twarz do swojej twarzy i przytuliła swoje wilgotne lica do jego policzka, zroszonego łzami, jak jej własny.

— Będzie dobrze, ukochana — rzekł, gdy cofnęła się, trzymając go jednak za rękę. — Zobaczysz, że będzie dobrze.

— Tak, tak, będzie dobrze, będzie dobrze, — potwierdziła; — nie uświadamiałam sobie tego aż do tej chwili,

kochałam cię, niewątpliwie od pierwszej chwili, nie wiedząc o tem. I byłam dla ciebie zimna i niedobra, i teraz tak mi przykro... tak bardzo przykro. Nie miałeś słuszności, mówiąc, wtedy w bibliotece... pamiętasz? że jestem powściągliwa w okazywaniu uczuć. Tak nie jest, Kocham cię, bardzo, bardzo, i nigdy na chwilę jedną nie dopuszczę, żebyś o tem zapomniał.

Nagle Jadwin przypomniał sobie zajście, o którym mówiła, spytał:

— A, prawda, nasza umowa... pamiętasz? Widzę, że nie zapomniałaś.

— Zapomniałam! Zapomniałam! — zawołała. — I to właśnie jest największa słodycz mego uświadomienia.

ROZDZIAŁ VI.

Miesiące mijały. Niebawem skończył się trzeci rok i trzecia zima od uroczystości zaślubin w kościele Ś-go Jakóba.

Od owego dnia, w którym, działając na podstawie wczesnej wiadomości o wprowadzeniu cła od przywozu zboża we Francji, Jadwin sprzedał swój milion buszli, cena pszenicy spadała stale. Z dziewięćdziesięciu trzech i dziewięćdziesięciu czterech spadła na osiemdziesiąt. Obfite zbiory wszechświatowe dopomogły do zniżki. Nikt nie chciał pszenicy kupować. Przywódcy zniżkowców byli mocni, niepokonani. Cena spadała coraz niżej i niżej; już, doszła do siedemdziesięciu pięciu, a niebawem do siedemdziesięciu dwóch.

Ze wszystkich stron kraju napływała do Chicago i na giełdę zbożową wielka, nieprzerwana fala pszenicy, a pod jej naporem kruszyła się stale cena. W całym świecie rolnicy zbierali rok po roku obfite plony. Zbiory były dobre w republice Argentyńskiej i w stepach rosyjskich. W Indjach, na małych farmach Birmy, Mysoru i Sindu rodziło się rok po roku ciężkie, zdrowe, tłuste ziarno. W wielkiej dolinie San Joaquin, w Kalifornji ranch'e były jedną wielką strefą urodzajów. Ze wszystkich Stanów Zjednoczonych, Z Dakoty, z Nebraski, z Jowy, Kansasu i Illinoisu, z całego pasa łańców pszenicznych nadchodziły stale wiadomości o pomyślnych zbiorach.

Ale jednocześnie niska cena zboża, powodowała zużożenie farmerów. Zaciągali nowe pożyczki na farmy, już „słono“ obciążone; nawet zboże na pniu oddawali w zastaw. Nie kupowali nowych narzędzi rolniczych. W gminach rolniczych „środkowego zachodu“ ustały zakupy lekkich, jednokonnych powozików i fisharmonij pokojowych. Gdzieś, w innych odległych zakątkach świata, tania pszenica, co znaczyło tani chleb — ułatwiała życie i sprowadzała dobrobyt, ale w Stanach Zjednoczonych ubóstwo farmera potęgowało się z każdym niemal poruszeniem zębatych kół całej wielkiej machiny interesów handlowych.

Zdawało się, że wyschły w niej smary. Zębate koła pracowały wolno i niesprawnie. Popsuły się spoidła. Pa-piery na Wall Street spadały. Słowem „czasy były złe“.

Przez trzy lata przysłowiem było na giełdzie zbożowej w Chicago, że najszybszym sposobem zrobienia majątku jest sprzedaż pszenicy od ręki, na krótki termin. Z niezachwianą niemal pewnością można było kupować taniej, niż się sprzedawało. I ta szczególna, nieokreślona rzecz znana — śród najbardziej nieuczuciowych ludzi na świecie — jako „przeczcucie“, przeważała coraz silniej i silniej na korzyść niskich cen. „Przeczcucie“ — opiewały sprawozdania rynkowe — „było zniżkowe“; a kupcy, spekulanci, naganiacze, agenci, maklerzy i inni podobni — cały świat z ulicy La Salle — tak przywykł do tych „niedźwiedzich warunków“, że trudno było uwierzyć, iż nie będą one trwały bez końca.

Jadwin został znów wciągnięty w mętne wody otchłani giełdowej, co było nieuniknione. „Niedźwiedz“ od samego początku, wykonał ponownie atak na rynek i ponownie odniósł zwycięstwo. W dwa miesiące później obmyślił wespół z Gretrym nową spekulację, na daleko większą skalę, niż wszystkie dotychczasowe. Laura, nieświadoma prawie zupełnie interesów męża, o których rzadko wspominała, dowiedziała się z dzienników, że „interes“ w pewnym stadium zachwiał się w posadach.

Jadwin był już teraz taki „zaprawiony do gry“, że zbyteczne stały się nalegania Gretry'ego, by go podniecić.

Rozwinął się w nim strategik śmiały, niepojętej zuchwałości, rozkoszujący się starciami bitwy, najweselszy, najodważniejszy wtedy, gdy, z wyteżeniem wszystkich sił, przypuszczał nielitościwy atak. W tym wypadku, gdy „tamta strona“ uciekała się do zwykłej taktyki, by wyprzeć go z giełdy, doprowadził swoich wrogów do popełnienia jednego tylko fałszywego kroku. I niezwłocznie — lekceważąc błagania Gretry'ego, nawołującego do ostrożności — Jadwin całym swoim wielkim majątkiem poszedł do ataku, ni by koncentrując ciężką artylerję, i zmiażdżył opozycję z przerażającą szybkością.

Wyszedł z zapasów zwyciężcą, a Laura w długi czas potem dopiero dowiedziała się jak, przez kilka godzin, był bliski porażki.

A cena pszenicy spadła ponownie. W pierwszym tygodniu kwietnia, w końcu trzeciej zimy małżeńskiego życia Jadwina, sprzedawano pszenicę majową na giełdzie zbożowej w Chicago po sześćdziesiąt cztery, na lipiec po sześćdziesiąt pięć, na wrzesień po sześćdziesiąt sześć i 1/8.

W ciągu lutego tego samego roku Jadwin sprzedał był pięćset tysięcy buszli na maj. Przypuszczał wraz z Gretrym i większością handlarzy zawodowych, że cena spadnie na sześćdziesiąt.

Marzec minął, nie przyniósłszy dalszej niżki. Przez cały ten miesiąc oraz przez pierwsze dni kwietnia, Jadwin bywał niezwykle zamyślony. Spekulacja pszenicą nie przyczyniała mu już troski i kłopotu. Był teraz taki bogaty, że jakieś pół miliona buszli nie stanowiło powodu zaniepokojenia. Uwagę jego zaprzętała „sytuacja“.

W jakiś nieokreślony sposób, ostrzeżony tym błogosławionym szóstym zmysłem, który wytworzył zeń szczęśliwego spekulanta, czuł, że gdzieś, kiedyś w ciągu zimy, dokonała się spokojnie, stopniowo zmiana, że dokonywała się nawet jeszcze teraz. Czyżby w warunkach, które stale przeważały przez trzy lata, miał nastąpić zwrot? Nie wiedział, nie mógł nic powiedzieć. Ale w atmosferze interesów finansowych, w której się obracał i żył, odczuwał — różnicę.

Pod jednym względem „czasy“ były lepsze, obrót interesów poprawił się. Nie mógł nie zauważyć ożywienia w handlu. W sukiennictwie, w przemyśle żelaznym i tkackim zapanował inny duch, duch optymizmu, jak mniemał Jadwin. W tem wielkiem mieście, gdzie pulsowało Serce Narodu, gdzie odzwierciedlały się niezwłocznie choroby epoki lub jej zdrowa działalność, Jadwin odczuwał przyśpieszony, łatwiejszy, spokojniejszy obieg krwi żywej. Zdawało się, że pieniądz, płyn życiowy, przepływa swobodniej przez Ciało Rzeczy.

Ludzie wydawali się bogatsi, banki dawały większe pożyczki, kurs papierów był stały. W Nowym Jorku gra akcjami płynęła po fali spekulacji pełnemi żaglami. Ludzie robili pieniądze — robili i wydawali je, pożyczali, wymieniali. Zamiast dusić je w sklepieniach, skarbcach, *s a f e s - a c h*, stłoczone, zamrożone, puszczały pieniądze w ruch, a ta płynna gotówka rozlewała się szerokim korytem po kraju. Naród miał pieniądze i chciał je wykorzystać.

Takie były warunki finansowe.

Wiosna była spóźniona, zimna, niegościnna i Jadwin zaczął podejrzewać, że zbiory pszenicy w kraju, przez tak długi czas obfite i w świetnym gatunku, okażą się teraz — a było to zupełnie prawdopodobne — skąpe i poślednie w gatunku. Zaczął pilnie śledzić pogodę, baczyć na sprawozdania z małych wiejskich osad i „środowisk“ w Stanach, uprawiających pszenicę ozimą i nabierał przekonania, że podejrzenia jego potwierdzają się w części.

Z Keokuku, w Jowie nadchodziły wieści, że zasiewy pszenicy ozimej ucierpały, skutkiem braku wilgoci. Benedict, Yate Centre i Douglass, w południowo - wschodnim Kanzasie nadsyłały raporty o suchej, wietrznej pogodzie, która zabijała młode ziarno, takie same warunki przeważały w okręgach środkowych. W Illinois, z Quincy i Waterloo na zachodzie i z Ridgway na południu nadchodziły stale raporty o zimnie i mroźnych wichrach. We wszystkich niżej położonych częściach Stanu śnieg podczas zimy nie spadł dość obficie, by jego warstwa mogła ochronić zasiane ziarno.

Wszelako zasiewy w Ohio, a również i w Missouri, za-

powiadały się nieźle. W Indjanie natomiast, jak wywnioskował Jadwin z raportów, zawiedzione będą nadzieje na skromne nawet zbiory; dotkliwie mrozy, zima, trwająca niemal do pierwszego kwietnia, zdecydowała ostatecznie o widokach żniw.

Specjalnie wszakże zwracał Jadwin uwagę na Nebraskę, ten Stan, który jest jednym olbrzymim łanem pszenicy. Co przyniesie Nebraska — Nebraska, zdolny sam żywić cały kraj? Jedna osada za drugą zaczęły teraz nadysłać raporty. Zima trzymała jeszcze teraz cały Stan w mroźnym uścisku. Nieustające wiatry obijały pszenicę, warzyły ją mrozy; młode, kielkujące ziarno ginęło wszędzie. Dokonywała się istna rzeź.

Niemniej jednak, mimo to wszystko, nie można było jeszcze orzec nic stanowczego. Uprawiające pszenicę oziębą inne Stany, z których nadchodziły dopiero częściowe raporty, mogły jeszcze wyrównać szkody dotychczasowe; nadto zaś Niedźwiedzie giełdy zbożowej mogli utrzymać cenę, nawet wobec wiadomości o złym omłocie. W istocie wybitniejsi i mocniejsi niżkowcy zaintonowali już zwykłą śpiwkę. Ceny muszą spaść; trzyletnia niżka nie dobiegła jeszcze końca; Niedźwiedzie są tacy silni, że żadne wieści, rozsiewane przez Byków, nie mogą ich przerazić. Pszenicy będzie, mimo wszystko, dosyć. Wobec pogłosek o skąpych zbiorach utrzymywali tedy, na razie bez zmiany, ceny słabe.

Dnia dziesiątego kwietnia ukazało się sprawozdanie rządowe o stanie pszenicy ozimej, donoszące, że przeciętna zbiorów będzie znacznie niższa, niż była od lat dziesięciu. Dnia dziesiątego marca ten sam biuletyn wykazywał umiarkowane zapasy w rękach farmerów, wynoszące w istocie mniej, niż sto milionów buszli, zaś zapasy skontrolowane w ilości niżej czterdziestu milionów.

Przywódcy Niedźwiedzi zabrali się szybko do dyskutowania tych wiadomości. Wykazywali jak pewne kombinacje zagraniczne zrównoważają z góry skutki skąpych zbiorów amerykańskich. Wskazywali, że sprawozdanie rządowe zawiera dane, sięgające tylko do pierwszego kwietnia.

i, że od tego czasu warunki atmosferyczne w pasie pszenicznym były pomyślne nad wszelkie spodziewanie.

Sprawozdanie kwietniowe ogłoszone zostało dnia dziesiątego tegoż miesiąca po południu. Tego samego wieczora Jadwin zaprosił Gretry'ego z żoną na obiad w nowym swym domu przy North Avenue; po obiedzie, pozostawivszy panią Gretry i Laurę w bawialni, zabrał maklera do pokoju bilardowego na „piramidkę“.

Ale gdy Gretry ustawił bile w trójkąt, mężczyźni nie zaczęli gry odrazu. Jadwin zadał pytanie, które górowało nad wszystkim w umyśle każdego z nich podczas obiadu.

— Sam — rzekł — co ty myślisz o tem sprawozdaniu urzędowem?

Makler nacierał spokojnie kredą czubek swego kija.

— Spodziewam się, że nastąpi pewna reakcja, skutkiem tego, ale potem rynek się ożywi. Powiedziałem, że pszenica dojdzie do sześćdziesięciu i powtarzam to teraz. Do maja jeszcze daleko.

— Miałem na myśli nietylko stan zboża — zauważył Jadwin. — Sam, będziemy mieli latem lepsze czasy i wyższe ceny.

Gretry potrząsnął głową i długimi argumentami zaczęła wykazywać Jadwinowi, że jest w błędzie.

Ale Jadwin nie dał się przekonać. Nagle położył dłoń na stole.

— Sam, dotarliśmy do szczytu — oświadczył — dotarliśmy do szczytu na całej linji.

— Co mi tam gadasz, — odparł makler mruklivie, siadając na końcu stołu; — pszenica dojdzie do sześćdziesięciu. — Wskazał podbródkiem bile. — Zacznieś?

Jadwin uderzył w bile, a jedna z nich zatrzymała się o trzy cale od luzy. Cofając kij, rzekł z naciskiem:

— A ja ci mówię, że pszenica nie... spadnie już... ani o jednego centa.

Po tych słowach pchnął bilę i wyprostował się. Gretry odłożył kij i rzucił szybkie spojrzenie na Jadwina. Nie odezwał się jednak. Jadwin usiadł na jednym z krzesel o prostym oparciu, które stały na wzniesionej platformie pod ścianą, i oparł łokcie na kolanach.

— Sam — zaczął — nadszedł czas dokonania wielkiej, zasadniczej zmiany. — Uderzył kijem w posadzkę, dla nadania nacisku ostatniemu słowu. — Nie możemy już dłużej podtrzymywać gry, którą prowadziliśmy przez ostatnie trzy lata. Spychaliśmy pszenicę w dół, coraz głębiej i głębiej, aż zepchnęliśmy ją poniżej kosztów produkcji; teraz zaś już niżej zepchnąć się nie da, choćby cały świat uknuł w tym celu spisek. Zdaje się, że nikt z całej bandy Niedźwiedzia tego nie widzi, ale ja widzę. Niebawem będziemy mieli wyższe ceny. Pszenica pójdzie w górę, a gdy zacznie się zniżka, chcę być na stanowisku.

— Rynek będzie ospały aż do początku zimy, — upierał się Gretry.

— Powiesz mi zatem to samo na początku zimy — odparł Jadwin. — Słuchaj, Sam: mam pięćset tysięcy buszli na maj; jutro rano wyślesz swoich chłopców na giełdę dla mnie i dokonasz tej transakcji.

— Oszalałeś J., — protestował makler. — Przetrzymaj jeszcze miesiąc tylko, a przyrzekam ci, że mi podziękujesz.

— Ani jednego dnia, ani jednej godziny. Ta nasza zniżkowa kampanja dobiegła końca. Na to niema rady.

— Co też ty mówisz! zaczęła się właśnie, — upierał się Gretry. — Na Boga, nie wycofasz się chyba teraz z gry po trzech latach współdziałania.

— Ja się też wcale nie wycofuję.

— Boże wielki! — zawołał Gretry, — nie chcesz chyba powiedzieć, że...

— Że przechodzę na tamtą stronę. To właśnie chciałem powiedzieć. Przejdę tak szybko na stronę przeciwną, że będę tam już stał, zanim ty zdążysz zdjąć kapelusz. Mam dosyć tej gry zniżkowej. Dobra była póki trwała, ale wyzyskaliśmy ją do dna. Nietylko pozbędę się dostawy na maj i wycofam się z tego interesu, ale — Jadwin pochylił się naprzód i uderzył dłonią w kolano — zacznę k u p o w a ć. Kupię pszenicę wrześniową i to jutro... pięćset tysięcy buszli, a jeśli przebieg rynku będzie później taki, jak przypuszczam, kupię jeszcze więcej. Nie jestem już Niedźwie-

dziem. Rozpedzę tę bandę do ostatniego; odtąd Curtis Jadwin piszę się B - y - k. Byk!

— Oni cię zarzną, — rzekł Gretry, — zarzną cię z zimną krwią. Stoisz sam jeden przeciw tej zgrai... zgrai zbójów. Sprzedaj, co masz do sprzedania, jeżeli chcesz, ale, na miłość boską, nie zaczynaj kupować tym samym tchem. Poczekaj trochę. Jeżeli obecna tendencja rynkowa dobiegła szczytu, jak mówisz, będziemy mogli powiedzieć ci to napewno za kilka dni. Przypuszczam nawet, że teraz istotnie nastąpi przerwa. Ale nikt jeszcze nie może powiedzieć, czy potem nastąpi zwyżka czy zniżka. Teraz należy być powściągliwym i grać ostrożnie.

— Gdybym był powściągliwy i ostrożny, — odparł Jadwin, — nie wdawałbym się wcale w tę grę. Kupowałbym czteroprocentowe papiery państwowe. To jest właśnie ten wielki błąd, jaki popełnia tylu z tych ludzi. Wdają się w grę i próbują prowadzić ją ostrożnie tam, gdzie zwycięstwo odnieść mogą tylko gracze na wielką skalę. Jeżeli będę czekał aż sytuacja rynkowa się wyjaśni i wszyscy zaczęną kupować, jak wezmę górę nad innymi? Nie, panie; kupisz jutro dla mnie na wrzesień... pięćset tysięcy buszli! Złożyłem dziś popołudniu dopłatę do 'zadatków na twój rachunek w „Illinois Trust“.

Nastąpiło długie milczenie. Gretry przesuwając przez palce bilę.

— Słuchaj J. — rzekł w końcu z wahaniem, — albo masz łeb Napoleona, albo... albo jesteś kolosalnym idjotą.

— Ani jedno, ani drugie, Samuelu. Mam tylko trochę zdrowego rozsądku... Czy to na ciebie kolej?

— Myślisz, że ja wiem?...

— No, to zaczniemy nową partję. Sam dam ci trzy bile i pobiję cię w... — spojrzawszy na zegarek — pobiję cię przed pół do dziesiątej.

— Założymy się o dolara?

— Ja się nigdy nie zakładam, Samie, wiesz o tem dobrze.

W pół godziny później Jadwin rzekł:

— Może zejdziemy do pań? Nie gaś cygara. Zawar-

łem umowę z Laurą, zanim wprowadziliśmy się tutaj... że palenie dozwolone jest, wszędzie.

— Miejsca macie dosyć, — zauważył Gretry, gdy weszli do dźwigu. — Ile tu jest pokoiów?

— Daję ci słowo, że nie wiem, — odparł Jadwin. — Faktycznie. Zwiedzałem dom wczoraj i wszedłem do jakiejś małej palarni; przysięgam, że dotąd tego nie widziałem. Musiałem wezwać Laurę, żeby mnie objaśniła.

Dźwig zjechał na niższe piętro, a Jadwin i Gretry weszli do wielkiego hallu. Z pobliskiej bawialni dobiegały głosy kobiece.

— Zanim do pań wejdziemy — rzekł Jadwin, — chcę ci pokazać naszą galerję sztuki i organy. Ostatni raz jak byłeś tutaj, pracowali jeszcze robotnicy.

Szli szerokim korytarzem a na końcu Jadwin, zanim rozsunął ciężkie, ciemne portjery, nacisnął dwa guziki elektryczne i w otwartej przestrzeni ponad portjerą zabłysło olśniewające światło.

Makler, wszedłszy, gwizdnął przeciągle. Galerja sztuki wznosiła się przez dwa piętra. Miała kształt rotundy, osłoniętej w górze wielką kopułą ze szkła kolorowego. Tu i owdzie stały witryny pełne drobiazgów, posążków z kości słoniowej, starych tabakierek, wachlarzy z szesnastego i siedemnastego wieku. Ściany zawieszono były mnóstwem obrazów — olejnych, akwarel i pasteli.

Na lewo, od wejścia, wmurowane w ścianę stały organy tak wielkie, że byłyby wystarczające dla katedry, i błyszczały w blasku elektryczności szeregami potężnych piszczałek.

— No, no... to jest coś warte — zawołał makler.

— Ja się na tem niebardzo znam, — rzekł Jadwin, patrząc na obrazy, — ale Laura może cię objaśnić. Kupiliśmy je przeważnie zagranicą w zaprzesłym roku. Laura mówi, że ten jest najlepszy.

Wskazał duży obraz Bouguereau, wyobrażający grono nimf, kąpiących się w stawie leśnym.

— Hm! — zauważył Gretry; — nie chciałbyś pewnie, żeby który z superintendentów twojej szkoły niedzielnej

widział to teraz. Chłopcy na giełdzie nazywają ten rodzaj obrazów „restauracyjnym“.

Ale Jadwin nie roześmiał się.

— Nie zrobił nigdy na mnie takiego wrażenia — rzekł poważnie.

— Niemniej obraz jest bardzo ładny — dodał Gretry śpiesznie; — bardzo ładny... śliczny koloryt.

— Lubię ten tutaj, — mówił dalej Jadwin, podchodząc do obrazu Détaille'a.

Było to jedno z wielu studjów, wyobrażających kirasjera, tym razem w roli trębacza, z jedną ręką wzniesioną w górę i trzymającą mocno w dłoni trąbę; koń, okryty pianą, pędził szalonym galopem. Na dalszym planie w tyle reszta szwadronu oznaczona była kilku barwnymi punktami.

— Tak, to wcale niezłe — przyznał Gretry. — Boże, co taki Francuz nosi na sobie! Nasi chłopcy zrzuciliby z siebie trzy czwarte tych łachów, przed zabraniem się do roboty... W jaki dziwny sposób ci artyści malują — dodał, przyglądając się obrazowi zblizka. — Jak patrzysz tak zblizka, to masz przed sobą tylko mnóstwo kleksów; ale gdy się odsuniesz — cofnął się, przechylając głowę na bok — dopiero widzisz, jak te kleksy przybierają kształty, i co to jest właściwie.

Odwrócił się od obrazu i wodził oczyma dokoła.

— No, no, — szeptał, — ależ tu przepych... Przypuszczam, że wpakowałeś tu ładny grosz, J.

— Nie przyzwyczaiłem się jeszcze sam do tego wszystkiego, — rzekł Jadwin. — Siedziałem tutaj ubiegłej niedzieli i zastanawiałem się nad tem wszystkim, nad nowym domem, nad moim majątkiem... i nad tem jak los dziwnie pokierował mojem życiem... Sam, wiesz, przypominam sobie doskonale czasy w Ottawa County, w Michiganie, na farmie ojca, kiedy musiałem wstawać przed świtem, żeby opatrzyć bydło, razem z siostrą bieглиśmy we dwoje do obory i stawaliśmy w ciepłym gnoju krowim, żeby zagrzać bose nogi... Umarła jak miała lat osiemnaście... na galopujące suchoty. Tak, mój panie... Jak ja tę małą siostrzyczkę kochałem!... Pamiętasz ją, Samie, co? Pamiętasz, jak

przyjeżdżałeś od czasu do czasu z Grand Rapids i polowali-
śmy na wiewiórki?

— Naturalnie, naturalnie! Nie zapomniałem.

— I wtedy, gdy tak rozmyślałem tutaj, zapragnąłem gorąco, żebym mógł sprowadzić Sadie i... och, nie wiem... żeby użyła wszystkiego... smutne miała życie... praca, praca i praca... rano, w południe i wieczorem. Chciałbym jej to wynagrodzić. Wierzę, że umiem uszczęśliwiać ludzi... To moja największa przyjemność... Ale dla swej małej siostry już nie uczynić nie mogę... zapóźno!

— Ale masz przecież dobrą żonę, która...

Jadwin przerwał mu. Nawpół odwrócony, wsunął nagle rękę do kieszeni i, w części do siebie, w części do przyjaciela zawołał:

— Naturalnie, że mam dobrą żonę, naturalnie! — poczem dodał szeptem: — Ale, mniejsza o to...

Gretry, zmieszany, zakłopotany, podniósł podbródek, zmruczając oczy.

— Rozumiem, — odparł. — Rozumiem J.

— Sam, spojrzyno na te organy, — rzekł Jadwin zniecierpliwiony.

Przeszli na przeciwległą stronę pokoju.

— Oho, widzę, że masz tu taki aparat do włączania, — zauważył makler.

— A teraz, posłuchaj, — rzekł Jadwin.

Wyjął ze stojącego pod ręką pudełka podziurkowany wałek i założył go, a Gretry przyglądał się z poważnym zajęciem, jakie w każdym Amerykaninie budzą wynalazki z dziedziny mechaniki. Jadwin zasiadł do organów, wyciągnął jeden i drugi rejestr i postawił stopy na pedałach. W piszczałkach odezwał się najpierw wszaskliwy a drgający świst, ochryply ryk, a potem nagle zadźwięczały całą pełnią melodyjnego tonu pierwsze taktów uwertury z „Carmen“.

— Wspaniałe! wspaniałe! — krzyczał Gretry wielki głosem, chcąc być usłyszczanym. — Niesłychane!

Potężny oddech organów zappełniał całą galerję; każda nuta wybijała się wyraźnie, z nieporównaną dokładnością. Jadwin z oczyma utkwionemi to w rejestry, to w

przesuwający się pasek papieru, grał z upodobaniem, a Gretry słyszał po przez wrzawę dźwięków, że on mówi, mógł wszakże uchwycić tylko pojedyncze wyrazy.

— Toreador... siła koni... pani Calvé... motor elektryczny... przepyszna pieśń... podwójna baterja.

Melodja przycichła, podtrzymywana tylko przez najmniejsze piszczałki, przechodząc w nowy motyw; powtórzyła się dwukrotnie, a potem odezwał się szereg akordów, które jakby przygotowywały wielki efekt. Nastąpiła krótka pauza i, wyzwalając się nagle z fali potężnych dźwięków, powróciła z podwójną siłą melodja pierwszych taktów.

— Ależ to bycze, bycze! — krzyczał Gretry, klaszcząc w dłonie, a spojrzawszy w bok, ujrzał Laurę Jadwin w rozsuniętych portjerach u wejścia.

Zaskoczony tak znienacka, Gretry oniemiał w ponownym zachwycie nad urodą żony przyjaciela. Laura była w czarnej koronkowej sukni dekolowanej. Krucze włosy upięte miała wysoko, na obnażonem ramieniu widniała pojedyncza wielka róża. Nie utraciła smukłości kibici, twarz zachowała swoją zwykłą bladość, która jednak była barwą. Klasycznie piękną szyję otaczały cztery rzędy wspaniałych pereł, spięte klamrą brylantową.

Pani Gretry i Page towarzyszyły Laurze. Żona malkera żywa, drobna, przystojna, choć nieco już przywiedła blondynka, była gadatliwa, dowcipna i złośliwa. W uszach nosiła wiecznie turkusy—nie rozstawała się z nimi rano, w południe i wieczorem.

Wielka zmiana zaszła w ciągu trzech lat w Page Dearborn. Odrazu stała się kobietą. Prosta, sztywna jej kibic rozwinęła się, ramiona się zaokrągliły, spojrzenie było spokojniejsze, urosła. Uroda jej nie była już taka subtelna, taka dziewczęca, taka czarująco chłopięca. Było w niej natomiast nieskończenie więcej kobiecości i dlatego może stała się więcej, niż kiedykolwiek, podobna do Laury. Ale wyraz powagi pozostał. Patrzyła zawsze na świat uroczyście, jakgdyby oderwana od jego radości. Rzeczy wesołe interesowały ją jedynie jako niewytłómaczone figle zwierzęcia w człowieku.

— Dobiegaly nas dzwienki organow, — rzekla Laura, — wiec przyszlismy. Chcialam, zeby pani Gretry posluchala zblizka.

Trzy lata, ktore wlasnie minely byly najdonioslejszym okresem w zyciu Laury Jadwin. Od czasu slubu rozwinela sie umyslowo i moralnie ze zdumiewajaca szybkością.

Zmiana nastapila wszakze tak szybko, ze bylo to raczej przeobrazenie niz rozwój. Znikla ulegajaca porywom, mloda dziewczyna, ktora rozkoszowala sie hołdami trzech wielbicieli i siedziala na posadzce w dawnym mieszkaniu przy ulicy State, pozwalajac Court'owi trzymac w uscisku dloni. Patrzyła na panna Dearborn z owych dni, jak na osobę zupełnie inną. Jakze dojrzala od owego czasu! Jak sie zmienila! Jakze różne, jak nieskonczenie powazniejsze i slodsze stalo sie odtad jej zycie.

Wielka rzecz wtargnela do jej swiata, mocarny nowy pierwiastek, wobec ktorego skarlowacialy wszystkie inne pragnienia, wszystkie inne pobudki. A tym wszechpotęznym czynnikiem byla miłosc dla meza. Zdawalo sie, ze do chwili malzenstwa szla srod mroku, wyobrazajac sobie, ze ten mrok jest swiatlem; szla obojetna, plocha, niemal zlosliwa. Poczem, nagle, ujrzala wielki blask. Miłosc wtargnela do jej swiata. I odtad wszystko w nowem jej niebie opromienione bylo tym blaskiem; ozywial, ksztaltowal, łagodzil wszystko.

A datowalo to od pewnego wieczora w Geneva Lake w Wisconsinie, gdzie spedzala z mezem miesiac miodowy. Od slubu minelo okolo dni dziesieciu. W wieczor lipcowy siedzieli zupełnie sami na pokladzie jachtu parowego. Laura pamietala wszystkie szczegoly dokladnie. Bylo tak goraco, ze nie przebrala sie po obiedzie; pamietala, ze ubrana byla w suknie jedwabna koloru *vieux rose*, pokryta koronkami *h o n i t o n i*, ze Curtis powiedzial, iz nigdy nie widzial piekniejszej tualety. Godzina byla jedenasta przed polnocą, na powierzchni jeziora nie zalamywala sie najlzejsza zmarszczka, zdawac sie moglo, ze stezalo, ksiezyc odbijal sie w niezmaczonej toni. Niebo rozsrebrzylo sie gwiazdami, w dali, niewyraźne pasmo czarne pomie-

dzy gwiazdzistym blaskiem a lśniącym zwierciadłem wody, zaznaczało wybrzeże.

I od owej nocy ilekroć Laura słyszała nawoływanie ptaków w nocy lub skrzek żab, scena ta stawała jej w pamięci. Wyciągnięta na trzcinowym fotelu pokładowym, w jasnym, lekkim płaszczu, zarzuconym na ramiona spoczywała obok męża, siedzącego na krześle polowym, z którego mógł ręką sięgnąć do koła sterowego.

— I cóż, panno Dearborn, — rzekł po dłuższej chwili milczenia, — czy pani zadowolona, że mnie poślubiła?

A Laura zarzuciła mu ręce na szyję i przyciągnęła twarz jego i odrzuciła w tył głowę i szeptała:

— Kocham cię... kocham cię... kocham cię!

Ta noc była decydująca. Uroczystość ślubna, nawet owa chwila w pokoju Laury, kiedy mąż pochwyił ją w objęcia, a ona uczuła pierwszy poryw miłości w sercu — cały pierwszy tydzień pożycia małżeńskiego tonęły w zawrotnym wirze. Nie mogła odnaleźć siebie, gubiła się w tym zamęciu. Uczucie dla męża budziło się i znikało. Były chwile, kiedy mniemała szczerze, że jest nieszczęśliwa. I oto naraź zdąło jej się, że się obudziła. Nie obrządek w kościele Ś-go Jakóba, lecz to przebudzenie stało się jej ślubem. Teraz był już nieodwołalny; należała do męża nierozdzielnie, nazawsze, a to poddanie się było chwałą. Laura w tej chwili poznała, że miłość, ten największy tryumf życia kobiety, jest nietyle zwycięstwem, ile kapitulacją.

Odtąd zaznała zupełnego szczęścia. Nie było literalnie nietylko chmury, ale nawet najlżejszej plamki na blasku słonecznym jej życia. Posiadała wszystko — miłość męża, wielkie bogactwo, niezwykłą urodę, świetne zdrowie, równowagę umysłową, przyjaciół, stanowisko — wszystko. Bóg był dobry dla niej, ponad wszelkie marzenia, ponad wszelką zasługę. Dał jej wszystkie nagrody — jej, która nie uczyniła nic, by na nie zasłużyć.

Mąż jej, wiedział dobrze, był nie mniej szczęśliwy. Pierwsze trzy lata ich małżeństwa upłynęły niby nieprzerwany hymn szczęścia, które stało się dla nich czemś przedziwnem, olśniewającym, oszałamiającem, lśniącym zacza-

rowanym klejnotem, złożonym niespodzianie w ich ręce przez cudotwórcę.

Jednym z pierwszych wyników tego przebudzenia były wyrzuty, jakimi obarczała się Laura za to, że tak mało uczyniła dla Page. Mówiła sobie, że nie była dobrą siostrą, że często postępowała niesprawiedliwie, unosiła się i dokuczała małej swojemi kapryсами. Niedostatecznie współczuła jej drobnym troskom i zbyt często korzystała ze sposobności, by ośmieszać jej zapał i powagę. Prawda, że dała jej wygodny dom, dobre wykształcenie i ładne suknie; ale były to tylko dary z poczucia obowiązku czynione. Powinna była być więcej towarzyszką, więcej, niejako matką młodej dziewczyny. Laura odczuła nagle całą odpowiedzialność starszej siostry w rodzinie pozbawionej rodziców. Page rozwijała się szybko na niezwykle piękną kobietę i niebawem zaświta na widnokręgu jej życia poważna sprawa małżeństwa.

Ale w pierwszych latach pożycia małżeńskiego jedynie to uświadamianie sobie pewnych odpowiedzialności odwracało uwagę Laury od męża. Zaczynała poznawać prawdziwą istotę mężczyzny, ujawniającą się — jak się teraz przekonała — dopiero po ślubie. Jadwin, jej mąż, taki był różny, taki nieskończenie lepszy od Jadwina, jej narzeczonego, że niekiedy, z pewnym rodzajem retrospektywnej trwogi, wracała myślą do dawnych dni i do czasu, kiedy była tylko panną Dearborn. Jakże mało znała Jadwina, mimo wszystko! I zastanawiała się nieraz jak odważyła się wobec tej nieświadomości, tej nieznanowości, jego istotnego charakteru, powziąć krok nieodwołalny, który wiązał ją z nim na całe życie? Curtis Jadwin z owych dni był takim innym człowiekiem... Mógł być łotrem, a ona mogła o tem nie wiedzieć. Lecz wobec tego, jakim się okazał, stał się niebawem dla żony najlepszym, najdzielniejszym mężczyzną, jakiego znała. A tak łatwo mogło być inaczej...

Jego zachowanie się w stosunku do żony było pełne najtkliwszej pamięci i troskliwości. Ilekroć zdarzyło się, że był nieobecny, choćby przez dzień jeden, nie wracał do domu bez drobnego upominku, lub kwiatów. Wszelkie rocznice — Boże Narodzenie, dzień ślubu, dzień urodzin

Laury — obchodzone były uroczyście. Jadwin uwalniał się z biura, obsypywał żonę podarunkami, które wsuwał pod poduszkę, lub pod talerz przy obiedzie, wieczór zaś spędzali w teatrze.

Wszelako nietylko zalety Jadwina sprawiały, że stał się żonie taki drogi. Nie był bynajmniej w jej oczach bohaterem bez skazy. Miał wady bardzo ludzkie, słabostki niesłychanie miłe i za te właśnie rysy jego charakteru Laura może najwięcej go kochała.

Pod jednym względem umiał Jadwin być wspaniale niekonsekwentny. Skoro tylko upodobał sobie jaki cel, bądź w rozrywce, czy też postępowaniu, cel odpowiadający narazie danym warunkom, argumenty, któremi go usprawiedliwiał, były pomnikami kunsztownej sofistyki. Gdy zaś następnie przestał się interesować tem, co wydawało mu się takie upragnione, przytaczał argumenty wprost przeciwne, lekceważąc najzupełniej dowodzenia poprzednie.

Ujawniał też chłopcę wprost uciechę w stosunku do pewnych zajęć, dziecinną radość z posiadania jakiegoś przedmiotu, i zaniedbywał dla nich, jeśli nie wprost obowiązki, to jednak rzeczy niezaprzeczenie doniosłej wagi.

Do takich przedmiotów należał jacht *The t i s*. Wykończony był do ostatniego zamka, urządzony do najmniejszych drobiazgów, a jednak bywało, że podczas wakacji letnich Jadwin zamiast się zająć kwestją uprawy części leżącej jeszcze odłogiem ziemi, o czem nikt z podwładnych decydować nie mógł — spędzał czas na pokładzie jachtu, gdzie z gołą głową, bez kurtki, ze ścierką lub pędzlem w ręku, rozprawiał z siwym „kapitanem“ Mac Kenny, czyszcząc i malując statek, czysty i pomalowany.

Mógł, przy swoim bogactwie, utrzymać całą załogę, której zadaniem byłoby mycie, skrobanie, szorowanie jachtu, ale twierdził niezłomnie z wielką powagą, że to „za dużo kosztuje“. Posiadał sprawność, idącego przez życie o własnych siłach, Amerykanina w używaniu najrozmaitszych narzędzi i często, w samo południe, śród zabójczego upału, dążył z domu do przystani, gdzie stał na kotwicy jacht, śpiesząc umocować śrubę, która nie potrzebowała

umocowania. Niemniej często budził w nocy Laure, żeby jej oznajmić nowy, nadzwyczajny pomysł, który mu przyszedł do głowy w sprawie urządzenia lub ozdoby jachtu. Oparł się nadmiernemu wydatkowi utrzymywania załogi, tymczasem nieustanne ozdabianie, malowanie, poprawianie jachtu, zupełnie zbyteczne — pochłaniało sumy, które przerażały nawet Laure, a starczyłyby w zupełności na utrzymanie dwunastu marynarzy.

Ta sama niekonsekwencja cechowała go i pod innymi względami. W interesach oszczędność Jadwina była niezłomna — nadmierny wydatek pół dolara, mógł go doprowadzić do pasji. Ale żaden koszt nie był za wielki, gdy chodziło mu o wyprawę na połów ryb.

Jadwin bowiem był zapamiętałym rybołówcą. Od godzinie 5-ej rano już zapuszczał sieć do wody, w upalnym słońcu południa zarzucał wędkę między nadbrzeżne sitowie.

Była to jedyna rozrywka, której nie mógł dzielić z żoną. Laura nie znosiła jednostajności powolnego ruchu łodzi, drażniły ją godziny spędzone na daremnym oczekiwaniu, przymusowe próżnowanie. Po kilku wieczkach oświadczyła mężowi:

— Curtis, to się na nic nie zda. Ty poświęcasz całą swoją przyjemność, żeby mnie w łodzi było wygodnie, żeby mnie to rozerwało, a mnie to nudzi. Przykro mi najdroższy, ale nic nie poradzę. Radabym dzielić z tobą każdą rozrywkę, ale nie lubię ryb i nigdy tego sportu lubić nie będę. Idź na ryby sam, ja jestem ci tylko przeszkodą.

Jadwin protestował energicznie zrazu, ale Laura postawiła w końcu na swoim.

W tym trzyletnim okresie raz jeden Laura wyjechała z mężem zagranicę. Ale pobyt w Anglii — nie pojechali na kontynent — przyniósł jej rozczarowanie. Muzea, galerje obrazów, katedry nie zajmowały Jadwina wcale, a jakkolwiek chodził z żoną wszędzie bez skargi, wędrował wśród zbiorów sztuki z niezamąconym stoicyzmem, Laura odczuwała jego przygnębienie i nakłoni-

ła go do powrotu o trzy miesiące wcześniej niż zamierzali.

Podczas tej to podróży kupili tyle obrazów i przedmiotów sztuki do domu na North Avenue i żal Laury, z powodu skróconej podróży po Europie łagodziła myśl o przyjemności przeniesienia się do nowej siedziby. Nie mogli tego uczynić niezwłocznie po ślubie. Przez dwa lata blisko w apartamencie gospodarowali dostawcy, architekci, dekoratorzy, tapicerzy i ogrodnicy, zaś Laura z mężem mieszkała w hotelu, oddawszy dom przy ulicy Cass ciotce Wess' i Page.

Gdy Laura nareszcie weszła w posiadanie domu przy North Avenue, nie była po wygaśnięciu pierwszego zachwyty nad jego zbytkiem i przepychem — zadowolona, jakkolwiek usiłowała wmówić w siebie, że jest przeciwnie. Zewnętrznie spełniał wszystkie jej życzenia. Stał frontem do parku Lincolna i ze wszystkich okien od tej strony rozciągał się przepiękny widok, gaje, łąki, pomnik Lincolna, zarośla, rabaty kwiatowe, wodotryski i jezdnie. Z wielkiego okna balkonowego swego buduaru mogła Laura patrzeć w dal, na jezioro Michigan i śledzić wzrokiem korowód wielkich parowców, płynących z Milwaukee, z odległego Daluthu i Sault Sainte Marie do ujścia rzeki, naładowanych po brzegi pszenicą. Śród ciepłych nocy, gdy okna były otwarte, słyszała posępny szum i plusk wody odbijającej się o bulwark.

Otoczenie domu było bezsprzecznie piękne. Stajnia przewyższała rozmiarami dawny dom Laury a ciepłarnia, którą radowała się szczerze, była przepyszną architektoniczną budowlą, z kąd zimą i latem napływało mnóstwo kwiecica do ozdoby pokoi — fijołki, konwalje, żonkile, hjacenty, tulipany i ukochane przez Laurę róże.

Wnętrze domu wszakże przeważnie nie zadawało smaku i upodobań Laury. Jadwin, kupiwszy dom, porucił urządzenie wewnętrzne firmie dekoratorów, którzy, na szczęście, okazali się ludźmi dobrego gustu. Nie było nic odstręczającego, a natomiast dużo pomysłów przepięknych w jadalni, bawialniach, salonach i sypialniach, wszelako Laura nie mogła nigdy pozbyć się uczucia, że to wszystko

nie jest jej własnością. Miała wrażenie, że przebywa wśród zbytku i komfortu salonowego wagonu Pullmana.

Niemniej w porę jeszcze zdążyła zastrzedz sobie urządzenie kilku pokojów własnym gustem, a mianowicie: bibliotekę, swoją sypialnię zwłaszcza ów buduar, z którego rozciągał się widok na jezioro.

Przez długi czas trudno było Laurze, pomimo szeregu postanowienia i radości z osiągniętego dobrobytu, przyzwyczać się do prowadzenia życia na tak wielką stopę. Projektowała ustawicznie zakupy na dzień następny, zapominając, że było to obecnie obowiązkiem jej gospodyni. Przez długie miesiące upierała się przy własnoręcznym sprzątaniu swojej sypialni, tak jak była przyzwyczajona za lat młodocianych w Barringtonie. Bała się dźwigu i nigdy nie nauczyła się należycie manipulować wewnętrzną siecią telefoniczną, która łączyła różne części domu z mieszkaniem służby. Przez długie miesiące również główną jej troską w zbytkownej siedzibie była obawa przed złodziejami.

Największą przyjemność sprawiały jej stajnia i wielkie organy w galerji sztuki. Laura uwielbiała konie — zwłaszcza kare z rozwichrzonym ogonem i grzywą — a nade wszystko wierzchowce. Nauczyła się jeździć konno i rzadki był ranek, w którym nie odbyła przejażdżki po parku w towarzystwie grooma i dwóch psów męża.

Organy przeraziły ją zrazu, lecz niebawem nietylko oswoiła się z niemi, ale pod kierunkiem specjalnego nauczyciela, wtajemniczyła się w używanie pedałów i rejestrów, co przyszło jej z łatwością, grała bowiem dobrze na fortepianie i potężny instrument stał się dla niej źródłem nie-małej duchowej rozkoszy.

Wrodzony nieopanowany, nieujęty w karby wprawna ręką instynkt aktorski, wytworzył w Laurze skłonność do „pozy“, a „rola wielkiej damy“ na tle przepychu, jaki ją teraz otaczał, przemawiała żywo do jej wyobraźni.

Dzięki temu dostosowała się w końcu do nowego otoczenia i, nieświadomie zupełnie, zacząwszy grać rolę wielkiej damy, grała ją bez zarzutu. Przyjęła istnienie swej licznej służby, jak przyjmowała fakt istnienia drzew w par-

ku; powierzała się wprawnym ręką pokojówki nie jako Laura Jadwin, z niechęcią i nieufnością, ale jakgdyby grała na scenie rolę — z całą „nonszalancją“ teatralnej margrabin, z wyniosłością swoich „wielkich tonów“.

Wiedziała dobrze, iż, gdyby pofolgowała tej wyniosłości, służba zaczęłaby nad nią przewodzić i pod tym względem znalazła nowy powód do podziwiania męża.

Służba, począwszy od surowego kamerdynera do młodszego grooma, uwielbiała Jadwina. Niewyraźne jego życzenie wywoływało daleko większy skutek, niż najdokładniejsze rozkazy Laury. Nie zniżał się nigdy do poufałości ze służącymi i tak mało się nimi zajmował, że zapomniał ich imion lub je zmieniał. Ale gdy Laurze byli posłuszni z chłodnym szacunkiem, służyli Jadwinowi ze skwapliwą gotowością i ochotą, której nawet liberja ukryć nie zdołała.

Najszcześniejszy okresem dnia był dla Laury wieczór. W ciągu dnia miała różnorodne zajęcia, lecz myśli jej biegły ustawicznie ku wieczornym godzinom, które mąż z nią dzielił. Jadwin jadał śniadanie wcześniej i Laura dotrzymywała mu towarzystwa, bez względu na to, o jak późnej godzinie udawała się na spoczynek dnia poprzedniego. O godzinie pół do dziewiątej, Nip i Tuck zaprzężone do amerykańska, wiozły go do biura. O dziewiątej przyprowadzano przed bramę wierzchowca Laury i do godziny jedenastej trwała przejażdżka po parku. O dwunastej Laura jadła drugie śniadanie z Page, a popołudniu spędzała w buduarze na czytaniu ulubionych autorów — Browning'a lub Meredith'a — do godziny trzeciej lub czwartej. Poczem niekiedy wyjeżdżała powozem za sprawunkami albo wstępowała po panią Cressler, ciotkę Wess' lub panią Gretry i zabierała je na wystawę obrazów czy kwiatów, albo rzadziej — bo nie była zwolenniczką zebrań towarzyskich — na „herbaty“ lub przyjęcia.

Wieczorami wszakże, po obiedzie, miała męża dla siebie samej. Page była stale zajęta jednym ze swoich młodzieńców w bawialni, zaś Laura i Jadwin zamykali się w bibliotece — obszernym pokoju z pięknymi boazerjami, głębokimi fotelami safjanowemi, wysokimi półkami, peł-

nemi książek i artystycznymi sztychami; tutaj Jadwin spoczywał, wyciągnięty na szerokiej otomanie, paląc cygara a Laura czytała mu głośno.

Od czasu do czasu Jadwinowie wydawali przyjęcia. Mąż Laury był dumny ze swego domu i rad pokazywał go znajomym. Laura wydała wieczór tańczący na cześć „wprowadzała w świat“ Page, a niemal co niedzielę Creslerowie byli u Jadwinów na obiedzie. Ciotkę Wess' rzadko można było zrazu nakłonić do odwiedzenia siostrzenicy. Przepych domu budził w małej wdowie niepokój a nawet pewne podejrzenia. Potrząsała głową i mówiła do Laury półgłosem:

— Bardzo tu u ciebie pięknie, ale, na Boga, Lauro spodziewam się, że płacisz za wszystko... odrazu gotówką i nie bierzesz na rachunek. Nie wiem co twój drogi ojciec powiedziałby o tem wszystkim... doprawdy nie wiem.

I spędzała czas na liczeniu lampek elektrycznych, w których palił się, według jej uporczywego mniemania, jakiś nowy gaz.

— Trzydzieści trzy w tym jednym pokoju, — mawiała. — Chciałabym widzieć minę twego kochanego męża Lauro, gdy mu przynoszą rachunek za gaz... I krawcowa, która mieszka w domu... No, już ja lepiej nic więcej nie powiem.

Tak minęły trzy lata. Jadwin stale powiększał swój majątek. Wartość jego posiadłości ziemskiej wzrastała, papiery wartościowe, które posiadał szły w górę. Ilekroć spekulował pszenicą, i to na coraz większą skalę, zarabiał. Należał stale do zniżkowców, aż wreszcie nadeszła owa wiosna, kiedy w jego mniemaniu, zniżka dotarła do zenitu, i przeprowadził ową rozmowę z Gretrym, w której mu oznajmił, że w tajemnicy „został bykiem“ z szybkością wytrawnego strategika.

Gdy owego wieczora przeszli z galerji obrazów do bawialni a pani Gretry zaczęła opowiadać jak Izabela o mało się nie udusiła dnia poprzedniego — służący zaanonsował Landry'ego Court'a i nębawem młodzieniec wszedł, pogodny, uśmiechnięty, trzymając w jednej ręce bukiet a w drugiej pudełko cukierków.

Kilka dni przedtem Page wypaliła mu uroczyste kazanie na temat, że tonie w interesach i skazuje duszę na śmierć głodową. Powiedziała mu, że powinien więcej czytać, i że, jeżeli zechce do niej przyjść tego właśnie wieczora, to mu wskaże co czytać powinien.

Stało się więc, że po kilku chwilach rozmowy z osobami starszemi w bawialni, młoda para wysunęła się do biblioteki.

Tu, jako wstęp, Page spytała Landry'ego jaki jest jego ulubiony rodzaj w dziedzinie literatury pięknej. Mówiła o wzniosłości myśli Ruskina, o wdzięku stylu Karola Lamba. Rozmowa nie kleiła się. Landry wypowiedział się za nowoczesnym romanssem i mówił o „najnowszej książce“. Ale Page nie czytała nigdy nowych książek; nie zajmowały jej; rozmowa urywała się, nie mogąc utrwalić się na wspólnym gruncie i już była bliska zakończenia, gdy wreszcie stopniowo zaczęli mówić o sobie. Wnet ożywili się. Słuchali siebie wzajemnie z baczną uwagą, odpowiadali sobie skwapliwie, dyskutowali, przytaczali argumenty, byli jednego zdania, to znów spierali się.

Landry mówił:

— Gdy byłem małym chłopcem, miałem zawsze tę ambicję, żeby przewyższyć innych chłopców. Pragnąłem być najlepszym graczem w partji piłki nożnej... i zawsze dopiąłem swego. Gdy zabiorę się do czego, chcę to wykonać lepiej, niż ktokolwiek inny. Od najmłodszych lat jestem bardzo ambitny. To jest najwybitniejszy rys mego charakteru. Pani zaś jest myślicielką. Najsilniejszym rysem twego charakteru Page, jest uduchowanie.

— Tak, tak, — odparła, — zdaje mi się Landry, że pan ma słuszność.

— Pani nie potrzeba podniety współzawodnictwa. Ujawniasz Page, najlepsze strony swej duszy, gdy jesteś w towarzystwie jednej osoby. Tłum cię nie zajmuje.

— Nienawidzę tłumy! — zawołała.

— Tymczasem dla mnie, dla mężczyzny z moim temperamentem, tłum jest prawdziwym natchnieniem. Gdy kaźdy mówi i krzyczy dokoła mnie, umysł mój najlepiej pra-

cuje. Ale—dodał uroczyście—musi to być tłum mężczyzn. Nie zniósłbym tłumy kobiet.

— Ani ja, — powtórzyła. — Tak nieznośnie paplą.

— Ale uważam, że towarzystwo jednej sympatycznej kobiety jest takim samym bodźcem, jak gromada mężczyzn. Czy to nie zabawne, że mam takie usposobienie?

— Tak, — rzekła — to zabawne... to dziwne. Ale ja wierzę w przyjaźń. Wierzę, że między mężczyzną a kobietą istnieje węzeł doniosłego znaczenia... przyjaźń. Miłość... — dodała porywczo, a potem z głębokim westchnieniem: — Och, nie wiem, — szepnęła. — Landry, pamiętasz ten wiersz?

„Miłość dla mężczyzny to życia ozdoba.

Dla kobiety — to całe istnienie“.

Czy ty w to wierzysz?

— Tak, — potwierdził z powagą, dobierając słów rozważnie, — może tak być, ale wszystko zależy od mężczyzny i od kobiety. Miłość — dodał uroczystym głosem — jest największą potęgą na świecie.

— A ja nigdy się nie kochałam, — wyznała Page. — Tak, miłość jest cudowną potęgą.

— Ani ja nie kochałem się nigdy.

— Nie kochałeś się, Landry, nigdy, nigdy?

— O... myślałem, że się kocham — odparł, machnąwszy ręką.

— A ja nigdy nawet nie myślałam, — rzekła zadumana.

— Czy sądzisz, Page, że mężczyzna powinien się żenić wcześniej? — spytał.

— Mężczyzna nie powinien się żenić — odrzekła stanowczo, — dopóki nie zdoła dać żonie wygodnego mieszkania, ładnych sukien i... i wogóle dobrobytu. Zdaje mi się, że ja nigdy nie wyjdę za mąż.

— Ty! Ależ ma się rozumieć, że pójdziesz za mąż. Bo i dlaczego nie miałabyś wyjść za mąż?

— Nie, nie... z powodu mego usposobienia. Jestem ponura i milcząca, jak mówi Laura.

Landry protestował gwałtownie.

— I — ciągnęła dalej — miewam długie napady melancholji.

— I ja także — oznajmił Landry. — W nocy niekiedy... gdy się obudzę bywam zupełnie przygnębiony i mówię sobie: „Poco żyć, u licha?“

— Czy wierzysz w pesymizm, Landry? — spytała Page po chwili milczenia. — Bo ja wierzę. Mówią, że Carlyle był strasznym pesymistą.

— Tak.. ale mówiliśmy o miłości... nie można przecież wierzyć jednocześnie w pesymizm i w miłość. Czy nie byłabyś nieszczęśliwą Page, gdybyś straciła wiarę w miłość?

— O, tak, okropnie!

I znów zapadło milczenie, a po chwili Landry zauważył:

— A ty należysz do kobiet, które kochać będą tylko raz w życiu, ale będzie to miłość bardzo głęboka i silna.

Oczy Page rozwarły się szeroko.

— „Dla kobiety to całe istnienie... całe istnienie“... — szepnęła. — Tak, zdaje mi się, że mam taką naturę.

— Czy twojem zdaniem, Enoch Arden postąpił słusznie odchodząc, gdy się przekonał, że tamci są małżeństwem?

— O, tyś to czytał, Landry? Czy to nie cudowny poemat? Czy Enoch Arden nie postąpił szlachetnie? Wzniosłe? O, tak, tak; postąpił słusznie.

— A, ja nie byłbym oszedł... nigdy! Wtargnąłbym do domu i wyrzuciłbym tamtego hultaja z kretesem.

— Prawdziwie po męsku! Mężczyzna jest zawsze samolubny i myśli tylko o sobie. Wy nie wiecie co to miłość... wielka, prawdziwa, niesamolubna miłość.

— Ja wiem co jest m o j e. Czy sądzisz, że ustąpiłbym innemu mężczyźnie kobietę, którą bym pokochał?

— Nawet, gdyby ona tamtego kochała więcej, niż ciebie?

— Musiałaby najpierw być moją, a potem dopiero przekonałbym się jakie są jej uczucia dla tamtego mężczyzny.

— Ale, pomyśl, jak byłoby to szlachetnie, gdybyś jej się wyrzekł. Poświęciłbyś wszystko, co uważałbyś za najdroższe, dla ideału. Ach, gdybym ja była na miejscu Enocha Ardena a mój mąż myślał, że nie żyję, i gdybym wiedziała, że jest szczęśliwy z inną kobietą, wyrzekłabym się go z radością, poświęciłabym się szczęśliwa, że mogę mu oszczędzić niedoli. Tak ja rozumiem miłość. A potem wstąpiłabym do klasztoru.

— Dziękuję... Ja posłałbym tamtego do klasztoru. Gdybym ja kochał kobietę, nic w świecie nie mogłoby mnie powstrzymać od zdobycia jej.

— Taki jesteś stanowczy?.. naprawdę? — rzekła, wpatrując się weń bacznie.

Landry wyprostował się energicznym ruchem ramion.

— Nie wiem, — odparł — ale zdaje mi się, że użyłbym wszelkich sił, by zdobyć to, czego pragnę.

— Lubię te rysy charakteru w mężczyźnie, — zauważyła — siłę i stanowczość.

— Tak samo jak mężczyzna lubi w kobiecie kobiecość, — odparł. — Czy kobiety samodzielne, energiczne, nie przejmują cię wstrętem?

— Najzupełniejszym.

— A ty, Page, masz w sobie tyle kobiecości... jesteś najbardziej kobieca ze wszystkich kobiet, jakie znam.

— O, nie wiem, — zaprotestowała trochę zmieszana.

— Tak, niezaprzeczenie. Jesteś uosobieniem kobiecości i masz taki wzniosły umysł, jesteś taka czytana. To podnieca, pobudza moją duszę. Chcę, żebyś o tem wiedziała. Tak, moja pani, jesteś dla mnie prawdziwym natchnieniem, natchnieniem i podnietą... co najmniej...

— Lubię czytać, to prawda, — rzekła śpiesznie.

— Na honor, i ja muszę zabrać się do czytania. Tak trudno znaleźć wolną chwilę. Ale już ja sobie czas znajdę. Muszę dostać te „Kamienie Wenecji“, o których mówiłaś i będę siedział nocami... będę pił czarną kawę, żeby nie zasnąć... ale przeczytam książkę od okładki do okładki.

— Wtem znów przebija się twoja stanowczość! — zawołała Page. — Oczy twoje roziskrzyły się, gdy mówiłaś.

Sądzę, że gdybyś raz zdecydował się na jakiś czyn, doskonały go bez względu na trudności i przeszkody, nieprawda?

— Tak, jabym... jabym się niczego nie uląkł — przywtórzył.

Dnia następnego była niedziela wielkanocna i Page zeszła na pierwsze śniadanie nieco spóźniona. Było po dziewiątej. Jadwin siedział już zatopiony w dziennikach porannych, Laura zaś nalewała sobie ostatnią filiżankę kawy.

Pokój, w którym jadali pierwsze śniadanie, był nie duży, słoneczny, jasny, przytulny a jedno z licznych okien wychodziło na cieplarnię. Jadwin, z nieodzowną gardenją w butonierce surduta, świeżo ogolony, czytał pilnie, paląc wonne cygaro, a błękitnawy dymek tworzył niby aureolę dokoło jego głowy. Laura promieniała urodą w białym neglizżu; na stole przy jej talerzu, spoczywał pęk świeżych fijołków, wielki jak główka kapusty.

Cała ta scena wywarła na Page silne wrażenie — wytworny, skąpany w blasku słonecznym pokój, wesoła, otwarta przestrzeń cieplarni pełnej zieleni; jaśniejąca pięknością siostra, o bladej delikatnej cerze, smukłej postaci i przepysznych kruczych włosach, które rzucały na jej lica cień tajemniczy; Jadwin wysoki, mocny, „businessman“, palący wyborowe cygaro, starannie ubrany, z gardenją w butonierce. A nadto drobne dodatki, mające takie wielkie znaczenie — zapach fijołków, dobrego tytoniu, wonnej kawy; lśniąca bielizna stołowa, porcelana i srebro na stole; zwinna i przystojna pokojówka w białym czepeczku, fartuszku i w mankietach, krzątająca się po pokoju; rasowy seter, drzemiący w słońcu, a na tarasie za oknem papuga, na mosiężnym drążku, skrzeczająca od czasu do czasu, przyciszone głośm.

Przed otwartymi na oścież drzwiami stajni „groom“ czyścił jednego z koni powozowych. Jadwin położył dziennik i z rękoma na poręczy fotela przypatrywał się długoniowi. W końcu wstał i rzekł:

— Ta nowa pasza nadała im dobrą formę. Pójdę i powiem Jarvisowi, żeby je założył do małego powoziku.

Poczem otworzył drzwi balkonowe i wyszedł na taras a seter, z niezamąconym spokojem, podążył za nim.

Page zanurzyła łyżkę w marmeladę winogronową, poczem położyła ją i, podparłszy podbródek na dłoni, zwróciła się do siostry:

— Lauro, — rzekła, — czy myślisz, że powinnam wyjść zamaż... niby, młoda dziewczyna z moim temperamentem?

— Wyjść zamaż? — powtórzyła Laura.

— Psst! — szepnęła Page. — Lauro, nie mów tak głośno. Tak; myślisz, że powinnam?

— A dlaczego, nie miałabyś wyjść zamaż, kochanie, kiedy przyjdzie odpowiednia pora? Takie młode dziewczęta jak ty, nie mają jeszcze żadnego temperamentu.

Page jednak, zamiast odpowiedzi, zadała drugie pytanie:

— Lauro, jak myślisz, czy ja mam w sobie dużo kobiecości?

— Myślę niekiedy, że zbyt poważnie bierzesz to, co wyczytasz w swoich książkach i, że wogóle czytasz za dużo. Już od trzech dni nie wychodziłaś wcale z domu i nigdy nie widzę cię bez książki i notatek w ręku. Książki pochłaniają cię od rana do wieczora. Studja są bardzo pożyteczne...

— O, studja! — zawołała Page z ironją. — Nienawidzę studjów. Lauro, co to znaczy mieć w sobie kobiecość?

— Mieć w sobie kobiecość? — powtórzyła Laura. — Coprawda, sama niebardzo wiem, maleńka. To znaczy być dobrą, dobrze wychowaną i łagodną; nie być nigdy nadmiernie śmiałą albo wyzywającą, kochać ognisko domowe, i dbać o nie, kochać męża i ufać mu, kochać rodziców, dzieci, a nawet siostrę więcej, niż kogokolwiek na świecie.

— Zdaje mi się, że lepiej być taką „kobietą“, niż bardzo czytana, — zauważyła Page.

— Można połączyć jedno z drugim — odparła Laura. — Ale, maleńka, pośpiesz się ze śniadaniem. Jeśli mamy być dzisiaj w kościele, musimy wyjechać niezadługo. Curtis zamówił powóz wcześniej, niż zwykle.

— Śniadanie! — rzekła Page pogardliwie. — Już się najadłam. — Odetchnęła głęboko, a źrenice jej rozszerzyły

się. — Lauro, — zaczęła znów po chwili, — Lauro... Landry Court wczoraj wieczór... doprawdy nie wiem co mam myśleć, on takie głupstwa plecie. Ale powiedział... otóż, powiedział tak... widzisz, ja mówiłam, że rozumiem jak on odczuwa pewne rzeczy, mówiłam o jego dalszej karierze i o tem, że powinien zawsze być czysto ubrany i elegancki i o takich różnych rzeczach... wiesz, a potem on powiedział: „Ach, Page, ty nie wiesz co to dla mnie znaczy patrzeć w oczy kobiety, która istotnie rozumie“.

— On to powiedział? — rzekła Laura, podnosząc brwi.

— Tak, i wydawał się taki subtelny, taki poważny. Lauro, sk... — Page poprawiła szpilkę we włosach i przysunęła się bliżej do Laury, patrząc uparcie na posadzkę. — Lauro, jak ci się zdaje, co to miało znaczyć? Czy to nie głupio gadać takie rzeczy?

— Wcale nie, — odparła Laura stanowczo. — Jeżeli tak powiedział, to znaczy, że jest tobą bardzo zajęty.

— Ależ mnie to nawet nie wpadło do głowy! — zawołała Page. — Wiesz... jednak Landry jest w głębi duszy daleko poważniejszy, niż przypuszczałyśmy. Mówi, że pragnie być czemś więcej, niż maszyną do robienia pieniędzy, chce kształcić swój umysł, dążyć do poznania literatury i sztuki i różnych innych rzeczy, chce, żebym mu w tem dopomogła, a ja powiedziałam, że i owszem... A więc jeśli ci to nie przeszkadza, będzie przychodził w pewne wieczory co tydzień i będziemy... będę mu czytała. Zaczniemy od „Pierścienia i książki“.

W ostatnich dniach maja zapanowało niezwykle gorąco, tak, że Jadwinowie, zabrawszy ze sobą Page, przenieśli się na lato do Geneva Lake, a wielki dom naprzeciwko parku Lincolna stał pustką.

Laura miała nadzieję, że teraz mąż będzie mógł przebywać z nią nieustannie, ale doznała rozczarowania. Zrazu Jadwin jeździł do miasta dwa razy na tydzień, niebawem wszakże — co drugi dzień. Gretry bywał częstym gościem i zazwyczaj siadali we dwóch z Jadwinem na bujaczach tuż przy sobie, w rogu wielkiej werandy i przyciszonym głosem prowadzili do późnej nocy rozmowy o „interesach“.

— Słuchaj, najdroższy, — powiedziała Laura w końcu pewnego dnia, — widuję cię coraz mniej z każdym dniem, a z taką tęsknotą czekałam na lato, sądząc, że będziemy ciągle razem.

— Sprawia mi to taką samą przykrość, jak tobie, Lauro — odparł mąż. — Ale muszę teraz właśnie być na stanowisku. Nie mogę się pozbyć przeświadczenia, że za kilka miesięcy nastąpi wielkie ożywienie w interesach.

— Ależ, nawet pan Gretry, mówi, że nie potrzebujesz siedzieć tak ciągle w biurze, Twierdzi, że możesz kierować interesami równie dobrze stąd i że jeździsz do miasta jedynie dlatego, iż nie możesz już żyć zdale od ulicy La Salle i gwaru giełdy zbożowej.

Byłaż to prawda? Jadwin sam z trudnością znalazłby na to odpowiedź. Był czas, kiedy Gretry musiał namawiać i podniecać przyjaciela, żeby chociaż zauważył wir wielkiego malsztremu w gmachu Izby Handlowej. W ostatnich czasach zaś wzrok i słuch Jadwina ustawicznie skierowany był w tamtą stronę i on, nie zaś Gretry, wziął w ręce inicjatywę.

Tymczasem robił majątek. Jak był przepowiedział, cena pszenicy podniosła się. Maj był miesiącem pogody i dobrych cen, miesięczny raport rządowy nie wykazywał szkód w polu. Pszenica z sześćdziesięciu podskoczyła na sześćdziesiąt sześć centów i Jadwin z niewielkim zyskiem, sprzedał dwieście pięćdziesiąt tysięcy buszli. W końcu maja nastąpiły upały. Na parterze gmachu Izby Handlowej agenci, kupcy i spekulanci zaczęli zdejmować surduty. Giełda wyglądała już jak w upalnym czerwcu, a gdy pszenica za gotówkę doszła do sześćdziesięciu ośmiu, Jadwin, teraz, bardziej niż kiedykolwiek przekonany, że Byki wezmą na rynku górę, kupił na nowo pięćset tysięcy buszli.

Niepomyślne warunki atmosferyczne — nadmierne gorąco, a następnie długotrwałe ulewy oddziaływały ujemnie na pszenicę jarą i zewsząd odzywały się utyskiwania na robactwo. Później powodzie uszkodziły wielce zboże ozime. Jadwin posiadał teraz, skutkiem ostatnich zakupów, milion buszli, a na rynku cena trzymała się mocno na po-

ziomie siedemdziesięciu dwóch centów — czyli w ciągu miesiąca podniosła się o dwanaście centów.

— Spadnie napewno — ostrzegął Gretry, — Crookes i Sweeny jeszcze siedzą cicho. Czekają na wiadomości o stanie zboża we Francji. Raporty stamtąd przyjdą niebawem. J., igrasz ze strzelbą, której kula niesie dalej, niż cel.

— Jeszcze strzału nie było — odparł Jadwin. — Właśnie nabijamy strzelbę... dla Niedźwiedzi, — dodał, mrużąc znacząco.

W lipcu nadeszły sprawozdania o zbiorach z całego kraju, wykazujące ostatecznie, że po raz pierwszy od lat sześciu plony w Stanach Zjednoczonych będą skape i lichego gatunku. Omlot był średni ilościowo i tylko część niewielka wykazała gatunek „ścisty“. Dobra pszenica stała się odtąd bardzo cenna. Jadwin poczynił nowe zakupy, nabył znów „partję“ w ilości pół miliona buszli.

Poczem nastąpiły pierwsze objawy tego bajecznego szczęścia, które miało się stać udziałem Curtisa Jadwina przez szereg miesięcy. Zbiór pszenicy we Francji okazał się słaby. W Niemczech przewidywano wydajność omlotu znacznie niższą od normalnej. W całych Węgrzech kartofle i ryż zapowiadały się licho.

W połowie miesiąca Jadwin wezwał ponownie Gretry'ego do swej wiejskiej siedziby i wziął go na długą wycieczkę po jeziorze na pokładzie *Thetis*. Byli sami. Mac Kenny pilnował koła, a Jadwin, zajmąwszy z towarzyszem miejsce na fotelach trzećinowych na rufie statku, rozwił przed nim swoje plany.

— Sam,—mówił — mniemałem w kwietniu, że osiągniemy najwyższą cenę około pierwszego bieżącego miesiąca, ale ostatnie wiadomości z Francji i Niemiec „nadały kotowi inną barwę“. Obliczyłem, że otrzymam na rynku około siedemdziesięciu, ale cena jest coraz wyższa. Postanowiłem zaczekać jeszcze.

— Ale to już na własną odpowiedzialność, — rzekł Gretry. — Ostrzegam cię, że cena jest bardzo wysoka.

— Nie nadmiernie. Siedemdziesiąt dwa centy, to za tanio. Postanowiłem uniezależnić się zupełnie od Croo-

kes'a i od jego zakupów. Chcę, żebyś mi wynalazł w Europie kilku dobrych, odpowiedzialnych korespondentów... sprytnych, inteligentnych ludzi, którym mogliśmy zaufać. Chcę mieć jednego w Liverpoolu, jednego w Paryżu i jednego w Odesie, żeby nam codziennie kablowali jaką jest sytuacja.

Gretry zamyślił się na chwilę.

— Dobrze... — rzekł w końcu, — tak. Sądzę, że to się da zrobić. Mogę ci dać porządnego człowieka w Liverpoolu... nazywa się Traynard... w Paryżu znalazłoby się dwóch, albo trzech. Odesy... nie znam. Nie mógłbym w tej chwili nic powiedzieć. Ale się dowiem.

Ci korespondenci zaczęli nadsyłać sprawozdania w końcu lipca. W całej Europie ożywił się wielce popyt na pszenicę. Handlarze zboża nie tylko czynili znaczne zakupy, ale zawierali też kontrakty na dostawy późniejsze. W sierpniu nadeszły pierwsze żądania dostawy pszenicy amerykańskiej, zrazu sporadyczne, później nieco uporczywsze.

W takich warunkach lato dobiegło końca. W jesieni „sytuacja“ powoli zaznaczała się coraz wyraźniej; Europa zachodnia — gęsto zaludniona — zaczęła okazywać zaniepokojenie o własne zapasy żywności na zimę, wobec umiarkowanych zbiorów w Ameryce, które nie mogły zaspokoić żądań zagranicznych. Rosja, Stany Zjednoczone i Argentyna będą musiały żywić świat w ciągu nadchodzących dwunastu miesięcy. Na giełdzie zbożowej w Chicago wskazówka wielkiej tarczy stała na siedemdziesięciu pięciu centach. Jadwin sprzedał swoją pszenicę wrześnieją po tej cenie, poczem kupił w szerokim rozmachu trzy miliony buszli z dostawy grudniowej. Nigdy jeszcze dotychczas nie odważył się zanurzyć tak głęboko w otchłań giełdową. Nigdy jeszcze nie powierzył się tak nieodwołalnie biegowi prądu. Ale coś się przygotowywało — szło coś nieokreślonego, potężnego. Jadwin odgadywał to, odczuwał, wiedział. Czuł ze wszystkich stron dokoła ruch przyspieszony. Letarg, bezwład ustępował. W prądzie był nowy pęd. W potęgającej się stale szybkości jego była jakaś bujna wesołość.

A on stał na grzbiecie fali. Przewrotność, bystrość, szybkość czynu, ujawnione wczesną wiosną, zaczynały przynosić owoce. Pełen ufności, bezpieczny, nietykalny Jadwin zanurzył się w toń, szybkość wiru otchłani potęgowała się z każdym tygodniem; z każdym tygodniem napływały z Europy częstsze żądania pszenicy amerykańskiej; a w końcu miesiąca cena, która się wahała między siedemdziesiąt pięć a siedemdziesiąt osiem, nagłym rzutem podskoczyła na siedemdziesiąt dziewięć, na siedemdziesiąt dziewięć i pół i stanęła mocno na równych osiemdziesięciu. Następnego dnia Jadwin kupił prawo wstępu do Izby Handlowej. Nie był już teraz „outsider“em“.

ROZDZIAŁ VII.

Pewnego wieczora listopadowego tegoż roku Laura zasiadła wraz z mężem do śniadania, poważniejsza, niż zwykle, cała pochłonięta myślą o przedmiocie, którego — jak powiedziała sobie w duchu, — dłużej przemilczać nie mogła. Skoro więc tylko Jadwin położył dziennik i przysunął sobie filiżankę kawy, Laura odezwała się:

— Curtis...

— Co, kochanie?

— Słuchaj, drogi... kiedy się to wszystko skończy... to twoje spekulowanie? Nigdy jeszcze nie byłeś taki, jak teraz. Przecież ja nic z ciebie nie mam. Nawet jak nie toniesz w gazetach i sprawozdaniach giełdowych, albo jak nie rozmawiasz godzinami z panem Gretry w bibliotece... nawet jak nie jesteś tem wszystkim zajęty, myśli twoje nie są przy mnie... odbiegają na ulicę La Salle albo do gmachu Izby Handlowej. Mój jedyny... nie chcę się żalić, nie chcę okazać się samolubną, ale... niekiedy jestem... jestem taka samotna. Nie przerywaj — rzekła śpiesznie. — Chcę powiedzieć wszystko odrazu, a potem nie poruszać już nigdy tej sprawy. Wczoraj wieczór powiedziałeś po obiedzie, że rozmowę z panem Gretrym, który właśnie przyszedł, skończysz w ciągu godziny. Czekałam więc... czekałam do jedenastej, a potem położyłam się spać. Mój najdroższy, byłam... byłam... byłam stęskniona i odczułam dotkliwie swoje osamotnienie. Wieczór był taki długi... Ubrałam się

w najładniejszą suknię, w tę, którą tak lubieś, a tyś tego nawet nie zauważył. Powiedziałaś mi, że pan Gretry pójdzie o dziewiątej, więc ułożyłam cały plan, jak spędzimy razem wieczór...

Nie dokończyła. Mąż pochwyił ją w objęcia i przerwał jej mowę oskarżeniem i potępianiem samego siebie. Wołał, że jest brutal, idjotyczny, samolubny osioł, który nie ma prawa do takiej żony, nie jest wart nawet jednej z tych łez, drgających teraz na jej rzęsach.

— Już nie będziemy o tem mówili, — zaczęła. — Jestem egoistka...

— Ty egoistka! ale gdzie tam! — zawołał. — Nie mów tak... to ja...

— Ale, — nalegała — kiedyś... porzucisz na dobre to całe spekulowanie? Jakże ja tego pragnę! Bo i po co ty jeszcze spekulujesz? Jesteśmy teraz tacy bogaci, że nie możemy wcale wydać swoich pieniędzy. POCO chcesz zrobić jeszcze większy majątek?

— Kiedy nie o pieniądze chodzi, — odparł. — Główna rzecz to uciecha z tej całej gry... podniecenie...

— O, właśnie... „podniecenie“. Ty sam nie wiesz, jak się pod jego wpływem zmieniasz. Bywasz niekiedy taki zdenerwowany, niekiedy nie słuchasz wcale, gdy do ciebie mówię. Widzę doskonale co pochłania twój umysł... Pszenica... pszenica... pszenica... pszenica..., i jeszcze raz pszenica... zupełnie całkowicie. Och, gdybyś wiedział, jak ja jej nienawidzę, jak się jej boję!

— Ukochanie ty moje, to decyduje. Za pszenicę całego świata nie chciałbym przyczyniać ci zmartwienia choćby przez jedną minutę.

— I przestaniesz spekulować?

— Nie mogę, widzisz przestać tak w jednej chwili, ale skoro tylko nadarzy się sposobność, wycofam się z giełdy. W każdym razie nie chcę, żeby jakiegokolwiek moje interesy stanęły między nami. Nie są mi milsze, niż tobie... Powiedz no, jak dawno nie czytaliśmy razem książki?

— Od czasu powrotu ze wsi.

— Do licha!... tak, tak... tak jest. — Potrząsnął głową. — Trzeba zawrócić... Masz słuszność, Lauro, ale nie

możesz sobie wcale wyobrazić jak takie handlowanie pszenicą pochłania. A zresztą, co ja mam właściwie robić? Co mają robić mężczyźni, którzy, jak ja, uzbierali już majątek? Muszę być zajęty. Nie mogę siedzieć i kręcić palcami. Nie znoszę włóczenia się po klubach, grania na wyścigach, albo mordowania dla zabawy ptaków, czy uganiania się za biednym, bezbronnym lisem. Spekulacja wydaje mi się jedyną grą, jedynym interesem, który mi pozostaje... który wydaje mi się usprawiedliwiony. Wiem, że posunęłam się za daleko i przyrzekam ci, że się wycofam. Ale to pyszna zabawka. Jeśli umiesz puścić w ruch jakiś interes i patrzeć trochę dalej, niż inni i odważyć się na krok, którego oni się boją i obmyślać plany i mądrze kierować, a potem widzisz, że spełniają się wszystkie twoje przewidywania... mówię ci, że to pochłania człowieka całego i daje mu szaloną satysfakcję.

— Ale ty mi nigdy nic nie mówisz, — zauważyła. — Nigdy nie wiem co ty robisz. Słyszę o tem od pana Court'a albo od pana Gretry'ego, ale nigdy od ciebie. Czy sądzisz, że nie możesz mi zaufać? Pragnę wejść w twoje życie całkowicie, brać w niem udział bez zastrzeżeń. Powiedz mi, — spytała znienacka — co robisz teraz?

— A więc, dobrze, — odparł, — powiem ci. Tylko oczywiście, zachowaj to przy sobie. Nie jest to żadna wielka tajemnica, ale lepiej o tych rzeczach nie mówić.

Laura dała słowo, że będzie milczała i, oparłszy łokcie na stole, przygotowała się do słuchania. Jadwin zgniótł kawałek cukru w filiżance.

— Otóż, — zaczął, — nie robiłem nic nadzwyczajnego, kupowałem tylko pszenicę.

— Poco?

— Żeby ją znów sprzedać. Widzisz, jestem jednym z tych, którzy wiedzą, że pszenica pójdzie w górę. Przewidziałem to pierwszy, jeszcze w kwietniu. W sierpniu tego roku kupiłem trzy miliony buszli.

— Trzy... miliony... buszli! — szepnęła.—Poco? Co ty z tem zrobisz? Gdzie to umieścisz?

Usiłował wytłómaczyć żonie, że kupił poprostu prawo

żądania zboża w pewnym terminie, ale Laura nie mogła tego dobrze zrozumieć.

— Mniejsza o to, — rzekła w końcu;—mów dalej.

— A więc — zaczął Jadwin — po chwili, — w końcu sierpnia wiedzieliśmy, że w Anglii, skutkiem dżdżystej pogody zbiory będą skąpe, a w ciągu września nadeszły wiadomości, że Syberja nie będzie mogła swojemi zapasami zaopatrzyć południowych prowincji Rosji. Pozostały tedy Stany Zjednoczone i Rzeczpospolita Argentyńska i one to miały wyżywić cały niemal świat. Oczywiście takie warunki musiały podnieść wartość pszenicy. Wszędzie, mniej więcej, zbiory zapowiadały się nieświetnie. Przewidując, że ceny pszenicy będą coraz wyższe, kupiłem znów miljon buszli w październiku, a drugi miljon w początkach bieżącego miesiąca. To wszystko. Widzisz, wyobrażam sobie, że wkrótce ci ludzie w Anglii, we Włoszech i w Niemczech, ludzie, spożywający pszenicę, będą chętnie płacili za nią nam w Ameryce wysokie ceny, bo pszenicę trudno dostać, a oni ją mieć muszą, to dla nich chleb powszedni.

— A więc dlaczego im go nie dać? — zawołała Laura. — Daj tym biednym ludziom... swoje pięć milionów buszli. To będzie przecież dar, jak z nieba.

Jadwin osłupiał.

— To niemożliwe, — rzekł po chwili.

Zanim wszakże zdołał powiedzieć więcej, weszła pokojówka i podała mu trzy depesze.

— Otrzymujesz takie depesze co rano — odezwała się Laura, po wyjściu służącej. — Czy to w tych twoich interesach? Co donoszą?

— Przeczytam ci je, — odparł, przecinając pierwszą kopertę. — To kablogramy od moich agentów w Europie. Gretry ułatwił przesyłanie ich do mnie. A teraz.. ta jest z Odesy.. cyfrowana, ale ja ci ją przetłumaczę.

Wyjął z bocznej kieszeni wąską książeczkę i, przerzucając przez kilka chwil kartki, notował tłumaczenie na kopercie złotym ołówkiem, przytwierdzonym do dewizki.

— Oto treść depeszy — rzekł nareszcie. — „Pszenica za gotówkę o jednego centa wyżej w Liverpoolu. Wy-

syłka wewnątrz kraju. Ceny europejskie nie opłacają się sprzedawcom“.

— Co to znaczy? — spytała Laura.

— Że Rosja nie będzie wywoziła zboża, że ma zaledwie dosyć dla siebie, tak, że Europa zachodnia zmuszona zostanie zwrócić się do nas po pszenicę.

— A tamte depesze? przeczytaj mi je.

I znów Jadwin odcyfrował.

— Ta jest z Paryża... „Odpowiedzieć na milion buszli pszenicy na waszym rynku; zapasy szczuplejsze, niż się spodziewano i już prawie wyczerpane“.

— To znaczy? — spytała.

— Chcą wiedzieć ile zażądałbym za milion buszli. Trudno o zboże u nich w kraju... jak słusznie przewidywałem.

— Czy im sprzedasz?

— Może. Pomówię najpierw z Samem.

— A teraz ostatnia.

— Z Liverpoolu, a Liverpool, widzisz, to największy nabywca pszenicy. Rynek niesłychanie wpływowy.

I znów zajrzał do klucza i porównywał ze słowami depeszy.

Laura, patrząca nań bacznie, dostrzegła, że naraz zmarszczył brwi.

— Do licha! — mruknął — a to co?

— Czy jaka ważna wiadomość? — spytała.

Ale Jadwin nie słyszał zapytania, ani odpowiedzi. Trzykrotnie sprawdzał ten sam wyraz.

— Proszę, powiedz mi, — nalegała.

Jadwin potrząsnął głową niecierpliwie i podniósł rękę ostrzegająco.

— Poczekaj, poczekaj — rzekł — poczekaj chwilkę.

Spisał wyraz po wyrazie przetłumaczony kablogram, a potem odczytywał go uważnie.

— Tak, tak jest, — rzekł w końcu i wstał. — Myślę, że już dosyć będzie śniadania, — oświadczył.

Spojrzał na zegarek, przycisnął guzik dzwonka, a gdy weszła pokojówka, rzekł:

— Powiedz, żeby Jarvis zaprzęgał.

— Ale, co się stało? — pytała znów Laura. — Przyrzekłeś, że mi powiesz. Widzisz, — zawołała, — czy nie mówiłam? Zapomniałeś nawet o mojem istnieniu. Gdy chodzi o pszenicę, ja się wcale nie liczę. A teraz, czytając depeszę dla siebie, byłeś zupełnie inny, twarz twoja przybrała wyraz takiej okrutnej chciwości, taki tryumfujący.

— I ty byłabyś chciwa, — odparł, — gdybyś rozumiała. Weź i przeczytaj sama.

Podał jej kablogram, na którym wypisał tłumaczenie, a ona przeczytała:

„Wielkie firmy tutaj skąpo zaopatrzone i w położeniu kłopotliwym, skutkiem zmniejszonych ładunków z Argentyny. Możliwe zawrzeć umowę na pięć milionów buszli pszenicy, jeżeli ceny odpowiednie“.

— A więc co? — spytała Laura.

— Jakto, czy nie rozumiesz co to znaczy? — odparł Jadwin, — „Popyt z Europy“ naręszcie! Muszą tam wprowadzać pszenicę, a ja ją mam i mogę im dać... pszenicę, którą kupowałem przeważnie po siedemdziesiąt centów... oni zaś zapłacą cenę rynkową... to jest osiemdziesiąt. O! nawet więcej. Zapłacą i osiemdziesiąt dwa, jeżeli zechcą. Francja też poszukuje pszenicy. Przypomnij sobie ten kablogram z Paryża, który przed chwilą czytałem. Będą się wzajemnie licytowali. Jeżeli mi się to uda, jeżeli to przeprowadzę — ciągnął dalej, mówiąc raczej do siebie, niż do żony, albowiem z każdą chwilą uprzytomniał sobie nowe fazy interesu — nie będę potrzebował rzucić swojej pszenicy na rynek i obniżyć ceny. Gretry ma stosunki z zarządami kolejowemi przez syndykat elewatorów, możemy zatem uzyskać duże ustępstwa przy przewozie. Nasza pszenica warta jest dla nich po osiemdziesiąt dwa centy; a w dodatku to „ograniczenie wysyłki z Argentyny“... Są to pierwsze słowa, jakie otrzymujemy stamtąd o niepomyślnych zbiorach. Święty Mojżeszu, jeżeli zboże argentyńskie nie dopisze, pszenica wywędruje do ostatniego ziarenka z pod dachu giełdy! — Pokojówka stanęła we drzwiach. — Powóz jest? — Spytał Jadwin. — Doskonale... Wyruszam zatem Lauro; a dopóki interes nie będzie ubity, nie wspominaj

o tem wszystkim nikomu, pamiętaj. Zażądaj, żebym ci jeszcze kiedy przeczytał kablogramy. To przynosi szczęście.

Pozabierał depesze i pocztę i wyszedł. Laura, pozostawszy sama, siedziała jeszcze przez długą chwilę, patrząc przez okno. Słyszała odgłos zamykanych drzwi frontowych, a potem dźwięk kopyt końskich na asfalcie. Odgłos niebawem przycichł, ustał zupełnie i naraz wielka cisza ogarnęła cały dom.

Laura siedziała, pogrążona w zadumie. W końcu wstała.

— Pierwszy to raz, — szepnęła do siebie, — Curtis zapomniał mnie pocałować na pożegnanie.

Dzień, pomimo, że był to już grudzień, zapowiadał się bardzo pogodny. Słońce świeciło jasno; ziemia pod stopami była sucha i twarda. Śnieg, który spadł przed dziesięciu dniami, już stopniał — słowem dzień był, jak wymarzony, na konną przejażdżkę. Laura zadzwoniła na pokojówkę i włożyła amazonkę. Groom ze swoim koniem i „Krzyżak“ czekali już na nią, gdy zeszła.

Przejażdżka tego dnia była dalsza i trwała dłużej, niż zazwyczaj. Laura zrazu zadumana, przejęta nieokreślonym niepokojem, nie mogła się oprzeć stopniowemu podnieceni, pod wpływem orzeźwiającego, pogodnego ranka, zimnego, czystego blasku powierzchni jeziora Michigan, połyskującej zielonawą metaliczną barwą, roziskrzoną pod porannem niebem. Park Lincolna był pusty i cichy; błękitnawa mgła unosiła się nad odkrytymi kępami bezlistnych drzew, pod którymi ogrodnicy spalali stosy liści.

Czystej krwi wierzchowiec szedł z przepyszną swobodą i fantazją, strzyżąc baczem uchem na najłżejsze słowo swej pani; falująca grzywa musnęła, od czasu do czasu, jej dłoń i rękę, a gdy Laura spojrzała na łopatkę szlachetnego zwierzęcia widziała wydłużone smukłe mięśnie, pracujące sprawnie pod atlasową skórą.

Przy wodospadach skręciła na długą prostą drogę, prowadzącą do jeziora Północnego i dotknęła Krzyżaka szpicrutą, ściągając jednocześnie zlekka cugle. Koń podrzucił łeb, przeszedł ze stępa w kłusa, a potem, gdy Laura pochylała się naprzód w siodle, w wyciągnięty równy galop.

Dokoła nie było nikogo. Laura nie miała powodu obawiać się, że ją kto zobaczy, popuściła tedy cugle i w następnej chwili Krzyżak niósł ją z szybkością wichru — oczy jej zaszyły wilgocią, a włosy powiewały dokoła twarzy.

Miała jednak wierzchowca najzupełniej w swojej mocy. Wiedziała, że dotknięciem wędzidła osadziłaby go na miejscu. Wiedziała, że nie zna strachu i nie jest nerwowy, że instynktem strzeże jej bezpieczeństwa i że ten galop poranny sprawia taką samą uciechę jemu jak i amazonce. Pod nią i dokoła niej uciekała droga i krajobraz; powiew zimnego powietrza śpiewał w jej uszach, wyczarowywał delikatny rumieniec na jej blade lica; w jej głębokich złotych oczach rozpalala się i gasła zimna iskra, a krew żywym tętnem bujnego zdrowia dolegała po smukłej postaci.

Laura okrążyła jezioro Północne i powróciła mimo pomnika Linneusza i Palmiarni — Krzyżak szedł teraz spokojnie stępa, groom zaś jechał takim samym krokiem za nim. Podczas całej przejażdżki Laura nie widziała nikogo oprócz ogrodników parkowych i konnego policjanta w szarym mundurze, którego spotykała ilekroć wyjeżdżała konno i który zawsze salutował, gdy go mijała. Prawdopodobnie nie zwracała uwagi na przechodniów na przejściach, albowiem, gdy teraz skręcała na wschód od posągu La Salle'a, omal nie najechała na mężczyznę, który w tejsze chwili przechodził przez jezdnię.

Zatrzymała konia z lekkim przestraczem i w bezgranicznem zdumieniu patrzyła na mężczyznę, poznawszy w nim Sheldona Corthell'a.

— A to co! — zawołała w nagłym porywie, zapominając o wszelkich etykietalnych formalnościach, jakgdyby była jeszcze młodą dziewczyną z Barringtonu, w Massachusetts — wie pan, że nigdy... prędzej spodziewałabym się... i że to pan, pan właśnie.

Nie ulega wątpliwości, że jego myśl była więcej nią zajęta niż jej umysł nim, a spotkanie z nią nie stanowiło dla niego bynajmniej takiej niewiarogodnej niespodzianki. W pierwszym spojrzeniu, jakie rzucił na amazonkę i poznał w niej żonę Curtisa Jadwina, było więcej radości niż zakłopotania.

Artysta nie zmienił się wcale w ciągu czterech lat, które minęły, od czasu, gdy Laura widziała po raz ostatni. Wyglądał równie młodo; postać jego nacechowana była tą samą elegancją; dłonie miał równie smukłe i delikate; czarna broda była tak samo śpiczasto przystrzyżona, a wąsy odczesane w górę, na sposób francuski, jak dawniej. Ubrany był ze zwykłą starannością i tylko wielka fantazyjna kokarda z czarnego jedwabiu, która zamiast krawatu powiewała pod kołnierzykiem koszuli, nadawała lekkie artystyczne piętno całemu garniturovi nieposzlakowanego, ale cudzoziemskiego kroju. Był bez płaszcza; na głowie miał czapkę z zielonawego sukna, pod pachą trzymał laseczkę bambusową.

Laura nie zdążyła nawet uchwycić wzrokiem tych wszystkich szczegółów, a on już stał przy niej, wyciągając jedną rękę, w drugiej zaś trzymając czapkę.

— Nie umiem pani wcale powiedzieć, jak się cieszę! — zawołał.

Był to bezsprzecznie dawny Corthell w każdym calu. Nie brakło ani jednego tonu jego niskiego, łagodnie modulowanego głosu; nie brakło lekkiego wysunięcia podbródka, gdy mówił, ani szybkiego mrugania powiekami, ani uśmiechu, w którym zwięzały się kąciki oczu, ani spokoju, jakim tchnęła cała postać. Nawet chustka do nosa wsunięta była w rękaw, u osady dłoni, jak zawsze, od chwili, gdy go Laura poznała.

— A więc pan powrócił! — zawołała. — Kiedy i kórędy?

— A więc... tak... więc powróciłem — przywodził, zamieniając z nią uścisk dłoni.—Dopiero onegdaj i zupełnie potajemnie. Nikt jeszcze nie wie, że przyjechałem. Wkroczyłem... a raczej mój pociąg, pod osłoną nocy. Przybyłem prosto z Toskanji.

— Z Toskanji?

— ...Z krainy ogrodów i pergoli marmurowych.

— Doprawdy, nie mogę zrozumieć, dlaczego człowiek opuszcza tokańskie ogrody i.. te wszystkie cuda tamtejsze dla zimy w Chicago, — rzekła Laura.

— Można się temu dziwić, istotnie, — odparł. — Ale

moje ogrody i pergole i inne cuda już mi się wydawały nieco za... miękkie, powiedzmy. I zacząłem tęsknić za twar- dem, ostrem dotknięciem naszego miasta. Ostrość ma swoje znaczenie, choćby dlatego, że pomaga wyróżnić się naszym zębom.

Laura spojrzała nań z uśmiechem.

— Myślałam, że zęby pana już dawno się wyrznęły.

— Z wyjątkiem zębów mądrości, — odparł. — Czuję, że zbliżyłem się do tego okresu życia, w którym należa- by zmądrzeć,

— Nie znałam nigdy tego uczucia, — wyznała Laura — a żyję, w tem „twardem, ostrem“, miście.

— O, bo pani nigdy nie wiedziała, co znaczy nie być mądrą... Niech mi pani teraz opowie o wszystkich — pro- sił. — O mężu.. zdrów, oczywiście i rozpaczliwie bogaty. Słyszałem o nim w Nowym Jorku. A Page, nasza mała, uroczysta Minerwa z saskiej porcelany?

— Page ma się doskonale, lecz nie poznały jej pan.. już zupełnie dorosła panna.

— A pan Court, „Landry“? Przypominam sobie, że robił na mnie zawsze wrażenie, jakgdyby co tylko miał świeżo ostrzyżone włosy. A Cresslerowie, a pani Wess' a...

— Wszyscy zdrowi. Pani Cressler ucieszy się bar- dzo pańskim powrotem. Wszyscy miewają się dobrze.

— A wreszcie, na ostatku, pani Jadwin? Ale nie- potrzebnie pytam; widzę, jaka pani zdrowa i szczęśliwa.

— A pan Corthell, — pytała — czy jest zupełnie zdrow i szczęśliwy?

— Pan Corthell, — odparł, — jest zupełnie zdrow i... znośnie szczęśliwy, dziękuję. Człowiek utracił trochę złudzeń, ale zachował jeszcze tyle, żeby jakoś doczekać się starości.

— Nie mogę sobie wyobrazić, żeby można tracić złu- dzenia w tokańskich ogrodach.

— I zupełnie słusznie, — odparł z pośpiechem, u- śmiechając się wesoło. — Człowiek w Toskanji złudzeń nie stracił. Pojechał tam, żeby rozkoszować się temi, które mu jeszcze zostały. Ale, — dodał, nie zmieniając tonu, —

zaczyna wierzyć, że nawet utracone złudzenie może być bardzo piękne niekiedy... w Chicago.

— Chciałabym panie Corthell, żeby pan zjadł z nami obiad, — rzekła Laura. — Pan prawie nie zna mego męża... Zaproszę też wszystkich pańskich przyjaciół, Cresslerów, ciotkę Wess' i wszystkich... zdaje mi się, że spodoba się panu niektóre nasze obrazy... kiedy pan może przyjść?

— Jako, czy pani nie otrzymała mego bileciku? — spytał. — Pisałem do pani wczoraj z zapytaniem, czy mogę przyjść dzisiaj wieczorem. Bo, widzi pani, przyjechałem do Chicago tylko na kilka dni. Muszę jechać dalej do St. Louis jutro i nie wrócę aż za tydzień.

— Bilecik? Nie, nie miałam żadnego bileciku od pana. O, wiem co się stało... Curtis śpieszył się bardzo dzisiaj rano i zabrał ze sobą całą pocztę. Wiedziała, że były tam i moje listy, a między nimi napewno i bilecik pana. Ale mniejsza o to, skorośmy się spotkali. A więc przyjdzie pan dzisiaj wieczór... na obiad. Nie przestrzegamy żadnych przepisów etykiety. Curtis nie lubi wszelkich formalności. Obiad u nas o szóstej. Postaram się, żebyśmy byli wszyscy... Ach, Page nie może.. zapomniałam. Będzie z Landrym na obiedzie u ciotki Wess', a potem idą na odczyt.

Artysta przyjął zaproszenie.

— Czy pan wie gdzie mieszkamy? — spytała Laura.

— Przeprowadziliśmy się,

— Tak, wiem — odparł. — Postanowiłem odbyć długą przechadzkę po parku dzisiaj rano i minąłem dom pani po drodze. Zanim napisałem do pani musiałem przecież zajrzeć do książki adresowej. Dom pani przeraził mnie, chociaż ma styl zdumiewająco dobry.

— Ale, niech mi pan powie... nie mówi pan nic o sobie... co pan robił od czasu wyjazdu?

— Nic. Próżnowałem poprostu... Trochę malowałem i studjowałem witraże trzynastego wieku w Awinjonie i Sienie.

— A czy pan tam powróci?

— Tak sądzę... za jaki miesiąc. Skoro tylko załatwię

tu pewną sprawę.. to mi przypomina — dodał, spoglądając na zegarek, — że umówiłem się z kimś na godzinę jedenastą i że muszę już iść.

Laura, przybywszy do domu (skoro tylko zajrzała do encyklopedji co znaczy „pergola“), zatelefonowała niezwłocznie do pani Cressler.

— Co! — zawołała ta ostatnia, gdy usłyszała nowinę, — że też Sheldon Corthell wrócił! Wiesz, moja droga, nie spodziewałabym się nigdy. Pamiętam śliczne witraże, które malował... a jaki był zawsze wytworny i elegancki... cudowne miał ręce i głos.

— Będzie dziś u nas na obiedzie i radabym, żeby i państwo byli... proszę bardzo serdecznie.

— O, moje dziecko, niepodobna. Karol zaprosił na wieczór jakiegoś pana z Milwaukee i muszę go nakarmić. Czy to nie może gniewać? Będę słuchała ich gadaniny o spekulacjach i procentach, zamiast siedzieć u ciebie i słuchać Sheldona Corthell'a, mówiącego o sztuce i poezji i szkłe malowaniem. Stanowczo nie mam szczęścia.

O trzy kwadranse na szóstą Laura, w czarnej aksamitnej sukni, siedziała w bibliotece przed kominkiem, przecinając kartki nowego romansu, a nóż z kości słoniowej, migający w jej ręku, wydawał się przedłużeniem jej smukłych palców. Ale nie książka pochłaniała jej uwagę — młoda kobieta co chwilę spoglądała na zegar, stojący na kominku. Jadwina nie było jeszcze w domu i drażniła ją myśl, że będzie trzeba czekać z obiadem. Zazwyczaj wracał z miasta o piątej, a nawet wcześniej. Dzisiaj spodziewała się, że wiadomości, jakie przyniósł poranny kablogram z Liverpoolu, zatrzymują go dłużej w biurze, ale teraz powinienby już być w domu; i w miarę jak mijały minuty, nasłuchiwała z coraz większym niepokojem odgłosu kopyt końskich na jezdni, prowadzącej do domu.

Na pięć minut przed oznaczoną godziną, zaanonsowano Corthell'a, a męża Laury jeszcze nie było; gdy zaś wyszła przez „hall“ do bawialni lokaj oznajmił jej, że pan Jadwin telefonował właśnie, iż będzie w domu za pół godziny.

— Czy jest przy telefonie? — spytała gorączkowo.
— Skąd telefonował?

Ale okazało się, że Jadwin zawiesił słuchawkę, nie mówiąc, gdzie jest.

— Powóz powrócił,—dodał lokaj.—Pan Jadwin nie kazał Jarvisowi czekać i powiedział, że wróci tramwajem.

Laura poleciła służbie, żeby podano obiad o pół godziny później.

— Będziemy musieli trochę poczekać, — objaśniła Corthell'a, gdy zamienili powitanie w bawialni. — Curtis ma jakiś specjalny interes dzisiaj i spóźni się o pół godziny.

Zasiedli we dwoje przed kominkiem w obszernym pokoju, w którym portjery, koloru czerwonego wina, i ciężkie makaty tłumili wszelki odgłos z zewnątrz. Przez trzy kwadransy z górą Corthell bawił słuchającą z zajęciem Laurę opowiadaniem o trybie swego życia w katedralnych miastach Włoch północnych. Nareszcie lokaj oznajmił, że obiad podany,

— Czy pan Jadwin jeszcze nie wrócił?—spytała Laura lokaja.

— Nie, proszę pani.

Laura zagryzła wargi, podrażniona.

— Nie mogę pojąć co zatrzymuje Curtisa tak długo, —szepnęła.—A no, trudno,—dodała—musimy się z tem pogodzić. Pójdźmy na obiad, panie Corthell, nie czekając dłużej. Curtis już teraz wróci niebawem.

Ale oczywiście nie wrócił. W wielkiej jadalni, oświetlonej przyćmionym karmazynowym blaskiem, gdzie w powietrzu unosiła się subtelna woń konwalji, Corthell i pani Jadwin spożywali obiad sami.

— Wydaje mi się, — zauważył artysta, — że pan Jadwin jest człowiekiem bardzo zajęтым.

— O nie,—odparła Laura.—Dobra jego pracują same, jak zwykł mówić, a zazwyczaj pan Gretry załatwia większość jego interesów giełdowych. Od czasu do czasu tylko zdarza się, że coś go zatrzymuje na mieście dłużej. Złajałam go wszakże dzisiaj rano za te jego spekulacje i musiał mi przyrzec, że je ograniczy. Nienawidzę spekulacji... tak pochłania niektórych mężczyzn... uwa-

zam, że to bardzo niesłusznie, jak mężczyzna dopuszcza, żeby go interesy tak bardzo pochłaniały.

— Dlaczegoż ograniczać takie pochłanianie przez interesy?—odparł Corthell, popijając wino.—Człowiek naogół powinien być przez coś pochłonięty... bez względu na to, czy chodzi o interes, o sztukę, a nawet o religję.

— O!... religja... nie wiem... — zaprotestowała,

— Czyż to nie jest danina, jaką składamy dla dobra ogólnego, po za naszą pracą indywidualną... czy to nie najważniejsze? Myślę, oczywiście, że każdy z nas winien zorać swój własny zagon, ale sędzę, że właśnie kilkakrotnie zarycie się naszego pługa w zagon sąsiada dopomaga najskuteczniej do uprawy pola.

Laura ani się spostrzegła, kiedy obiad się skończył, a wstając od stołu prowadzili jeszcze ożywioną rozmowę.

— Wypijemy kawę w galerji obrazów, — rzekła, — a proszę, niech pan zapali papierosa.

Usłuchał wezwania i przeszli do wielkiej rotundy o szklanym dachu.

— To mój ulubiony obraz—odezwała się Laura, stając przed dziełem słynnego Bouguereau.

— Tak?—odparł Corthell, wpatrując się w obraz.—Przypuszczam.—zauważył po chwili,—że to dlatego, iż wymaga od pani, mniej niż inne. Podoba się pani, bo panią tak łatwo zadawała. Może pani treść jego uchwycić bez żadnego wysiłku.

— O... nie wiem, — odparła.

— Bouguereau „ma stanowisko“, wiem o tem. Ale o sobiście nie mogę podziwiać jego sztuki.

— Ale, — zaczęła niepewnym głosem, — myślałam, że Bouguereau uważany jest za największego... za jednego z największych... jego karnacja, rysunek, koloryt...

— Sędzę jednak, że pani, zastanowiwszy się przyzna, iż, pomimo wszystkich zalet, jego obrazu, wytworna makata, piękny wazon miałby zupełnie taką samą wartość jako ozdoba salonu... A teraz, z drugiej strony weźmy ten obraz.

Wskazał niewielkie płótno po prawej stronie kąpiących się nimf, które przedstawiało krajobraz o zmroku.

— Och, ten... — rzekła Laura. — Kupiliśmy go tutaj w Ameryce... w Nowym Jorku Malował go jakiś artysta z Zachodu Przyznaję, że nigdy nie przyglądałam się specjalnie temu obrazowi.

— Ale niech pani spojrzysz teraz — rzekł Corthell. — Czy pani nie dostrzega, że artysta widział coś więcej nad drzewa, staw i łunę zachodu? Siedząc przed szkicem swoim na brzegu tego małego stawu, czuł zbliżającą się noc, słyszał rechocące żaby i, pewien jestem, że mgła nocna słała się na jego dłonie. I był bardzo samotny, a nawet smutny. W te głębokie cienie pod drzewami włożył coś z siebie... melancholję i smutek, które go ogarnęły w owej chwili. A ten mały staw, cichy i czarny i ponury... otóż, ten cały krajobraz, to tragedia życia pełnego posępnych, ukrytych tajemnic. A mały staw to serce. Nikt powiedzieć nie zdoła, jaki jest głęboki i jakie straszne rzeczy znajdują się na dnie, jakie zatopione nadzieje, jakie rozbite ambicje. Ten mały staw mówi jedno słowo tak wyraźnie, jakgdyby je ktoś szeptał do ucha... rozpacz. O tak, wolę go stokroć od nimf!

— Wstydzę się bardzo—odparła Laura,—że nie dostrzegłam tego wszystkiego sama z siebie. Ale teraz widzę... I przychodzić tu będę teraz często i będę się przyglądała obrazkowi. Ze wszystkich pokojów w naszym domu, ten jest mój ulubiony. Ale obawiam się, że nietylko ze względu na obrazy, ile z powodu organów.

Corthell odwrócił się.

— Ach, jakie wspaniałe organy, — szepnął, — Ze wszystkich pani skarbów zazdrościsz tylko tego. Czy mogę pani co zagrać... coś, co wynagrodziłoby rozpaczliwie smutny staw na obrazie...

— Ależ, będę bardzo, bardzo rada, — odparła.

Zapytał o pozwolenie przyćmienia światła, poczem przycisnął za drzwiami guziki, które zgasiły większość żarówek, tak, że pozostało ich tylko niewiele. Następnie powrócił do organów, odczepił „samogrający“ mechanizm i zasiadł przed klawiaturą.

Laura usadowiła się wygodnie w długim fotelu tuż obok organów. Sylweta profilu artysty zarysowała się na

tle cienia, padającego od lampy, która paliła się z boku i oświetlała klawiaturę. A na tej klawiaturze spoczywały w pełnym blasku długie, smukłe dłonie Corthell'a. One jedne poruszały się w całym pokoju, i gdy począł grać zdawało się, że melodia „Pocieszenia“ Mendelsohn'a nie płynie z wnętrza instrumentu, lecz bezpośrednio z pod palców artysty.

— W tych tonach — mówił do Laury — dosłuchujemy się pytań i odpowiedzi. Pytania są namiętne i natarczywe i różnorodne, ale odpowiedź jest zawsze jednaka, zawsze spokojna i pocieszająca i pełna godności.

Laura odpowiedziała głębokiem westchnieniem i szepem:

— O tak... tak... rozumiem.

Skończył i zwrócił się ku niej.

— Może to nie bardzo wysoki poziom sztuki, — rzekł — trochę to za „łatwe“ może, jak Bougureau... ale „Pocieszenie“ przemawia bezpośrednio prostotą swoją. Czy pani lubi Beethovena?

— Ja... obawiam się... — zaczęła Laura, ale artysta grał, nie czekając jej odpowiedzi.

— Czy pani to pamięta? „Appassionata“, sonata F minor... druga część.

Gdy skończył, Laura prosiła, żeby grał dalej.

— Proszę... niech pan nie przerywa, — mówiła. — Proszę zagrać cokolwiek. Nie umiem wcale powiedzieć, jaką mi to sprawia rozkosz.

— A teraz coś, co zawsze bardzo lubiłem, — rzekł, zwracając się znów do klawiatury. — „Mephisto Walzer“ Liszta. Przerobił go bardzo pomysłowo z własnej partytury orkiestrowej. Trudno oddać to należycie na organach, ale zawsze nabierze pani pojęcia o kompozycji.

Mówiąc, zaczął grać, a głowa jego poruszała się z lekka w takt muzyki. Na początku każdego nowego tematu, nie przerywając gry, dawał krótkie objaśnienia:

— To bardzo żywe, arabeskowe, nieprawda?... A teraz ta melodia: czy nie lekkomyślna i kapryśna, jak kobieta, która się waha zalotnie, a potem się wymyka?... Jest

w tem jednak pewna szlachetność, poczucie ideału. Pani odczuwa to oczywiście... A przytem ten podkład zmysłowości... A to, mojem zdaniem, stanowi najlepszą część kompozycji, w tem tkwi sama istota namiętności, rozkosz, która staje się prawdziwą męką... te długie, powolne rytmy, umęczone, omdlewające, bliskie skonania. Przypominają „Fedre“... „Venus toute entière“... Wagner ma to samo. Powraca to ciągle w motywie Izoldy.

Laura słuchała w zachwycie, poruszona do głębi. To sztuka wznioślejsza, niż Gounod i Verdi, jest w niej coś wyższego nad łatwe, utarte raz, dwa, trzy — raz, dwa, trzy partycji operowych, które znała i grała. Z intuicyjną bystrością rozumiała muzykę; a snujące się zwolna, namiętnością przesycone, melodie Liszta, uderzyły w nietkniętą dotychczas strunę w głębi jej serca i szarpnęły nią z taką niepohamowaną siłą, że drganie jej wstrząsnęło całą istotą młodej kobiety, która siedziała teraz drżąca, z zapartym oddechem, ze łzami oczach, zaciskając konwulsyjnie dłonie.

Miała uczucie, jakgdyby naraz otworzył się przed nią całkowicie nowy świat. Wstydziła się swej nieświadomości tych rzeczy, które, jak Corthell taktownie przypuszczał, musiały, oczywiście, być je znane. Jakichże przedziwnych uciech była dotąd zbawiona! Jak bezgranicznie daleki od niej był prawdziwy świat sztuki i artystów, którego cząstkę stanowił Corthell! Ach, ale teraz wynagrodzi to sobie. Precz z Verdim i Bouguereau! Pozbędzie się „Kąpiących się nimf“. Nigdy już, nigdy nie będzie grała „Chóru przy kowadle“. Corthell będzie wybierał jej obraz i grał jej dzieła Beethoven'a i Liszta, które rozbudzały w niej całą namiętność i ogień, i wzniosłe porywy, do jakich czuła się zdolna.

Dziwiła się sama sobie. Nie ulega wątpliwości, że są dwie Laury Jadwin. Jedna spokojna, równa i stateczna, miłująca ciche życie, własne ognisko domowe i lubująca się w obowiązkach gospodyni domu. Ta to Laura lubiła pełną prostoty, zadomowioną, trzeźwą panią Cressler, ubóstwiała męża, rozkoszowała się powieściami pana Howells'a, nie cierpiała wielkoświatowego życia towarzyskiego, pogar-

działa wszelką etykietą, bywała w niedzielę w kościele i bała się własnego dźwięgu.

Ale w takich chwilach, jak obecna, wiedziała, że istnieje inna Laura Jadwin — ta Laura Jadwin, która byłaby mogła być wielką aktorką, która posiadała „temperament“, miała porywy. Była to Laura „wielkich tonów“, która grała rolę wytwornej damy w obszernych komnatach swego domu, która czytała Meredith'a, która na karych wierzchołkach hulała w szalonym galopie po parku, lubowała się w czarnym aksamicie, czarnych dżetach i czarnych koronkach, która, świadoma swej wyniosłej urody, była z niej dumna — Laura Jadwin na koniec, która z rozkoszą spoczywała na wygodnym fotelu we wspaniałej galerji obrazów i, przymknawszy oczy, słuchała dźwięków wielkich organów, drgających wzniosłemi melodjami Beethovena i namiętnością utworów Liszta.

Ostatnie dźwięki organów skonały i zapadły w ciszę — w ciszę, która pozostawiła uczucie ciemności, jakie następuje po przelocie spadającej gwiazdy; a po długiej chwili milczenia Laura wyprostowała się i szybkimi rzutami smukłych białych palców poprawiła ciężkie zwoje swoich kruczych włosów.

— Och! — rzekła, odetchnawszy głęboko — cudne było, precudne. Jakby nowa zupełnie mowa... nie, to jakby nowe myśli, takie przedziwne, że ich żadna mowa wyrazić nie potrafi.

— Takie było zawsze moje przekonanie — odparł Corthell. — Ze wszystkich sztuk muzyka jest, mojem zdaniem, najpoufniejsza, jeżeli się tak wyrazić można. Na przeciwległym krańcu ma pani architekturę, która przemawia do pospolitego tłumu, do całego ludu, do masy. Powieść i malarstwo, a nawet poezja to sprawa klasy wykształconej. Ale muzyka... o, to zupełnie co innego: to dusza, przemawiająca do duszy. Kompozytor tworzył tylko dla ciebie, pani, i dla siebie. Nikt inny nie ma z tem nic wspólnego. Dlatego, że duszę miał złamaną smutkiem, albo wziębraną uczuciem lub udręczoną zwątpieniem, czy goniącą za niewiadomym ideałem, zwrócił się do ciebie...

do ciebie jednej na całym świecie... i mówię ci o swoich tęsknotach i swoim smutku wiedząc, że znajdzie u ciebie współczucie, że dusza twoja, podobnie jak jego dusza, znalazła już smutków i radości, i tą muzyką jego dusza przemawia do twojej duszy, bije jednakiem z nią tętnem, łączy się z nią... tak, zawiera z nią ślub duchowy.

Gdy tak mówił naraz elektryczność zajaśniała w całej galerji oślepiającym blaskiem i wszedł Curtis Jadwin, wołając głośno:

— Lauro, jesteś tutaj? No, moja ukochana, udało się... zgarnąłem pięćset tysięcy dolarów.

Laura i artysta odwrócili się szybko, olśnieni nagłym potokiem światła i młoda kobieta przysłoniła oczy dłonią.

— O! nie chciałem cię oślepiać — rzekł mąż, zbliżając się; — ale sądziłem, że niewłaściwie będzie oznajmiać ci dobrą nowinę wśród ciemności.

Corthell wstał. Jadwin spostrzegł go dopiero teraz.

— Curtis... to pan Corthell, — rzekła Laura. — Przypominasz go sobie, nieprawda?

— Ależ naturalnie, naturalnie, — oświadczył Jadwin, ściskając dłoń Corthell'a. — Cieszę się, że pana znów widzę. Nie miałem pojęcia, że pan wrócił. — Był podniecony. — Wszedłem tak nieznacka... Służba powiedziała mi, że pani Jadwin jest tutaj i pilno mi było podzielić się dobrą nowiną. Ale, ale, przypominam sobie teraz. Przeglądając w drodze do miasta ranną pocztę znalazłem bilecik od pana do mojej żony, oznajmiający, że pan przyjdzie dzisiaj wieczór. Sądząc, że to do mnie, otworzyłem go, zanim spostrzegłem pomyłkę.

— Wiedziałaś, żeś go zabrał, — rzekła Laura.

— Powinienem być zatelefonować o tem, Lauro, ale daję ci słowo, byłem taki zajęty przez cały dzień, że zupełnie zapomniałem... Wypuściłem już kota z worka, panie Corthell, i mogę teraz swobodnie o tem mówić... Przeprowadziłem dzisiaj mały interes z kilku kupcami w Liverpoolu i musiałem czekać w mieście na ich kablogramy... wszak odebrałaś mój telefon, Lauro?

— Tak, ale powiedziałaś, że wrócisz za pół godziny.

— Wiem... Wiem... Ale te kablogramy nadeszły do-

piero w ostatniej chwili... Otóż, jak mówiłem, panie Corthell, przeprowadziłem interes... wiesz, Lauro, ta pszenica, o której mówiłem ci dzisiaj rano... pięć milionów buszli... Mój agent angielski zawiadomił mnie, że mogę je zbyć, jeżeli porozumiemy się co do warunków. Otóż porozumieliśmy się, a część pszenicy sprzedałem z zyskiem piętnastu centów na buszlu. Przed powrotem do domu, zrobiłem obrachunek z moim maklerem i, jak powiedziałem, zarobiłem na czysto pół miliona. Tak to bywa, gdy człowiek patrzy nieco dalej, niż koniec własnego nosa. — Upadł na krzesło i wyciągnął ręce. — Uf! Zmęczony jestem, Lauro... jakgdybym był na nogach przez cały dzień. Czy sądzisz, że Marja, Marta czy Magdalena, czy jak ona się tam nazywa, mogłaby mi podać filiżankę mocnej herbaty?

— Jako, Curtis, nie jadłeś obiadu? — zawołała Laura.

— Zjadłem tylko gdzieś, stojąco drugie śniadanie z Samem. Ale byliśmy obaj tacy zdenerwowani, że mogliśmy nam podać trociny i zjedlibyśmy je również. Uf! Jestem porządnie zmęczony... Zarobić pięćset tysięcy w ciągu dziesięciu godzin, to nie zabawka panie Corthell.

— Wierzę najzupełniej, — przyznał artysta.

Jadwin zwrócił się do Laury i wzrok jego, pełen tryumfu, pełen szyderczego humoru zwycięskiego niespodziewanie Amerykanina — zatonął na chwilę w oczach żony.

— No, — odezwał się — i cóż ty o tem myślisz, Lauro, całe pół miliona... od jednego zamachu? — położył z naciskiem dużą dłoń na poręczu fotela. — Może jeszcze powiedzą tam, przy ulicy La Salle, że nie znam się na pszenicy... Sam... to jest Gretry, mój makler, panie Corthell, z firmy Gretry, Converse i S-ka... Sam powiedział mi dziś wieczór, Lauro, „J“... oni mnie tam nazywają „J.“, panie Corthell... otóż powiedział mi: „J.“, składam broń przed tobą. Myślałem zrazu, że się mylisz, ale widzę, że znasz się na tej grze lepiej niż ja“. Tak, panie, tak mi powiedział a Sam Gretry handluje pszenicą już od lat trzydziestu blisko. O, wiedziałem! — zawołał, poruszając się gorączkowo, — wiedziałem, że pszenica pójdzie w górę. Byłem tego pewien odrazu, kiedy oni wszyscy śmieli się ze mnie.

Wiedziałem, że to zapotrzebowanie z Europy spadnie na nas w tej właśnie porze. Wiedziałem, że dobrze jest kupić pszenicę; wiedziałem, że dobrze jest mieć specjalnych agentów w Europie. A teraz kupować będą wszyscy, teraz, kiedy pokazałem im drogę. Daję słowo przez cały miesiąc niedziel nie nagadałem się tyle. Musi mi pan wybaczyć, panie Corthell. Nie codzień zarabiam pięćset tysięcy.

— Ale to twoja ostatnia spekulacja, nieprawda? — spytała Laura.

— Tak, — potwierdził Jadwin, przyczem odetchnął głęboko. — Skończyłem ze spekulacją. Niech teraz kto inny spróbuje szczęścia. Zobaczymy, czy potrafi przetrzymać pięć milionów buszli do chwili zapotrzebowania. Och, jakim ja zmęczony, jaki zmęczony... Czy dadzą mi tę herbatę, Lauro?

— A co masz w ręku? — odparła z uśmiechem.

Jadwin spojrział ze zdziwieniem na spodek z filiżanką, które trzymał w ręku.

— Prawda! — zawołał, — jestem jak podchmielony... Panie Corthell — dodał między dwoma łykami, — posłuchaj mojej rady. Kup pszenicę majową. Założę się, że sztuki piękne nie są szczodre w zarobkach.

— O, niech mnie Bóg broni, — odpowiedział artysta. — Straciłbym zmysły gdybym wygrał, a pieniądze gdybym przegrał.

— Tak jest. Ma pan słuszość. Lepiej trzymać się od tego zdala. To gra dla ludzi bogatych, a zajmuje i bawi tylko wtedy, gdy ryzykujemy więcej, niż możemy stracić. Ale, nie mówmy już o handlowaniu. Panie Corthell, jesteś artystą... jak ci się podoba nasz dom?

Później, gdy pożegnali Corthell'a, i gdy Jadwin obchodził biljotekę, galerję obrazów i salony — a czynił tak co wieczór, bo nie chciał tego zadania powierzyć służbie — gasząc światła i próbując zamki u okien, Laura rzekła:

— A więc wycofałeś się... na dobre.

— Nie posiadam już ani jednego ziarnka pszenicy — odparł. — Musiałem się wycofać.

Następnego dnia udał się do miasta na kilka godzin

tylko popołudniu. Ale nie wstąpił do gmachu Izby Handlowej. Omówił kilka spraw z administratorem swoich gruntów, napisał kilka listów, podpisał kilka poleceń, powrócił o piątej do domu, a wieczorem zabrał Laurę, Page i, wsunawszy ręce do kieszeni, spojrzął na żonę po przez stół.

— No, — rzekł, — a co będziemy robili teraz?

Przerwała niezwłocznie czytanie listu, który trzymała w ręku.

— Może przejedziemy się po parku? — zaproponowała. — Taki śliczny mamy poranek.

— Hm... tak, — odpowiedział zwolna. — Dobrze. Jedźmy do parku.

Ale Laura widziała dobrze, że nie nęciła go ta przejażdżka.

— Nie, — rzekła, — nie; zdaję mi się, że nie masz wielkiej ochoty.

— I mnie się tak zdaje — przyznał. — Bo widzisz, Lauro, znam ten cały park na pamięć. Czy jest co dobrego w miesięcznikach?

Przyniosła mężowi pisma i Jadwin usadowił się wygodnie w bibliotece, mając pod ręką pudełko cygar.

— Oto, co nazywam: poważny komfort — rzekł, odetchnąwszy głęboko i rozparł się w wielkim skórzanym fotelu. — To stokroć lepsze od tłoku i zamętu przy ulicy La Salle, gdzie człowiek chodzi jak opętany z głową nabitą szalonemi interesami. To jest dopiero, według mnie, prawdziwe życie.

Ale w godzinę później, gdy Laura, która zaniechała dzisiaj zwykłej porannej przejażdżki konnej, zajrzała do pokoju, męża nie było. Czasopisma leżały w nieładzie na posadzce i stole, gdzie rzucał jedno po drugim, po przejściu. Zapytany lokaj objaśnił Laurę, że pan Jadwin poszedł do stajni.

Zobaczyła go przez okno, jak stał w czapce i płaszczu, rozmawiając ze stangretem i oglądając konia. Niebawem

jednak powrócił do domu i Laura odnalazła go w palarni siedzącego z książką w ręku.

— Przeczytałam tę powieść w zeszłym tygodniu, — rzekła, spojrzawszy na tytuł. — Zajmująca, nieprawda? To dobra książka... czy nie?

— O... owszem... niezła, — przyznał. — Ale, czy jeszcze nie czas na drugie śniadanie? Pójdziemy dziś na „poranek“, dobrze Lauro?... przecież to czwartek... zapomniałem na razie.

— Pozwól, żebym ci to czytała głośno, — rzekła, sięgając po książkę. — Jestem pewną, że cię zajmie w dalszym ciągu.

— Szczerze mówiąc... nie sędzę, — oświadczył. — Przerzuciłem pierwsze kartki... strasznie jakieś suche i nudne. Wiesz, — rzekł po chwili, — pojechałbym chętnie do Geneva Lake i łowiłbym ryby w przereblu. Lauro, czy chciałabyś pojechać do Florydy?

— O! — zawołała, — pojedziemy do Geneva Lake na Boże Narodzenie. Zabierzemy ze sobą trochę służby i zaprosimy gości.

Tak się też stało. Cresslerowie, państwo Gretry oraz Sheldon Corthell i Landry Court otrzymali zaproszenie. Obecność Page i ciotki Wess' rozumiała się sama przez się. Jadwin sprowadził konie i sanki. W Wigilję zapłonęła wielka choina, a Corthell skomponował hymn — muzykę i słowa — który zdobył ogólny poklask.

W tydzień później, w dwa dni po Nowym Roku, Landry przybywszy z Chicago pociągiem popołudniowym, przywiózł pełno nowin o wielkim dniu w Izbie Handlowej.

Laura, zeszedłszy do bawialni, zastała całe grono przed kominkiem, gdzie trzeszczały i syczały wielkie kłody drzewa. Był tam mąż jej i Cressler i Gretry, który przyjechał pociągiem wcześniejszym. Page siedziała z podbródkiem opartym na dłoni, zasłuchana w słowa Landry'ego, na którym na razie skupiała się uwaga obecnych. Tylko Sheldon Corthell siedział w najdalszym kącie pokoju i, trzymając w palcach papierosa, czytał tom poezji włoskich.

— Stało się to na skutek potwierdzenia wiadomości o niepomyślnych zbiorach w Argentynie, — mówił Landry

— oraz olbrzymiego popytu z zagranicy. Cena początkowo trzymała się dosyć mocno na osiemdziesięciu trzech. Ale, skoro tylko zadźwięczał odgłos gongu, zaczęło się kupować, kupować, kupować! Każdy dziś kupuje. Publiczność spekuluje. Na każdego sprzedawcę jest dwunastu kupujących. Mieliśmy dzisiaj jeden z najgorętszych dni.

Laura dostrzegła błysk w oczach męża.

— Powiedziałem ci, Samie, że się tego doczekamy, — rzekł Jadwin do Gretry'ego.

— O, pszenicy jest dosyć, — odparł swobodnie zagadnięty. — Poczekaj, aż cena dojdzie do dolara... jeżeli dojdzie... a wtedy zobaczysz. Farmerzy dotychczas nie sprzedawali jeszcze wcale. Istnieje jeszcze zawsze cała armia tych dawnych oraczy, którzy przechowują zboże... w starych pończochach, zdaje mi się... i oddadzą ci je chętnie, jeśli dobrze zapłacisz. Pszenicy jest bardzo dużo. Już ja takie rzeczy widziałem. Podbij cenę wysoko, a, Boże wielki, zobaczysz, jak oni wyskrobia każdy kątek komory, żeby ci zboże dostarczyć. Ani się spostrzeżesz, z jakich zapadłych wiosek przyjdzie.

— Mówię ci, Sam, — odparł Jadwin, — że nadwyżka pszenicy wychodzi z kraju, i to w szybkim tempie. Niebawem będzie trzeba wytrząsnąć niejedne zapasy.

— Banda Crookes'a, — zauważył Landry, — jest jednak pewna, że ceny spadną. Jestem pewien, że sprzedawali dzisiaj na krótki termin.

— Co za pomysł! — zawołał Jadwin z niedowierzaniem, — co za pomysł sprzedawać teraz, wobec klęski w Argentynie i wieści z Europy!

— O, zapasów jest dużo, — powtórzył Gretry, — bardzo dużo.

Tak więc echa pomruków, wydobywających się z Otchłani dobiegały do Jadwina — wbrew jego woli — o każdej porze dnia i nocy. Malsztrem w głębi ulicy La Salle toczył się teraz potężniejszym pędem, niż w ciągu lat ubiegłych. Hucząc wysyłał spieniony wir we wszystkie strony kraju, od oceanu do oceanu, porywał pszenicę, wchłaniał ją,

a potem wyrzucał znów potężnem tętnem odpływu i przy-
pływu.

A on, Jadwin, który znał każdą zmianę jego kierun-
ku, który mógł przepowiedzieć każdą zmarszczkę na toni,
był wycofany... wycofany. Siedział beczynny, gdy krzyk
giełdy rozlegał się głośniejsz z każdym dniem, gdy inni, lu-
dzie o słabych mózgach, ciasnych horyzontach, zamykają
uporczywie oczy na wzbieranie wód, mijają szanse, które on
umiałby wyzyskać z takimi wielkimi, korzystnymi wyni-
kami.

Tajemniczy wypadek, którego zbliżanie się odczuwał
oddawna, nie nastąpił jeszcze. Wielki Fakt, wielki Rezultat,
który miał wyniknąć z tego całego burzliwego zamętu, nie
był jeszcze dokonany. Czy powstrzyma się, dopóki ręka
mistrza nie cofająca się przed niczem, wszechpotężna, nie
podniesie śluzy, która nie przepuszcza druzgocących wód
otchłani? Nie wiedział. Czy nadeszła godzina, domagają-
ca się wodza?

Jestże ten wzbierający ferment rewolucją, która do-
pomina się wielkim krzykiem o swego Napoleona? Czy in-
ny, nie on sam, widząc nareszcie to, na co tylu zamyka oczy,
obejmie naczelne dowództwo?

Jadwin burzył się i szarpał w swej beczynności. Gdy
zbliżał się koniec pobytu w Geneva Lake, niecierpliwosć
dręczyła go jak brzęczenie natrętnego bąka. Odbywał dłu-
gie konne przejażdżki na pustych gościńcach, lub chodził
po wzgórzach albo po zamarznietem jeziorze, zatopiony w
zadumie. Zachował swoje miejsce w Izbie Handlowej, za-
trzymał swoich agentów w Europie. Każdy ranek przy-
nosił mu nowe depesze, każda gazeta wieczorna potwier-
dzała jego przepowiednie.

— O, wycofałem się z tego wszystkiego zupełnie, —
zapewniał żonę — ale znam człowieka, który mógłby wziąć
w garść tę całą złodziejską bandę Crookes'a i zgnieść ją,
jak skorupę od jajka, — a gdy mówił te słowa, silna dłoń
jego zaciskała się w pięść.

Landry Court często mówił Page o tem, co działo się
na giełdzie, a w jakie dwa tygodnie po powrocie Jadwinów

do miasta, przyszedł pewnego wieczora i przyniósł kilka dzienników porannych.

— Czyś ty to widziała? — spytał.

Page potrząsnęła głową przecząco.

— Otóż, mówię ci, — rzekł mrużąc oczy, — że będziemy mieli ładny... ożywiony bardzo... taniec w tych dniach na giełdzie. Cały kraj jest tem zajęty.

I przeczytał jej niektóre wyjątki z dzienników, które przyniósł.

Pierwszy artykuł stwierdzał, że w ostatnich dniach nowy czynnik zaczął działać na rynku pszenicznym w Chicago. Utworzona została widocznie klika „Byków“ prawdopodobnie przez kapitalistów nowojorskich, która wypiera bandę Crookes'a i szybko opanowuje rynek. Skutkiem tego ceny pszenicy idą znów w górę.

Inny dziennik mówił o spółce firm St. Louis, która podbija ceny, wywołując na rynku tendencję zwykłą.

Wreszcie dziennik trzeci wywodził na początku dłuższego artykułu:

„Wszyscy już teraz zgodnie przyznają, że „Niewiadomy Byk“ wtargnął od początku miesiąca na rynek pszeniczny w Chicago i opanował całą sytuację. Niedźwiedzie twierdzą, że nie obawiają się tego tajemniczego nieprzyjaciela, ale faktem jest, że musiano we wtorek pokryć, w sromotny sposób mnóstwo drobnych zapotrzebowań, gdy Wielki Byk w ciągu pół godziny zebrał dwa miliony buszli. Obdzieranie ze skóry i pogoń za ósemkowym zarobkiem skończyły się, gdyż mniejsi handlarze obawiają się, że „Niewiadomy“ schwyci ich za rogi. Osoba nowego spekulanta okryta jest najściślejszą tajemnicą, lecz kimkolwiek jest, posiada zdumiewający spryt kupiecki i niezachwianą siłę. Obiegały pogłoski, że zarzuca sieci z Nowego Jorku, gdzie jest tylko jednym z kliki, która zapoczątkowała kampanję Byków. Wszelako nasze wiadomości z Nowego Jorku stanowczo zaprzeczają tym pogłoskom i możemy bezpiecznie twierdzić, że Niewiadomy Byk jest człowiekiem tutejszym i mieszkańcem naszego miasta“.

Page rzuciła szybkie spojrzenie na Court'a on zaś odpowiedział na nie wzrokiem, milcząc.

— Zdaje mi się, — rzekł po chwili, zniżając głos, — zdaje mi się, że myślimy oboje o tem samem..

— Ale przecież wiem, że powiedział mojej siostrze, iż nie będzie się wdawał w te interesy. A ty co myślisz?

— Nie potrzebuję nic myśleć..

— Landry, mów „nie powinienem myśleć“.

— A więc nie powinienem myśleć, moją rzeczą jest wykonywać zlecenia pana Gretry'ego.

— Wiem tylko tyle, że pan Jadwin siedzi znów po całych dniach w mieście. A nawet wyjeżdżał na krótki czas.

— Może być, że to interesy majątków ziemskich zatrzymują go tak ciągle w mieście, — odparł Landry.

— Laura jest strasznie zmartwiona — ciągnęła dalej Page. — Widzę to dobrze. Spędzali zawsze wieczory w bibliotece i Laura czytała mu głośno, ale teraz pan Jadwin wraca do domu taki zmęczony, że niekiedy kładzie się do łóżka o dziewiątej a Laura siedzi sama i czyta do jedenastej albo do dwunastej. Przeraza się także i tem, jak to wszystko na niego oddziaływa. Taki ciągle zamyślony. Literatura już go nie obchodzi, a przecież zaczął się nią interesować odkąd Laura czytywała mu głośno; nie myśli wcale o swojej szkole niedzielnej, a nadto, jeżeli mamy wierzyć panu Cresslerowi, to pan Jadwin będzie miał straty, jeżeli zacznie spekulować na nowo.

Ale Landry zaprotestował energicznie.

— Nie przypuszczaj ani na chwilę, że pan Curtis Jadwin pozwoli, żeby ktokolwiek wziął nad nim górę. Niema człowieka, ani nawet grona ludzi, którzy mogliby go położyć, on największego z nich wszystkich tam przerasta o głowę. Mówię ci, że ma on w sobie coś napoleońskiego. Tak, moja pani, on ma coś z Napoleona... Page, — oświadczył uroczyście, — to największy człowiek, jakiego kiedykolwiek znałem.

Wkrótce potem przestało być tajemnicą dla Laury Jadwin, że mąż jej powrócił do rynku pszenicznego i to z takim rozpędem, z taką namiętnością, że prąd uniósł go w samo serce wiru.

Był teraz głęboko uwikłany; wpływ jego zaczęto od-

czuwać. Nie było ani jednego ważniejszego pociągnięcia bezimiennego, tajemniczego „Niewiadomego Byka“ na szachownicy giełdowej, które nie zostałyby natychmiast ogłoszone i rozważone przez cały świat ulicy La Salle.

A najpierwszem niemal pociągnięciem — starannie strzeżonem, wykonanem w najgłębszej tajemnicy — było zastąpienie pięciu milionów buszli, sprzedanych do Liverpoolu przez świeże pięć milionów na dostawę w maju. Stało się to w styczniu, a przez cały luty i przez pierwsze dni marca, gdy wołanie o pszenicę amerykańską wzmagalo się coraz silniej, coraz gwałtowniej w pięćdziesięciu miastach i ogniskach Europy, gdy tłum ludzi na giełdzie pszenicznej stawał się coraz zacieklejszy, ogarnięty coraz większym szałem, i gdy obojętna wskazówka na wielkiej tarczy posuwała się wytrwale aż stanęła na osiemdziesięciu siedmiu, „Niewiadomy Byk“ kupował bez przerwy, gromadząc pszenicę, przyzywając, witając ją, przyjmując otwartemi ramionami falę, która zalewała Otchłań, w drodze z Jowy i Nebraski, Minnesoty i Dakoty, z drobnych śpichlerzy z Illinois i opróżniających się szybko elewatorów w Kansasie i Missouri.

Poczem, wśród tego całego wrzenia, w chwili kiedy Curtis Jadwin posiadał już jakie dziesięć milionów buszli pszenicy majowej, ukazało się sprawozdanie rządowe o zapasach skontrolowanych.

— No... i cóż ty o tem myślisz? — rzekł Jadwin.

Siedział z Gretrym w prywatnym gabinecie tego ostatniego w biurze Gretry, Converse i S-ka. Badali obaj uważnie owo sprawozdanie rządowe, które wydrukowały gazety wieczorne. Było to o późnem popołudniu w ponury dzień marcowy. Gaz i elektryczność oddawna już paliły się w biurze, zaś na ulicach lampy rzucały długie smugi światła na mokre chodniki.

Okna gabinetu Gretry'ego wychodziły na ulicę La Salle. Wagony tramwajowe, zakręcając na rogu ulicy Monroe, rzucały chwilowe błyski czerwonego lub zielonego światła po przez mgłę deszczową i przepełniały powietrze nieustannym brzękiem dzwonek. Na dalszym planie widniał gmach Izby Handlowej, powstający z bruku ulicznego

niby wielka, zalewana deszczem, zasiana migocącymi światełkami skała z czarnego bazaltu a poza tym gmachem, na krańcu perspektywy zarysowywały się kontury mostu.

Chodniki po obu stronach roily się od „tłumu z godziny szóstej“, który wypływał ze wszystkich gmachów biurowych. Na tłum ten składali się prawie wyłącznie mężczyźni, dążący w jednym kierunku, zapięci po uszy w brodzący przez kałuże, jakie się wytwarzały w zagłębieniach dżący przez kałuże, jakie się wytwarzały w zagłębieniach chodnika. Wychodzili z biur maklerów i domów komisowych, mieszczących się po obu stronach ulicy La Salle, a szli bez przerwy i bez końca, poruszając się ociężale wyczerpani całodzienną żmudną pracą. Pod tem szarem niebem, wśród gęstej zasłony deszczowej, zatracili indywidualność, stawali się zbiorowiskiem, czarną, toczącą się powoli bryłą.

Przez cały dzień potok huczał i zalewał ulicę — potok, który wypływał z grzmiącej Otchłani wnętrza Izby Handlowej. Teraz odkąd ucichła, śluzy, powstrzymujące potok, były spuszczone, przyptyw i odpływ fali ustał aż do rana, kiedy prąd na nowo wznieci spienione wiry.

Deszcz padał bez przerwy. Powietrze było ciche, wiatr nie hulał. Wagony tramwajowe z głośnym brzękiem szyb sunęły po szynach. Na ulicy, przed wejściem do Izby Handlowej, gołębie o koralowych nóżkach i mieniących się piórkach tęczowej barwy, gruchając i podskakując zbierały ziarna pszenicy, rzucane przez odzwiernego z parterowych okien Izby Handlowej.

— No... i cóż ty o tem myślisz? — powtórzył Jadwin, przesuwając ruchem warg niezapalone cygaro z jednego kącika ust w drugi.

Gretry zatopiony w cyfrach i obliczeniach odpowiedział nieokreślonym ruchem głowy.

— Słuchaj, Sam—odezwał się znów Jadwin,—farmeryzy mają w swoich rękach mniej, niż sto milionów buszli... to strasznie mało. Sam, to strasznie mało.

— Nie jest to ilość, wyrażając się twoim stylem, kolosalna, — przyznał Gretry.

Zapanowało długie milczenie. — Obaj mężczyźni w dalszym ciągu studjowali bacznie sprawozdanie urzędowe.

Gretry sięgnął do przegródki na biurku po broszurę statystyczną i zaczął porównywać pewne cyfry z zamieszczonemi w sprawozdaniu.

Na dworze deszcz spadał na szyby z przytłumionym szelestem jedwabiu. Sprzedawca gazet, idąc ulicą zaintonował pieśń gregorjańską.

— Wiesz Sam, — odezwał się znów Jadwin, — że cała masa tej pszenicy będzie musiała być wysłana do Europy przed lipcem? Jak stała wysyłka?

— Około pięciu milionów tygodniowo.

— Bo pomyśl tylko. Dwadzieścia milionów miesięcznie, czyli... obliczmy... kwiecień, maj, czerwiec, lipiec... cztery miesiące do nowych zbiorów. W ciągu najbliższych czterech miesięcy wyjdzie z kraju osiemdziesiąt milionów buszli... osiemdziesiąt milionów z niecałych stu milionów.

— Tak wygląda, — rzucił Gretry.

— Słuchaj, zróbmy małe obliczenie, — rzekł Jadwin. — Rzućmy okiem na całą sytuację. Masz pod ręką ceny bieżące? Zobaczmy jakie zapasy ma Chicago. Nie sądzę, żeby elewatory pękały od nadmiaru, Sam — zawołał, gdy makler wyszedł do frontowego pokoju, — wyszukaj raportu o początkowej przesyłce i zapasach w Paryżu i Liverpoolu. Założę się z tobą o co zechcesz, że Paryż i Liverpool razem nie mogłyby wykazać dziesięciu milionów.

Gretry powrócił niebawem, niosąc stos broszur i dzienników handlowych.

Biura były zupełnie puste. Ostatni pracownik udał się już do domu. Na ulicy dokoła również szybko zaległa pustka. Tylko kilku maruderów śpieszyło po lśniących chodnikach; w fasadach wielkich szarych gmachów biurowych pozostały już tylko gdzieniegdzie światła, wśród potęgującej się ciszy, gruchanie gołębi na framugach okien Izby Handlowej rozlegało się coraz głośniejsze.

Przed biurkiem Gretry'ego dwaj mężczyźni siedzieli pochyleni nad pliką papierów. Makler trzymał w ręku ołówek i, od czasu do czasu, kreślił śpiesznie cyfry na arkuszu papieru.

— I widzisz, — zauważył Jadwin po chwili, — widzisz jak młynarze tutaj na północnym zachodzie przerażają na mąkę cały zapas ziarna. Czy ty to widzisz?

— Tak, — odparł Gretry; poczem dodał: — Żegluga tam w cieśninach otwarta zostanie za miesiąc.

— Prawda! — zawołał Jadwin, — a cała pszenica, jaka jest jeszcze w kraju wyruszy w drogę. Zupełnie o tem zapomniałem... Zadowolony jesteś, że nie sprzedawałeś w tych dniach pszenicy na krótki termin, co?

— Jednak wielu sprzedawało, — odparł Gretry — bardzo wielu. Mam mnóstwo zleceń w książkach... mnóstwo.

Na te słowa Gretry'ego Jadwin drgnął i wpatrzył się weń badawczym wzrokiem.

— Masz zlecenia? — rzekł. — Bardzo wielu sprzedawało na krótki termin?

— Tak, z bandy Crookes'a... tak, bardzo wielu.

Jadwin milczał przez chwilę, szarpiąc wąsy. Poczem nagle pochylił się naprzód i palcem dotykając niemal twarzy Gretry'ego krzyknął:

— Słuchaj, czy ty nie widzisz co się dzieje? Nie widzisz...

— Co mam widzieć? — zapytał makler, zdumiony gwałtownością Jadwina.

Jadwin założył palce za kołnierzyk, rozluźniając go.

— Wielkie bogi! Uduszę się za chwilę. Co masz widzieć? Przecież mam już dziesięć milionów buszli tej pszenicy a Europa zabiera z kraju osiemdziesiąt milionów. W maju nie będzie ani jednego buszla pszenicy w Chicago! Jeżeli teraz zacznę skupować na długi termin pszenicę za gotówkę, to skąd ją wezmą ci wszyscy, którzy sprzedawali na krótki termin? Powiedz, z kąd oni wezmą? No, mów, skąd ją dostaną?

Gretry położył ołówek i spojrzał na Jadwina, potem patrzył długo na papiery leżące na biurku, przejrzał swoje notatki, spisane ołówkiem, wreszcie wsunął ręce w kieszenie i odetchnął głęboko. Oszołomiony, jakby w osłupieniu, spojrzał ponownie na twarz Jadwina.

— No, skąd ją wezmą? — krzyknął raz jeszcze Jadwin, a twarz jego oblała się purpurą.

— Ja... — jęknął makler, — ja... niech mnie djabli wezmą jeśli wiem.

I naraz obaj mężczyźni jednocześnie zerwali się na równe nogi. To, co przygotowywało się przez jedenaście ubiegłych miesięcy, stało się nagle, ujawniło się nagle, jak gdyby w powietrzu huknął grom i spadł, ogłuszając ich i oślepiając.

Jadwin skoczył naprzód i chwycił maklera za ramię.

— Sam! — wrzasnął, — czy ty wiesz... wielki Boże!... czy ty wiesz, co to znaczy? Sam, możemy zmonopolizować rynek!

J.B. Kacharek

ROZDZIAŁ VIII.

Tego ranka kwietniowego ruch na giełdzie zbożowej w gmachu Izby Handlowej w Chicago rozpoczął się już na pięć minut przed uderzeniem gongu, tłum maklerów i agentów, którzy tłoczyli się dokoła sali giełdowej i w jej wnętrzu był taki wielki, że zapełniał wolne przestrzenie między trybuną pszeniczną i zbożową i wypierał handlarzy owsem z ich tradycyjnych miejsc. Rynek zamknął się dnia poprzedniego zwyżką pszenicy majowej do dziewięćdziesięciu ośmiu i pięciu ósmych. Byki zaś przepowiadali, i przyrzekali, że, zanim upłynie doba, magiczna legenda o „Pszenicy dolarowej“ znajdzie się na drutach towarzystwa telegraficznego „Western Union“.

Wszelkie wskazówki zapowiadały ruch bardzo ożywiony. Przez ubiegłe sześć tygodni obroty handlowe ani na chwilę nie osłabły. Atmosfera giełdy była przeładowana elektrycznością, burzyła się jak szampan, unosił się w niej szum, jak na szczycie góry podczas wschodu słońca, pulsowało tętno wybujałego życia, rozhuakanych namiętności.

„Niewiadomy Byk“ panował ciągle nad sytuacją, cały rynek zawisł na jego rogach i od czasu do czasu odczuwał nagłe wstrząśnienie, potężne, straszne, gdy Byk podrzucił pszenicę o jeden punkt wyżej. „Ogony“ — drobne Byki — promienieli. Stali niewzruszenie przy niewidzialnym i tajemniczym przyjacielu, który z każdym dniem, z każdym tygodniem przysparzał im majątku. Niedźwiedzie

byli prawie niewidzialni. Wielki Byk od jednego potężnego zamachu wypędził ich prawie zupełnie z giełdy. Wycofali się pomrukując i zdaleka tylko odważyli się wysuwać pazury.

Samo zmarszczenie czoła Wielkiego Byka wystarczało do powstrzymania każdego ich ruchu napaści lub oporu. A tymczasem Liverpool, Paryż, Odesa i Budapeszt dopominały się coraz głośniejszą i głośniejszą o ziarno, które miało przynieść żywność przeludnionym ulicom i nieurodzajnej glebie Europy.

Na kilka chwil przed otwarciem giełdy, Karol Cressler stał w południowo - wschodnim rogu pokoju dla publiczności gdzie było wolno palić i kończył poranne cygaro. Ale, gdy usłyszał oddalony dźwięk gongu i rozgwar na giełdzie, potęgujący się wielki szum, niby napływającej fali, rzucił cygaro, opuścił pokój i wszedł do sali giełdowej, zmierzając ku oknom frontowym. Mijając stoły z próbami napełnił kieszenie pszenicą a gdy stanął przy oknie, otworzył je i rozsypał na granitowym parapecie śniadanie dla gołębi.

Wpatrzony w bijące skrzydła nadfruwających ptaków, które w jednej chwili zleciały się ze wszystkich stron, naraz usłyszał przy łokciu swoim głos, mówiący mu dzieńdobry.

— Zdaje się, że znają, pana, co?

Cressler odwrócił się.

— O, halo, halo! — odparł. — Tak jest, znają mnie dobrze. Zwłaszcza ta gołębica biała z czerwonym. Od wczoraj ma skaleczone skrzydło i, gdybym nie pilnował, tamte odpędziłyby ją zupełnie. Ten młody gołąb tam z boku na przykład. To istny korsarz. Chciałby zagarnąć całą pszenicę dla siebie. Nigdy nie ma dosyć.

— Są jeszcze i inni tacy sami — zauważył przybysz lakonicznie.

Mężczyzna, który to mówił, miał około lat czterdziestu. Nazywał się Calvin Hardy Crookes. Bardzo małego wzrostu, bardzo szczupły, włosy miał jeszcze ciemne i ciemną również twarz, wygoloną, trójkątną, jak oblicze kota.

Brwi miał wąskie i czarne, wargi również wąskie i zlekka zmarszczone, jak otwór ściśle związanego woreczka. Była to twarz zamknięta, obojętna i zimna.

Mężczyzna ubrany był jak dandys. Miał na sobie ubranie najświeższego kroju, białą kamizelkę, sukienne kamasje, złoty zegarek z dewizką, brylantową szpilkę w krawacie i sygnet. Z górnej kieszeni surduta wysuwały się czubki palców nienoszonych jeszcze czerwonych rękawiczek.

— Tak, — ciągnął dalej Crookes, rozkładając no-wiutką chustkę do nosa. — Są jeszcze inni, którzy nigdy nie wiedzą, kiedy mają dosyć pszenicy.

— Pan ma na myśli „Niewiadomego Byka“?

— Mam na myśli niewiadomego, przekłętego szaleńca, — odparł Crookes z całym spokojem.

Karol Cressler nie miał w sobie ani cienia snobizmu. Niemniej jednak, w dalszym ciągu tej rozmowy nie mógł stłumić pewnego uczucia zadowolonej próżności. Gdyby był sobie to należycie uświadomił, znieawidziłby siebie. Ale uczucie to nie wykroczyło po za niejasne spotęgowanie się szacunku dla samego siebie. Zdawało się, jakgdyby nabierał znaczenia we własnych oczach; byłby rad, żeby przyjaciele widzieli go rozmawiającego z tym człowiekiem.

„Crookes mówił mi dzisiaj“ — powie, gdy spotka pierwszego znajomego. Albowiem C. H. Crookes uważany był za „największego człowieka“ na ulicy La Salle. Nawet mogło skłonić rynku do zapomnienia o Wielkim Niedźwiedziu. Jakkolwiek był bezczynny podczas tego całego wrzenia w Otchłani, niemniej ci, którzy walczyli przeciw Bykowi, rzucali ku niemu niespokojne spojrzenia, dziwiąc się dlaczego Niedźwiedź nie przybywa swoim z pomocą.

— Tak, — przywtórzył Cressler, głaszcząc brodę, — tak, to szalenie.

Ci dwaj mężczyźni stanowili krańcowe przeciwieństwo. Każdy z nich był dokładnie tem, czem tamten nie był. Jeden długi kańciasty, jakby luźno spojony; drugi mały, drobny, ścisły. Jeden kościsty, drugi szczupły ale

zaokrąglony; jeden pochylony, drugi wyprostowany, jak kapral piechoty.

Cressler chciał mówić dalej, lecz Crookes, podniósłszy podbródek, rzekł:

— Czy pan słyszy? Co to?

Albowiem w stronie trybuny pszenicznej podniosła się gwałtowna wrzawa. Handlarze i kupcy, jak jeden mąż, wrzeszczeli chórem. Rozlegały się radosne okrzyki; kapelusze fruwały w powietrzu. Na najniższym stopniu w sali dwaj maklerzy, przez dłonie złożone przy ustach w tubę krzyczeli z całych sił do przyjaciół, stojących zdala; ponad nimi zaś, na stopniu najwyższym, sześciu innych, z wyciągniętymi ramionami, dawało znaki rękoma współnikom swoim, stojącym w różnych punktach gmachu.

Okrzyki odzywały się co chwila z potęgującą się mocą, rozlegały się gwałtowne: hip, hip, hurra! a ze wszystkich zakątków i stron sali nadbiegali mężczyźni i chłopcy. Publiczność na galerji przechylała się, zaciekawiona, za balustradę. Zawieszono zawieranie tranzakcyj, wszystkie głowy zwrócone były ku handlarzom pszenicy, wśród których zapanowało tak silne wzburzenie.

— Aha! — objaśnił Crookes, — doczekali się nareszcie.

Bowiem skazówka na tarczy nagle podskoczyła o jeden stopień i nie było jednego gońca, jednego woźnego, ani odźwiernego, ani jednego z tych, których życie wprowadziło w zetknięcie z Izbą Handlową, żeby nie odczuł przejmującego dreszczu, wobec tego faktu.

Nowina wybiegła w świat w setkach depesz, wrzucono ją do setek aparatów telefonicznych. Z każdych drzwi, a zdawało się, że nawet z każdego okna gmachu wylatywała na całe miasto, na cały Stan, na północny zachód, cały naród chwytął chciwie magiczne wyrazy: „Pszenica dolarowa“.

Crookes zwrócił się do Cresslera.

— Czy może pan zjeść dzisiaj ze mną śniadanie... u Kinsley'a? Chciałbym z panem pomówić.

I skoro tylko Cressler zaproszenie przyjął, Crookes, skinąwszy głową, odwrócił się na pięcie i odszedł.

Tegoż dnia u Kinsley'a, w osobnym gabinecie na drugim piętrze, Cressler spotkał nietylko Crookes'a, ale i jego spółnika, Sweeny'ego, i jeszcze jednego pana, nazwiskiem Freye, który był jednym z jego najdawniejszych i najulubieńszych przyjaciół.

Sweeny był Irlandczykiem; rumiany, ożywiony, gadatliwy, mówił często dżalektem, a do każdego argumentu, do każdej obeserwacji czy uwagi dodawał zdanie: „Czy rozumiecie mnie, panowie?“. Freye, Niemiec amerykański, był człowiekiem spokojnym; bardzo piękny, miał wesołe, mrugające oczy i nosił czarne bokobrody. Wszyscy trzej byli członkami Izby Handlowej i zawsze współdziałali z armją Niedźwiedzi. W rzeczywistości mogli być nazwani jej kierownikami.

Podczas śniadania wszyscy trzej szczerze i bez ogródek oznajmili, że sposobią się do wypędzenia z giełdy Niewiadomego Byka i zażądali od Cresslera, oszołomionego narazie ich otwartem wyznaniem, żeby się do nich przyłączył.

Crookes, którego Cressler intuicyjnie uważał za przywódcę, nie otworzył ust dopóki Sweeny nie wygadał się aż do utraty tchu, dopóki wszystkie kroki przygotowawcze nie zostały ujawnione. Poczem, patrząc okiem martwym, jak ślepie ryby, rzekł głosem zimnym, jak głos Przeznaczenia:

— Nie wiem kto jest ten Wielki Byk i zupełnie mi to obojętne. Ale jest mi nie na rękę. Nie chcę go na rynku. Pozwoliliśmy mu bawić się przez trzy, czy cztery miesiące. Postanowiliśmy, że dopuścimy, żeby się zaawanturował aż do dolara. Dzisiaj rano cena majowa stanęła na dolarze i jednej ósmej... Teraz my weźmiemy rynek w rękę.

— Ale — oświadczył Cressler, — zapominacie, że nie jestem spekulantem.

Freye uśmiechnął się i poklepał przyjaciela po ramieniu.

— Przypuszczam, Karolu, — rzekł, — że tu wielkiej spekulacji nie będzie.

— Panowie, — zawołał Sweeny, wymachując widelcem, — wylicytujemy go poprostu z rynku... wylejemy go, do licha... Panowie rozumieją?

Cressler potrząsnął głową przecząco.

— Nie — odparł. — Nie, nie liczcie na mnie. Już od wielu lat zarzuciłem spekulację. A zresztą zacząć sprzedawać na krótki termin po tej cenie... nie mam potrzeby mówić wam, co ryzykujecie.

— Słuchaj, Karolu ja ci to wytłómaczę, — zaczął Freye.

Pozostali dwaj wycofali się nieco z rozmowy. Crookes siedział milczący, zamknięty w sobie, Sweeny zaś przysunął krzesło do ściany, założył ręce pod głowę i słuchał uważnie słów Freye'a, wyjaśniającego Cresslerowi proponowane przez grupę plany oraz sposoby jej ataku.

Mówił przez godzinę z górą, a po upływie tego czasu stół restauracyjny zasłany był stosem papierów — listów, kontraktów, tabeli statystycznych, kwitów i t. p.

— I cóż, Karolu, — rzekł Freye w końcu, — rozumiesz o co chodzi? Co o tem myślisz?

— Plan jest zupełnie genialny, — odparł Cressler. — Nie możecie przegrać, Billy, mając poparcie Crookes'a.

— A więc możemy liczyć na ciebie, co?

— Nie liczcie na nic, — oświadczył Cressler stanowczo. — Ja nie spekuluję.

— Ale czy pomyślałeś o tem? — nalegał Freye; powtórzył cały plan z nowego punktu widzenia i zakończył słowami: — Otóż, Karolu, zrobimy w ten sposób trwałą majątek.

— Billy Freye, ja nie chcę żadnego trwałego majątku, — zaprotestował Cressler — Billy, nie zapominaj, że jam już stary chłop. Wy wszyscy jesteście młodzikami. Zaoszczędziłem sobie trochę grosza, prowadzę niewielki interes i pragnę zestarzeć się w spokoju. Miałem ja swój rozmach, gdy wy, chłopcy chodziliście jeszcze w majtkach. A teraz dajcie mi pokój, poszukajcie innego... Wy wygracie, oczywiście... Crookes i S-ka to jak Rotschild... trzęsienie ziemi nie ruszy ich z miejsca. Ale ja... poprzysiągłem sobie przed laty, że będę się trzymał zdala od spekulacji i zamierzam dotrzymać przysięgi.

— Oho, Karolu, — rzekł wesoło Freye — ty się boisz.

— Czego? — spytał Cressler, — spekulacji? Nie

przeczę, jak będziesz w moim wieku i przeżyjesz trzy pаниki i załamie się pod tobą syndykat, będziesz się też bał spekulacji.

— Ale, przypuśćmy, że moglibyśmy panu dowieść, — wtrącił Sweeny, — że my nie spekulujemy... że spekulację uprawia tamten, ten szalony Byk?

— Zgodzę się na każdy interes legalny, — odparł Cressler, wstając od stołu. — Przekonajcie mnie, że wasza grupa nie jest grupą spekulantów, a przyłączę się do was. Ale nie widzę w jaki sposób ten wasz interes mógłby nie być spekulacją.

— Czy zechce pan spotkać się z nami jutro tutaj? — zapytał Sweeny, gdy wdziewali płaszcze.

— To wam nic nie pomoże, — upierał się Cressler.

— A jednak, pomimo to, może pan zechce przyjść? — nalegał Sweeny.

I w końcu Cressler przyjął zaproszenie.

Na stopniach przed restauracją rozstali się, a dwaj przywódcy śledzili wzrokiem znikającą w głębi ulicy barczystą, pochylony postać Cresslera.

— Jest już prawie nasz, — oświadczył Sweeny. — Dokończę go jutro. Kto raz zakosztował spekulacji, zawsze do niej wróci. Był w swoim czasie kogutem w kurniku i ma żyłkę spekulacyjną. Wyszedł zupełnie na czysto i potem bał się spekulować. Ale nie można obawiać się tego, nie ma nad nami przewagi. Rozumiecie mnie teraz?

— Tak, — zauważył Freye, — a więc trzeba go wciągnąć koniecznie.

— A teraz dajcie mi niektóre objaśnienia, — rzekł Sweeny, — bo nie znam jeszcze wszystkich szczegółów tego waszego planu. Dlaczego Crookes tak koniecznie chce go wciągnąć? Ja bym się tak przy nim nie upierał. Moglibyśmy i bez niego dać sobie radę. Przecież on nie jest wcale taki przeraźliwie bogaty.

— Nie, ale Cressler to solidny, konserwatywny kupiec zbożowy, — odparł Freye, — który przez lata całe nie wdawał się w spekulację. Crookes chce mieć w swojej grupie i taki pierwiastek, zanim się zbliżymy do Stires'a i S-ki. Możemy dostać od nich huk pieniędzy, ale oni są bojaźliwi

i ostrożni. Jak Cressler przyłączy się do nas, widzi pan, nada naszej grupie charakter solidny i konserwatywny. Pozwól pan działać Crookes'owi. Zna swój interes.

— Wie pan, — zawołał Sweeny, uderzony nagłą myślą, — myślałem, że Crookes objaśni nas dzisiaj. Musi już teraz wiedzieć, kto jest ten Wielki Byk.

— Naturalnie, że wie, — odparł Freye. — Powie nam, gdy będzie gotów. Ale zdaje mi się, że i ja mógłbym wyłowić tego jegomościa. Niedawno bardzo duża partja pszenicy sprzedana została do Liverpoolu za pośrednictwem firmy Gretry, Converse i S-ka, która od wielu lat pracuje dla Curtisa Jadwina.

— Oho, Jadwin, co? Ho, ho! polujemy tedy na grubą zwierzynę!

— Ale, słuchaj pan, — ostrzegwał Freye — Cressler nie może o tem wiedzieć, nie może się nawet domyślać... dopóki nie wkopie się tak głęboko, że ani rusz, nie będzie mógł wyleźć. Mówiono mi, że Jadwin to jego przyjaciel. Oho, deszcz zaczyna padać. No, muszę już iść. Zobaczmy się jutro na śniadaniu.

Drobny deszcz zamienił się nagle w potop i Cressler, skręcający w ulicę La Salle, zdążył zaledwie schronić się w porę pod dach nad wejściem do gmachu „Illinois Trust“, inaczej byłby przemokł do nitki. Wszyscy przechodnie dążyli do tego samego schronienia, a Cressler ze zdumieniem ujrzał niebawem wśród nich Curtisa Jadwina, biegnącego z kawiarni hotelu „Grand Pacific“

— Halo! Halo! J., — zawołał, gdy przyjaciel wbiegał, zadyszany, na stopnie.

Stali obaj przez chwilę, przyglądając się przyśpieszonemu ruchowi ulicznemu.

— Cóż to, — odezwał się w końcu Cressler, — mamy od rana „dolarową pszenicę“?

— Tak, — odparł Jadwin, skinąwszy głową potakująco — mamy „dolarową pszenicę“.

— Przypuszczam, — ciągnął dalej Cressler, — przypuszczam, że martwisz się teraz, żeś się wycofał.

— O, nie! — odpowiedział Jadwin, odgryzając czu-

bek cygara. — Nie, bynajmniej... wcale mnie to nie wzrusza.

— I to już tak na dobre tym razem... i na zawsze, co?

— Na dobre i na zawsze.

— A więc ktoś inny zaczął po twojem wycofaniu się.

Mówią o tym Niewiadomym Byku. Cała giełda suszy sobie głowę nad tem, ktoby to mógł być. Crookes jednak powiedział mi... wiesz Cal Crookes... powiedział, że nic go nie obchodzi, kto jest. Crookes nie robi teraz również żadnych interesów... i zamierza, o ile mi mówił, powstrzymać się, dopóki Wielki Byk się nie zmęczy. Ciekawym kto jest ten Wielki Byk.

— Ech, niema żadnego Wielkiego Byka,—wybuchnął Jadwin, — jest tylko poprostu grono hurtowych nabywców, albo może też istnieje w Nowym Jorku syndykat, działający za pośrednictwem Gretry'ego. Nie wiem; i ja też jak Crookes... nic mnie to nie obchodzi, skoro już nie biore w tem udziału. Ziemia, grunt ma teraz takie doniosłe znaczenie, że nie można nawet myśleć o czem innem; interesy, z tem związane, pochłaniają mnie od rana do wieczora. Ja ci coś powiem, Karolu nasze miasto nie rozrosło się jeszcze należycie. I czy wiesz, zauważyłem, jeszcze jedną rzecz, miasta rozrastają się w zachodnim kierunku. Utworzyłem towarzystwo budowlano - pożyczkowe na okolicie podmiejskie, po stronie zachodniej... świetnie się rozwija. Ale zdaje się, że deszcz ustał. Przypomnij mnie pamięci pani. Do zobaczenia, Karolu.

Opuściwszy Cresslera, Jadwin udał się do swoich biur na Rookery w pobliżu. Ale zaledwie usiadł przy biurku, wezwał go telefon.

— Halo! — odezwała się słaba, sucha przemiana głosu Gretry'ego: — halo! to ty J? Kupiłem dla ciebie tę pszenicę za gotówkę w Duluth.

— Doskonale; — odparł Jadwin, poczem dodał: — dobrze by było odbyć dłuższą naradę teraz.

— Chciałem ci to właśnie zaproponować, — odparł makler. — Przyjdź dzisiaj wieczór o siódmej do „Grand Pacific“. Nie trzeba, żeby nas teraz widywali razem. Nie pytaj o mnie. Wejdz prosto do palarni. Ja tam będę. Ale,

ale... czekam odpowiedzi z Minneapolisu około pół do szóstej popołudniu. Chciałbym widzieć się z tobą odrazu, gdy ta odpowiedź nadejdzie. Czy możesz poczekać?

— Wraciałem właśnie do domu, — odrzekł Jadwin, — nie byłem wczoraj na obiedzie, a pani Jadwin...

— Wszak wiesz, że to sprawa bardzo poważna, — ostrzegął makler. — A jeżeli zatelefonuję do ciebie do domu, ktoś może zawsze przyłączyć się przypadkiem i podsłucha nas.

— A więc dobrze, — przystał Jadwin; — zaczekam tutaj. Pojadę jutro na drugie śniadanie do domu. Niema innej rady. Ale, ale, Sam, spotkałem dzisiaj Cresslera, i zdawało mi się, że ma jakieś podejrzenia... jakgdyby coś zwietrzył...

— Zawieś słuchawkę, — odparł głos maklera, — lepiej zawieś J. Niebezpiecznie telefonować takie rzeczy. Zobaczymy się dzisiaj wieczór. Do widzenia.

Stało się tedy, że w jakie pół godziny później, Laura została wezwana do telefonu w bibliotece.

— Co, nie wrócisz wcale dzisiaj wieczór? — zawołała, jakby z lękiem w odpowiedzi na wiadomość od męża.

— Niepodobna, kochanie, — odparł.

— Ale dlaczego? — nalegała.

— Interesy... to moje towarzystwo budowlano - pożyczkowe.

— O, wiem dobrze, że nie to. Dlaczego nie powie-rzasz panu Gretry'emu swoich...

Ale Jadwin, mając świeżo w pamięci przestrożę Gretry'ego, odrzekł z pośpiechem:

— Muszę przerwać Lauro. Do widzenia. Zobaczymy się jutro w południe i wytłumaczę ci wszystko. Do widzenia... Lauro!.. Halo!.. Czy jesteś jeszcze?.. Halo! Halo!

Ale usłyszał już tylko w słuchawce szmer i trzask zamkniętych drzwi — i wiedział, że żona, zawiedziona i rozgniewana, zawiesiła swoją słuchawkę, nie pożegnawszy go.

Dni mijały. Niebawem upłynął znów tydzień. Tendencja na rynku pszenicznym ustaliła się, gdy cena doszła do dolara i nastał okres spokojniejszy, trwający kilka dni. W głębi, pod powierzchnią, poniżej wirujących prądów, po-

teżne siły pracowały z zapałem nad „przekształceniem“ sytuacji. Puszczono w ruch miliony dolarów dla opanowania milionów buszli pszenicy. W końcu trzeciego tygodnia tegoż miesiąca Freye doniósł Crookes'owi, że Cressler „dał się złapać“ i wnet rozooczęły się śpieszne rokowania między grupą Crookes'a a wielkim domem bankierskim Stires'a.

Tymczasem Jadwin i Gretry, nie przewidując opozycji, świadomi nieobliczalnych korzyści, jakie mogło im dać zmonopolizowanie rynku, gromadzili spokojnie ziarno. W końcu marca Jadwin, mając na oku uplanowane zmonopolizowanie pszenicy majowej, kupił całą połowę zapasu pszenicy w Duluth, Chicago, Liverpoolu i Paryżu — około dwudziestu milionów buszli; wzamian zaś sprzedał na krótki termin taką samą ilość z dostawy lipcowej. Mając w ręku pszenicę gotową stracić nie mógł. Jeżeli pszenica pójdzie w górę, jego dwadzieścia milionów buszli będą tem cenniejsze; jeśli spadnie, pokryje swoją sprzedaż na krótki termin z zyskiem. A tymczasem skupował wytrwale, bez przerw pszenicę majową aż wreszcie księża Gretry'ego wykażała mu, że posiada przeszło dwadzieścia milionów buszli, z dostawą w tymże miesiącu.

Wszystko to pochłaniało nie tylko każdą minutę jego czasu, ale i każdą jego myśl, całą jego uwagę. On, który, tak niedawno jeszcze, uważał ilość pięciu milionów buszli za ciężar wymagający bacznej pieczy, teraz powołany był do strzeżenia i dozoru siły, ukrytej w czterdziestu milionach, do kierowania tą potęgą. Niekiedy przypominał sobie Curtisa Jadwina z wiosny przed ślubem, owego Curtisa Jadwina, który sprzedał marny milion, na podstawie wieści o cle przywozowym we Francji i uważał to za wielki interes.

Od owego czasu stał się żeń inny człowiek. Wówczas trzymał się zdala od spekulacji, bał się jej nawet. Teraz odkrył w sobie moce, zdolności i siłą rozpędu zupełnie niespodziewanie zdołał opanować rynek pszeniczny w Chicago; a człowiek, który tego dokonał, mógł bez zarozumiałości nazwać siebie „wielkim“. Wiedział, że przewyższa ich wszystkich — Gretry'ego, bandę Crookes'a, aroganckich sztyderych Niedźwiedzi, wszystkich ludzi ze świata Izby

Handlowej. Był od nich wszystkich silniejszy, większy, przebieglejszy. Okaże się to za kilka dni, kiedy oni wszyscy staną wobec faktu i stwierdzą, że pszenicy, którą przyrzekli dostarczyć, zanim mieli ją w ręku, nie można otrzymać od nikogo, tylko od niego, i to po cenie, jaką będzie uważał za stosowną. Mógłby żądać od nich sto dolarów za buszel, jeżeli zechce, a oni będą musieli zapłacić tę cenę, albo zbankrutować.

Umysł jego zaprzątnięty był tylko tym jednym, wielkim faktem: pszenica majowa. Stawał przed nim z chwila, gdy obudził się zrana. Dotrzymywał mu towarzystwa podczas spożywanego z pośpiechem pierwszego śniadania; jadąc do miasta w rytmie kopyt koni swoich słyszał: „pszenica — pszenica — pszenica, pszenica — pszenica — pszenica — pszenica“. Zaledwie wjechał na ulicę La Salle, rozgwar handlu dobiegał jego uszu, jak szum potoku pszenicy, płynącego przez Chicago z farm zachodnich do młynów i piekarni w Europie. Tam u stóp ulicy, potok zawirował siłą czterdzieści miljonów, którą on — Jadwin — kierował.

Popołudnie zgasło; nadszedł wieczór. Należało zrobić przegląd interesów dnia minionego, skreślić plan kampanji dnia jutrzejszego; dziesiątki, setki drobnych, niespodziewanych spraw pobocznych zbiegały się z godziny na godzinę; trzeba było z każdą minutą niemal nowe powziąć postanowienie.

W porze obiadowej, Jadwin opuszczał biuro, konie wiozły go z powrotem do domu, a kopyta ich ponownie wybijały bez przerwy na asfalcie monotonną zwrotkę: „pszenica — pszenica — pszenica, pszenica — pszenica — pszenica“. Siedząc za stołem, nie mógł jeść obiadu. W przerwach między potrawami przebiegał myślą dokonaną wciąż dnia pracę, rozważał ją, pytał siebie: „czy ten krok był właściwy?“ „Czy to postanowienie było rozważne?“ „Czy jest w tem jaki wybieg?“ „Jakie było właściwie znaczenie tej depeszy?“

Po obiedzie należało przepisać dokładnie papiery, kontrakty, statystyki, sprawozdania, jakie przywiózł ze sobą. Codziennie niemal przybywał Gretry i obaj zamknięci w

bibliotece, rozmawiali, dyskutowali, snuli plany długo po północy.

Poczem w końcu, gdy Jadwin zamknął drzwi frontowe za swoim pomocnikiem i zwrócił oblicze ku pustemu, cichemu domowi, następowała chwila reakcji. Znużony mózg słabnął; wyczerpanie czepiało się, jak ciężar ołowiany, całej postaci Jadwina. Ale gdzieś w hallu, rozległo się uderzenie zegara — jeden przeciągły dźwięk, jak odgłos gongu — jak sygnał, który rozpęta jutro rano burzę w Otchłani. Pszenica—pszenica—pszenica, pszenica — pszenica — pszenica! I w mgnieniu oka wyczerpane zmysły odzyskiwały sprężystość; w mgnieniu oka znużony umysł podążał na stanowisko.

Jadwin zgasił światła — w rozległym domu oddawna, już sen panował wszechwładnie. Śród chłodnej, mrocznej ciszy najwcześniejszego brzasku Curtis udawał się na spoczynek i leżał w łóżku, nie mogąc usnąć, patrząc w zalegające dokoła ciemności, układając plany, projektując nowe środki, a tętno krwi w uszach szeptało umęczonemu mózgowi: „Pszenica — pszenica — pszenica, pszenica — pszenica — pszenica. Czterdzieści milionów buszli, czterdzieści milionów, czterdzieści milionów“.

Mijały dni całe kiedy Jadwin widywał żonę tylko przy pierwszym śniadaniu i przy obiedzie. Niekiedy ogarniał ją gniew, była boleśne dotknięta, czuła do męża urazę za to, że ją tak zaniedbywał. Ale przychodziła też chwila, kiedy było jej żal Curtisa, który zdawało jej się, że nie zasługuje na bezwzględne potępienie.

A on mógł tylko odgadywać myśli Laury. Nie mówiła już o tem, że interesy tak całkowicie go pochłaniają. Chwilami zdawało mu się, że widzi w jej czarnych oczach wyrzut i błaganie, chwilami zaś dostrzegał w nich gniew i srodze zranioną dumę. Przed kilku miesiącami byłoby go to wzruszyło. Ale teraz nagle wybuchnął gwałtownie:

— Ty myślisz, że ja to robię naumyślnie! Nic nie wiesz, nie masz najlżejszego pojęcia. Ja monopolizuję pszenicę! Wielkie nieba, to pszenica zmonopolizowała mnie! Monopol wytworzył się sam. Stałem przypadkowo między

dwoma łańcuchami sprzecznych okoliczności i one mną pokierowały... nakazały mi to, co uczyniłem. Teraz, mimo najszerszych chęci, wycofać się z tego nie mogę. Mam pójść dziś do teatru z tobą i Cresslerami? Ależ, moja droga, równie dobrze mogłabyś zażądać, żebym powędrował do Jerycha. Niech ten pan Corthell mnie zastąpi.

I oczywiście tak się też stało. Artysta, otrzymawszy zaproszenie, posłał pani Jadwin pęk róż, a po skończonem widowisku zaprosił towarzystwo na kolację do swoich apartamentów, wychodzących na Lake Front. Po kolacji zaś odwiózł Laurę, panią Cressler i Page do domu.

Niespodziewany zbieg okoliczności chciał, że był jedynym mężczyzną w gronie pań, co ich bardzo ubawiło. W ostatniej chwili Page otrzymała depeszę od Landry'ego, donoszącą, że jest niezdrów i położył się do łóżka. Praca całodzienna w Izbie Handlowej wyczerpała go tak doszczętnie, że doktor kazał mu nie ruszać się z domu wieczorem. Pani Cressler oświadczyła, że Karol ma w ostatnich dniach jakieś kłopoty, które tak źle na niego wpływają, że się wprost zestarzał.

— Nawet nie mówi ze mną o sprawunkach — biadała. — Pewna jestem, że nie spekulował, ale jest w tym tygodniu rozdrażniony i zdenerwowany, jak nigdy; a dziś wieczór musiał pójść do Palmer House, żeby się spotkać z jakimiś klientami.

Gdy pani Cressler wysiadła przed swoim domem, pojechali dalej do Jadwinów.

— Przypominam sobie, — rzekła w drodze Laura do Corthell'a, — że jechaliśmy już tędy kiedyś we troje. Pamięta pan?... Po przedstawieniu w Operze. Tego wieczora widziałam pierwszy raz pana Jadwina.

— Był to dzień bankructwa Helmick'a, — wtrąciła Page poważnie; — wszystkie gmachy biurowe były oświetlone. Patrz, — dodała, gdy zajechali przed dom, — w biblijotece światło, a już chyba blisko pierwsza. Pan Jadwin jeszcze nie śpi.

W duszę Laury zapadł nagle lęk. Kiedy się to wszystko skończy i jak? Noc w noc mąż zamykał się tak w biblio-

tece i pracował do świtu, a ona spędzała długie samotne wieczory — czas zawisł nad nią nieznośnym ciężarem.

— Czy pani będzie w domu jutro wieczorem? — spytał Corthell, zatrzymując dłoń Laury w uścisku, gdy stanęła przed bramą. — Czy mogę przyjść zagrać znów dla pani?

— Tak, tak, — odparła. — Tak, będę w domu. Proszę, niech pan przyjdzie.

Kareta Laury odwiozła artystę do mieszkania. Przez całą drogę siedział bez ruchu, patrząc przez okno niewidzącymi oczyma. Papieros wypalił się. Wyjął inny z papierosnicy, ale zapomniał zapalić. Pogrążony w zadumie, roztargniony, szedł wolno po schodach — dźwig nie funkcjonował w nocy — do swej pracowni i tu, zrzuciwszy płaszcz i kapelusz usiadł, nie zapalając światła, przed kominkiem, na którym żarzyła się wiązka drzewa, albowiem powietrze było jeszcze chłodne.

Z przyległego pokoju przyszedł kamerdyner jego Evans, i zapytał, czy pan czego nie potrzebuje. Corthell zdjął frak a Evans przyniósł mu domową kurtkę, przysunął stolik z długim blaszanym pudełkiem, pełnym papierosów, i postawił obok popielniczki. Następnie zapalił stojącą na stole w rogu pokoju lampę z brązu, osłoniętą ciężkim jedwabnym ciemnikiem, spuścił story, dołożył drzewa na kominku, potrzymał małą srebrną zapalniczkę spirytusową, dopóki Corthell nie zapalił papierosa, poczem szepnąwszy: „Dobranoc panu“, wyszedł, zamykając drzwi z ostrożnością bandyty.

Ten szereg pokojów, wychodzących na Lake Front, nazywał Corthell swoim „home“. Ilekroć wyjeżdżał, zostawiał wszystko tak, jak było, pod opieką wiernego Evansa; a bez względu na czas nieobecności powracał tu zawsze z uczuciem ulgi, z przeświadczeniem, że go te mury witają. Nawet teraz, mimo wzburzenia wewnętrznego, miał siedząc, w fotelu, świadomość komfortu i miłego otoczenia.

Lampa rzucała przyćmiony blask na pokój malowniczy, starannie rozplanowany — nie było tu ani jednego przedmiotu, który nie zostałby pieczołowicie dobrany. Ścia-

ny, pomalowane odpowiedniami farbami, pokryły się ciemną barwą mieniającą się zieleni i bladego złota, co wywierało wrażenie głębi polanki leśnej, prześwietlonej blaskiem zachodzącego słońca. Tu i owdzie wisiały półki a na nich stały, oprawne w wyprawioną brązową skórę ciełącą, książki z osiemnastego wieku — Addison, Spectator, Junjus i Racine, Rochefoucauld i Pascal.

Na każdym kroku oko mogło spocząć na jakimś drobnym arcydziele sztuki lub rzemiosła. Tu starożytne popiersie z epoki upadku Rzymu, całe z czarnego marmuru, uwieńczone brązową tjarą; tam oprawiona stronica wydania z czternastego wieku „Li Quatres Filz d'Aymon“, ozdobiona iluminowanym inicjałem, przedziwnej roboty; albo chorągiewka renesansowa z jedwabiu niegdyś białego, dziś już pociemniałego ze starości, na której widniała jeszcze w środku tarcza herbowa jakiejś zmarłej królowej.

Między oknami stał posążek Wenery z kości słoniowej, wykonany za czasów Wawrzyńca Pysznego. Oryginał Cazin'a i kredkowy rysunek Baudry'ego wisiały na ścianie tuż obok wraz z tablicą brązową Saint Gaudens'a; całą zaś końcową ścianę pokoju zasłaniał gobelin z najlepszego okresu francuskiej szkoły północnej, wyobrażający Halcyonę, z rękami przemieniającymi się już w skrzydła, pochyloną nad zwłokami Ceyxa, którego długie włosy spływały niby wodorosty w błękitne wody morza Egejskiego.

Przez długi czas Corthell siedział bez ruchu, wpatrzony w ogień. W przyległym pokoju zegar wybił godzinę pierwszą, a na ten dźwięk artysta drgnął i przesunął długie palce po oczach.

Po dłuższej chwili wstał, podszedł do kominka, oparł ramię na parapecie a głowę na dłoni i stał tak, patrząc na płonące głownie.

— Jest nieszczęśliwa, — szepnął w końcu. — Nietrudno się tego domyśleć... Nieszczęśliwa i samotna. O, szaleńcze, szaleńcze, że też nie możesz znaleźć siły, by ją opuścić teraz, kiedy nie powinieś zostać!

Następnego wieczora Corthell udał się do pani Jadin. Zastał ją samą, jak zwykle. Przyniósł książkę z poe-

zjami i, zamiast spędzić wieczór w galerji sztuki, jak projektowali, czytał jej głośno Rossetti'ego. Nic nie mogło być bardziej konwencjonalnego, niż ich rozmowa, nic bardziej nieosobistego. Ale w drodze do domu przypomniał się Corthell'owi pewien szczegół tej rozmowy. Uderzył go znamienny fakt, którego nie chciał przyoblec w słowa. Ani on ani Laura nie wspomnieli przez cały wieczór nawet imienia Jadwina.

Stopniowo widywali się coraz częściej. Corthell zamknął oczy i uszy. Myśl o Laurze, wspomnienie ostatniego wieczoru wspólnie spędzonego, oczekiwanie następnego spotkania zapełniało wszystkie jego godziny. Przestał się zastanawiać, powierzył się biegowi prądu, który go unosił. Jadwina widywał rzadko. Ale gdy spotykał się z mężem Laury, nie odczuwał braku serdeczności w jego powitaniu. Pewnego razu nawet Jadwin zauważył:

— Bardzo rad jestem, panie Corthell, że pan przyszedł odwiedzić panią Jadwin. Jestem dużo poza domem w tych dniach, obawiam się, że czułaby się osamotniona, gdyby od czasu do czasu nie wpadł ktoś do niej, jak pan i nie pomówił z nią o sztuce.

Powoli towarzyski ich stosunek zmierzał do zażyłości. W teatrach i na koncertach Corthell stale towarzyszył Laurze. Bywał u niej dwa, trzy razy w tygodniu. Na przyjęciach w jego pracowni Laura stale bywała obecna. Jak — pytał siebie Corthell — zapatruje się na ich stosunek? Nie zdradzała przed nim swoich myśli najlżejszym znakiem; nigdy nie dawała mu do zrozumienia, żeby jego obecność miała jej być nieprzyjemna. Czy to jej milczące zezwolenie ma być zachętą? Czy pragnie się afiszować jako mężatka, posiadająca wielbiciela? Jej pożycie małżeńskie jest nieszczęśliwe, tego był pewien; mąż ma wręcz odmienne od niej usposobienie. I Corthell przyszedł do wniosku, że Laura męża nie cierpi.

Pewnego dnia wszakże to jego mniemanie zachwiało się pod wpływem niespodziewanego i niewytłómaczonego dla niego postępkę ze strony Laury. Umówiła się z nim, że spędzą popołudnie w Instytucie sztuki i obejrzą wspólnie świeżo zakupione obrazy. Ale gdy przyszedł po nią w

godzinę po drugim śniadaniu, oznajmiono mu, że pani Jadwin niema w domu. Za pierwszym następnem spotkaniem powiedziała mu, że spędziła cały dzień z mężem. Wczesnym rannym pociągami pojechali do Geneva Lake, żeby zarządzić odpowiednie przygotowania w wiejskiej siedzibie, gdzie przeniosą się na wiosnę. Zdecydowali się na tę wycieczkę tak niespodziewanie, że Laura nie miała czasu zawiadomić Corthella o zmianie planów.

A on zastanawiał się, czy zapomniała zupełnie o tem, że się z nim umówiła — nie mógł nigdy zrozumieć tego zajścia i zapytywał siebie, czy może istotnie być taki zupełnie pewny zobojętnienia, jakie, w jego mniemaniu, nastąpiło między mężem i żoną. Przypuszczał, że może w tym wypadku Jadwin nagle postanowił zrobić sobie na dzień jeden wakacje a Laura skwapliwie skorzystała z tego. A więc to prawda, że wystarczy słówko ze strony Jadwina, by Laura zapomniała o wszystkim?

Corthell był zaskoczony. Nie chciał dopuścić, że to prawda — zapomniała o wszystkim? — naniu, była kobietą posiadającą więcej dumy, wrażliwszą duszę, niżby taki jej nastrój wskazywał. I w końcu Corthell powziął mniemanie, że Jadwin w jakiś sposób zniewolił żonę do tej wycieczki, jakkolwiek wydało mu się, że przez kilka dni następnych Laura była weselsza, promienniejsza, niż kiedykolwiek.

Ale dni mijały i łatwo było dostrzec, że interesy odrywały Jadwina coraz bardziej od żony. Często teraz spędzał noc w mieście, gdy zaś zdarzało się, że zdołał wrócić do domu, po całodziennej pracy, był zmęczony, wyczerpany i udawał się na spoczynek niezwłocznie po obiedzie. Artysta i pani Jadwin coraz więcej przebywali teraz ze sobą.

Pewnej niedzieli wieczorem, w pierwszy istotnie ciepły dzień w roku, Laura i Page odwiedziły Cresslerów i — podobnie jak dawniej przed zamążpójściem Laury — całe towarzystwo zasiadło na frontowej estradzie przed domem. Wyjątkowo przybył i Jadwin. Laura wymogła na nim, że jej darował ten wieczór oraz wieczór następnej środy i uplanowała sobie, że udadzą się wieczora tego sami, we

dwoje, na długą przejażdżkę po parku, jak za czasów narzeczeństwa.

Corthell przyszedł również do Cresslerów z Jadwinami, u których był na obiedzie — rozumiało się to samo przez się. Ale artysta niewiele mógł korzystać z towarzystwa Laury tego wieczora. Nie opuszczała męża a nawet, po pewnym czasie, cofnęła się z nim do bawialni, gdzie zasiedli do gawędy we dwoje.

Laura snuła mnóstwo projektów.

— Dokąd pojedziemy? — mówiła. — Umyśliłam sobie, że nie będziemy jedli obiadu w domu i, że uda ci się powrócić trochę... troszeczkę wcześniej z biura... zawieziesz mnie do restauracji w parku i tam zjemy obiad, jakgdybysmy nie byli małżeństwem... lecz ponownie narzeczonymi... Mam nadzieję, że pogoda będzie nam sprzyjała.

— Ach, mówisz o środzie — odparł Jadwin. — Kiedy, moje drogie dziecko, mówiąc szczerze... zdaje mi się... zdaje mi się, że nie zdołam się uwolnić. Bo widzisz, w środę...

Laura wyprostowała się nagłym ruchem.

— Ale przecież powiedziałeś, — zaczęła drżącym zlekka głosem, — powiedziałeś...

— Mój skarbie... wiem, że powiedziałem; ale musisz znów zwolnić tym razem.

Nie odpowiedziała. Było tak ciemno, że nie mógł widzieć jej twarzy; ale, zaniepokojony jej milczeniem, zaczął się tłumaczyć. Laura wszelako przerwała i rzekła z całym spokojem:

— O, trudno. Nie, nie; nie gniewam się. Oczywiście, jeżeli jesteś zajęty...

— A więc rozumiesz, moje dziecko, prawda?

— Tak, tak, rozumiem, — odparła.

Wstała.

— Sądzę, — dodała, — że trzeba już iść do domu, co?

— I owszem — odrzekł. — Jestem bardzo zmęczony. Miałem dziś ciężki dzień roboczy. Mam straszne pragnienie — dodał wstając. — Może i ty napiłabyś się wody?

Potrząsnęła głową przecząco a gdy mąż znikł, dążąc do jadalni, stała przez chwilę sama w ciemnym pokoju,

i patrzyła w ulicę. Czowała, że lica jej pałają. Zwieszzone jej ręce zacisnęły się w pięści.

— Co to! pani zupełnie sama? — odezwał się za jej plecami głos Corthell'a.

Odwróciła się szybko.

— Muszę już iść, — mówił dalej, — przyszedłem, żeby pani powiedzieć dobranoc.

Wyciągnął rękę.

— Dobranoc, — odparła podając mu dłoń. Poczem nagle dodała:

— Niech pan mnie znów odwiedzi... niezadługo, dobrze? Niech pan przyjdzie w środę wieczór.

I Corthell uczuł, że dłoń jej, spoczywająca w jego dłoni zaciska się na chwilę mocno dokoła jego palców; serce zabiło mu, jak młotem.

— Będę zatem czekała na pana w środę? — powtórzyła.

Zmiażdżył jej dłoń uściskiem, poczem pochylił się i złożył na niej pocałunek.

— Dobranoc, — rzekła Laura półgłosem.

Odedrzwi dobiegł odgłos kroków Jadwina.

— Dobranoc, — szepnął Corthell i odszedł.

W następnych dniach Laura nie poznawała samej siebie. Co godzina była inna; jej nastroje zmieniały się z szybkością, która oszałamiała całą jej otoczenie. Niekiedy wspaniała dom rozbrzmiewał jej wesołością; niekiedy znów zamykała się w swoich apartamentach i, niedostępna dla nikogo, z głową opartą na złożonych rękach, płakała, bez żadnego bezpośredniego powodu.

Przez kilka dni opanował ją istny szal religijny. Mówiła, że pójdzie w zaułki miejskie szerzyć zasady wiary, że zbuduje kościół, ufunduje szpital. Ale zaledwie przyjaciele jej dostroili się do tych zapatrywań, ona już czem innem była zajęta i pewnego popołudnia ukazała się na wyścigach z panią Gretry w swojej najwspanialszej wiktoryi, strojna w wielki słomiany kapeusz, z pękiem ponsowych kwiatów w dłoni.

A następnego dnia Laurą już nowy owładnął kapryś. Zaczęła się uczyć na pamięć roli lady Macbeth, kazała zbu-

dować scenę w sali balowej, zamykała się tam, powtarzała rolę przez trzy dni bez przerwy, ubrana w bogaty kostjum, i głębokim piersiowym głosem deklamowała w pustym pokoju:

„Ochrypl kruk nawet, który fatalne przybycie Dunkana
Do mych bram, kracząc, obwieszcza!“

Poczem, znudzwszy się rolą lady Macbeth, odtwarzała kolejno Julję; Porcję i Ofelję, w odpowiednich kostjumach, studjowała każdą z tych ról z niezmordowaną gorliwością i przerażała ciotkę Wess' oświadczeniem, że „jednak, mimo wszystko, wstąpi do teatru“. Mówiła nawet, że Sheldon Corthell będzie malował jej portret w roli lady Macbeth.

Ilekróć nasunęła jej się myśl o artyście, usiłowała ją odepchnąć. Tak, tak; przychodzi często, bardzo często. Może kocha ją nawet jeszcze. A, gdyby nawet, to i cóż? Od tak dawna jest w niej zakochany. Nic zdrożnego w tem, że ją kocha, że z nią przebywa. Bez jego towarzystwa, wielkie nieba, życie jej byłoby niewypowiedzianie samotne i zupełnie niemożliwe. Zresztą przecież to nie do pomyslenia nawet, żeby ona, ona Laura Jadwin, z całą swoją wygórowaną dumą, tą swoją wielką urodą i bystrą inteligencją miała się smucić, tęsknić, więdnąć w zapomnieniu i zaniedbaniu! Czy zasługuje na potępienie? Niechaj troszczyć się o to ci, którzy ją zaniedbują. Jest jeszcze przecież w pełni młodości, nie utraciła jeszcze nic z pociągającej siły swoich wdzięków, budzi jeszcze dokoła podziw i uwielbienie.

Gdy Corthell przybył owego wieczora w środę, Laura po kilkuminutowej rozmowie w bawialni, rzekła:

— Pamięta pan ten obrazek, który nauczył mnie pan cenić... to jeziorko, które pan nazwał: „Rozpacz?“ Zawiesiłam go u siebie na górze... w swoim gabinecie... tak, że zawsze mogę go widzieć. Lubię bardzo ten obrazek teraz. Ale — dodała, — nie jestem pewna, czy wisi w dobrem świetle. Wydaje mi się, że możnaby go umieścić korzystniej.

Zawahała się przez chwilę, a potem nagłym ruchem zwróciła się ku artyście.

— Może pan pójdzie ze mną na górę i poradzi, gdzie by obrazek zawiesić?

Weszli do małego dźwigu, pojechali na górne piętro i Laura zaprowadziła artystę do „swego gabinetu“. Był to obszerny, wysoki pokój, gdzie posadzkę zakrywały puszyste skóry zwierzęce, a na ścianach, do połowy wysokości, ciągnęły się lamperje z ciemnego drzewa. Wszędzie stały półki z książkami, roślinami w doniczkach i wysokimi lampami z brązu. Wydłużone krzesło „Madera“ stało w oknie, które wychodziło na park i jezioro, a obok — duży okrągły stół z mahoni z San Domingo, zastawiony przyborami do herbaty i przezroczystą niemal porcelaną.

— Jakież przedziwny piękny pokój! — szepnął Corthell, gdy Laura nacisnęła w ścianie guzik, który otworzył prąd elektryczny, — i jakie silne indywidualne piętno nadała mu pani! Poznałbym odrazu, że pani tu mieszka. Gdyby pani była o tysiące mil stąd oddalona, a ja wszedłbym tutaj, odczułbym, że to pani siedziba i pokochałbym ją za to.

— Oto nasz obraz, — rzekła Laura, wskazując miejsce, gdzie wisiał — Czy nie wydaje się panu, że światło tutaj niedobre?

Corthell wyjaśnił wszakże, iż tak nie jest, radził tylko, by odchyliła nieco obraz od ściany, a wtedy wyda się lepiej.

— Naturalnie, naturalnie, — przyznała, gdy przytrzymał obraz w miejscu. — Naturalnie. Każę go przewieźć jutro.

Przez kilka chwil stali na środku pokoju, patrząc na obraz i mówiąc o nim. Poczem stało się, że Laura, zupełnie bezwiednie, znalazła się rozparta wygodnie na maderze, a Corthell siedział tuż obok, przy okrągłym stole.

— Rada jestem, że mój pokój podoba się panu, — rzekła. — Tutaj spędzam przeważnie dzień. Często, w ostatnim czasie, jadłam nawet tutaj obiad. Page bywa teraz bardzo dużo, więc jestem najczęściej sama. Wczoraj wieczór siedziałam tu długo w ciemności. W domu panowała

taka cisza, wszyscy wyszli... nawet część służby. Na dworzu było tak ciepło... otworzyłam okno i siedziałam wpatrzona w jezioro. Słyszałam plusk i szum fali, objajającej się o brzeg... niemal jak w morzu. A tak było cicho, tak cicho; odbiegłam myślą w te czasy, kiedy byłam małą dziewczynką w Barringtonie, przed wielu, wielu laty, kiedy zrywałam borówki nad wodą,, a raz zabłądziłam w zbożu, kłosa były o wiele wyższe odemnie... a co to była za uciecha, gdy ojciec zabierał mnie na wóz z sianem... Ach, byłam wtedy szczęśliwą... piegowatą, czarnowłosa, spódnicek miałam przeważnie podartą i ręce całe podrapane o krzaki borówek...

Laura zaczęła mówić z prawdziwym smutkiem, teraz zaś już grała—grała z całym napięciem wrodzonej siły aktorskiej; grała, jak histrjonka, rolę kobiety nieszczęśliwej wśród bogactwa i zbytku, która z żalem i tęsknotą wraca myślą do radosnego, w skromnych warunkach bytu spędzonego, dzieciństwa. Była szczerą i nieszczerą.

Jedna Laura Jadwin — jedna z tych dwóch, które w niej istniały i które równocześnie ale z równym prawem, nazywały siebie „Ja“ — wiedziała dobrze, jakie wrażenie wywierają jej słowa, jej poza na mężczyznę, który ją kocha i ma dla niej współczucie. Druga Laura Jadwin wszakże posądzenie o brak szczerości, i to szczerości bezwzględnej, uważałaby wprost za obelgę. Wszystko co mówi, jest prawdą. Nikt, w jej mniemaniu nie był nigdy w takim położeniu, jak ona teraz. Nikt nie mówił nigdy tak, jak ona teraz.

Oparła podbródek na smukłym palcu i mówiła dalej, patrząc przed siebie rozszerzonymi źrenicami:

— Gdybym ja była wtedy wiedziała, że owe dni mają być najszczęśliwsze w moim życiu... Ten wielki dom, całe jego piękno i całe to bogactwo... co to warte?

Głos jej był głosem Fedry a ruch znużenia, jakim opuściła ręce na kolana był zupełnie taki sam, jaki dnia poprzedniego towarzyszył skardze Porcji:

„Moje wątłe ciało znużone jest tym wielkim światem“, gdy powtarzała jej rolę.

A jednak jednocześnie Laura miała świadomość, że

szczerzy smutek ściska jej serce i, że nigdy nie wylewała łez szerszych, niż te, które teraz napłynęły do jej oczu.

— Całe to bogactwo, — ciągnęła dalej, opierając głowę o poduszkę krzesła — co znaczy? co wynagradza? Och, oddałabym z radością wszystko, wszystko, byleby stać się napowrót ową czarnowłosą dziewczynką w młynie wodnym Squire'a Deaborn'a, która miała ręce poplamione borówkami, poparzone pokrzywą i ukochanego chłopczyka, co ją nazywał swoim najpiękniejszym serduszkim i kupował jej niebieskie wstążeczki do włosów i całował ją pod studnią.

— O, w tem tajemnica, — wtrącił Corthell szybko i poważnie. — To miłość... nawet niedorzeczna miłość dziecinna... miłość osładzała pani życie wówczas.

Opuściła ponownie ręce na kolana, i, pogrążona w zadumie, przesuwiała pierścionki na palcach.

— Czy pani nie jest tego zdania? — spytał półgłosem.

Nie odpowiedziała i opuściła głowę w milczeniu. Przez długą chwilę nie odzywali się. Laura bawiła się pierścionkami. Artysta pochyłony naprzód w krzesło, wodził zamysłonym wzrokiem po pokoju. I ani razu od czasu powrotu Corthell'a, żadne słowa, które kiedykolwiek padły między nimi, nie były takie brzemienne znaczeniem, nie przyciągały ich z taką potęgą wzajemnie ku sobie, jak ta krótka chwila bez słów.

Wreszcie Corthell zwrócił się do Laury.

— Nie powinna pani mniemać — szepnął — że życie pani jest teraz pozbawione miłości. Ja nie chcę, żeby pani tak sądziła.

Ale ona nie odpowiedziała.

— Gdyby pani tylko chciała widzieć — ciągnął dalej — gdyby pani tylko raczyła spojrzeć, wiedziałaby pani, że istnieje miłość, która od lat osnuwa twoje życie, pani Lauro. Odpychałaś ją zawsze. Ale ona mimo to pozostała ci wierną; czuwała u twoich drzwi i spoglądała... och, Bóg jeden tylko wie z jaką tęsknotą!... do twoich okien. Nie wyruszyłaś się krokiem, żeby nie podążyła za tobą. Niema jednego śladu twoich stóp, którego by nie знаła i nie miło-

wała. Sądziś, pani Lauro, że życie twoje ogołocone jest z miłości? Ależ ona cię otacza, snuje się dokoła ciebie, lecz cicha jest i milcząca. Nie ma prawa mówić, ma tylko prawo cierpieć.

Laura w dalszym ciągu siedziała bez słowa. Odwróciła głowę od Corthell'a, wyglądała przez okno i znów minęły sekundy w milczeniu. Wahadło zegara na stole odzywało się wytrwale. Z oddali dobiegał przez otwarte okno nieprzerwany, posępny szum jeziora. W całym domu zaległa cisza. W końcu Laura wyprostowała się na krześle.

— Sądzę, że trzeba będzie odnowić i zmienić trochę ten pokój podczas naszego pobytu na wsi — rzekła. — Czy nie myśli pan, że byłoby ładniej, gdyby lamperje szły prawie do sufitu?

Corthell powiódł po pokoju krytycznym wzrokiem.

— I owszem, — odparł żywo. — Niema tła ładniejszego niż drzewo.

— A w górze kazałabym zakończyć wąską półką.

— Doskonale! Byleby pani przyrzekła, że nie ustawi na niej miedzianych naczyń kuchennych!

— Niech pan zapali papierosa, — nalegała. — Wiem, że pan ma ochotę. Zapałki są na stole.

Ale Corthell wyjął z kieszeni własne pudełko zapałek. Był to oryginalny drobiazg ze starego srebra, w kształcie serca, zakończony maleńką złotą koroną książęcą. Corthell kupił go u antykwarjusza w Wiedniu i kazał na jednej stronie wyryć swoje imię drobnymi literami.

Laura oglądała drobiazg z podziwem.

— Zdaje mi się, że to stara piaseczniczka, albo też pudełko na masę do paznokci. — Wysypał zapałki na dłoń. — Widzi pani, jest jeszcze wewnątrz czerwona plama, a... proszę powąchać — dodał, podając Laurze pudełeczko. — Nawet zapach siarki nie zdołał stłumić wytwornej woni perfum, zrobionych przed trzema może wiekami.

W godzinę później Corthell opuścił Laurę, a ona towarzyszyła mu nie dalej, niż do progu pokoju.

Gdy odszedł, powróciła na swoje zwykłe miejsce i przez chwilę siedziała w oknie, patrząc na park i na jezioro. Niebawem usłyszała, że wchodzi: Page, Landry Court

i ciotka Wessels; poczem nareszcie, otrząsnawszy się z zadumy, zaczęła się sposobić do spoczynku. Ale, idąc mimo stołu mahoniowego do sypialni, spostrzegła drobny przedmiot, leżący na nim tuż przed miejscem, gdzie siedziała.

— O... zapomniał! — szepnęła, biorąc do ręki pudełeczko w kształcie serca.

Popatrzyła na drobiazg przez chwilę, ale myśli jej zajęte były czem innym. Położyła pudełeczko na stole i weszła do sypialni.

Jadwin nie wrócił do domu tej nocy i nazajutrz rano Laura jadła śniadanie w towarzystwie Court'a, Page i ciotki Wess', zdarzało się bowiem obecnie, że gdy we troje wracali z koncertu lub odczytu, który trwał zazwyczaj do nieskończoności, Landry nocował u Jadwinów.

— Czy ma pani jakie polecenie dla męża? — spytał Landry, zabierając się do odejścia po śniadaniu. — Widuję się zawsze najpierw z nim w biurze pana Gretry'ego. Czy mam mu co powiedzieć?

— Nie, — odparła Laura krótko.

— Ale, ale, — odezwała się ciotka Wess', — spotkaliśmy wczoraj na rogu tego pana Corthell'a, gdy stąd wychodził. Bardzo mi było przykro, że nie zdążyłam wrócić przed jego odejściem. Nie słyszałam go nigdy grającego na tych wielkich orgagnach, a już oddawna tak tego pragnęłam... Spieszyłam się wczoraj, w nadziei, że go jeszcze zastanę. Naprawdę zmartwiłam się.

— Rzeczywiście, źle się stało, — szepnęła Laura, poczem dla tajemniczych przyczyn, dodała niedorzecznie: — Siedzieliśmy cały wieczór w galerji. Grał cudownie!

Około godziny jedenastej Laura udała się na zwykłą konną przejażdżkę, ale w niespełna godzinę wracała już do domu.

Nagle bowiem przypomniała sobie coś i pośpieszyła z powrotem, raz przynaglając Krzyżaka do pełnego galopu, to znów ściągając cugle i zniewalając go do najpowolniejszego stępu. A przypomniała sobie, że pudełeczko Corthell'a, — z jego imieniem wyrytem na wierzchu — leżało dotąd na stole w jej gabinecie, w tem jej własnym, poufnym zaciszu.

Było ono tak dalece jej własne, że służba otrzymała rozkaz wyłączenia tego pokoju z codziennych porządków — Laura sprzątała go sama. Niemniej jednak pokojówki lub gospodynie często chodziły przez gabinet, w drodze do dalszych pokoi, niekiedy zaś, podczas jej nieobecności, ciotka Wess' lub Page przesiadywały tam z książką. Rodzina mówiła zwykle o gabinecie poprostu „pokój Laury“, rzadziej „bawialnia na górze“.

Kłusując do domu Laura uprzytomniła sobie wyraźnie, że, przed wyjściem, nie zajrzała nawet do gabinetu. Służba tam nie wejdzie. Ale bardzo być może, że ciotka Wess' lub Page...

Laura oblała się rumieńcem i zacięła konia szpicrutą. Marna banalność, niska pospolitość jej położenia wobec tego drobnego faktu, smagała twarz młodej kobiety jakby drobnymi różgami. Że też ona spadła tak nisko — ona, która nosiła głowę tak wysoko.

Szarpnęła nagle cugle, powstrzymując znów konia w biegu. Nie, nie będzie się śpieszyła. Wytężywszy całą siłę panowania nad sobą, jechała dalej umyślnie bardzo powoli, tak, że było już po dwunastej, gdy zsiadła z konia w bramie wjazdowej.

Trzymając szpicrutę w mocno zaciśniętych palcach, udała się do swego gabinetu, a wszedłszy zamknęła drzwi za sobą.

Podeszła śpiesznie do stołu i, z zapartym oddechem i ściśniętą obawą sercem, zatrzymała się. Pudełeczka nie było, a na szezlongu w rogu pokoju leżała skulona Page i spała — książka wypadła jej z ręki na ziemię.

Z pętlicą amazonki na rękę, tupiąc nerwowo końcem bucika w posadzkę, z zaciśniętymi mocno ustami, przebieirając szybko palcami prawej dłoni po rękojeści szpicruty, stanęła bez ruchu na środku pokoju. Była zupełnie oszołomiona i chwycił ją nagle za gardło przejmujący lęk, obawa czegoś nieokreślonego.

Czyżby mogła się omylić? Czy istotnie na stole widziała pudełeczko? Jeżeli leży gdzieindziej w pokoju, musi je znaleźć niezwłocznie.

Nigdy Laura nie czuła się taka poniżona, jak teraz,

kiedy, poruszając się, z najcichszą szybkością, na jaką się mogła zdobyć w ogarniającem ją coraz silniej zdenerwowaniu, chodziła to tu, to tam, po pokoju, zaglądała do zakątków biurka, szukała na posadzce, na krzesłach, wszędzie. Twarz młodej kobiety oblała się purpurą, oddech zamierał w jej piersi, dłonie otwierały się i zamykały kurczowo.

Ale srebrnego serca ze złotą koroną nie było nigdzie. W końcu, po upływie pół godziny, Laura musiała zaprzestać daremnego szukania. Była pewna, że, gdy wychodziła z pokoju, pudełeczko leżało na stole mahoniowym; nie zostało nigdzie zarzucone; o tem przekonała się teraz.

Usiadła przy biurku, ciągle jeszcze w amazonce i w kapeluszu, i przeszukiwała po raz czwarty szuflady i półki; naraz, nie odwracając się nawet, odczuła, że Page nie śpi i śledzi ją bacznie wzrokiem. Laura odchrząknęła.

— Nie widziałaś moich niebieskich sekretników, Page? — zapytała. — Chcę napisać pilny bilecik do pani Cressler.

— Nie, — odparła Page, wstając, — nie widziałam. — Podeszła do siostry. — Myślałam, — dodała poważnie, wyjmując z kieszeni pudełeczko w kształcie serca, — że może szukasz tego. Ja to zabrałam. Wiedziałam, że nie byłabyś zadowolona, gdyby pan Jadwin to tu znalazł.

Laura z taką wygwałtownością wytrąciła z dłoni Page srebrne serduszko, że poleciało w drugi róg pokoju.

— Tyś to zabrała! — krzyknęła, zrywając się na równe nogi. — Tyś to zabrała! Jak śmiałaś Co mnie obchodzi, czy Curtis znajdzie to tutaj? Co mi zależy na tem, że by on nie wiedział, że pan Corthell był tutaj? Naturalnie, że był!

Ale Page, jakkolwiek bardzo blada, zachowała cały spokój, wobec wybuchu siostry.

— Jeżeli ci nic nie zależy na tem, żeby kto wiedział, że pan Corthell był tutaj, — rzekła, — dlaczego więc powiedziałaś nam dzisiaj rano, przy śniadaniu, że spędziście cały wieczór w galerji? Zdawało mi się, — dodała, — że wyświadczę ci przysługę, ukrywając pudełeczko.

— Przysługę... ty! A cóż ja mam ukrywać? — krzyknęła Laura w niepomówanym gniewie. — Tak jest, po-

wiedziałam, że siedzieliśmy cały wieczór w galerji, bo tak też było... Przyszliśmy... teraz przypominam sobie... tutaj na chwilę, żeby zobaczyć jak jest zawieszony mój obrazek... i odrazu wróciliśmy na dół. Nawet nie zdążyliśmy usiąść. Pan Corthell nie był nawet dwóch minut w tym pokoju.

— Był tutaj, — odparła Page, — dosyć długo, żeby wypalić pół tuzina papierosów. — Wskazała srebrną tackę do piór, na stole mahoniowym, ukrytą za książkami a pełną popiołu i niedopałków pięciu, czy sześciu papierosów. — Doprawdy, Lauro, wydaje mi się, że postępujesz bardzo niezręcznie.

Laura chwyciła prawą dłonią szpicrutę.

— Nie doprowadzaj mnie... nie doprowadzaj mnie do tego, żebym się zapomniała! — krzyknęła zdławionym głosem.

— Wydaje mi się, — zauważyła Page spokojnie, — że uczyniłaś to już dawno bezemnie.

Laura cisnęła szpicrutę i założyła ręce.

— Słuchaj! — zawołała, wpijając roziskrzone oczy w twarz siostry, — co to ma znaczyć? Siadaj, — rozkazała, wskazując dłonią krzesło, — siadaj i mów, co to wszystko ma znaczyć.

Ale Page stała w dalszym ciągu, wytrzymując śmiało wzrok siostry i odparła:

— Czy chcesz wmówić we mnie, że było ci zupełnie obojętne, że pudełko pana Corthell'a pozostało tutaj?

— Najzupełniej! — odrzekła Laura — najzupełniej.

— A więc dlaczego szukałaś go tak pilnie, wszedłszy tutaj? Nie spałam przez cały czas i widziałam cię.

— Dlatego, — odpowiedziała Laura, — dlatego... że ja... dlatego... — Poczem wybuchnęła ponownie: — Czy mam tłumaczyć się przed tobą ze swoich czynów? Mam się usprawiedliwiać? Przez całe życie przywłaszczałaś sobie prawo sądenia starszej siostry. Teraz posunęłaś się zadaleko. I teraz zabraniam ci... od dnia dzisiejszego. Moje postępowanie, to moja rzecz. Nie będę nikogo pytała o radę. Będę robiła, co mi się spodoba, rozumiesz? — Łzy napłynęły do jej oczu, łkania ścisnęły gardło. — Będę robiła co mi się spodoba, co mi się spodoba! — Z temi słowy padła na

krzesło przed biurkiem i, uderzając pięścią w otwarte wieko, wołała śród łez i łkań przez zaciśnięte zęby: — Będę robiła co mi się spodoba, co mi się spodoba. I będę szczęśliwa. Będę, będę, będę!

— Moja najdroższa!... ależ moje kochanie... — zawołała Page, rzucając się ku siostrze.

Ale Laura zerwała się i odtrąciła ją.

— Nie dotykaj mnie! — krzyknęła; — nienawidzę cię! — Przycisnęła pięści do skroni, zamknęła oczy, chwiała się na nogach. — Nie dotykaj mnie. Idź sobie; precz ode mnie... Nienawidzę cię; nienawidzę was wszystkich. Nienawidzę tego domu; nienawidzę tego życia. Zabijacie mnie. Och! Boże, Boże, gdybym mogła umrzeć!

Rzuciła się twarzą na szezlong; łkania wstrząsały całą jej postacią.

Page uklękła przy niej, objąwszy jej kibić ramieniem; ale na wszelkie słowa pociechy siostry, Laura, głosem stłumionym, odpowiadała tylko:

— Zostaw mnie samą, zostaw mnie samą; nie dotykaj mnie!

Przez pewien czas Page usiłowała przemawiać do siostry, lecz daremnie, Laura nie chciała jej słuchać; poczem, po chwili zastanowienia, Page wstała, wyciągnęła szpilkę z kapelusza siostry, zdjęła kapelusz, rozwiązała krawat i zwinnie w milczeniu, rozpięła obcisłą, sztywną amazonkę. Wreszcie przyniosła z przyległego pokoju ręcznik, w zimnej wodzie umoczony, i zwilżyła oczy i ręce Laury, która leżała nieruchoma, łkając.

Minęła blisko godzina — Page, znając naturę siostry, zaprzestała perswazji i pieszczot i czekała w spokoju końca paroksyzmu.

Stopniowo płacz Laury zamienił się na długie, drżące westchnienia i nareszcie odezwała się słabym, zdławionym głosem:

— Czy zechesz przynieść mi wodę kolońską z toalety, maleńka? Tak mnie głowa boli...

Page pobiegła ku drzwiom, a Laura dodała:

— I ręczne lusterko... Czy mam oczy spuchnięte?

I to były ostatnie słowa, jakie w tej kwestji padły między siostrami.

Wieczorem tegoż dnia, między ósmą a dziewiątą, gdy Laura szukała na półkach w bibliotece książki, nad którą mogłaby spędzić długi, samotny wieczór, lokaj przyniósł kartę Corthell'a.

— Niema mnie w domu, — rzekła do służącego. — Albo... poczekaj — dodała i po chwili namysłu rozkazała: — Dobrze. Proś tutaj.

Laura przyjęła artystę, stojąc na wielkim białym kobiercu przed pustym kominkiem. Błada była i wyniośle wyprostowana; ręce miała założone z tyłu, a gdy Corthell szedł przez pokój ku niej, nie poruszyła się.

— Zrazu nie chciałam pana widzieć, — odezwała się. — Kazałam służącemu, żeby panu powiedział, że mnie niema w domu. Ale namyśliłam się; chcę panu coś powiedzieć.

Artysta stanął na przeciwnym końcu kominka, oparł łokieć o marmurowe obramienie i przy ostatnich słowach Laury rzucił na nią szybkie spojrzenie. Jak zwykle, byli zupełnie sami. Ciężka, puszysta kotara na drzwiach, jakby odgradzała ich od świata.

— Mam panu coś powiedzieć, — ciągnęła Laura. Poczem, dosyć spokojnie dodała:

— Nie będzie pan mnie już odwiedzał.

Odwrócił się od niej szybkim ruchem i przez chwilę nie nie mówił. Wreszcie, zwrócił się znów ku niej i zdławiony głosem, zapytał:

— Czy obraziłem czemkolwiek?...

Potrząsnęła głową przecząco.

— Nie, — rzekł spokojnie, — nie, wiedziałem, że nie, dlatego...

I nastąpiło długie milczenie. Artysta wbił wzrok w posadzkę, dłoń jego przesuwająca się zwolna po oparciu wysokiego krzesła skórzanego.

— Wiedziałem, że to przyjść musi... — rzekł w końcu, — prędzej czy później. Ma pani słuszość... oczywiście. Nie powinienem był powracać do Ameryki. Nie powinienem był ufać w swoje siły. A więc... — wpatrzył się w nią upar-

cie; słowa padały z ust jego bardzo wolno; głos był już tylko zaledwie szeptem a więc... mam przestać panią widywać... już wcale nie przychodzić... nigdy... czy tak?

— Tak.

— Czy pani wie, co to dla mnie znaczy? — zawołał. — Czy pani ma świadomość... — odetchnął głęboko. — Nigdy już nie widzieć pani... Stracić nawet ten okruch, który mi teraz pozostał!... Ja... ja... — odwrócił się gwałtownie, podszedł do okna i stał odwrócony plecami. Po długiej chwili zwrócił się znów twarzą ku Laurze. Odzyskał pozornie spokój. Mówił bardzo cichym głosem.

— Ale, zanim odejdę, — rzekł, — czy zechce pani odpowiedzieć mi przynajmniej... przecież teraz to już nie może sprowadzić nic złego, skoro mam panią opuścić... proszę mi więc odpowiedzieć, a wiem, że pani powie prawdę. Laurco, czy jesteś szczęśliwa?

Zamknęła oczy.

— Pan nie ma prawa do takiego pytania ani do odpowiedzi.

— Nie jesteś szczęśliwa, — odparł. — Ja to widzę, wiem o tem. Gdybyś była szczęśliwa, powiedziałaabyś mi... Jeżeli przyrzeknę... jeżeli przyrzeknę, że oddalę się teraz i nigdy już nie będę usiłował zobaczyć się z tobą, czy pozwolił mi powrócić raz jeszcze... żeby się pożegnać?

Potrząsnęła głową.

— To dla pani taka drobnostka, — prosił — a tak wiele, tak bezgranicznie wiele dla mnie, że przez ten krótki czas, jaki jeszcze pozostaje, będę mógł na coś czekać... Nie żądam już nawet widzenia sam na sam... Nie będę pani nudził lamentami.

— Och, cóż mi z tego przyjdzie, że pana jeszcze raz zobaczę? — zawołała znużonym głosem. — Dlaczego pan chce unieszczęśliwić mnie bardziej jeszcze? Dlaczego pan powrócił?

— Dlatego, — odparł tonem stanowczym, — dlatego... że kocham panią więcej, niż... — podniósł pięść zaciśniętą, która wnet opadła na poręcz krzesła — więcej, niż wszystko na świecie!

— Cicho! — krzyknęła. — Nie trzeba!... Nigdy, nigdy już tak do mnie nie mówić!... Czy pan zechce... odejść?

— Och, gdybym nie był odszedł od pani przed czterema laty! — zawołał; — gdybym był wtedy pozostał! Nie minął od tej chwili dzień jeden, żebym tego nie żałował. Wówczas mogła pani być mnie pokochać. Wiem o tem, wiem o tem i... niechaj mi Bóg przebaczy, ale wiem, że mogłaby pani pokochać mnie i teraz...

— Czy pan odejdzie? — krzyknęła.

— Niech się pani ośmieli powiedzieć, że nie! — wybuchnął.

Laura przymknęła oczy i zakryła oczy dłońmi.

— Nie mogłabym, nie mogłabym, — powtarzała monotonnym szeptem; — nie mogłabym, nie mogłabym.

Usłyszała szybkie kroki i otworzyła oczy w porę, by dostrzec, że Corthell dąży śpiesznie ku niej. Podniosła obronną rękę, ale on pochwycił ją, i zanim Laura zdążyła się oprzeć, okrył pocałunkami obnażone między zwojami koronek ramię, paląc je żarem swych ust.

Dech zamarł w jej piersi, dreszcz przebiegł jej postać, krew nabiegła do skroni, serce załomotało, jak szalone.

Wyrwała rękę tak gwałtownie, że rozdarła koronkę i cofnęła się wyprostowana, sztywna, ale cała rozedrgana. Błede jej lica zabarwiły się nagle szkarłatem.

— Odejdź... idź... — nic więcej powiedzieć nie mogła.

— A czy będę mógł widzieć panią raz jeszcze... tylko raz jeden?

— Tak, tak... wszystko co pan chce; tylko idź, idź... jeśli mnie kochasz!

Opuścił pokój — w następnej chwili usłyszała zamykające się za nim drzwi frontowe.

— Curtis, — rzekła Laura, gdy nazajutrz widziała się z mężem, — nie mogłeś ostatnim razem... Pamiętasz? wtedy, gdy mieliśmy wyjechać na spacer... zostać ze mną... może mógłbyś poświęcić mi wieczór dzisiejszy? Będziemy sami we dwoje, w domu. Albo wyjdę z tobą. Zrobię, jak zechcesz. — Patrzyła na męża przez chwilę przenikliwym wzrokiem. — Niełatwo jest... niełatwo kobiecie prosić... mnie prosić o podobną... łaskę. Za każdym razem mówię

sobie, że to będzie raz ostatni. Jestem... musisz o tem pamiętać, Curtis... jestem... może trochę dumna. Czy tego nie rozumiesz?

Siedzieli przy śniadaniu. Jadwin uderzył dłonią w stół i zawołał:

— Niech djabli porwą wszystkie interesy! spędzę dziś wieczór z tobą... i nie wyjdziemy nigdzie. Przeczytasz mi cokolwiek, jak za dawnych czasów. Będziemy...

Urwał nagle, odłożył nóż i widelec i wodził dokoła dziwnym wzrokiem.

— Jak za dawnych czasów, — powtórzył z wolna.

— Co ci jest, Curtis? — spytała żona. — Co się stało?

— O.. nic — odparł.

— Ale owszem... tobie coś było. Powiedz mi.

— Nie, nie; nic mi nie jest, — odparł nieco szorstko.

— Nie wierzę, musisz mi powiedzieć, — nalegała. —

Czy jesteś chory?

Wahał się przez chwilę. Poczem:

— Chory? — powtórzył. — Nie, bynajmniej. Ale... a więc ci powiem. Od kilku dni miewam — przytknął palec do czoła między oczami — miewam tutaj dziwne uczucie. Przychodzi i znika.

— Ból głowy?

— N...nie. Trudno to opisać. Rodzaj martwoty, odrętwiałości. Niekiedy wydaje mi się, że mam na głowie ciężką, żelazną czapkę... jakiś hełm, a niekiedy mam wrażenie... nie wiem dobrze... że mózg mój przesłania jakaś gęsta mgła... Zrobię sobie długie wakacje tego lata... Miesiąc albo nawet sześć tygodni... Załatwię najpilniejsze interesy i pojedziemy do Geneva Lake, jak można najwcześniej.

Umilkł na chwilę — zmarszczył brwi, przesunął dłoń po czole, mrugnął powiekami, poczem już ze zwykłą żywością spojrzął na zegarek i zawołał:

— Ho, ho! czas w drogę. Nie wrócę do domu na obiad. Ale możesz mnie oczekiwać o ósmej napewno. Przyrzekam, że będę co do minuty.

Gdy całował żonę na pożegnanie, Laura zarzuciła mu ramiona na szyję.

— Chciałabym, żebyś mnie nigdy nie opuszczał, — mówiła, — żebyś był ze mną ciągle, ciągle! Curtis, kochaj mnie, kochaj, najdroższy. I bądź dla mnie dobry i troskliwy. I pamiętaj, że nie mam oprócz ciebie nikogo na świecie; jesteś mi ojcem i matką i mężem najukochańszym. Wiem, że mnie kochasz; ale chwilami... Och! gdybym przypuszczała, że mnie nie kochasz więcej, niż wszystko, wszystko... nie mogłabym kochać ciebie. Curtis... nie mogłabym, nie mogłabym. Nie, nie, — zawołała, — nie przerywaj; wysłuchaj mnie. Może to źle, że takie są moje uczucia, ale jestem tylko kobietą, najdroższy. Kocham ciebie, ale kocham także miłość. Takie już są kobiety; dobre czy złe, słabe czy silne... muszą być kochane nadewszystko na świecie... A teraz idź do biura, bo się spóźnisz. Słyszysz? Jarvis już zajechał. Idź... Do widzenia, do widzenia, oczekuję cię o ósmej.

Wierny danemu słowu Jadwin wrócił tego dnia do domu o przyrzeczonej godzinie. Lokaj, odbierając panu kapelusz i laszkę, oznajmił, że pani jest w galerji obrazów i prosi, żeby pan tam natychmiast przyszedł.

Laura zgotowała małą niespodziankę. Galerja była przyćmiona. Tu i owdzie pod szafirowemi ciemnikami płonęło niewielkie światełko. Tylko jeden z ruchomych reflektorów, używanych do rzucania światła na obrazy, zawieszony u samej góry, płonął jasnym blaskiem. Reflektor odwrócony był od wchodzącego Jadwina, a szeroki, jaskrawy snop białawego światła padał całą pełnią na Laure, która w kostjumie „Teodory“ stała obok organów.

Jadwin przez chwilę był oszołomiony.

— A to co, u licha! — krzyknął, zatrzymując się w drzwiach.

Laura podbiegła ku niemu, dzwoniąc wszystkimi łańcuchami, ozdobami, świecidłami, w jakie była strojna.

— Zaskoczyłam cię tą niespodzianką, co? — zaśmiała się. — Wspaniały strój, prawda? — Z podniesionemi rękami obróciła się dokoła przed nim. — Przepyszny kostjum!... Pamiętasz Sarę Bernhardt... i tę scenę w łoży cesarza Justynjana w amfiteatrze. Powiedz teraz, że twoja

żona nie jest piękna. Jestem piękna, czy nie?—wołała wyzywająco z podniesioną głową. — Powiedz... no, powiedz!

Jadwin, ochłonawszy z pierwszego wrażenia, rzekł:

— Ale żeby też kobieta w taki sposób...

— Powiedz, że jestem piękna, — rozkazała Laura.

— Ja myślę! — zawołał.

— Najpiękniejsza ze wszystkich kobiet jakie znałeś? — nalegała; poczem dodała niezwłocznie: — Chociażbym była niepozorna, jak pomywaczka, ty musisz myśleć, że jestem inna. Wołałabym być brzydką, a przez ciebie uważaną za piękność, niż być najpiękniejszą na świecie, a w twoich oczach nieładną. Powiedz mi, czy nie jestem najpiękniejszą kobietą, jaką w życiu widziałeś?

— Jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką w życiu widziałem, — przywodził z zapalem. — Ale... na jaki pomysł teraz znów wpadniesz? Co ci przyszło do głowy? co to za maskarada?

— Nie wiem; pomyślałam, że widziałeś mnie już we wszystkich moich sukniach... więc chciałam, żebyś mnie zobaczył inną i posłałam po ten strój dziś rano, zaraz po twojem odejściu. Curtis, gdybyś nie wzbudził we mnie miłości tak silnej, że cię poślubiłam, Laura Dearborn byłaby została wielką aktorką. Czuję to w każdym nerwie. Ach! — zawołała podnosząc głowę takim gwałtownym ruchem, że zabrzęczały wszystkie wisiory korony, — mogłabym być wspaniała! Ty nie wierzysz. Posłuchaj zatem. Jestem Atalją, królową ze Starego Testamentu, pamiętasz?

— A ja myślałem, że jesteś Teodora.

— Tak. Ale, mniejsza o to; jestem, czem zechcę. Usiądź; posłuchaj. To z „Atalji“ Racine'a... okrutna królowa miała straszny sen o swojej matce, Jezabeli. Powiem ci to po francusku, ale odczujesz...

Przybierając odpowiednią pozę, Laura stanęła na środku pokoju i zaczęła:

„Jej cień ku memu łożu zaczął się kierować,
A ja dłonie uniosłam, chcąc go obejmować;
Lecz tylko już trafiłam na straszną, plugawą
Ciała i nagich kości mieszaninę krwawą,

Na strzępy poszarpane i członki rozdarte,
O które wiodły walkę głodne psy zażarte“.

— Wielki Boże! — zawołał Jadwin; nie rozumiał wprawdzie wyrazów ale, wbrew woli, porwał go namiętny zapal świętej deklamacji.

Laura klasnęła w dłonie.

— Tak samo odezwał się Abner, — zawołała, — temi samymi słowami.

— Abner?

— W sztuce. Wiedziałam, że odczujesz tę grozę... że cię do tego doprowadzę.

— No, no, — szepnął mąż, potrząsając głową, jeszcze nieco oszołomiony — osobiwa dostała mi się żona.

— Skoro uświadomiłeś to sobie, — odparła Laura — zaczynasz właśnie mnie rozumieć.

Nigdy nie widział jej weselszej. Ożywienie jej było wprost niepokojące.

— Żałuję, — zawołała znienacka, że nie przebrałam się za „Carmenę“, byłabym tańczyła dla ciebie. A ty mógłbyś mi przygrywać melodię na organach. Mam kostjum na górze... Poczekaj! Przebiorę się! Zostań gdzie siedzisz... Albo nie, nareguluj tymczasem organy... Och, bądź dzisiaj wesoły wraz ze mną! — mówiła, zarzucając mu ramiona na szyję. — Bo to mój wieczór dzisiaj, nieprawda? — Chcę się weselić i szaleć dowoli!

To rzekłszy, wybiegła z pokoju, lecz powróciła po nieprawdopodobnie krótkim czasie, przebrana za bohaterkę Bizetowską — we włosach miała ponsową różę, na palcach kastaniety.

Jadwin zaczął bolero.

— Czy możesz mnie widzieć tańczącą i grać jednocześnie?

— Mogę, mogę. Zaczynaj. Skąd ty umiesz taniec hiszpański?

— Nauczyłam się kiedyś... już bardzo dawno. Zresztą, umiem wszystko, co mi się spodoba dzisiaj wieczór. Graj, graj w szybkim tempie.

I Laura tańczyła, jakgdyby nigdy nie miała się zmę-

czyć, z tym samym namiętnym ogniem, jakim przepoiła urywek z „Atalji“. Żółta spódniczka wydawała się błyskiem płomienia, wybuchającego z posadzki, a cała postać młodej kobiety, rozedrgana była żywiołowym niepokojonym ruchem ognia. Kastaniety odzywały się, niby trzask rakiet, czarna mantilla unosila się, jak obłok dymu. Laura wydawała się wcieleniem płomienia, co, kapryśny i buntowniczy, wymyka się i olśniewa.

Wreszcie cisnęła kastaniety na ziemię i padła na szezlong zadyszana, roześmiana.

— No, teraz mi lepiej! — zawołała. — Musiałam się wyburzyć. Pójdź i usiądź przy mnie... Może przyznasz teraz, że umiem także tańczyć?

— Oczywiście umiesz, — odparł Jadwin, siadając obok żony. — Tańczyłaś cudownie... Niemniej jednak, najdroższa moja, nie chciałbym... nie chciałbym...

— Nie chciałbyś czego?

— Żebyś często tak tańczyła... bo jest w tem trochę... przesady... to nienaturalne. Lubię cię najlepiej, gdy jesteś sobą... spokojna, zrównowazona i pełna godności. Nie wiedziałem, że miewasz takie porywy. Jakaś ty dzisiaj drażniąca!...

— Niechaj więc już taka zostanę. Jestem sobą narazie, jakakolwiek jestem... Ale teraz już będę spokojna. Teraz porozmawiajmy. Czy miałeś dzisiaj ciężki dzień? A głowa nie dokuczala ci znów?

— Nie; interesy w mieście układały się dzisiaj jakoś lepiej. Ale to przykre uczucie w głowie powtórzyło się, gdy pówracałem do domu; prócz tego głowa boli mnie trochę dzisiaj.

— Głowa cię boli! — zawołała. — A ja powiększałam jeszcze ten ból swojemi szaleństwami.

— Nie, nie; bynajmniej, — zapewnił. — A teraz ja się tu położę, i ty mi coś zagrasz... coś uspokajającego. Męczę się tak strasznie tam, na ulicy La Salle, nie masz pojęcia, Lauro...

Wyciągnął się wygodnie na szezlongu, a żona zasiadła do organów i grała jego ulubione stare pieśni: „Daisy Dean“, „Lord Lovell“, „Gdy gwiazdy za-

błyszczą na spokojnym niebie“ i „Otwórz mi swoje okienko“.

Gdy Laura wreszcie przerwała granie, Curtis skinął głową z zadowoleniem.

— Jakie to śliczne... naprawdę, — rzekł. — Wiesz, kochanie, leżeć tak tutaj w ciszy i spokoju, przy łagodnym świetle i słuchać dawnych, starych melodyj, granych przez najukochańszą żonę, to najzbawienniejsze lekarstwo dla mnie. Mój stary grywał na skrzypcach tę piosenkę: „Otwórz mi swoje okienko“ i inną jeszcze: „Ojcze, ojcze pójdź teraz ze mną do domu“... — Podsunął ramię pod głowę i mówił dalej, zapatrzony rozmarzonym wzrokiem w przeciwną ścianę:—Widzę wyraźnie kuchnię w starym domku na folwarku! Ściany były z prostych pobielonych wapnem kłoców drzewa, podpartych w każdym rogu słupami, na których zaznaczaliśmy kreskami... my, dzieci... swój wzrost. A ognisko było tam — dodał, wskazując ręką — a tam skrzynia do drzewa, a tutaj jakiś staroświecki stół kuchenny z szufladami, pod którym kocica hodowała swoje kocięta. Najdroższa, wówczas byłem szczęśliwy. Oczywiście, teraz mam ciebie, a to wielka różnica... właściwie jedyna różnica, mająca znaczenie. Mamy wspaniały dom i huk pieniędzy, jestem z tego dumny. Ale nie wiem... gdyby nas tak, ciebie i mnie we dwoje, umieścili z powrotem w starym domu z gołymi podłogami, trzciniowymi krzesłami i łózkami z prostego drzewa, myślę, że nie byłoby nam źle. Kto jest szczęśliwy, ten będzie szczęśliwy w każdych warunkach. Niekiedy wydaje mi się, że bylibyśmy nawet szczęśliwsi... ty i ja... idąc ręką w rękę, popierając się wzajemnie, ubodzy i ciężko pracujący, niż gromadząc majątek i trwoniąc fortunę... ale nie wiem... jeżeli ty jesteś szczęśliwa... znaczenie ma tylko twoje szczęście, a gdyby te wszystkie bzdurstwa — wskazał nogą obrazy, bogate portjery, oszklone szafki z artystycznymi drobiazgami — gdyby te wszystkie bzdurstwa stanęły na drodze szczęścia twego... niechajby przepadły! To może nie jest poezja ale to prawda.

Laura zbliżyła się do męża, usiadła przy nim, złożyła

głowę jego na swoich kolanach i przesuwała długie białe dłonie po jego czole.

— Och, gdybym tylko mogła zatrzymać cię tak na zawsze przy sobie! — szeptała, — oderwać cię od wszelkich kłopotów, widzieć cię łagodnym, pogodnym, jak teraz... wydaje mi się, że odzyskałam swego męża... Curtis, tyś mężczyzna prawdziwy, dzielny, silny mężczyzna z sercem, bez zniewieściałego wdzięku, bez banalnej kultury i trywialnych, eleganckich frazesów, bez fałszywej, podrabianej ogłady. Kocham cię... ach, jak ja ciebie kocham, jak ja ciebie kocham, najdroższy.

— Moja ty jedyna! — rzekł Jadwin, pieszcząc jej dłoń.

— Może ci teraz co przeczytać? — spytała Laura.

— I owszem, z chęcią posłucham.

Gdy to mówił, odezwały się kroki i pukanie do drzwi. Laura wyprostowała się, nachmurzona.

— Powiedziała im przecież, żeby tu nikt nie wchodził, — wybuchnęła i, po chwili, dodała: — Proszę.

— To pan Gretry — oznajmił lokaj. — Mówi, że musi widzieć się z panem natychmiast.

— Każ mu powiedzieć, — zawołała Laura, zwracając się gorączkowo do męża, — każ mu powiedzieć, że cię nie ma w domu... że nie możesz się z nim widzieć.

— Kiedy muszę, — odparł Jadwin, siadając. — Nie przyszedłby sam, gdyby sprawa nie była ważna.

— Czy mogę wejść J.? — odezwał się głos maklera; pomimo ciężkich portjer mogli dosłyszeć, że głos jego drżał ze wzburzenia i niepokoju.

— Czy mogę wejść? Jak widzisz deptałem lokajowi po piętach. Wiem...

— Ależ naturalnie, wejdź, — odparł Jadwin.

Laura oblała się rumieńcem i okryła kostjum szalem, gdy Gretry, w kapeluszu na głowie, wszedł szybkim krokiem.

Jadwin podszedł doń w pół drogi, a Laura z miejsca swego na szezlongu słyszała gorączkowo zamieniane słowa między generałem a jego porucznikiem.

— Zaczyna się... będziemy mieli robotę! — zawołał Gretry.

— No, bo co? — Głos Jadwina dźwięczał ostro, wyrazy padały jak uderzenie.

— Dowiedziałem się właśnie,—mówił Gretry, — że Crookes wraz ze swoją zgrają zamierzają działać jutro. Postanowili przystąpić do ataku na nas z chwilą odezwania się gongu.

— Kto idzie z nimi?

— Nie wiem; nikt nie wie. Sweeny oczywiście. Ale ma po za sobą całą bandę; nadto ma dobrą opinię w bankach. Powiedziałem ci, że będziesz musiał, prędzej, czy później, stanąć z nim do walki.

— Doskonale! będziemy walczyli. Nie przerażaj się. Przecież Crookes to nie Wielki Moguł.

— Święty Mojżeszu, jeśli nie on, to chciałbym wiedzieć kto?

— Ja. I on się o tem dowie. W tej grze niema miejsca dla Crookes'a i dla mnie. Panować na tym rynku może jeden z nas dwóch. Jeżeli on stanie na mojej drodze, zmiażdżę go, jak Bóg w niebie!

—W takim razie J., musimy długo pogadać dzisiaj. Pójdź ze mną do hotelu „Grand Pacific“. Court już tam jest; to on, ten mały spryciarz, wyszperał zamiary Crookes'a. Czy możesz iść już teraz... zaraz?... Dobry wieczór pani. Bardzo mi przykro, że go pani zabieram, ale jak interes, to interes.

Nie, to nie był interes. Dla żony wielkiego wodza, słuchającej z trwogą w sercu słów tego gońca z frontu, była to bitwa. Bitwa Ulicy zaczynała się znów w szyku bojowym. Zagrzmiał znów dźwięk trąby; odgłos tupotu tysięcy nóg przepełnił znów powietrze. Nawet tutaj, tutaj do ogniska domowego, gdzie siedziała z mężem, który złożył znużoną głowę na jej kolanach, wśród ciszy i spokoju wieczornej godziny, dobiegł do jej uszu złowrogi szum. Gdzieś, w odległej dali, wśród mroków nocy, potężne siły sposobiły się ponownie, przegrupowywały się na stanowiskach.

Jutro chwycą się za bary; jeden paść musi — jeden, mąż albo wróg. W jaki sposób utrzymać go przy sobie,

uchronić, gdy rozpocznie się groźny bój? Wie dobrze, jak silnie przemawiają do niego wezwania i okrzyki kapitanów. Przecież prosto z jej objęć skoczył niemal po broń... Jest prawdziwym mężczyzną, jak go nazwała, a gdyby nie był taki mocny, taki odważny, taki pełen energii, nie kochałaby go tak silnie.

A teraz utraciła go ponownie — utraciła w chwili, kiedy mniemała, że już do niej powrócił, że go odzyskała.

— Nie odchodź, nie odchodź, — szepnęła, gdy ją całował na pożegnanie. — O, najdroższy, nie odchodź! Przecież to miał być mój wieczór!

— Muszę, muszę, Lauro. Do widzenia, kochanie. Nie zatrzymuj mnie; patrz, Sam czeka.

Ucałował ją dwukrotnie z pośpiechem.

— Sam, idziemy, — rzekł zwracając się do Gretry'ego.

— Dobranoc pani.

— Do widzenia, kochanie.

Skierowali się ku drzwiom.

— Widzisz, mały Court był właśnie w banku i zauważył, że czekii...

Głosy skonały, gdy zapadły się za nimi portjery u wejścia. Drzwi frontowe zgrzytnęły i zamknęły się.

Laura siedziała wyprostowana, nasłuchując, dłonią zakryła drgające usta.

Wszelki odgłos ucichł. Cisza wielkiego pustego domu zataczała dokoła niej coraz większe kręgi, podobnie jak zmarszczki na stawie po wpadnięciu kamienia. Coraz silniej przyciskała do ust dłoń, teraz już w pięść zamkniętą, przesuwając palce po oczach, to znów splatała powoli i roztwierała dłonie, nasłuchując, sama nie wiedziała czego. Myślała o mężu, opuszczającym ją śpiesznie, zapominającym o niej i o jej miłości w gorączce bitwy. Myślała o Cort-hell'u, którego oddaliła na zawsze, wykreślając miłość jego ze swego życia.

Zgnębiona, złamana, padła Laura na poduszki, twarz na ramieniu ukrywając. Ponad nią i dokoła niej wznosiła się słabo oświetlona galerja, snujące się cienie łagodziły jej wysokość. W dwóch punktach tylko światło padało pełnym blaskiem, odbijającym się łagodnie w złotych ra-

mach obrazów, wielkie piszczałki organów, które zaledwie zarysowywały się w mroku, tonęły w górze w ciemnościach. Cała galerja ze wspaniałemi zasłonami, pełna przepychu, wydawała się olbrzymią, skąpaną w przyćmionem świetle, komnatą w Bizancjum.

Jak zabląkana pod wysoką kopułą, na rozległej posadzce Laura Jadwin, w nedorzecznym stroju, z błyskotek, świecideł i jedwabiu, w wysokim grzebieniu, wpiętym we włosy, w pantofelkach z kokardkami — leżała wtulona w poduszki szezlongu. Jeżeli płakała, płaczu tego nie było słyhać a ciszę galerji przerwał tylko raz jeden krzyk — nawpół szept, napół łkanie — który padł w głuchość ciemności.

— Och! teraz jestem sama, sama, sama!

ROZDZIAŁ IX.

— No, to, zdaje mi się, już wszystko, — rzekł w końcu Gretry, odsuwając krzesło i wstając od stołu.

Siedział z Jadwinem w pokoju na trzeciem piętrze hotelu „Grand Pacific“, wychodzącym na ulicę Jackson. Była już trzecia nad ranem. Obaj zrzucili żakiety; stół, za którym siedzieli, zasłany był papierami, blankietami telegraficznymi a przy łokciu Jadwina stała tacka z laki, pełna niedopałków cygar i spalonych zapalek, nadto dzban hotelowy z wodą zamrożoną.

— Tak, — potwierdził Jadwin z roztargnieniem, przeglądając stos telegramów; — to wszystko, co możemy zrobić... dopóki się nie przekonamy, jaki rodzaj gry Crookes zamierza. Będę u ciebie w biurze o ósmej.

— Dobrze, — odparł Gretry, ubierając się; — a teraz pójdę do siebie i spróbuję się przespać. Chciałbym już wiedzieć co będzie z nami jutro o tej porze.

Jadwin poruszył się niecierpliwie.

— Do kroćset, Sam, nie przestaniesz ty krakać? Jeśli się boisz, możesz się wycofać. Mało mam jeszcze przykrości i zawracania głowy?

— No, no... uspokój się, mój stary, — rzekł Gretry, urażonym tonem. — Bywasz teraz niekiedy strasznie drażliwy. Chciałem tylko spojrzeć nieco naprzód. Nie przypuszczaj, że mam ochotę się wymknąć. Powinienbyś J. znać mnie już teraz.

— Przykro mi, Sam, nie gniewaj się, — pośpieszył odpowiedzieć Jadwin wstając i klepiąc przyjaciela po ramieniu. — Jestem istotnie rozdrażniony... Tyle jest rzeczy do obmyślenia i wszystko naraz... Moje nerwy zaczynają brykać. Nie spałem wczoraj w nocy ani chwili, a wiesz przecież, że onegdaj powróciłem do domu dopiero o drugiej nad ranem.

— Przeklinasz i wymyślasz niekiedy, jak bandyta, — ciągnął dalej Gretry. — Przez dwadzieścia lat nie słyszałem od ciebie takich wymysłów, jak teraz. Strzeż się J., że bym cię nie zaskarżył przed superintendentami twojej szkoły niedzielnej.

— I oni kłębiliby również, — zauważył Jadwin, — gdyby mieli zobowiązania na czterdzieści miljonów pszenicy i musieli wiedzieć, gdzie można dostać każdą garść o każdej sekundzie. Łatwo nam było rozwodzić się dziś popołudniu w twojem biurze nad utworzeniem syndykatu. Ale w rzeczywistości... nietrudno zdawać sobie sprawę z istotnego stanu rzeczy. Czy przypuszczasz, że uda nam się długo jeszcze utrzymać w tajemnicy sprawę naszego syndykatu?

— Nie sędzę, — odparł makler — wsuwając papiery do bocznej kieszeni i kładąc kapelusze.

— Zagiąłem parol specjalnie na Dave'a Scannel'a — rzekł Jadwin. — Mam nadzieję, że go w tej zgrai nie zabraknie, a wtedy, klnę się na wszystkie świętości, że doprowadzę go do bankructwa, albo moje nazwisko nie jest Jadwin! Obedrę go ze skóry. Jak ten szczur raz dostanie mi się w ręce, nie wypuszczę go dopóki mu dobrze krwi nie utoczę z tej obrzydliwej narośli, którą on nazywa swoim sercem.

— Ależ, na Boga, co ten Scannel ci zrobił? — zawołał Gretry, zdumiony.

— Nic; ale przed kilku dniami wykryłem, że to Scannel zrujnował starego Hargusa... biednego, starego, złamanego, wygłodniałego Hargusa... Prowadzili wspólnie interes na wielką skalę, przed wielu, wielu laty... Scannel go podszedł i wykwitował z niczem. Było to najbrudniejsze, najobrzydliwsze oszustwo, o jakim kiedykolwiek słyszałem! Scannel siedzi na pieniądzach, a czem jest teraz Har-

gus? nędznem straszylłem na ptaki. I ma siostrzeniczkę, którą utrzymuje. Bóg jeden wie, w jaki sposób. Widziałem ją, śliczna, jak obrazek. Otóż, przeznaczam pięćdziesiąt tysięcy pszenicy na rachunek Hargusa, a mam jeszcze plan inny. Klnę się na Boga, że ten starzec nie będzie już chodził zgłodniały! Ale, jeżeli złapię Scannel'a... jeżeli go schwytam w syndykacie... święty, udręczony Mojżeszu, będzie on kwiczał!

Gretry kiwał głową, na znak, że rozumie i uznaje.

— Ale teraz, — rzekł w końcu, — muszę iść spać. Dobranoc J.

— Dobranoc Sam. Będę u ciebie zrana.

Zanim zamknęły się drzwi pokoju, Jadwin siedział nownie za stołem i raz jeszcze z trudem, mozolnie przeglądał plany swoje, zmieniał, poprawiał, kombinował, mając ręce pełne spisów i nieskończonych kolumn cyfrowych. Od czasu do czasu padały z jego ust urywki zdań.

— Hm... trzeba będzie to sprawdzić... Tutaj nie mogą nam zaszkodzić... Aneks elewatora Nickel Plate pomieszczi... obliczmy... pół miliona... Jeśli zakupię zboże w ciągu pięciu dni po przysłaniu, będę musiał płacić magazynowe, co wyniesie... obliczmy... trzy czwarte centa osiemdziesiąt tysięcy razy...

Minęła godzina. W końcu Jadwin odsunął się od stołu, wypił szklanekę wody z lodem, i wstał, przeciągając się.

— Na Boga, muszę przespać się trochę, — szepnął.

Rozebrał się i padł na łóżko; ale szmery budzącego się miasta wtargnęły stopniowo przez okno, które zostawił otwarte — szmery niewyraźne zrazu, niebawem zamieniły się w daleki szept; zbliżały się; przeszły wreszcie jakby w śpiwnym tonem powtarzaną zwrotkę:

„Pszenica — pszenica—pszenica, pszenica — pszenica—pszenica.“

Jadwin ocknął się. Zasypiał właśnie. Wstał, zamknął okno i rzucił się ponownie na łóżko. Ogarnęło go śmiertelne zmęczenie; każdy nerw drgał w nim gorączkowo. Powieki zapadały z wolna na znużone oczy. Poczem nagle całe ciało jego porwał skurcz, każdy mięsień sprężył się

boleśnie. Serce biło jak młotem, dech zamarł w piersi. Rozbudzony już zupełnie usiadł Jadwin na łóżku.

— Hm! — szepnął. — Skąd ten strach?... śniłem na pewno.

Nachmurzył się, zmrużył oczy; rozglądał się po pokoju, oświetlonym przyćmionym blaskiem, wpadającym z korytarza przez górne szyby w drzwiach; powoli potarł dłonią czoło.

Z nagłością niespodziewanego ciosu powróciło teraz owo osobliwe, nieokreślone uczucie w głowie. Zdawało mu się, że walczy z tumanem mgły wewnątrz mózgu; potem mózg zmartwiał, przytłoczył go jakiś ciężar, a po chwili znów twarda obręcz ścisnęła mu skronie.

— Zadużo pałę... stanowczo, — szepnął Jadwin.

Wiedział jednak dobrze, iż nie w tem tkwi przyczyna i wyraz niewysłowionej trwogi przemknął się po jego obliczu.

Pierś podniosła się szybkim krótkim oddechem — wyprostował się, przesunął dłonie po twarzy.

— A to co, u licha, — mruknął; — co to znaczy?

Przez długą chwilę siedział wyprostowany w łóżku, wodząc wzrokiem po pokoju. Uspokoił się nieco. Wzruszył niecierpliwie ramionami.

— Słuchajno, — rzekł do przeciwległej ściany, — nie jestem nerwową pensjonarką i nie boję się... Najwyższy czas spać, jeżeli mam jutro zabrać się do Crookes'a.

Ale nie mógł zasnąć. Gdy miasto budziło się pod jego oknami do swego różnorodnego życia, gdy szare światło świtu zatapiało wpadający z korytarza przez szybę żółty blask płomienia gazowego, gdy w sąsiednich pokojach odbywały się wczesne budziki, Curtis Jadwin leżał z szeroko otwartymi oczyma wpatrzony w sufit, skupiający wszystkie myśli na wielkiej operacji giełdowej, w którą się wplątał, rozważający wszystkie jej zakłęcia, jej niepojęte rozgałęzienia, to znów oszołomiony niewytłomaczoną martwością, nieznośnym ciężarem, które spadały na jego mózg, skoro tylko dopuścił do mniejszego wyteżenia myśli.

O godzinie piątej Jadwin nie mógł dłużej wytrzymać w łóżku; wstał, wykąpał się, ubrał, zamówił śniadanie i ze-

szedł do biura hotelowego, gdzie przez pół godziny czytał najwcześniejsze wydania pism porannych.

W końcu, gdy tak siedział w rogu pokoju biurowego, wsunięty w głąb fotelu, zmęczone ramiona zaczęły opadać, zmęczona głowa — kiwać się. Gazeta wysunęła się z ręki; podbródek opadł na kołnierzyk.

Wczesny rozgwar ulicy, wołanie roznosicieli gazet, turkot wozów wpadały do uszu Jadwina jak stłumiony szum. Zdawało mu się, że gdzieś w bardzo odległej dali tworzy się wielki tłum. I tłum ten grozi, krzyczy, porusza się, pcha naprzód. Wpada w ulicę i galopuje, wrzeszcząc, jak opętany; teraz jest na rogu, a teraz wtargnął do wejścia hotelu. Wrzask tej ciżby był ogłuszający, ale zrozumiał. Albowiem tysiąc, miljon, czterdzieści milionów głosów krzyczało rytmicznie:

„Pszenica — pszenica — pszenica , — pszenica — pszenica — pszenica“.

Jadwin zbudził się nagle i zerwał się. Słońce poranne wpadało przez okna, zegar nad biurkiem hotelowym, wydzwaniał siódmą, a lokaj hotelowy oznajmiał:

— Śniadanie podane, proszę pana.

Nie miał apetytu. Zjadł zaledwie kilka grzanek i na długo przed umówioną godziną siedział w biurze Gretry'ego, bębniąc palcami po poręczu fotelu, skubiąc guziki u paltota i dziwiąc się czem się to dzieje, że od czasu do czasu, wszystkie przedmioty objęte polem jego widzenia jakby cofały się w głąb i stawały na jednym planie.

Stopniowo zapadł w rodzaj letargu; oczy miał zamknięte, oddech urywany — był to nędzny, fałszywy sen, na razie wszakże niesłychanie dobroczynny. Przynajmniej drobne, nadużyte gorączkową pracą, kółeczka maszyny mózgowej poruszały się nieco wolniej. Ten stan mógłby może pomału przejść w istotną błogą niepamięć.

Ale naraz odezwały się za drzwiami przyśpieszone kroki i wszedł Gretry.

— O, J.! Ty, już tutaj?... Otóż Crookes zacznie sprzedawać wraz z uderzeniem dzwonka.

— Czyż tak? — Jadwin wstał. Wyczerpane nerwy naprężyły się niezwłocznie; niezwłocznie subtelna machina

mózgowa zaczęła działać sprawnie, z całą energją.—Chciałby nas wyrugować? Doskonale. I my będziemy sprzedawali. Zobaczymy kto może sprzedać więcej... Crookes czy Jadwin.

— Sprzedawali! chcesz powiedzieć oczywiście, kupowali.

— Nie. Zastanawiałem się długo i głęboko, od chwili kiedy rozstałem się z tobą nocy dzisiejszej. Pszenica warta akurat tyle, za ile jest sprzedawana w tych błogosławionych dniach. Nie podwyższałem jej nawet o jedną ósemkę; Crookes myśli, że jest przeciwnie. Czytam w jego myślach, jak w książce! Przypuszcza, że podbiłem cenę ponad wartość i, że za lada pchnięciem zleci na łeb na szyję. Może ją zepchnąć na dziesięć centów, jeśli zechce, ale podskoczy ona znów w górę jak piłka gumowa. Będę sprzedawał buszel po buszlu wspólnie z nim dopóty, dopóki jemu się spodoba.

— Na Boga J.! — zauważył Gretry, oddechając głęboko, — to takie samo olbrzymie ryzyko, jak podtrzymanie Banku Angielskiego! Obniżasz wartość czterdziestomilionowej swojej własności z każdym centem.

— Zrobisz, jak ci mówię i zobaczysz, że mam słuszność, — odparł Jadwin. — Zawołaj swoich chłopców i daj im zlecenia na dzień dzisiejszy.

„Sprawa Crookes'a—jak mówiło między sobą grono ludzi, skupione dokoło Jadwina—była jedną z najzaciętszych bitew, jakie staczano w Izbie Handlowej. Wybuchła oszałamiająco niespodziewanie a wszystkie giełdy zbożowe między oceanami śledziły ją z zapartym oddechem.

Pochłaniała każdą chwilę sesji porannej Izby Handlowej przez cztery szalone niezapomniane dni. Punktualnie o pół do dziesiątej rano we wtorek Crookes zaczął sprzedawać pszenicę majową na krótki termin i niezwłocznie, ku zdumieniu wszystkich kupców na giełdzie, cena załamała się przy pierwszym ataku. W ciągu dwudziestu minut spadła o pół centa. Późem nastąpiła prawdziwie niespodzianka dnia.

Landry Court, znany przedstawiciel firmy, która „wyhodowała“ i popierała przez cały czas zwyżkę ceny, ukazał

się na giełdzie i, zamiast kupować wbrew dotychczasowej działalności, wbrew wszelkim obliczeniom, zaczął sprzedawać z takim samym rozmachem, jak ludzie Crookes'a. Bitwa trwała przez trzy dni. Lecz dla świata zewnętrznego — nawet dla giełdy samej — była to nietylko bitwa, ile pogrom. „Nieznany Byk“ padł, — został nareszcie powalony. Śrubował cenę pszenicy, popierał fałszywą, sztuczną spekulację i teraz jest pobity. O, Crookes wie kiedy uderzyć! On to jest wielkim generałem — prawdziwym wodzem, który tak długo trzymał się na uboczu.

Pod koniec sesji piątkowej Crookes i jego klika sprzedali pięć milionów buszli, przyrzekając dostawić pszenicę, której nie posiadali, lecz spodziewali się kupić po niskiej cenie (Rynek zamknął się tego dnia po dziewięćdziesiąt pięć).

W piątek w nocy w pokoju Jadwina, w hotelu „Grand Pacific“, odbyła się konferencja, w której wzięli udział Gretry, Landry Court, dwóch najbardziej zaufanych współpracowników Gretry'ego i Jadwin. Ta konferencja dała dwa wyniki — jeden przybrał postać następującego cyfrowanego kablogramu do agenta Jadwina w Liverpoolu: „Kupować całą pszenicę zaofiarowaną, dopóki cena rynkowa nie podniesie się o 1 penny“.

Wynikiem drugim był rozkaz wydany Court'owi oraz czterem innym agentom giełdowym firmy Gretry - Converse; rozkaz ten polecał, by rano udali się na giełdę i bez demonstracji, zaczęli odkupować pszenicę, którą sprzedawali przez cały tydzień. Każdy miał kupić milion buszli. Jadwin, jak wyraził się Gretry, „przyłapał Crookes'a w samą porę“, przewidując na sekundę chwilę jego największego wysiłku. Jakoż tejsze soboty Crookes sprzedawał więcej, niż kiedykolwiek, ufny, że powali ostatecznie Byka, zanim odezwie się, zamykający giełdę, dźwięk gongu.

Ale, zanim skończył się ranek, pszenica podniosła się o ówa centy. Polecenia kupna napłynęły na rynek. Cena wzmocniła się sama przez się. Zdawało się, iż nad wskazówką wielkiej tarczy istnieje niewidzialny magnes,

który ją podnosi wyżej i wyżej, pomimo wszystkich wysiłków Niedźwiedzi, zmierzających do ściągnięcia jej na dół.

Zaczynało przeważać coraz silniejsze zdenerwowanie. Drobnymi handlarzami, którzy gorączkowo sprzedawali w pierwszych dniach ruchu, zaczęli w poniedziałek potroszę pokrywać tu i owdzie.

— Teraz, — oświadczył Jadwin tego wieczora, — teraz czas rozpocząć atak na całą linię. Jeżeli jutro rano zabierzemy się odrazu z impetem do roboty, pszenica podskoczy na dolara sama przez się.

Stąd też we wtorek rano, agenci firmy Gretry - Converse zakupili ponownie pięć milionów buszli. Cena, dzięki temu bodźcowi, podnosiła się z lekkością pióra. Drobnymi handlarzami, coraz bardziej zaniepokojeni i zaczynający pokrywać na rachunek, podbijali nawet cenę.

Zdenerwowanie „tłumu“ wzrastało. Może, ostatecznie, Crookes nie jest taki wszechmocny; może, ostatecznie, Nieznany Byk ma w sobie jeszcze inne siły. Poczem na rynku zjawili się „outsiderzy“. W jednej chwili wszyscy handlarze i agenci zaczęli mówić o „wyższych cenach“. Każdy teraz kupował równie skwapliwie jak przed tygodniem sprzedawał. Cena podnosiła się konwulsyjnymi skokami. Crookes nie miał odwagi kupować pszenicy na pokrycie swoich zobowiązań, a to w obawie, żeby jeszcze wyżej nie podbić ceny. Przerażony, zgryziony i upokorzony, cofnął się wraz ze swoją kliką, śledząc pilnie potężną reakcję, łudząc się nadzieją, że ta mocna tendencja rynkowa znów się załamie.

Ale teraz było trudno wogóle dostać pszenicę. Nagle nikt już nie sprzedawał. Nabywcy na giełdzie zaczęli przecilytować się wzajemnie, ofiarowując dolara i dwa centy. Pszenica nie „wystąpiła“. Ofiarowywali dolara dwa i pół, dolara dwa i pięć ósmych, daremnie — pszenicy jak nie było, tak nie było. Rozgorączkowani wysuwali palce tuż przed twarzą Court'a i agentów Gretry'ego wrzeszcząc:

— Dolar, dwa i siedem ósmych! Dolar, trzy! Trzy i jedna ósma! Cwierć! Trzy ósme! Pół.

Ale tamci potrząsali głowami przecząco. Nie było

pszenicy na sprzedaż,—chyba tylko dla tych, którzy dawali odrazu o całego centa więcej.

Wobec ostatnio wymienionej ceny Crookes przyznał się do porażki. Gdzieś w jego wielkiej maszynie obłuzowała się śruba. Pomylił się w jakichś kalkulacjach. Dopóki wraz ze współnikami sprzedawał, sprzedawał i sprzedawał, cena spadała. Z chwilą, kiedy zabrali się do pokrywania, nie było pszenicy na sprzedaż i cena podskoczyła ze sprężystością, której żadna moc nie mogła okiełznać.

Widział teraz jasno, że on i jego sprzymierzeńcy stoja wobec straty kilku centów na każdym z pięciu milionów buszli, które sprzedali. Nie byli już w możności pokryć choćby jednej transakcji, a położenie było znów zupełnie takie samo, jak przed szturmem kliki Crookes'a, Nieznany Byk panował nad rynkiem bezpieczniej, niż kiedykolwiek.

Crookes zaczął w końcu podejrzewać istotny stan interesów a to, co się działo teraz na rynku, potwierdziło jego podejrzenia. Zamknięty w swoim biurze prywatnym, siedział sam, obmyślając całą sytuację i w końcu mówił do siebie w duchu:

„Ktoś posiada wielkie zapasy pszenicy, których niema wcale na rynku. Ktoś nabył całą pszenicę, jaka istnieje. Przypuszczam, że znam jego nazwisko. Przypuszczam, że zapasy skontrolowane pszenicy majowej na rynku w Chicago wziął w swoje ręce syndykat.“

Cena stała na razie dolar i jeden cent. Crookes, — który od pierwszej chwili kierował operacjami swoich spółników — wiedział bardzo dobrze, iż, gdyby teraz skupił całą pszenicę, sprzedaną przez jego klikę, cena podskoczyłaby, zanim zdążyłby przeprowadzić interes. Powiedział tamtym zatem tylko, że powinni „poczekać jeszcze trochę dłużej w nadziei zmiany,“ zaś po cichu zaczął pokrywać swoje zobowiązania osobiste — swój udział w pięciu milionach, sprzedanych przez spółników... Przewidując upadek swego planu, wycofywał się z rynku; ze stratą wprawdzie, ale nie większą, niż mógł ponieść. Gdyby „poczekał jeszcze trochę dłużej, w nadziei zmiany“, niepodobna przewidzieć, jak głęboko Byk wbiłby weń rogi. Nie czas zastanawiać się

teraz nad „obowiązkami“. Teraz „każdy musi dbać o siebie.“

W kilka dni później Crookes siedział w swoim biurze w gmachu przy ulicy La Salle. Była godzina, mniej więcej, jedenasta przed południem. Jego sucha, drobna, wygolona twarz wykrzywiła się w kącikach ust, na odgłos aparatu telegraficznego. Wiedział co ten stuk donosi. Na giełdzie wybuchła dziś rano nowa zawierucha, przed pół godziną zaledwie, a pszenica znów podskoczyła. W ciągu ostatnich trzydziestu sześciu godzin cena podniosła się o trzy centy a Crookes wiedział dobrze, iż w tej właśnie chwili „chłopcy“ ofiarowywali dziewięć centów powyżej dolara za pszenicę majową — i nie mogli jej dostać.

Na rynku panował zamęt. Crookes'owi zdawało się, że słyszy niemal grzmot w zapienionej Otchłani. Nasłuchiwała i śledziła bacznie cała ulica La Salle, nasłuchiwało i śledziło całe Chicago, cały naród, świat cały. Nie było ani jednego „agenta handlowego“ na giełdzie londyńskiej, który nie nadstawiał ucha, żeby pochwycić echo tego zgiełku; ani jednego *agent de change* w perystylu giełdy paryskiej, który nie usiłował zaznaczyć każdej modulacji potężnego rozgwaru.

„Doskonale“, mówił głosik człowieka w człowieku, który w osobie Calvina Hardy'ego Crookes'a siedział w swoim biurze; „doskonale, niech sobie huczy; nie zdoła napewno osiągnąć C.H.C.“.

— Czy pan może przyjąć pana Cresslera? — spytał jeden z clerk'ów, stając we drzwiach.

Cressler wszedł śpiesznym, niepewnym krokiem. Długa, pochylona postać była jakby zwichnięta; jakgdyby pozbawiona jakiejś podpory. Oczy w bladej twarzy zapadły głęboko, kości policzkowe wystawały ostro; przybyły co chwila przelykał ślinę i zwilżał usta.

Crookes skinął głową sprzymierzeńcowi i, podnosząc palec, wskazał krzesło. Był obojętny, spokojny. Nie poruszył się. Milczący, jak zwykle, czekał, żeby Cressler przemówił.

— Chciałbym pomówić z panem, panie Crookes, — zaczął Cressler z pośpiechem. — Powziąłem... powziąłem to

postanowienie już onegdaj, ale odłożyłem. Miałem nadzieję, że położenie zmieni się na naszą korzyść. Ale teraz już zwlekać nie mogę... Panie Crookes, ja tego dłużej nie wytrzymam. Muszę się wycofać. Nie mam gotówki, żeby wam dotrzymać kroku.

Zapadło milczenie. Crookes ani się poruszył, ani zmienił wyrazu twarzy. Wpił małe oczki w oblicze Cresslera i czekał co powie.

— Pozwolę sobie przypomnieć panu, — mówił Cressler dalej, — że gdy przyłączyłem się do pańskiej klikki, zażądałem wyraźnie, aby nasze operacje nie były spekulacją.

— Pan wiedział... — zaczął Crookes.

— O, nie mam nic na usprawiedliwienie, — przerwał Cressler. — Wiedziałem. Wiedziałem od początku, że to będzie spekulacja. Usiłowałem się łudzić. Chciałem... no, ale to pana nie interesuje. Główna rzecz w tem, że muszę wycofać się z rynku. Nie chcę z wami... — palce Cresslera skreślały dewizkę — nie chcę... chcę powiedzieć, że musicie mnie wypuścić. Musicie mi pozwolić pokryć... niezwłocznie. Jestem... bardzo bliski bankructwa teraz. Jeszcze pół centa wyżej i jestem załatwiony. I bez tego, tak jak stoją sprawy dzisiaj, pójdzie... cała moja... moja... gotówka... wszystkie moje dziesięcioletnie oszczędności na kupno mojej pszenicy.

— Zobaczmy. — Ile sprzedałem dla pana? — spytał Crookes. — Pięćset tysięcy?

— Tak, pięćset tysięcy po dziewięćdziesiąt osiem a teraz mamy dolar i dziewięć. To zwyżka jedenastu centów. Ja... nie wytrzymam już nawet jednej ssemki wyżej. Muszę pokryć niezwłocznie.

Crookes, nie odpowiadając, przysunął sobie telefon.

— Halo! — zawołał po chwili. — Halo!... kupić pięćset na maj, na rynku, odrazu.

Zawiesił słuchawkę i rozparł się w fotelu.

— Doniosą za chwilę czy przeprowadzili tranzakcję. Niech pan lepiej poczeka i przekona się.

Cressler stanął w oknie, założył ręce na plecy i patrzył na ulicę. Nie odpowiedział. Mijały sekundy, potem minuty. Crookes pochylił się nad biurkiem, i zaczął podpisywać

listy; ciszę, panującą w pokoju, przerywał jedynie zgrzyt jego pióra. W końcu zauważył:

— Jak na tę porę roku pogoda wcale ładna.

Cressler skinął głową. Zdjął kapelusz, powolnym ruchem, odgarnął włosy z czoła; poczem, gdy odezwał się znów stuk telegrafu, odwrócił się szybko, przeszedł przez pokój i pochwycił wąskie pasmo papieru.

— Boże, Boże, — szepnął przez zaciśnięte zęby. — Mam nadzieję, że pańscy ludzie nie stracili czasu na próżno. Już znów zwyżka.

Ktoś zapukał do drzwi, a gdy Crookes zawołał, żeby wszedł, ukazał się goniec biurowy i wręczył mu kartkę papieru. Crookes spojrział na nią i podsunął ją przez biurko Cresslerowi.

— Ma pan, — rzekł. — To pańska tranzakcja. Pięćset na maj, po dolarze dziesięć. Masz szczęście, panie Cressler, żeś dostał po tej cenie... Że dostałeś wogóle.

— Dziesięć! — krzyknął Cressler, chwytając kartkę.

Crookes odwrócił się znów i przeglądał obojętnie listy. Cressler położył ostrożnie kartkę na krawędzi biurka i, jakkolwiek Crookes nie podniósł oczu, niemniej odczuwał niemal jak Cressler usiłował się opanować, jak wyteżał wszystkie siły, żeby stawić mężnie czoło ciężkiemu ciosowi.

— A ja powiedziałem, że jedna ósemka mnie powali, — zaśmiał się sucho Cressler. — A no, trudno, — dodał ponuro, — zdaje się, że jestem powalony. Przypuszczam jednak, iż wszyscy musimy być przygotowani na to, że nas raz nóż nie minie, nieprawda?... Pięćdziesiąt tysięcy dolarów mojej gotówki utonie.

— Mogę panu powiedzieć w czyje ręce przejdzie, jeżeli panu na tem zależy — rzekł Crookes po chwili. — Wróble na dachu śpiewają, że tę pszenicę sprzedali panu Gretry, Converse i S-ka. Cała pszenica, jaka istnieje, jest w ich ręku.

— Wiem, oczywiście, że robili olbrzymie zakupy... dla tego Nieznanego Byka, o którym tyle mówią.

Nie jest on nieznanym dla mnie, — oświadczył Crookes. — Ja go znam. To Curtis Jadwin. Jego to zwalczałyśmy

przez cały czas, a za trzy, cztery dni zacnie się tu taniec piekielny. Jadwin zmonopolizował rynek.

— Jadwin!... Kto? J.?... Curtis... mój przyjaciel?

Crookes mruknął potwierdzająco.

— Ale... przecież powiedział mi, że wycofał się z interesów giełdowych... na dobre.

Crookes był widocznie zdania, że uwaga ta nie wymaga odpowiedzi i słów zbyticznych. Wsunął tedy ręce w kieszenie i patrzył przenikliwie na Cresslera.

— Czy on wie? — wyjąkał tenże. — Czy pan przypuszcza, że mógł słyszeć, iż należałem do tej pańskiej kliki?

— Chyba, że mu pan sam powiedział.

Cressler wyprostował się i odchrząknął:

— Ja mu nie powiedziałem, panie Crookes, — rzekł, — Wyświadczy mi pan specjalną łaskę, jeżeli pan zechce zatrzymać to przy sobie... nie mówić ani panu Jadwinowi, ani nikomu, że należałem do waszej spółki.

Crookes obrócił dokoła swoje kręcone krzesło.

— Do licha! Nie przypuszcza pan chyba, że będę rozgadywał... co?

— Dobrze... Do widzenia, panie Crookes.

— Do widzenia.

Crookes, pozostawszy sam, przeszedł wzdłuż pokoju, poczem stanął na środku posadzki i wpatrzył się, zadumany, w swoje, wytwornie obute, małe stopy.

— Jadwin! — mruknął. — Hm!... Sądziś, że zostałeś już kapitanem łodzi, nieprawda? Zdaje ci się, że skończyłem z tobą, hę? O tak, twoja spekulacja wchłonie całą pszenicę, co? Otóż weź sobie to jedno pod rozwagę, mój panie: Nie wysuwaj głowy za wysoko, może ją osiągnąć cegła.

Usiadł na fotelu i chudą delikatną dłoń przesunął po wygolonych ustach.

— Nie, — szeptął, — nie będę już próbował cię powalić. Zmonopolizowałeś pszenicę, prawda? Doskonale... Twoja własna pszenica, mój sprytny ptaszku, zdławi cię według mojej woli.

Poczem nareszcie wieść o wielkim monopolu, wieść stanowcza, określona, rozeszła się po całym kraju i niezwło-

cznie postać i nazwisko Curtisa Jadwina, wyolbrzymione, potężne, stały przed oczyma publiczności. Na rynku zbożowym w Chicago nie było pszenicy. Miał całą on, wielki człowiek „Napoleon z ulicy La Salle“. Sprzedaje ją lub gromadzi, jak mu się spodoba. Dyktuje sumę tym, którzy muszą kupować ją od niego, by wypełnić zobowiązania. Jego ręka zawisała nad skazówką cennika pszenicy w Izbie Handlowej i on to posuwał ją na tarczy o tyle stopni mniej lub więcej, ile mu się spodobało.

Dzienniki, nietylko w Chicago, ale i we wszystkich miastach Unji, przepełnione były „historjami“ o Jadwinie. Dzieje wykupu całej pszenicy, w jaki sposób to przeprowadził, chronologja olbrzymiej tranzakcji, jej wyniki opisywane były i powtarzane aż wreszcie nazwisko jego stało się popularne w domowych ogniskach niezliczonych tysięcy. Krążyły o nim przeróżne „anegdoty“; drukowano i n t e r v i e w ' y — sporządzone przeważnie w pokojach redakcyjnych. Ukazywały się jego wizerunki. Przedstawiano go jako człowieka zrównoważonego, chłodnego jak stal, o zimnem, szarem oku, o spojrzeniu wyrachowanem „przeszywającym, jak spojrzenie orła“, jako nie cofającego się przed niczem gracza, odważnego, jak rozbójnik morski, o czarnem ognistem oku—istny korsarz! to znów jako człowieka łagodnego, niepozornego, o nieśmiałem obejściu; wreszcie jako wesołego zawadżkę, „pierwszorzędnego hulakę“, uganiającego się za aktorkami, wyprawiającego ucztę i kąpiącego się w szampanie.

W prasie demokratycznej nazywano go niemal złodziejem, napadano nań jako na gnębiciela ludu, wyzyskiwacza ubogich, tuczącego się zbytkiem, wydartym pracującym w znoju milionom. Dzienniki republikańskie mówiły uroczyście o rozpoczynającej się dla kraju nowej erze dobrobytu, pisały o pobudzającym oddziaływaniu wyższych cen na skapitalizowany przemysł i wysnuwały z położenia zapowiedź zwycięstwa republikańskiego w najbliższej przedyjalnej kampanji wyborczej.

Codziennie biuro Gretry'ego, gdzie Jadwin wyznaczył teraz swoją kwaterę główną — było obleżone. Reporterzy przez pół dnia czekali w przedpokojach, byle tylko uzyskać

od wielkiego człowieka skinienie głową i jedno słowo. Pośrednicy, wynalazcy, drobni finansisci, agenci, fabrykanci, nawet „malarze pastelowi“ i handlarze koni, nawet krawcy i właściciele warsztatów jachtowych ocierali się o siebie wzajemnie poza drzwiami, na których widniał napis: „Gabinet prywatny“.

Farmerzy z Jowy czy Kansasu, którzy przybywali do miasta, celem sprzedania swych drobnych ilości pszenicy po cenach, jakie dotąd wydawały im się niemożliwe, ściskali na ulicy dłoń Jadwina i zapraszali go usilnie, aby przyjechał zwiedzić „prawdziwą krainę Pana Boga“.

Pewnego dnia jednakże cała deputacja farmerów, uprawiających pszenicę, zdołała przedostać się do sanktuarjum. Przybyli z podarunkiem, w postaci srebrnego pułara, a przewodnik ich, jękający się, zmieszany, strasznie zakłopotany w nowym sukiennym garniturze i lakierowanych butach, wygłosił krótką przemowę.

Oświadczył, że przez cały środkowy Zachód, przez wszystkie pasy pszeniczne toczy się wielka fala dobrobytu, dzięki Jadwinowi. Farmerzy płacą tenutę dzierżawną, kupują nowe ulepszone narzędzia rolnicze, obsiewają świeże przestrzenie, nabywają bydło. Mężczyźni kupują dwukołowe wózki, kobiety melodykony do bawialni, powstają nowe domy, młode stadła małżeńskie są coraz liczniejsze — słowem cała, składająca się z farmerów, ludność środkowego Zachodu jest z każdym dniem bogatsza.

W tym samym mniej więcej czasie otrzymał Jadwin od pewnego mieszkańca „Bates Corners“ w Kansasie, list, zawierający, między innymi, takie słowa:

„a — musi Pan wiedzieć, że moja córeczka, która ma teraz siódmy rok i jest najpiększa w swojej klasie w szkole okręgowej, zanosí co wieczór modły do Pana Boga, żeby błogosławił Pana Jadwina, bo on dopomógł tatusiowi do ocalenia farmy“.

Jeżeli była i strona odwrotna — jeżeli blask tego tryumfu rzucał cień za siebie, Jadwin mógł o nim nie wiedzieć. Był bardzo odeń oddalony — mógł go nie widzieć. Niemniej jednak doszedł do wiadomości tego faktu, o którym przez długi czas zapomnieć nie mógł. A stało się to,

za sprawą Corthell'a — pośrednio, i upłynęły całe dwa miesiące zanim dobiegło uszu Jadwina.

Chodziło o Amerykanina, studenta szkoły sztuk pięknych, który w danej chwili odbywał pieszą wycieczkę po północnych Włoszech. Fakt był przykry. Jadwin ciskał się i nie chciał wierzyć, twierdząc, że to śmieszna przesada; wszelako, wzięty pod rozwagę, był zupełnie prawdopodobny — miał wszelkie pozory prawdy.

„A spotkałem tego chłopca“, opowiadał ów student, „na gościńcu, o jaki kilometr od Arezzo. Śliczny był, miał lat dwadzieścia, najwyżej dwadzieścia dwa. Nie znał zupełnie świata, nie widział nic. Anglja, w jego mniemaniu, była częścią stałego lądu Europy. Dla niego Cavour i Mazzini żyli jeszcze. Ale, gdy mu oświadczyłem, że jestem Amerykaninem, ożywił się odrazu.

— „Aha, Amerykanin! — rzekł. — Znamy tu we Włoszech jednego pańskiego rodaka... tego Jadwina z Chicago, który zakupił całą pszenicę. Nie mamy już chleba. Bochenek jest mały, jak pięść, i drogi. Nie mamy za co kupić; jesteśmy ubodzy. Mniejsza o mnie. Jestem młody. Mogę jeść soczewicę i rzerzuchę. Ale, — tu głos jego zamienił się w szept — ale moja matka... moja matka!“

— To kłamstwo! — krzyknął Jadwin; — to oczywiste kłamstwo! Boże miłosierny, gdybym miał wierzyć każdej przeklętej plotce, którą dzienniki drukują teraz o mnie, oszalałbym napewno.

Jednakże, gdy podniósł cenę pszenicy na dolara i dwadzieścia centów, wielkie młyny w Minnesocie i Wisconsinie przestały mleć, a uważając, że sprzedaż ziarna przynosi większy zysk niż przemiał, rzuciły na rynek swoje zapasy. Jakkolwiek piekarze nie podwyższyli skutkiem tego ceny chleba, niemniej bochenek — nawet w Chicago, nawet w tym środkowym Zachodzie, który pławił się w zbytku produkcji — był mniejszy, a ze wszystkich uboższych okręgów miasta nadchodziły skargi, protesty i głuche pomruki niezadowolonia.

Pewnego poniedziałku w połowie maja Jadwin siedział przed biurkiem Gretry'ego (oddanem już oddawna do jego użytku), na parterze w gmachu Izby Handlowej, i obracał

się nerwowo na kręconym fotelu, bębnił palcami w poręczę, spoglądając co chwila na zegar, wiszący na przeciwległej ścianie. Godzina była jedenasta rano. W Izbie Handlowej rozlegało się echo łoskotu Otchłani, która przez dwie godziny wyrzucała i wchłaniała, rozlewała i rozbryzgiwała spienioną falę.

Poczekalnia biura była bardziej niż kiedykolwiek przepełniona. Pasorzyty wszelkiego gatunku wycierały ściany ramionami i oknami. Miljonerzy i żebracy popychali się wzajemnie w drzwiach wejściowych. Wiceprezes wielkiego banku śledził bacznie, a skrycie drzwi gabinetu prywatnego; administrator handlowy jakiejś linii kolejowej, rozprawił z gronem reporterów, czekając na posłuchanie.

Gdy Gretry, adjutant wielkiego męża, przechodził śpiesznie przez przedpokój, rozmowa nagle ucichła i z pół tuzina niecierpliwych skoczyło ku niemu. Ale makler torował sobie drogę śród tłoku, potrząsając głową, usprawiedliwiając się i, wszedłszy do biura, zamknął drzwi za sobą.

Na stuk zamka Jadwin drgnął w fotelu i wyprostował się, poczem, poznawszy Gretry'ego, opadł znów w głąb, i odetchnął.

— Dlaczego nie pukasz, Samie? — zawołał. — Mógłbyś zabić człowieka, albo przerazić go śmiertelnie. No, i cóż słyhać?

— All right! Zapewniłem sobie tłum magazynierów... przyniosłem ci to do przejrzania. — Rzucił na biurko arkusz, pokryty cyframi. — A teraz już odchodzę; umówiłem się z grupą północno - zachodnią, mamy się spotkać za dziesięć minut. Czy Hargus albo Scannel nie pokazał się jeszcze?

— Hargus tkwi ciągle tutaj w pokoju klientów, — odparł Jadwin. — Muszę się z nim widzieć ilekroć będzie trzeba. Ale Scannel jeszcze się nie pokazał. Sądziłem, że nowa podwyżka ceny w piątek sprowadzi go tutaj. Mnie małem, że obliczyłeś, iż on tej podwyżki nie wytrzyma.

— Bo też nie wytrzyma, — odpowiedział Gretry. — Przyjdzie tu do ciebie jutro albo pojutrze.

— Jutro, albo pojutrze to zapóźno, — rzekł Jadwin. — Chcę mu wpakować nóż w gardło dzisiaj. Idź na salę gieł-

dową i podbij cenę jeszcze o centa. To go tu sprowadzi... albo musiałbym się bardzo mylić.

Gretry skinął głową.

— All right! — odparł; — to twoja sprawa. Zobaczymy się na śniadaniu.

— Na śniadaniu! Nie mogę nic jeść. Ale wpadnę, żeby się dowiedzieć co usłyszałeś od tych ludzi z północnego zachodu.

W kilka minut po wyjściu Gretry'ego do uszu Jadwina dobiegł z przeciwnej ściany pokoju wściekły stuk aparatu, a jednocześnie zdawało mu się, że odległy szum w Otchłani stawał się coraz gwałtowniejszy i przybierał ton ostrzejszy, wrzaskliwszy. Spojrzał na wysuwający się z aparatu pasek papieru. Zwyczajka jednocentowa stała się faktem dokonanym.

— Wytrzymasz do końca, co, bydlę jakieś? — mruczał Jadwin.—Zobaczymy jak ci się to spodoba.—Wyjął zegarek. — Nie minie dziesięć minut, a wpadniesz ty tu do mnie....

Podszedł do drzwi, wezwał z przyległego pokoju jednego z pracowników i kazał mu poszukać i sprowadzić Hargusa.

Gdy starzec wszedł, zbliżając się powoli, Jadwin zerwał się i podał mu rękę.

Hargus trzymał w dłoni wytarty cylinder, z bocznej kieszeni wyszarzanego, poplamionego surduta, wystawała paczka starych gazet. Krawat, raczej sznurowadło przypominający, opadał na brudny gors koszuli, jeden pomięty mankiet, oderwany od rękawa zesunął się, odsłaniając obnażoną, wychudłą rękę, między płótnem a suknem, i opadł na palec, trzymające niezapalony ogryzek cuchnącego cygara.

Widocznie oszołomiony wezwaniem, którego powodu nie mógł odgadnąć, patrzył na Jadwina z pod zaczerwienionych powiek przerażeniem zagasłych oczu.

— Panie Hargus, usiądź, proszę. Rad jestem, że pana widzę, — zawołał Jadwin.

— He?

Głos pytającego był słaby i płaczliwy.

— Mówię, żeby pan usiadł. Niech pan weźmie krzesło. Chcę z panem pomówić. Pan kiedyś zmonopolizował na giełdzie pszenicę.

— Och... Pszenica.

— Tak. Czy pan pamięta?

— Pamiętam. O! to już dawno. W siedemdziesiątym ósmym... we wrześniu...

Głos jego przycichał stopniowo; starzec błędnym wzrokiem wodził po posadzce, wciągał policzki i przesuwiał kraniec dużej kościstej dłoni po ustach.

— Zdaje mi się, że pan wtedy stracił cały majątek. Scannel podszedł pana, chociaż był pańskim spółnikiem.

— Hę? To było w siedemdziesiątym ósmym... Sekretarz Izby Handlowej ogłosił zawieszenie czynności naszej firmy o dziesiątej rano...

I mówił dalej bezdźwięcznym głosem, powtarzając słowo w słowo te same frazesy, któremi posługiwał się przez tyle lat, że już utraciły wszelkie znaczenie.

— To Scannel, spółnik pański, podszedł pana, — przerwał Jadwin w końcu. — Scannel, mówię. Przecież pan zna Dawida Scannela.

Starzec spojrział nawpół przytomnie na mówiącego. Poczem, gdy nazwisko wyrzyło się w wyniszczonym mózgu, zabłyśło w zagasłym oku światełko, zapaliła się iskra z popiołów dawnego ognia. Iskrzyła się przez krótką chwilę i znikła.

Płaczliwym, bezdźwięcznym głosem powtórzył znów:

— To było w siedemdziesiątym ósmym... Straciłem trzysta tysięcy dolarów.

— Jakże się miewa siostrzeniczka? — spytał w końcu Jadwin.

— Moja siostrzeniczka... pan pyta o Lizzie? Zdrowa jest i szczęśliwa. Ja... ja mam... — wyciągnął z kieszeni zwitek brudnych papierów: kopert, gazet, okólników itp.— ja tu... ja... ja mam... mam tu gdzieś jej fotografię,

— Tak, tak; wiem, wiem, — zawołał Jadwin. — Widziałem. Pokazywał mi pan wczoraj, pamięta pan.

— Mam... mam tu gdzieś... gdzieś, — upierał się starzec, przetrząsając kieszenie.

Naraz pracownik biurowy, stojąc we drzwiach, zaanonsował:

— Pan Scannel.

W pokoju zjawił się wysoki tęgi mężczyzna; twarz miał czerwoną, krótkie faworyty sterczące, jakby z drutu, małe, świdrujące oczy, olbrzymie, obrośnięte włosami, uszy; ubrany był w garnitur marynarkowy, a cylinder jego świecił jak lustro. Wszedł do biura z wielką swobodą i szerokim giestem, krzyząc niemal:

— Dzień dobry, jakże się macie, dowódcu?

Jadwin skinął głową, spoglądając ponuro z pod nachmurzonego czoła.

— Hola! — rzekł.

Przybyły zajął miejsce na krześle i odpowiedział zachmurzeniem na zachmurzenie.

— O, to tak... — mruknął, — a no i owszem...

Zauważył Hargusa, który siedział z przeciwnej strony przy biurku, przetrząsając jeszcze ciągle brudne papiery i kieszenie, lecz udawał, że go nie poznaje. Zapanowało chwilowe milczenie; poczem, głosem, w którym nie było już cienia pierwotnej zuchwałej fanfaronady, Scannel rzekł:

— Uwziąłeś się na mnie, panie Jadwin. Jestem w stosunku do ludzi, jak ssący tłok, wiem o tem. Należę do tych kilkuset przeklętych szaleńców, których zdołałeś usidłać. A teraz chcę wiedzieć ile mnie będzie kosztowało wycofanie się z tego całego interesu? Jak wygląda nasz rachunek?... Co pan mówi?

— Mam bardzo dużo do powiedzenia, — zauważył Jadwin, ciągle chmurny.

Hargus nareszcie rzucił na biurko fotografię.

— Oto jest, — rzekł. — To ona... Lizzie.

Jadwin wziął fotografię, nie spojrzawszy na nią, lecz zatrzymał ją w ręku i, mówiąc dalej, uderzał nią zlekka w biurko.

— Wiem... wiem, Hargusie—odparł. — Mam bardzo dużo do powiedzenia, panie Dawidzie Scannel. Widzisz tego starca tutaj?

— Aaa... dajmy mu pokój! — mruknął Scannel.

— To Hargus. Znasz go, panie Scannel, bardzo dobrze. Ty i on usiłowaliście kiedyś przeprowadzić wielką tranzakcję pszenicą wrześnieową... Hargus! Słyszycie, Hargus!

Starzec podniósł wzrok.

— Oto jest człowiek, o którym mówiliśmy... Scannel, pamiętacie. Pamiętacie Dawida Scannela, który był waszym spółnikiem w siedemdziesiątym ósmym? Spójrzycie na niego. Tak teraz wygląda. Bogacz z niego. Pamiętacie Scannela?

Zagastłemi, zażawionemi oczyma wpatrzył się Hargus w Scannela.

— Co to ma znaczyć? — zawołał ten ostatni. — Zdaje mi się, że nie jestem tutaj chyba na wystawie. Ja...

Ale przerwał mu głuchy, krótki dźwięk, który wybiegł z drżących ust Hargusa. Starzec nie powiedział słowa, tylko pochylił się naprzód, i wbił się oczyma w twarz Scannela; oddychał z trudnością, palcami bębnił w podbródek.

— Tak, to on, Hargusie, — rzekł Jadwin. — Prowadziście razem, dawno, dawno temu, wielki interes, — ciągnął dalej, zwracając się nagle do Scannela, w skroniach jego zaczęło pulsować tętno.—Wielki interes a pan go o-szukał...

— To kłamstwo! — krzyknął Scannel.

— O s z u...k a... ł e ś go. Ja cię znam, panie Scannel, Wiem jaki z ciebie ptaszek. Zrujnowałeś jego, żeby ukryć własne brudne sprawy a od tej pory biedny stary Hargus żyje z jałmużny, w nędzy, w głodzie i opuszczeniu, Bóg jeden tylko wie jak... tak, i jeszcze żywi siostrzenicę; ty zaś... ty paradowałeś w klubach, rozbijałeś się własnymi jachtami parowemi, hulałeś ze swemi utrzymankami... za pieniądze, które ukradłeś jemu!

Scannel poruszył się gwałtownie na krześle, mrugając małemi oczami.

— Słuchaj pan, — krzyknął z wściekłością, — nie zniósę, żeby ktokolwiek do mnie tak przemawiał, nie pozwolę na to nawet najbliższemu przyjacielowi. Proszę skończyć.

Dolna szczęka Jadwina zacisnęła się z groźnym zgrzytem; pochylił się naprzód wyzywający, pewny siebie.

— Przerzywasz mi, ponownie, panie Scannel, — oświadczył, — i wyjdiesz z tych drzwi bankrutem. Słuchaj co mówię i zastosuj się do moich rozkazów. Po to przyszedłeś tu dzisiaj. Jeżeli sądzisz, że zdołasz otrzymać pszenicę skądinąd, spróbuj.

Scannel spochmurniał i nie odpowiedział. Hargus wyłękłmi oczyma spoglądał to na jednego, to na drugiego. Jadwin, przerzuciwszy papiery na biurku, zatrzymał wzrok na jednym z obrachunków. Nagle zwrócił się do Scannela i rzekł gorączkowo:

— Masz w naszej firmie dwa miliony buszli po dolarze buszel.

— Nic podobnego! — krzyknął Scannel. — Tylko półtora miljona.

Jadwin nie mógł się powstrzymać od ironicznie wesołego spojrzenia, widząc jak łatwo Scannel wpadł w pułapkę.

— A więc półtora miljona, — powtórzył. — Dostanie pan z tego sześćset tysięcy po dolarze i pół za buszel.

— Po dolarze i pół! Ależ, człowieku, na Boga!... Zrezygnuj dobrze, — Scannel machnął ręką lekceważąco, — zbankrutuje poprostu... jak pan słusznie powiedział.

— O, nie, nie zbankrutuje pan, — odparł Jadwin, cofając się i zakładając nogę na nogę. — Kazałem zbadać bardzo starannie pański stan finansowy, panie Scannel. Pan ma gotówkę. Wiem, co pan może wytrzymać.

— Ależ to śmieszne! Ta garść pszenicy będzie mnie kosztowała trzysta tysięcy dolarów.

— Wła... śnie.

Poczem nagle Scannel poddał się. Z kamiennym spokojem wyjął książkę czekową z kieszeni.

— Niech będzie płatny na okaziciela, — rzekł Jadwin.

Scannel spełnił to żądanie a Jadwin wziął czek i obejrzał dokładnie.

— A teraz uważaj, Dawidzie Scannel. Widzisz ten czek? Spójrz w czyje idzie ręce, — mówił Jadwin, wsu-

wając papier w dłoń Hargusa. Główna część pańskiego długu jest zatem spłacona.

— Główna?

— Nie zapomniał pan chyba o procentach, co? Nie będę obliczał procentów składanych, bo to położyłoby pana niechybnie. Ale sześć procent od trzystu tysięcy, od r. 1878 wyniesie... zobaczmy... trzysta sześćdziesiąt tysięcy dolarów. A winien mi pan jeszcze dziewięćset tysięcy buszli pszenicy. Przez chwilę spisywał cyfry na kartce. — Jeżeli policzę panu za tę pszenicę po dolarze czterdzieści, będziemy mieli tę sumę właśnie... Tak to w porządku. Niech pan wystawi czek na okaziciela, jak poprzedni.

Scannel wahał się przez chwilę, twarz jego pokryła się szkarłatem, zgrzytał zębami, mruzczał coś wściekle pod nosem i otworzył powtórnie książeczkę czekową.

— Dziękuję — rzekł Jadwin, biorąc czek.

Nacisnął guzik dzwonka.

— Kinzie, — zwrócił się do wchodzącego pracownika — po zamknięciu giełdy proszę posłać panu Scannelowi kwity na dostawę półtora miliona pszenicy. Jego rachunek z nami jest uregulowany.

Jadwin zwrócił się do starca, podając mu drugi czek.

— Masz, panie Hargus. Schowaj dobrze. Widzisz co to jest. Kup swojej Lizzie błoty zegarek i powiedz, że to od Curtisa Jadwina wraz z pięknym ukłonem.. Co Scannel, odchodzisz? A więc, do widzenia panu; tylko proszę nie trzaskać drzwiami, wychodząc!

I odwrócił się obronnym ruchem, albowiem szyba omal nie wyleciała z oprawy, gdy Scannel, jak wichher, wyleciał z pokoju.

Jadwin, kiwając uroczyście głową, zwrócił się do Hargusa.

— A jednak trzasnęła drzwiami, co? i to porządnie.

Starzec siedział, oglądając w milczeniu dwa czeki, które trzymał w palcach w końcu, zafrasowany i drżący, spojrzął na Jadwina.

— Ja... ja nie wiem, — szepnął słabym głosem. — Jestem bardzo stary. To tutaj... tutaj jest dużo pieniędzy.

Ja... nie mogę powiedzieć, ja... nie wiem. Jestem stary... stary jestem,

— Nie straci ich pan teraz, co?

— Nie, nie, złożę je zaraz w Illinois Trust. Poproszę... chciałbym...

— Poślę urzędnika z panem.

— Tak, tak; to właśnie co chciałem... chciałem... o co chciałem prosić. Ale, muszę wypowiedzieć, panie Jadwin.

I zaczął, jękając się dziękować, ale Jadwin przerwał mu. Wstał, odprowadził go do drzwi, trzymając dłoń na jego ramieniu a u wejścia do biura zewnętrznego, zawołał:

— Kinzie, proszę zaprowadzić pana Hargusa do Illinois Trust i przedstawić go. Chce sobie otworzyć rachunek.

Starzec wyszedł z urzędnikiem, ale zanim Jadwin zdążył usiąść przed biurkiem, powrócił, cały wzburzony jakgdyby nagle powziął jakąś wielką myśl. Mówiąc, spoglądał ciągle chyłkiem za siebie, a mówił szeptem i drżącą dłonią osłaniał usta:

— Pan... pan tu... pan tu rządzi teraz. Pan mógłby mi dać... prawda? Pan mógłby mi dać... małą wskazówkę... jedno słówko. Jedno słówko wystarczyłoby... ojoj! Małeńkie słóweczko. Mój Boże! mógłbym do południa zarobić z pięćdziesiąt dolarów.

— Ależ, człowieku, przecież przed chwilą dałem ci pół miljona!

— Pół miljona? Nie wiem.—Ale, — i, drżąc ciągnął Jadwina za rękaw — tylko słówko, — prosił, — tylko tak albo nie.

— Czy panu nie wystarczą te dwa czeki?

— Te czeki? Ach, wiem, wiem, wiem. Ja je zamarynuję... tak, tak w Illinois Trust. Ja ich nie ruszę... za nic. Ale, teraz tylko jedno słóweczko, co?

— Ani słówka, ani jednego słówka. Kinzie, zabierz go.

W tydzień później Jadwin, za pośrednictwem swoich agentów paryskich, sprzedał olbrzymią partję pszenicy za gotówkę po dolarze sześćdziesiąt centów za buszel. Zapotrzebowanie z zagranicy stało się teraz wprost niedorze-

czne. Nikt nie pytał o cenę. Wołano tylko „Dajcie nam pszenicę, bez względu na koszty, bez względu na cenę; byleby tylko wysłana została na nasze rynki całą siłą i szybkością pary“.

W Izbie Handlowej w Chicago, Jadwin był takim nieograniczonym panem rynku, jak swojej własnej prawej ręki. Wszystko zamierało, gdy podniósł jeden palec; wszystko wracało do życia niepohamowanym pędem na jedno skinienie jego głowy. Majątek jego powiększał się z taką osłupiającą szybkością, że Jadwin nie mógł wcale choćby w przybliżeniu oznaczyć wysokości i wzrostu swoich zarobków. Wiedział tylko, że przewyższały dwadzieścia, a nie dosięgały 50-ciu milionów. Nie były te wieczne wzgórza bezpieczniejsze niż on od napaści wrogich ludzi. Z szeregów zwyciężonych nie wybiegał jeszcze najłżejszy szept nieprzyjazny. Żaden Cezar, żaden satrapa, żaden car nie posiadał w swojej sferze władzy absolutniejszej.

— Sam, — rzekł w końcu Curtis Jadwin do maklera, — Sam, nic na świecie nie zdoła mnie teraz powstrzymać; im się wydaje, że dokonałem jakiegoś wielkiego dzieła, skupując całą pszenicę, nieprawda? A ja zaledwie zacząłem. Wysunąłem dopiero macki, i teraz dopiero pokażę im z jakiego kalibru strzela naprawdę J. C. Przerzucę tę całą kampanję na lipiec. Zacznę kupować pszenicę lipcową.

Rozmowa toczyła się, jak zwykle, w biurze Gretry'ego a na te słowa Jadwina makler spojrział nań z niedowierzaniem.

— Teraz zwarzjowałeś już napewno.

Jadwin zerwał się na równe nogi.

— Zwarzjowałem! — wrzasnął, — zwarzjowałem! Co przez to rozumiesz? Zwarzjowałem! Na miłość boską, Sam, co... Słuchaj, ty się już do mnie tak nie odzywaj; ja... to mi się nie podoba. Mówię ci i powtarzam, że przerzucę całą tę kampanję na lipiec. A więc ty sobie wyobrażasz, że cisnę tak wszystko teraz, kiedy właśnie mam już na dobre cały rynek w rękę? Ładnie bym wyglądał, gdybym się teraz wycofał... nawet, gdybym mógł. Wycofać się? w jaki sposób załatwilibyśmy się z temi olbrzymiemi ilościami pszenicy, nie obniżając własnej ceny? Nie, mój panie, nie

z tego. Cena podniesie się na dwa dolary. — Uderzył pięścią w kolano, a twarz jego nagle pokryła się szkarłatem. — Mówię ci na dwa dolary! — krzyknął. — Dwa dolary, słyszysz? Doprowadzę do tego, zobaczysz, zobaczysz!

— Sprawozdania o nowych zbiorach zaczęły napływać w czerwcu. — Ostrzeżenie brzmiało niemal jak krzyk. — Cena pszenicy jest obecnie taka wysoka, że Bóg wie ilu farmerów siał ją będzie wiosną. Powinieneś być przygotowany na bardzo obfite zbiory.

— Ja wiem lepiej, — odparł Jadwin. — Śledzę bacznie tę sprawę. Nic nowego w tym względzie mi nie powiesz. Mam ja twoje całe „nowe zbiory“ obliczone.

— Jesteś zatem Bogiem Wszchemocnym we własnej Osobie.

— Nie lubię żartów tego rodzaju... nie lubię takich żartów; to bluźnierstwo, — zawołał Jadwin. — Baw niemi Crookes'a, on je oceni, ja nie. Ale, co do tych nowych zbiorów... spojrzuj.

I przez dwie godziny z górą Jadwin dowodził i obliczał i pokazywał Gretry'emu długie tablice statystyczne, pragnąc dowieść, że ma słusność.

W końcu wszakże Gretry potrząsnął głową i spokojnie, rozważnie wyraził swoje zdanie.

— J., posłuchaj mnie. Dokonałeś wielkiej rzeczy. Wiem o tem i wiem także, iż bywało często w ciągu ubiegłego roku, że ja się myliłem a ty miałeś słusność. Ale teraz J., tak mi Boże dopomóż, stanęliśmy u kresu. Pszenica warta jest dzisiaj półtora dolara i ani centa więcej. Każda ósemka powyżej tej ceny będzie inflacją. Jeżeli ją podbijesz na dwa dolary...

— Sama podskoczy do tego poziomu, mówię ci.

— Jeżeli ją podbijesz na dwa dolary, przepelnisz tem miarę tak, że najlżejsze wstrząśnienie ją przewróci. Zadowolnij się tem, coś osiągnął. J., tak radzi zdrowy rozsądek. Załatw się z dostawami majowemi i na tem przestań. Przypuśćmy, że cena nieco spadnie, to i tak jeszcze zarobisz niemało. Ale przerzucić tę kampanję na lipiec, to ruina, ruina. Mogłem się mylić przedtem, ale wiem, że teraz mam słusność. A czy wiesz, J., że wczoraj były

wypadki sprzedaży na krótki termin? Byli tacy, co się ośmielili iść przeciw tobie... a dzisiaj rano sprzedawano jeszcze więcej. A ty musisz ciągle kupować, wiesz o tem. Gdyby oni wszyscy zaczęli sprzedawać odrazu tobie, powaliliby ciębie niechybnie. Przeraziłeś ich i myślę, że to jedynie ich powstrzymuje. Ale to sprzedawanie dowodzi, mojem zdaniem, że już ochłonęli z pierwszego strachu. Mniemają, że dostaną pszenicę od farmerów, gdy zaczną się żniwa. A ty, J., podbiłeś cenę tak wysoko, że w całym kraju coraz większe przestrzenie uprawiane są pod pszenicę.

— Obleciał cię strach, Sam! — zawołał Jadwin, — w tem cały kłopot z tobą. Bałeś się od początku. Czy nie możesz zrozumieć, człowieku... czy nie możesz zrozumieć, że ta giełda, to istny tornado?

— Ja widzę tylko, że farmerzy w całym kraju sieją pszenicę tak gorączkowo, jak nigdy dotąd. Wielkie bogi, walczysz przeciw samej ziemi.

— A więc ją zwalczę. Powstrzymam tych siewaczy. Poco mi te wszystkie gazety i dzienniki handlowe? Zaczniemy wysyłać jutro sprawozdania, które zniechęcą do wszelkiego uprawiania pszenicy na wielką skalę.

— Zresztą — ciągnął Gretry dalej, — jest tu jeszcze inna kwestja. Czy ty wiesz, że powinieneś w tej chwili się położyć. Przecież masz nerwy zupełnie poszarpane. Sam przyznajesz, że nie sypiasz już wcale. A gdy ktokolwiek z nas zaprzecza ci lub ci się sprzeciwia, ciskasz się, jak wściekły. Ja wiem, że to skutek przepracowania, ale jeżeli dalej będziesz prowadził takie życie, mój stary, będzie z tobą źle. Gdybyś zachorował teraz właśnie... no, nie chcę wcale myśleć o tem, coby się stało. Powinieneś wezwać lekarza.

— Ech, gadasz głupstwa — zawołał Jadwin. — Jestem zupełnie zdrow. Nie potrzeba mi lekarza; nie mam na to czasu. Nie troszcz się o mnie; nic mi nie jest.

Czy istotnie? Teżże nocy, pierwszej, jaką od czterech dni spędzał pod własnym dachem, Jadwin leżał, nie mogąc zasnąć do godziny czwartej i zadawał sobie to samo pytanie. Nie, nie jest zdrow zupełnie. Coś w jego organizmie jest nie w porządku, a stan ten pogarsza się stale. Uczu-

cie, że żelazna obręcz ściska mu głowę nie opuszczało go już prawie wcale a samo przejście z pokoju, jaki zajmował w Grand Pacific, do biura Gretry'ego, wyczerpywało go i pozbawiało oddechu. Potem przychodziły zawroty głowy i niewytlómaczone mdłości, jakgdyby stał w dźwigu, spadającym z przerażającą szybkością.

Chodząc po ulicy La Salle lub siedząc w biurze Gretry'ego, gdzie wrzawa, dobiegająca z giełdy, huczała mu wiecznie w uszach, Jadwin zapominał o tych objawach. Bał się tylko nocy — długich godzin, które musiał spędzać w samotności. Z chwilą, gdy ustawało naprężenie nerwów, zaczynał się w jego mózgu tentent galopujących kopyt końskich lub szum niepowstrzymanych potoków. A zawsze te odgłosy uderzały tą samą kadencją, zawsze tętno składało się na te same wyrazy:

„Pszenica — pszenica — pszenica, pszenica — pszenica — pszenica“.

Ostatniemi czasy zaś, podczas długich, cichych, bezsennych nocy, gdy wpatrywał się w sufit lub liczył godziny, które musiał minąć przed następną dawką bromu, przyszyły nowe objawy wyczerpania.

Ogarniało go uczucie, trudne do określenia. Jakby powolny, naprężony skurcz najdrobniejszego nerwu. Zaczynało się to, gdy leżał w łóżku — licząc cyfry bez końca, żeby się usnąć — pomiędzy kolanami a kostkami i pełzało coraz wyżej, od bioder do ramion, stopniową falą tortury, która nie była bólem, lecz czemś nieskończenie gorszem. Jakgdyby biljony drobnych uderzeń elektrycznych wbijały się w jego ciało aż dosięgły głowy, i tu zogniskowały się w białej błyskawicy, którą raczej odczuwał, niż widział.

Własne ciało wydawało mu się osobliwe i obce — jakgdyby nic nie ważyło; niekiedy zaś miał wrażenie, że mu dłonie puchną szybko do rozmiaru olbrzymich rękawic bokserskich i musiał rozcierać je mocno, żeby odczuć, iż są istotnie jego własne.

Z dnia na dzień odkładał wezwanie lekarza pod pozorem, że nie ma czasu. Lecz prawdziwą zwłokę przyczyną — chociaż nigdy nie przyznał się do tego — była obawa, że lekarz powie mu prawdę, której się domyślał.

Czy to ogarnia go obłąd? Groza tego pytania przesywała go, jak grot. Co się stanie? Jaka klęska zawisła nad nim?

„Pszenica — pszenica — pszenica, pszenica — pszenica — pszenica“.

Zegarek pod poduszką podjął zwrotkę. Jak załatwić interesy jutrzejsze, jak dopilnować tamy tego potoku, który się rozpętał powodując upadek sił umysłowych?

Znużony, osłabiony, wstawał dnia następnego. Jechał do miasta, usiłując nie słyszeć odgłosu kopyt swoich koni. Odurzony, oszołomiony, wchodził do biura Gretry'ego i sam, z trwogą swoją, siedział w fotelu przed biurkiem, czekając, czekając.

Naraz w dali odzywał się dźwięk gongu. Tuż nad głową Jadwina przeciekając przez drzewo i żelazo,—dobięgały doń odgłosy potężnego tętna Otchłani — wir rozpoczynał się na nowo. I znów stężały w skurczu osłabione, poszarpane nerwy. Szum malsztromu stał się bodźcem, który doprowadził do równowagi zachwiany mózg i — Jadwin sam nie mógłby powiedzieć w jaki sposób — interesyienne zostały załatwione, bitwa była raz jeszcze przeprowadzoną.

Często działał pod wpływem ślepego instynktu. Czuł, że niekiedy opuszcza go jasny sąd o rzeczach i rozwaga. Postanowienia, mające znaczenie zasadnicze dla sytuacji, musiały być powzięte bez chwili namysłu. Decydował się za lub przeciw, nie wiedząc dlaczego. Pod nogami jego rozwierały się szczeliny. Musiał przeskakiwać nie patrząc na brzeg przeciwny. Ale jakoś stawał zawsze mocno na nogach; zawsze jakoś jego wrelka, obciążona machina, chociaż chwiała się, chociaż rozluźniły się jej spoidła, nie schodziła z toru.

Szczęście, jego złocista bogini, dobry duch o błyszczących skrzydłach, jeszcze go nie opuścił. Jakkolwiek wyzyskiwany a nawet wyszydzany, pozostał wierny, podając pomocną dłoń.

Tak zbliżył się maj do końca. Pomiedzy dwudziestym piątym a trzydziestym Jadwin rozpoczął kampanję lipcową, wbrew protestom i ostrzeżeniom Gretry'ego. Wydały mu się zupełnie śmieszne. Był teraz za bogaty, za mocny,

żeby obawiać się jakiegokolwiek wyniku. Zyski z monopolu pszenicznego wznosiły się z każdym dniem. Nieszczęśliwi sprzedawcy na własną rękę musieli ustąpić. W biurze Gretry'ego wysłuchiwali codziennie swoich wyroków, a z biegiem czasu, w miarę jak Jadwin widywał coraz więcej tych pobitych spekulantów, zrodziła się w nim wielka pogarda dla natury ludzkiej.

Niewielu z jego pobitych wrogów miało tyle energii, że przyjęli porażkę z posępnym lekceważeniem albo ze sfinksową obojętnością lub wreszcie ze sztuczną wesołością. Ale ujawniający się przeważnie w ich pochyłonych postaciach skwapliwy szacunek, potulna uniżoność, wstrętne pokora doprowadzały Jadwina do pasji. Zaczął nienawidzić tych wszystkich interesów; żałował nawet zuchwałej brutalności Scannel'a, był to wprawdzie łotr, ale niemniej głowę trzymał wysoko. Im bardziej ludzie płaszcyli się przed Jadwinem, tem mocniej przykręcał śrubę. W kilku wypadkach jednak z przyjemnością pozwolił się wzruszyć i sprzedał swoją pszenicę po cenie, nie przyprowadzając ich o stratę; w końcu wszakże, pod wpływem interesów, serce jego skamieniało i stało się nieczułe na wszelką niedolę, wywołaną jego niemiłosiernym postępowaniem.

W ciągu dawno zapomnianego krótkiego pobytu swojego w szkołach spotkał się gdzieś ze zdaniem, które przypomniało mu się teraz, jakąś krętą ścieżką kojarzenia myśli, i gdy usłyszał o klęskach, jakie wywołała jego kampanja, o straconych majątkach i złamanych karierach co utonęły w Otchłani, nie zawahał się powiedzieć z krótkim śmiechem i wzruszeniem ramion:

— *Vae victis!*

Z żoną widywał się Jadwin rzadko. Niekiedy jadali razem śniadanie; częściej spotykali się przy obiedzie. Ale to wszystko. Życie Jadwina stało się teraz takie nieregularne, a jego kilkogodzinny sen taki cenny i tak łatwo zakłócony, że oddawna już zajmował osobną sypialnię.

Jakie życie pędziła przez ten czas Laura — nie wiedział zupełnie. Nie mówiła z nim o tem nigdy — nie skarżyła się już nigdy na samotność. Gdy ją widział, wydawała się zawsze wesoła. Ale właśnie ta wesołość przejmowała

wała go niepokojem i po przez zasłonę z worków pszenicy utworzoną, po przez wrzask giełdy i trzask rozpadających się fortun, docierało do niego podejrzenie, że z Laurą zupełnie dobrze się dzieje.

Raz jeden spróbował wyrwać się z zamętu ulicy La Salle i Izby Handlowej i na jakiś czas przynajmniej powrócić do dawnego życia, które tak ukochali — słowem, do żony. Ale skutki, stąd wynikłe, były fatalne. Teraz nie mógł już się odrywać od wiru, w jaki się wplątał.

— Zmonopolizowałem pszenicę!—rzekł do żony dnia następnego, — ale ta pszenica mnie zmonopolizowała. To jakbym schwycił wilka za uszy!... niebezpiecznie przytrzymać go, ale gorzej jeszcze puścić.

Lecz pochłonięty, oślepiiony, ogłuszony wirem wypadków, Curtis Jadwin nie mógł nawet dostrzec jak dalece uzasadnione było jego słabe podejrzenie co do niedoli Laury.

Nazajutrz, po owym wieczorze spędzonym z mężem w galerji obrazów, po owym wieczorze, kiedy Gretry wtargnęła niby goniec z frontu, Laura wstała z łóżka i spojrzała w świat nagle pusty.

Corthell'a odsunęła od siebie na zawsze; Jadwina oderwano od niej ponownie; gdzież miała się teraz zwrócić? Jadwin nalegał, żeby wyjechała na wieś, do ich posiadłości w Geneva Lake — ale nie chciała. Widziała zmianę, jaka w ostatnim czasie zaszła w mężu — widziała jego zapadłą twarz, gorączkowym blaskiem płonące, znużone oczy, drżące palce i nerwowe ruchy. Przeczuwała niejasno zbliżającą się klęskę. Jeśli się coś ma stać Curtisowi, jej miejsce jest przy jego boku.

Podczas szamotania się Jadwina i Crookes'a w zaciętej walce, Laura szukała zajęcia w różnych drobnych sprawach życiowych. Przeglądała garderobę, zamawiała suknie letnie, bywała codziennie u swoich krawczyń i krawców, jeździła i spacerowała po parku, gdzie każdy zakręt drogi, każde drzewo, każdy krzak znała już do znudzenia.

Poczem nagle ogarnęła ją manja do starych książek i pierwszych wydań. Chodziła do księgarzy i antykwaryjuszów, szukała wskazówek u bibliofilów, uczęszczała na licy-

tacje i skupowała na lewo i na prawo bez miary i należytego zastanowienia. Ale niebawem i to jej się uprzykrzyło. Zabrakło temu upodobaniu podniety — dzięki olbrzymim sumom, jakimi rozporządzała, wystarczyło, by zapragnęła tego czy owego skarbu, a już go miała w rękach.

I tak było ze wszystkim. Życzeniom jej stawało się zadość z szybkością, która zabijała ich drażniący przysmak. Nie odczuwała radości posiadania; znikł stosunek osobisty między nią a rzeczami, stanowiącemi jej własność. Tualety, przekraczające bogactwem i gustem wszystko, o czym kiedykolwiek marzyła, nie miały dla niej więcej znaczenia, niż szuflada pełna znoszonych rękawiczek. Kupowała konie dopóty, aż wreszcie nie wiedziała już, co z niemi począć; ekipaże jej zapełniały trzy dodatkowe wozownie w sąsiedztwie. Jej kwiaty, cuda pracowitej hodowli, przepelniały dom cały wonią. Gdziekolwiek się ukazała, szacunek i uniżoność wyprzedzały ją, jak straż, uroda jej, olbrzymi majątek, przepiękne konie, nieporównane toalety sprawiały, że stała się gwiazdą pierwszorzędną wielkości, prawdziwą królową.

I nie minął dzień jeden, żeby Laura Jadwin w samotności swego buduaru nie wyciągała rąk ruchem znużenia i bezgranicznej nudy, wołając głośno:

— Och! jakie to życie bezdemnie głupie i nudne!

Nie spodziewała się niczego, nie czekała na nic. Wszystkie dni były do siebie podobne. Nikt jej nie odwiedzał. Pomimo wspaniałego domu i olbrzymiej fortuny, jej stosunki towarzyskie były bardzo nieliczne. Jej „wielkie tony“ nie dopomogły do zdobycia popularności. Spędzała wieczory samotnie, czytając długo w noc; albo, pogasiwszy światła, siedziała w otwartym oknie, nasłuchując jednostajnego plusku i szumu jeziora.

W takich chwilach myśli jej biegly ku mężczyznom, którzy stawali na drodze jej życia, — ku miłości, której zaznawała od najmłodszych lat dziewczęcych. Przypominała sobie pierwsze poważne kochanie. Był to niezamożny student teologii — jej nauczyciel. Nosił okulary i małe czarne faworyty i błagał, żeby go poślubiła i wyjechała z nim do Chin, gdzie miał zostać misjonarzem. Ilekróć przy-

chodził, przynosił jej nową książkę do czytania i szli razem na długie spacery, ku wzgórzom, gdzie stał stary młyn. A potem był młody adwokat, — „najprzystojniejszy mężczyzna w Worcester Country“; — ten zabierał ją na przejażdżki wynajętym powozikiem, przysyłał jej mnóstwo nowelek z dzienników (których nigdy nie czytała), z podkreślonymi starannie wyznaniem miłosnemi, i pisywał okropne wiersze do jej oczu i włosów, których „aksamitna czerń była cieniem korony“.

Albo znów młody oficer kawalerji, którego poznała, bawiąc u ciotki w Bostonie — zakochał się od pierwszego wejrzenia, dał jej swoją fotografię i pas z paciorków wyrobu Apaszów. Śpiewał do niej ciągle przy akompaniamencie gitary starą pieśń miłosną:

W północny czas
Szeptał tak słodko
U wieży stóp
„O nie bój się, uciekaj,
Z żołnierzem wiernym twym“.

Potem przyjechała do Chicago i pokochał ją Landry Court, pełen porywów młodocianych i egzaltacji. Nie brała go nigdy na serjo, niemniej słodka była bardzo świadomość, że dla niego świat cały zależał od skinienia jej głowy i, że jej wpływ na niego był taki potężny, iż, dzięki niemu, pozostał prawy i uczciwy.

A potem wtargnęli do jej życia Corthell i Jadwin — artysta i b u s i n e s s m a n. Pamiętała dobrze cichą, cierpliwą, poważną miłość Corthell'a, w okresie, poprzedzającym jej małżeństwo. Rzadko kiedy mówił o tej swojej miłości, ale z jakąś przemyślną subtelnością umiał zapełnić nią całe jej życie. Jego drobne atencje, jego dyskretna troskliwość przychodziły zawsze w porę, zawsze wtedy, gdy były najwłaściwsze. Nigdy nie sprawił jej zawodu.

Kiedykolwiek go potrzebowała, albo nawet, gdy pod wpływem kaprysu czy nagłego popędu, zwróciła się do niego, przekonywała się zawsze, że oddawna był na ten właśnie przypadek przygotowany. Wszystkie jego myśli nią były

zajęte. Przez miesiące a nawet lata pamiętał jej najwyklesze upodobania, jej najdrobniejsze niechęci. Jakby instynktem wiedziony odgadywał jej gust; przygotowywał dla niej małe niespodzianki, bez żadnej ostentacji, jakgdyby rozumiały się same przez się. Nie dopuszczał nigdy, żeby się o cò zakłopotala; usuwał z jej drogi nudne troski życia powszedniego, zanim jeszcze zdążyły jej dokuczyć. Zawsze stał na straży, zawsze był pogodny, zawsze zrównoważony.

Nadto bawił ją, dostarczał jej rozrywek, jakby niechęący. Pobudzał ją do rozmowy; zniewalał do myślenia. Podniecał ją, tak, że nieraz zdumiewała się sama nad pomysłowością swoją zarówno w mowie, jak w myśli. Słowem postępował tak, że kojarzyła go ze wszystkim, co jej sprawiało przyjemność.

Odepchnęła go raz i odszedł bez szemrania, po to jedynie by powrócić z sercem równie oddanem, cichy, troskliwy, współczujący; z miłością głębszą jeszcze i silniejszą i — jak zawsze w porę — dotrzymując jej towarzystwa w chwili, kiedy była najbardziej osamotniona.

Teraz wyгнаła go ponownie, a tym razem wiedziała o tem dobrze, nazawsze. Zatrzasnęła drzwi za tą wielką miłością.

Laura poruszyła się nagle, poprawiając włosy nerwowym ruchem.

A w końcu Jadwin — jej mąż. Podniosła się, podeszła do okna i stała przez długą chwilę, patrząc w noc, wodząc wzrokiem po parku. Ciepło było i bardzo cicho. Nieliczne światła pojazdów błyszczały wśród drzew, jak robaczki świętojańskie. Wzdłuż alei i na ławkach dostrzegała blask białych sukien, dobiegał ją też odgłos śmiechów. Zdawało jej się, że gdzieś z dali, z głębi zarośli dolatują dźwięki grającej orkiestry. Na północnym wschodzie rozpościerało się jezioro, lśniące od księżycowej poświaty, migocące tu i owdzie kolorowemi światłami parowców.

Laura powróciła w głąb pokoju. W całym wielkim domu panowała cisza. Z szeregu komnat, korytarzy, galerji, przedsionków nie dobiegał najlżejszy odgłos. Na tem samem piętrze co ona nie było nikogo. Przeczytała wszyst-

kie swoje książki. Na przechadzkę było już zapóźno — zresztą nie miałyby z kim wyjść. Położyć się spać?... ależ to śmieszne! Nigdy nie była bardziej rozbudzona, bardziej ożywiona, nigdy nie miała większej chęci do zabawy, rozrywki, rozmowy.

Przypomniała sobie organy; zeszła do galerji i przez godzinę grała Bacha, Palestrinę i Stainer'a; poczem nagle zerwała się gwałtownym, niecierpliwym ruchem.

— Poco ja gram te głupstwa? — zawołała.

Wezwała lokaja i spytała:

— Czy pan Jadwin jeszcze nie wrócił?

— W tej chwili telefonował właśnie pan Gretry, że pan Jadwin nie wróci do domu dzisiaj wieczorem.

Gdy lokaj wyszedł, Laura z zaciśniętymi ustami, odrzuciła w tył głowę. Dłonie jej złożyły się kurczowo w pięści, oczy roziskrzyły się. Chmurna, wyzywająca, stanęła na środku posadzki, rzucając raz po raz stłumione wykrzykniki.

Raptem opanował ją gniew — gniew i zuchwała przekora, niespodziewany bunt. Wyprostowała się nagle, jak ktoś, kto powziął postanowienie. Poczem opuściła szybko galerję sztuki i, podążyla przez hall do biblijoteki, gdzie otworzyła biurko, stojące w nyży pod niewielkiem malowaniem oknem.

Schwyciła gorączkowym ruchem arkusik papieru, napisała krótki list i zaadresowała kopertę do Sheldona Corthell'a, w Gmachu Sztuk Pięknych, Michigan Avenue.

— Sprowadź posłańca, — rzekła do lokaja, który wszedł, wezwany przez nią dzwonkiem — i każ mu zanieść... albo przyslij go tu do mnie, gdy przyjdzie.

Oparła list o kałamarz i, wsunawszy się w głąb fotelu, wpatrywała się w kopertę. Palce jej skubały nerwowo koronkę u sukni — w głowie jej powstał zamęt.

Chaos myśli, porywów, pragnień, nawpół sformułowanych postanowień, ukrytych żalów osnuwał ją, wirował dookoła niej. Miała wrażenie, że nagle skoczyła — a skokiem tym stanęła na miejscu, z którego roztaczał się przed nią widok krainy nowej, strasznej; krainy nieznaney — gro-

żnej, a jednakże pięknej — niezbadanej, stąd tembardziej pociągającej; krainy widm i cieniów.

Laura wstała i zaczęła chodzić po pokoju, przycisnąwszy dłonie do serca. Była podniecona, lica jej płonęły, ogarnęło ją dziwne upojenie, pierś falowała przyśpieszonym oddechem, a miejsce dręczącej nudy dni ostatnich zajęła szalona wesołość, która błyskawicą roziskrzyła się w jej czarnych oczach.

Przy drzwiach odezwał się odgłos kroków — ocknęła się i ujrzała postać — postać śmiesznie nieodpowiadającą gorączkowym przeżyciom ostatniej godziny: wynędzniały chłopiec w zaszerekim mundurze. .

Laura, siedząc przy biurku, podała mu bilecik energicznym ruchem. Teraz nie pora na wahanie, na zwlekanie. Jeżeli nie wykona postanowienia teraz, czegóż innego może się spodziewać? Czy może istnieć większa pustka w życiu? — czy może być życie cięższe do zniesienia, bardziej upokarzające?

— Zanieś ten bilecik według adresu — rzekła, wręczając chłopcu kopertę i zapłatę. — Czekaj na odpowiedź

Chłopiec włożył list do książki, którą wsunął do bocznej kieszeni, zapiął mundur, złożył ukłon i zwrócił się ku drzwiom.

Siedząc ciągle, Laura śledziła go wzrokiem. A więc stało się. Wybrała; skok jest już faktem dokonany. Jakież nowe życie zacznie się dla niej jutro? Co to wszystko znaczy? Myśli zaczęły z niepojętą szybkością wirować w jej głowie.

Nie poruszyła się. Dłonie, zaciśnięte kurczowo, spoczywały na biurku. Nie odwracając głowy śledziła z pod rzesów odchodzącego postać. Przekroczył drzwi; portjera zapadła za nim.

I wtedy dopiero, gdy nieodwołalność powziętego kroku stała się faktem dokonany, nastąpiła reakcja.

— Stój! — krzyknęła, zrywając się, — stój! Wróc tutaj. Zaczekaj chwilę.

Co się stało? Nie mogła ani zrozumieć, ani wyjaśnić. Przyszła chwila jasnowidzenia i w tej chwili moc wewnętrzna — niby jej własna, a jednak cudza — opanowała jej

wolę. Nie, nie; nie mogłaby, nie mogłaby... mimo wszystko. Odebrała bilecik.

— Namysliłam się, — rzekła krótko. — Zatrzymaj pieniądze. Nie pójdziesz już nidzie.

Skoro tylko chłopiec wyszedł, Laura otworzyła koperkę i przeczytała co napisała. Ale teraz wydało jej się, że słowa te miały jakieś inne znaczenie, nie to, które im nadać pragnęła. Były jej obce; nie były to słowa tej Laury Jadwin, którą ona znała. Czem się to dzieje, że od pierwszej chwili znajomości z tym człowiekiem i w każdej okoliczności ich towarzyskiego stosunku działała zawsze pod wpływem porywu? Co jest w nim takiego, że rozbudza zawsze wszystkie siły buntownicze, jakie w niej drzemały?

A jak długo zdoła utrzymać na wodzy te porywy? Pokonała je raz jeszcze. Ale czy zwycięży następnym razem? A czy wychodziła z tych walk silniejsza po zwycięstwie, czy też słabsza? Nie wiedziała. Podarła bilecik i spała resztki starannie.

W ciągu następnego tygodnia Laura silniej, niż kiedykolwiek, odczuwała swoją niedolę. Przybył jej ciężar nowego udręczenia. Zajście z bilecikiem do Corthell'a, w ostatniej chwili odwołanym, otworzyło jej oczy na możliwość sytuacji, dotychczas nieprzeczuwanej. Widziała teraz jasno, co byłaby zdolna uczynić w chwili upartego kaprysu; ujrzała głębie swej natury, których nie zdołała jeszcze zbadać. Czy te ukryte „wilcze doły“ są specjalnie jej właściwością, czy też są wspólne wszystkim kobietom, znajdującym się w takim, jak ona położeniu, nad tem nie zastanawiała się. Myślała tylko o skutkach i zdjął ją lęk.

Laura oddawna już zaniechała w tym względzie wszelkich rozważań i rozumowań. Reakcja była równie potężna jak pierwotny zamiar, a ona nawet teraz jeszcze walczyła na oślep, intuicyjnie.

Nie umiała podać przyczyny tego, co teraz uczynić chciała, a pobudki ostatecznego i najwyższego wysiłku dla zwalczania splotu okoliczności, które stanęły na jej drodze — były niejasne. Nie pytała nawet jakie są. Wiedziała tylko, że jest w niedoli, a jednak zwróciła się do tego, który był jej przyczyną.

Zwróciła się ślepo do męża, a wszystko, co było w niej kobiecego zbuntowało się, splotło, wezwało na pomoc wszelkie zasoby do jednej jeszcze ostatniej próby, do ostatniego zmierzenia się siły między nią a straszliwą, wzrastającą potęgą ślepej, bezdusznej siły, która ryczała, żłobiła i wchłaniała tam, w samym sercu miasta.

Sama jedna, pojedyncza kobieta, bez pomocy, posiadająca jedyne posiłki w urodzie, rozumie i wzniosłych więzach udreżonej miłości — stanie odtąd jako szermierz przeciw Charybdzie, podejmie walkę z kłoałą, powstrzyma wątlami białemi dłońmi potęgę malsztromu, który porywa Narody w swój wir.

Postanowienie to powzięła w samotności swego pokoju. I ją również uniosła fala, która wpadała do Otchłani — do otchłani czarnej, bezdennej. Raz już pochwycił ją wir, już raz uległa podstępnemu prądowi. Teraz nagle, uświadomiwszy sobie niebezpieczeństwo, cofała się i wznosząc ręce w powietrze, wzywała pomocy i zwróciła się ku największej sile, jaką znała.

— Pragnę swego męża! — wołała głośno śród pustki i ciemności nocy, — pragnę go mieć. I będę go miała; bo on mój, on mój. Nic mnie od niego nie oderwie, nic nie oderwie jego odemnie.

Pierwsza sposobność nadarzyła jej się niebawem w niedzielę. Jadwin, który spędził bezsennie całą noc sobotnią, spał parę godzin przed południem, a gdy po dzisiejszem śniadaniu Laura weszła do palarni, zastała go leżącego na skórzanym szezlongu i usiłującego czytać. Młoda kobieta usiadła przy biurku w rogu pokoju i stopniowo zaczęła przerzucać kartki, stojącego przy jej łokciu, kalendarza. W końcu oderwała jedną z nich i podniosła ją w powietrze.

— Curtis?

— Co, kochanie?

— Widzisz tę datę?

Spojrzał na kartkę.

— Widzisz tę datę? Czy wiesz czem się ten dzień różni... troszeczkę... od innych dni? To trzynasty czerwca... Czy pamiętasz co jest trzynastego czerwca?

Jadwin, zdziwiony, potrząsnął głową.

— Nie... nie wiem.

Laura wzięła pióro i napisała kilka słów na przestrzeni nad wydrukowanymi cyframi, pozostawionej na kartce. Poczem podała kartkę mężowi, który odczytał głośno co napisała.

— „Dzień urodzin Laury Jadwin“. No, patrz!... daje słowo!... — zawołał siadając. — Tak jest, tak jest. Trzynasty czerwca, naturalnie. A ja, bydlę, nie pamiętałem!... Widocznie, nie pamiętam już teraz o niczem.

— Ale teraz już spamiętasz? — rzekła; — już teraz nie zapomnisz. Ten wieczór zaznaczy początek... Och, Curtisie, będzie to nowy początek wszystkiego. Zobaczysz. Już ja to urządzę. Nie wiem jeszcze jak, ale będziesz mnie kochał tak, że nic, żaden interes, żadne pieniądze, żadna pszenica nie zdoła mi ciebie zabrać. Już ja cię do tego zmuszę... A ten wieczór, ten wieczór trzynastego czerwca, jest mój. We dnie możesz się zająć interesami, ale od godziny szóstej jesteś mój.

Przeszła szybko przez pokój, pochwyciła jego rękę w swoje dłonie i uklękła przy nim.

— Ten wieczór jest mój, — mówiła — jeżeli mnie kochasz. Rozumiesz, najdroższy? Wrócisz do domu o szóstej i cokolwiek się stanie... och, gdyby cała ulica La Salle miała się spalić do szczytu a wraz z nią wszystkie twoje miliony buszli... cokolwiek się stanie, ty... mnie... nie... opuścisz... ani też nie będziesz myślał o niczem innym, tylko o mnie... o mnie... Ten wieczór jest mój i ty poświęcisz go mnie, jak już powiedziałam. Nie będę ci więcej o tem przypominająca. Pozostawię to tobie. Ale... ty mi ten wieczór darujesz, jeżeli mnie kochasz. Najdroższy, rozumiesz co ja mam na myśli?... Jeżeli mnie kochasz... Nie, nie, nie mów ani słowa; nie będziemy wcale o tem mówili. Nie, nie, proszę... już ani słówka. Nie chcę, żebyś mi przyrzekał, ani przysięgał. Słyszałeś co powiedziałam i na tem koniec. Pomówmy o czem innym. Ale, ale, widziałeś w ostatnich czasach pana Cresslera?

— Nie, — odparł, wpadając w jej ton, — nie, nie wi-

działem Karola przeszło miesiąc. Ciekawym, co się z nim dzieje?

— Mam wrażenie, że jest chory, — odparła. — Spotkałam przed kilku dniami panią Cressler i powiedziała, że jest o męża bardzo niespokojna.

— Cóż Karolowi jest?

— Sama nie wie. Nie jest taki chory, żeby się położyć, ale nie chodzi, czy też nie chce chodzić do biura. Mówiła mi, że chudnie, z każdym dniem marnieje. Upiera się, że jest zdrow, ale jednakże pani Cressler obawia się, że mąż jej lada dzień zapadnie na ciężką chorobę.

— Słuchaj, — rzekł Jadwin, — a możebyśmy tak, pod wieczór, wpadli do nich? Nie chciałabyś? Nie widziałem go przeszło miesiąc, jak mówiłem. Albo zatelefonuj do nich i poproś niech przyjdą na obiad. Przecież Karol to mój najdawniejszy przyjaciel. Gdy przybyliśmy do Chicago, spędzaliśmy całe dni razem. Pójdźmy do niego dzisiaj, rozerwie się trochę.

— Nie, — odparła Laura stanowczo. — Musisz mieć jeden dzień wypoczynku na tydzień. Będiesz leżał spokojnie do wieczora i spał jeżeli zdołasz. Odwiedzę ich jutro.

— A no, all right, — zgodził się. — Powiniennem istotnie spać, jeżeli będę mógł. Nadto Sam ma przyjść o piątej. Przyprowadzi ze sobą kilku kolejowców. Mamy mnóstwo roboty. Tak, ukochana, spróbuję przespać się porządnie zanim przyjdą. Lauro, — dodał biorąc jej dłoń, gdy wstała, by odejść, — to już ostatni epizod. Za miesiąc... albo za sześć tygodni najdalej... skończę z tem wszystkim, a wtedy, kochanie moje, pojedziemy, gdzieś, gdziekolwiek zechcesz i będziemy używali do końca życia. Do widzenia, kochanie. Zdaje mi się, że zdołam teraz zasnąć.

Ułożyła mu poduszki pod głowę, spuściła zasłony u ckiem i wyszła, zamykając pocichu drzwi za sobą. Gdy w pół godziny później wsunęła się na palcach do pokoju, zastała męża śpiącego nareszcie — zmęczone oczy spoczywały zamknięte, szeroka silna dłoń wsunęła się pod głowę.

Laura stała przez dłuższą chwilę na środku pokoju, wpatrzona w śpiącego; poczem wysunęła się równie cicho, jak weszła — na jej długich rękach drżały łzy.

Ani dnia następnego, ani w dwa dni potem Laura Jadin nie odwiedziła Cresslerów. Przez trzy dni zatrzymały ją w domu drobne wypadki — raz zwłoka w wykończeniu nowych tualet, to znów nadmierny upał, a potem gwałtowna ulewa. W czwartek wszakże, w drugim tygodniu miesiąca, burza minęła, słońce zajaśniało znów pełnym blaskiem i Laura zatelefonowała do pani Cressler.

— Jak zdrowie pani i pana Cresslera? — spytała.— Przyjdę dzisiaj do państwa na drugie śniadanie, jeżeli mnie pani przyjmie.

— Karol ciągle w tem samym usposobieniu, Lauro,— odparł głos pani Cressler. — Przypuszczam, że nieborak jest przepracowany. Przyjdź moja droga, rozweselisz go trochę. Jeżeli mnie nie zastaniesz, rozgość się tymczasem. Muszę jechać do miasta po bilety na kolej. Wyprawię mego staruszka prosto do Oconomowocu. Zdecydowałam się na to wczoraj wieczór i nie chcę, żeby się kłopotał o bilety i bagaż. Pojadę do miasta i załatwię wszystko sama. Przyjdź jak tylko będziesz gotowa i dotrzymaj Karolowi towarzystwa. Jak się miewa twój mąż, Lauro?

— Curtis jest zdrow, — odparła. — Bywa tylko niekiedy bardzo zmęczony.

— Nic dziwnego, zmiłuj się, moje dziecko, co ty poczniesz z temi wszystkimi pieniędzmi? Mówiono mi, że J. zrobił miliony w ciągu ostatnich trzech czy czterech miesięcy. Widziałam się z kimś wczoraj, który mi powiedział, że na giełdzie zbożowej w Chicago nikt dotąd nie prowadził interesów na tak wielką skalę. A więc do widzenia, Lauro, przyjdź jak tylko będziesz gotowa. Zobaczymy się przy śniadaniu. Karol jest w domu. Prosi, żeby cię serdecznie pozdrowić.

W godzinę później wiktoria Laury zatrzymała się przed domem Cresslerów a lokajczyk zeskoczył ze zwinnością małpy i stanął na baczność przy stopniach.

Laura kazała przyjechać po siebie o trzeciej i wbiegła szybko na schody frontowe. Drzwi nie były zamknięte na klucz. Laura otworzyła je z klamki i weszła.

— Pani Cressler! — zawołała stojąc w korytarzu i

zdejmując rękawiczki. — Pani Cressler! Czy pani już wyszła?

W tej chwili ukazała się na stopniach wiodących na drugie piętro pokojówka, Anna, z głową obwiązaną ręcznikiem i piórem do okurzenia w ręku.

— Pani Cressler wyszła — rzekła. — Powiedziała, że by pani zechciała poczekać; wróci na południe.

Laura skinęła głową, zdjęła kapelusz, złożyła woalkę i schowała ją do torebki.

Dom Cresslerów był staroświecki, bardzo wygodny i obszerny, miał szerokie korytarze i duże okna. W „bibliotece frontowej“, gdzie Laura weszła najpierw, wisiały staloryty w stylu siódmego dziesiątka lat, leżały na stolikach muszle, monety chińskie, pudełka z laki. Kominiek miał obramowanie z marmuru, a na jego gzymsie stał zwykły zegar z brązu złotego, ozdobiony postacią kobiecą w draperjach klasycznych opartą o kulę ziemską. Na jednej ze ścian wisiał olejny krajobraz górski, a na stole z czarnego orzecha włoskiego, z płytą z czerwonego marmuru, stojącym między oknami frontowymi, spoczywał stereoskop i karyljon z różanego drzewa.

Fortepian staroświecki stał ukośnie w rogu pokoju, przy zamkniętych drzwiach rozsuwanych. Laura usiadła przy fortepianie i zaczęła grać walca „Mefisto“, którego uczyła się od owego wieczora, kiedy Corthell grał go na wielkich organach w galerji obrazów.

Gdy skończyła to, co umiała na pamięć, wstała, zamknęła fortepian i rozsunęła drzwi między pokojem, w którym przebywała a „biblioteką tylną“, małym pokojem, gdzie pani Cressler przechowywała swoje książki z poezjami.

Wchodząc do pokoju, Laura zdumiała się na widok pana Cresslera, siedzącego w fotelu, plecami do niej odwróconego.

— O, nie wiedziałam, że pan jest tutaj, — rzekła zbliżając się.

Położyła dłoń na jego ramieniu. Ale Cressler nie żył, — a gdy Laura go się dotknęła, głowa jego opadła na ramię i w skroni, tuż nad uchem, ukazał się otwór od kuli.

ROZDZIAŁ X.

Samobójstwo Karola Cresslera nastąpiło dziesiątego czerwca, a wieść o niem wraz z wiadomością, że stary przyjaciel uległ pokusie, za co życiem zapłacił, doszła do uszu Jadwina dnia jedenastego, rano.

Był wraz z Gretrym na zwykłych miejscach w biurze tego ostatniego i zdawało się, że wieść żałobna zgasiła cały blask słoneczny, który wpadał szeroką falą przez wielkie szyby lustrzane. Po pierwszej chwili obłądnego przerażenia, siedzieli, patrząc wzajemnie na siebie tępym wzrokiem, nie mogąc wymówić słowa.

— Boże, Boże, — jęknął w końcu Jadwin, jakgdyby w męczarniach śmiertelnej choroby. — Był w bandzie Crookes'a a myśmy o tem nie wiedzieli... To ja go zabiłem, Sam... jakbym własną ręką trzymał rewolwer. — Tupnął nogą bijąc pięścią w czoło. — Boże wielki... mój najlepszy przyjaciel... Karol... Karol Cressler! Sam, ja oszaleję, jeżeli to... jeżeli to...

— Spokojnie, spokojnie J., — ostrzegał makler; — nie możemy poddawać się dzisiaj wzruszeniom. Mamy mnóstwo spraw do omówienia. O Karolu będziemy myśleli później. Teraz... teraz przede wszystkim interes. Mathewson i Knight zażądali od nas dopłaty do zadatków... dwadzieścia tysięcy dolarów.

Podsunał kartkę Jadwinowi.

— Och, to może poczekać — zawołał Jadwin. — Niech

się wstrzymają do popołudnia. Nie mogę mówić teraz o interesach. Pomyśl tylko o Carrie o pani Cresler... ja...

— Nie, — odparł Gretry powoli, nie patrząc w twarz Jadwinowi, — n... nie, nie sędzę, żeby lepiej było czekać. Sędzę, że będzie lepiej załatwić to żądanie odrazu. Lepiej jest zawsze wyrównywać w naszych tranzakcjach dopłaty do zadatków.

Jadwin poruszył się.

— Słuchając twoich słów, — zawołał, — możnaby mniemać, że lada chwila grozi mi niebezpieczeństwo porażki.

Gretry nie odpowiedział. Zapanowało krótkie milczenie. Poczem makler pochwyił spojrzeniem oczy swego pryncypała i przez chwilę wzrok ten wytrzymał.

— Widziałeś, — odparł wreszcie, — jak skwapliwie sprzedawali nam wczoraj na giełdzie. Musimy kupować, kupować i kupować, żeby utrzymać naszą cenę. A spojrzysz tu... spojrzysz na te raporty od naszych korespondentów: wszystko wskazuje, że zbiory będą niezwykle. Obszary zasiane powiększyły się wszędzie niepomiernie, z powodu naszych wysokich cen. Posłuchaj... to od Traversa. — Wziął depeszę i czytał: — Tymczasowe sprawozdania, dotyczące pszenicy jarej w obu Dakotach, stwierdzają, że obsiano ogółem szesnaście milionów akrów, co dodane do obszarów, uprawionych pod pszenicę ozimą, wynosi czterdzieści trzy miliony, czyli blisko cztery miliony więcej, niż w roku ubiegłym.

— Dwie trzecie tej pszenicy nie wzejdzie, — zawołał Jadwin, nie chcąc się dać przekonać — a Europa weźmie prawie wszystko. My zaś powinniśmy wysłać swoich ludzi na giełdę i kupić jeszcze milion. Kupić więcej, niż te głupcy mogą zaofiarować... kupić tyle, żeby doprowadzić ich do zastoju.

— To pochłonie huk pieniędzy, — odrzekł makler — więcej, niż możemy dostać do ręki dzisiaj. Najlepiej będzie, jeżeli weźmiemy wszystko, co Niedźwiedzie mogą zaofiarować i podtrzymamy rynek. Z chwilą, gdy zaofiarują nam pszenicę, a my jej nie kupimy, z tą chwilą, jak wiesz

sam, rzucają w ciebie całe wagony pszenicy i cena spadnie a my runiemy wraz z nią.

— Czy sądzisz, że pozbedziemy się dzisiaj dużych ilości pszenicy? — spytał Jadwin.

Sprzedaż zapasów, nagromadzonych przez Jadwina, stała się już teraz nieodzowną koniecznością. Pociągały za sobą olbrzymie wydatki; opłaty asekuracyjne i magazynowe zaczynały szybko pochłaniać zyski. M u s i pozbyć się stopniowo ciężaru, który dźwiga. Chcąc uczynić to z korzyścią, wziął się na sposób i zalewał giełdę zamówieniami tuż przed zamknięciem, poczem, gdy pod wpływem tego bodźca, cena wzrosła, sprzedawał szybko, zanim zdążyła spaść. Zrazu towarzyszyło mu powodzenie. Ale w ostatnich czasach musiał kupować coraz więcej, żeby cenę utrzymać, z chwilą zaś, gdy zaczął sprzedawać, cena zaczęła spadać; tak, że teraz, chcąc sprzedać jeden buszel, musiał kupować dwa.

— Czy sądzisz, że zdołamy dużo wpakować im dzisiaj? — powtórzył Jadwin.

— Nie wiem, — odparł Gretry powoli, w zamyśleniu. — Może się... uda... Szczerze mówiąc J., nie sądzę, że to będzie możliwe. Giełda nabiera odwagi... Ta banda już się nas tak nie boi... a to z powodu nowych zbiorów... przepowiedziałem ci to ciągle. Podbiliśmy pszenicę tak wysoko, że siali ją wszyscy farmerzy i gotowi są nas nią zasypać. Giełda wie o tem, oczywiście. Pomyśl, że w niektórych miejscowościach żniwa już rozpoczęte. Wszyscy ci, których skrzępowaliśmy zmonopolizowaniem rynku, będą mogli kupować tyle pszenicy, ile tylko zechcą od farmerów, jeżeli wytrzymają jeszcze czas jakiś. A wczorajsze sprawozdanie urzędowe wykazuje, że pszenica zapowiada się dobrze.

— Nic podobnego. Była trochę więcej, niż osiemdziesiąt sześć.

— Więcej nie trzeba, — oświadczył Gretry, — więcej nie trzeba... i cena spadła na dolara dwadzieścia. Pomyśl tylko, tak niedawno była półtora dolara.

— A, mówię ci, że za dziesięć dni będzie dwa dolary.

— Czy ty wiesz J., jak stoimy? — spytał Gretry poważnie. — Czy wiesz jak stoimy... finansowo? Podtrzyma-

nie rynku lipcowego pochłoneło niemal całą naszą gotówkę. O, możemy obliczać, że zyski nasze na papierze wynoszą miliony. Mamy trzydzieści, czterdzieści, pięćdziesiąt milionów buszli pszenicy, po dolarze buszel; a jeżeli nie będziemy mogli jej sprzedać, nie nam to nie pomoże.. a ta pszenica kosztuje nas sześć tysięcy dolarów dziennie. Do djabła, człowieku, skąd wziąć pieniądze? Nie zdajesz sobie chyba sprawy, że jesteśmy w bardzo niepewnem położeniu. — Podniósł rękę i wskazał w górę, w kierunku posadzki giełdy. — Z chwilą, kiedy nie będziemy mogli dać naszym chłopcom... Court'owi i innym... z chwilą, kiedy nie będziemy mogli im dać zlecenia na kupno, wsiąknjemy w Otchłań jak łachman. Z chwilą, kiedy przyznamy, że nie możemy kupić całej pszenicy, jaką nam zaofiarują, z tą chwilą padniemy.

— A więc kupimy! — krzyknął Jadwin przez zaciśnięte zęby. — Już ja tym bydłom pokaże! Mówisz, że potrzeba nam pieniędzy? Wyślesz kablogram do Paryża i zaofiarujesz dwa miliony po... pięć centów niżej od ceny rynkowej; i do Liverpoolu i opuścisz dwa pensy. Pochwyć ją w mgnieniu oka. To nam przyniesie niemałe zmiany; co zaś do reszty, mam przecież nieruchomości w mieście, przedstawiające wcale niezłe zabezpieczenie.

— Co... chcesz oddać w zastaw część tych nieruchomości? — spytał Gretry.

— Nie, — krzyknął Jadwin, zrywając się niecierpliwie — nie, oddam je w zastaw wszystkie i to dzisiaj... jeszcze dziś przed południem. Jeżeli mówisz, że jesteśmy w niepewnem położeniu, niema czasu na półśrodki. O godzinie trzeciej popołudniu będę miał z Illinois Trust tyle pieniędzy, że nie będziesz wiedział co z nimi zrobić a gdy giełda otworzy się jutro, zaświecę w oczy tego bydła tak, że pomyśla, iż wjechała w stado lokomotywa! Chcieliby mnie się pozbyć, co? Będą usiłowali obniżyć cenę; nie uda im się, niech ja tylko przykręcę śrubę! Ja im pokażę, Samie Gretry. Podbiję pszenicę tak wysoko, zanim miną dwa dni, że Bank Angielski nie zdoła wywołać spadku ceny a zanim giełda zdąży zaczerpnąć tchu, sprzedamy nasze zapasy i z zysku, jaki mi to przyniesie, klnę się na Boga podbiję

znów cenę. Dwa dolary! będzie dwa pięćdziesiąt i to tak szybko, że ani się spostrzegą, jak się to stało. Bawiłem się z tą bandą dotychczas. T e r a z, zabiorę się naprawdę do interesu.

Gretry nie odpowiedział, kręcił ołówek w palcach i wzrok utkwił w papiery, leżące na biurku. Raz jeden chciał przemówić, ale się powstrzymał. W końcu rzekł krótko:

— All right. Zobaczymy co z tego wyniknie.

— Idę teraz do Illinois Trust, — rzekł Jadwin, kładąc kapelusz. — Jak twoi chłopcy przyjdą po zlecenia, powiedz im, żeby dzisiaj tylko popierali rynek. Jeżeli jednak podaź pszenicy będzie znaczna, niech lepiej poczynią zakupy. Powiedz im, żeby nie dopuścili do spadku ceny niżej dolara dwadzieścia. Gdy powrócę ułożymy treść kablogramów.

Tego dnia Jadwin wykonał swój program z takim wzburzeniem zapowiedziany Gretry'emu. Każdą nieruchomość swoją obciążył najwyższą możliwą pożyczką. Nawet stary dom na Michigan Avenue, nawet plac na ulicy North State. Czuł, że nadeszła pora na wielki rozmach, na ostatni potężny manewr strategiczny, na ześrodkowanie całej ciężkiej artylerji.

Nigdy w żadnej ze swych operacji w Izbie Handlowej w Chicago, nie zbłądził. Wiedział, że nie zbłądzi i teraz; Szczęście, złocista bogini, stała ciągle jeszcze przy jego boku. Nietylko zastawił swoje ruchomości — uczynił więcej jeszcze; sprzedał pewną liczbę swoich papierów. Wyzyskał swój, nieposzlakowany zawsze, kredyt do ostatka; ze wszystkich źródeł zbierał posiłki do wojny, którą toczył. Żadna suma nie była taka wielka, by go powstrzymać, żadna taka drobna, żeby ją pominąć. Gromadził rezerwy, strażę przednie i tylne, szeregowców i posterunki, dla utworzenia jednej wielkiej kolumny atakującej.

Zdarzyło się, że tego samego dnia, kiedy Jadwin, w pogoni za gotówką, wyczerpywał wszelkie możliwe źródła spotkał Hargusa na zwykłym miejscu w poczekalni Gretry'ego; starzec czytał dziennik z przed dwu dni. Na jego widok nagle myśl uderzyła Jadwina. Wziął starca na bok.

— Hargus, — rzekł, — powiedz, czy chcesz dobrze umieścić swoje pieniądze... Te, które ci zwróciłem? Mogę ci dać wyższy procent, niż bank i doskonale zabezpieczenie. Daj mi około stu tysięcy na... powiedzmy dziesięć procent.

— He... co? — spytał starzec szorstko.

Jadwin powtórzył żądanie.

Ale Hargus rzucił na niego podejrzliwe spojrzenie i cofnął się.

— Ja... ja swoich pieniędzy nie pożyczam, — odparł.

— Dlaczego... stary głupcze! — zawołał Jadwin. — Może chcesz większy procent? No, to dam ci piętnaście, jeżeli chcesz.

— Ja... swoich pieniędzy nie pożyczam... powtórzył Hargus, potrząsając głową; — ja nie mam pieniędzy na pożyczanie — i, to mówiąc, odszedł.

Do jednego źródła tylko Jadwin nie sięgnął. Jakkolwiek wielka była pokusa, powstrzymał się od zaryzykowania pieniędzy Laury. Laura posiadała własny niewielki majątek; chociaż pewien był wygranej, Jadwin niemniej wahał się żądać od niej zasiłku. Duma nie pozwalała mu korzystać z pomocy kobiety.

Ale cały jego majątek osobisty kołysał się teraz na szali. Była to ostatnia bitwa, najwyższy wysiłek, ostateczny końcowy atak; i dreszcz zwycięstwa świetniejszego, zupełniejszego, bardziej decydującego, niż kiedykolwiek przejmował Jadwina, gdy owego dnia jedenastego chodził po ulicy Jackson, Adams i La Salle.

Ale miał świadomość niebezpieczeństwa — wiedział jakie straszne będą zapasy. Raz jeden tego dnia interes sprowadził go w pobliże wejścia na giełdę. Jakkolwiek nie zajrzał nawet do wnętrza przez drzwi, niemniej, nie mógł nie słyszeć łoskotu Otchłani; a nawet w tej chwili pewności siebie, kiedy już za kilka godzin czekało go zwycięstwo, Jadwin stanął wylekły. Ryk był przerażający, wir rozpełtał się na nowo, malsztrum toczył się znów niepowstrzymanie.

I przez jedną sekundę Jadwin wyobraził sobie, że znany dobrze wrzask przybrał inny kierunek. Wyobraził sobie, że z tego ohydneho zamętu odzywa się obcy, niepożądany

ton — jakgdyby pierwszy zgrzyt nowego lodozwału, który zaczął się zesuwać, zgrzyt taki głęboki, jakiego dotąd nie słyszał, głuchy, daleki huk, jakgdyby zesuwanie się i zblizanie jakiejś wszechpotężnej i chaotycznej mocy.

To Pszenica, Pszenica! Jest już znów w ruchu. Z farm w Illinois i Jowie, z ranch'ów Kanzasu i Nebraski, ze wszystkich miejscowości Środkowego Zachodu. Pszenica stawała się wezbraną falą, podnoszącą się coraz wyżej i wyżej. Wszechpotężna, pokrewna trzęsieniu ziemi, równa wulkanom i trąbie powietrznej, ta olbrzymia moc świata, ten wał bezgraniczny, ta Karmicielka Narodów, wzbierała i szła naprzód.

Tam, w Otchłani, snuły się już pierwsze ostrzegawcze wiry. Jeżeli nawet pierwsze zmarszczki przypływu takim lękiem przejmowały serce, co się stanie, gdy rozleje się ocean na swej odwiecznej drodze z zachodu na wschód?

Jasnowidzenie ogarnęło Jadwina przez chwilę. Czem są ci wrzeszczący, gestykujący ludzie w Izbie Handlowej, ci maklerzy, handlarze i spekulanci? On nie tych zwalczał, stanął do zapasów z złowrogimi świeżymi zbiorami; z Pszenicą, z ziemią samą, jak powiedział Gretry. Czem są te rozproszone setki farmerów ze Środkowego Zachodu, którzy dlatego, że podbił cenę tak wysoko, obsiali obszary takie rozległe, jak nigdy dotąd? Co oni mają z tem wspólnego?

Pszenica wyrosła sama przez się; zapotrzebowanie i zaopatrzenie — oto dwa zasadnicze prawa, którym Pszenica jest posłuszna. Niemal bluźnierczy w swem zuchwałstwie on, Jadwin, przekraczał te prawa i obudził Tytana. Położył swą nikiłą, chciwą dłoń na rodzącej ziemi, a ta wielka Matka, czując dotknięcie sieci pajęczej, którą wysnuł owad ludzki, ocknęła się ze snu i wysłała swoich wszechpotężnych gońców, by odnaleźć i zmiażdżyć burzyciela jej utartych dróg.

Nowe zbiory napływały — nowe zbiory pszenicy — olbrzymie, niemożliwe do obliczenia; tak obfite, że nie starczyło pieniędzy na jej zakupienie, tak szybko, że żadne wybiegi strategiczne nie zdołały ich powstrzymać.

Jadwin uciekł od bliskiego odgłosu Otchłani. Nie, nie; szczęście mu sprzyja. Opanował już niejednokrotnie prąd

Otchłani; opanuje go i teraz. Minał dzień, przyszła noc i o dziewiątej następnego ranka Jadwin spotkał się znów z Gretrym w jego biurze.

Makler zwrócił bladą twarz ku swemu pryncypałowi.

— Otrzymałem właśnie, — rzekł, — odpowiedzi na nasze kablogramy do Liverpoolu i Paryża. Zaofiarowałem w obu miastach, jak wiesz, pszenicę taniej, niż kiedykolwiek.

— Tak, a więc?

— A więc — odparł Gretry, zatapiając poważne spojrzenie w oczach Jadwina, — a więc... nie chcę.

— — — — —
Gdy Laura w dniu rocznicy urodzin swoich — trzydziestego tegoż miesiąca — zeszła na pierwsze śniadanie, zastała już Page w pokoju. Jakkolwiek wybiło zaledwie pół do ósmej, Page była ubrana do wyjścia. Stała w oknie, już w szykownym ponsowym kapeluszu i nerwowym, niecierpliwym ruchem wkładała i zdejmowała rękawiczki.

— Page, — odezwała się Laura, siadając na swoim miejscu przy stole, — cóż za zamiary masz na dzisiaj?

— Landry ma przyjść, — odparła Page, spoglądając na zegarek przypięty do stanika, — i zabrać mnie, żebym zobaczyła giełdę... wiesz, z galerji dla publiczności. Powie-dział, że dziś będzie zapewne wielki dzień. Czy pan Jadwin wrócił do domu wczoraj wieczór?

Laura, w milczeniu, potrząsnęła głową przecząco. Nie chciała słowami stwierdzić faktu, że przez trzy dni—z wyjątkiem paru godzin wieczorem po tej okropnej wizycie u Cresslerów—nie widziała męża wcale.

— Landry mówi, — ciągnęła dalej Page, — że dzieją się straszne rzeczy w tych dniach... tam na giełdzie. Mówi, że to największa walka w historii ulicy La Salle. Czy pan Jadwin mówił ci co? Czy wygra?

— Nie wiem, — odparła Laura, cichym głosem; — nie wiem nic, Page.

Dziwiła się, że nawet Page zapomniała. Gdy weszła do pokoju, skierowała pierwsze spojrzenie na swoje miejsce przy stole. Ale nie dostrzegła nic—nawet koperty; i nikt nie powinszował jej, nie życzył jej szczęścia w ten dzień urodzin. Sądziła, że Page będzie pamiętała, ale następne

słowa siostry wykazały, że ma myśl czem innem zajętą, nie urodzinami.

— Lauro,—zaczęła, siadając naprzeciwko niej i rozkładając serwetę z niezwykłą starannością,—Lauro, Landry i ja,, a więc... pobierzemy się niedługo.

— Co, Page?—zawołała Laura,—cieszę się, bardzo się cieszę, nie mogłaś zrobić lepszego wyboru. Landry jest uczciwy, pracowity chłopiec i wiem, że będzie dla ciebie dobrym mężem.

Page odetchnęła głęboko.

—Rada jestem,— odparła,—że i ty podzielasz moje zdanie. Zanim wyszłaś za pana Jadwina nie byłam pewna, czy mu się spodoba, bo wtedy... właśnie...—Page podniosła oczy z filuternym uśmiechem—zdaje mi się, że byłabyś mogła go mieć... gdybyś chciała.

— O, cóż znowu!—zawołała Laura,—Landry nigdy nie był mną naprawdę zajęty. Był to tylko najgłupszy w świecie flirt. Z chwilą, kiedy poznał ciebie lepiej nie mogłam wytrzymać porównania.

— Weźmiemy mieszkanie na Michigan Avenue, w pobliżu Audytorjum i będziemy prowadzili gospodarstwo—mówiła Page.—Omówiliśmy już wszystko i wiem dokładnie ile będzie kosztowało utrzymanie domu z jedną służką. Będę robiła doskonałe skromne obiady; nauczyłam się już gotować wszystkie jego ulubione potrawy. O, zdaje się, że to on!—zawołała na odgłos zamykających się drzwi frontowych.

Landry wszedł, niosąc dużą wiązankę ciętych kwiatów i pudełko cukierków. Był taki wymuskany, jakgdyby już szedł do ślubu—policzki miał zaróżowione, włosy lśniły się jak złoto. Ale twarz jego była zapadła i zmęczona, a w oczach migotał blask gorączkowy, w każdym ruchu zaś, w każdym słowie szybkiej mowy, przebiegało się zderowanie, wyczerpanie i podniecenie.

— Trzeba się śpieszyć—rzekł Court do Page.—Muszę być dzisiaj na giełdzie jaknajwcześniej.

— Co się dzieje z Curtisem?—spytała Laura.—Czy widział go pan w tych dniach? Jak mu... jak mu się wiedzie ta jego spekulacja?

Landry wzruszył ramionami z rezygnacją.

— Nie wiem,—odparł.—Zdaje mi się, że nikt nie wie. Mieliśmy wczoraj straszny dzień, ale pod koniec zdołaliśmy opanować położenie. Podbijaliśmy cenę, podbijali i podbijali, tak, że myślałem, iż nie zatrzyma się nigdy. Jeżeli giełda mniemała, że pan Jadwin został pobity, przekonali się, jak dalece się omylili. Przez pewien czas odpędzaliśmy ich poprostu. Ale potem pan Gretry przysłał zlecenie sprzedaży i nie mogliśmy ich już powstrzymać. Powrócili do nas jak wilki; obniżyli cenę o pięć centów w tydzień minut. Musieliśmy zaprzestać sprzedaży i wrócić na nowo do kupna. Ale pan Jadwin poszedł na nich z impetem. To było wprost wielkie! Ustaliliśmy cenę na dolara piętnaście, podnieśliśmy do osiemnastu i pół, a potem podbiliśmy znów o trzy centy i powróciliśmy do dolara i ćwierć.

— Ale cóż Curtis?—pytała Laura—czy zdrow? niebardzo zmęczony?

— Widziałem go tylko raz jeden—odparł Landry.— Był w biurze pana Gretry'ego, zdaje się, że zdrow. Zdeenerwowany, oczywiście. Ale na chorego wygląda pan Gretry; ma minę człowieka nawpół przytomnego.

— Zdaje mi się, że musimy już iść — rzekła Page, wstając od stołu. — Landry, jadłeś już śniadanie? Możebyś się napił kawy?

— Jestem po śniadaniu już oddawna — odparł. — Ale masz słusność. Lepiej pójść wcześniej. Jeżeli chcesz dostać miejsce siedzące na galerji, musisz tam być na pół godziny przed zaczęciem, co najmniej... Czy da mi pani jakie zlecenie do męża?

— Niech mu pan powie, że mu życzę szczęścia — odparła — i... tak, niech go pan spyta, czy pamięta, którego dziś mamy... Albo nie, proszę o to nie pytać i nic o tem nie mówić. Niech mu pan powie, że mu przesyłam najczulsze pozdrowienia i że mu życzę wszelakiego powodzenia i szczęścia.

Około godziny dziewiętej Landry i Page wchodzili na ulicę La Salle. Ranek był pogodny i chłodny. Niebo nad Izbą Handlową jaśniało blaskiem słonecznym, a w powie-

trzu migotały skrzydła setek gołębi, karmiących się rozsypanem dokoła gmachu ziarnem.

— Pan Cressler karmił je zawsze, — rzekł Landry, gdy przystanęli na rogu. — Biedny... biedny pan Cressler! pogrzyb będzie jutro, wiesz.

Page przymknęła oczy.

— Ach — szepnęła — pomyśl tylko, jak Laura go tam zastała... Ja bym tego nie przeżyła... nie przeżyłabym!

— Jakoś — zauważył Landry, a w oczach jego odbiło się zdziwienie, — jakoś, dalibóg, Laura niebardzo bierze sobie to do serca. Zdawałoby się, że rozchoruje się po takim wstrząśnieniu.

— O, Laura, — zawołała Page. — Ja jej w ostatnich dniach zupełnie nie poznaję... jest, jakby z kamienia... jak-gdyby tłumila w sobie przemocą wszelkie wzruszenie, wszystkie uczucia. Wydaje się, że panuje nad sobą całym wysiłkiem woli... że się do czegoś sposobi... że boi się poddać najłżejszemu wrażeniu, żeby nie uledez zupełnie. O tem okropnem zdarzeniu w domu Cresslerów opowiadała mi głosem, zimnym, jak lód; powiedziała mi: „Pan Cressler się zastrzelił. Zastałam go nieżywego w biblijotece“. Nie uroniła ani jednej łzy i mówiła takim strasznym, martwym tonem! Ach, mój drogi! takbym chciała, żeby już było po wszystkim i żebyśmy mogli wszyscy wydostać się z Chicago i zabrać ze sobą pana Jadwina i wpłynąć na niego, żeby był znów taki, jak dawniej... zawsze wesoły i troskliwy i łagodny. Przecież dawniej żartował od rana do wieczora. Kochałam go, jak rodzzonego ojca.

Przeszli przez jezdnię i Landry, wzięwszy Page za rękę, wszedł z nią do parterowego korytarza gmachu Izby Handlowej.

— A teraz trzymaj się mnie mocno — rzekł — spróbujemy się tu przedostać.

Schody, prowadzące na główne piętro były już natłoczone publicznością — niektórzy stali szeregiem pod ścianą, inni przechadzali się bezcelowo nasłuchując, rozglądając się, z głowami podniesionymi wysoko. Jeden z tych ostatnich, jakiś pan w białym cylindrze, potrzęsnał głową, gdy Landry i Page przeciskali się mimo niego.

— Nie dostaniecie się tam — rzekł — nawet, gdyby was wpuścili. Ludzie są już tam stłoczeni, jak sardynki w puszcze.

Ale Landry uspokoił Page skinieniem głowy.

— Powiedziałem woźnemu na galerji, żeby zarezerwował miejsce dla ciebie. Myślę, że damy sobie radę.

Wszelako, gdy dotarli do schodów, łączących główne piętro z galerją dla publiczności, wątpliwe stało się, czy w ogóle docisną się do miejsca. Tłum był stłoczony na schodach, między ścianą a balustradami. Byli tam mężczyźni w cylindrach i kobiety w jedwabiach; pospolici mieszkańcy uboższych ulic i jaskrawo wystrojone królowe ciemnych dzielnic; wynędzniałe rozbitki ustawicznie krążące dokoła Izby Handlowej — bankruci, którzy przesiadywali dzień dnia na krzesłach w pokojach klientów, czytając stare dzienniki, paląc cuchnące cygara. I młodzieńcy typu pracowników bankowych i buchalterów, młodzieńcy, o białych, zmęczonych twarzach, rozgorączkowanych, znużonych oczach, którzy przeciskali się w milczeniu, z zaciśniętymi ustami, wsłuchując się pilnie w echo wrzawy, rozbrzmiewającej w gmachu.

Albowiem tego trzynastego czerwca w Izbie Handlowej, jej hallach, korytarzach i biurach, na jej schodach हुआ od wczesnego ranka przerażający rozgwar. Minęła zaledwie dziewiąta; minie jeszcze pół godziny, zanim rozpocznie się handel, ale już teraz odczuwali wszyscy szum wiru, pomruk Otchłani. Gromadziły się prądy; toczyły się tysiące potoków, zasilających kloakę. Napływały z całego bezpośredniego sąsiedztwa, z biur setek domów komisyjnych, z biur maklerów, z banków, z wysokich szarych gmachów przy ulicy La Salle, z ulicy samej.

Przyplływały nawet i ze stron odleglejszych; ruszyły w drogę z całego wielkiego północnego zachodu, z Minneapolis, Duluthu i Milwaukee. Z zachodu południowego St. Louis, Omaha i Kansas City niosły również swoją daninę. Wybrzeże atlantyckie, Nowy Jork i Boston i Filadelfja wysłały swoje hołdownicze strumienie; Londyn, Liverpool, Paryż i Odesa zatapiały swoje dopływy w olbrzymiej wszechświatowej fali, która staczała się na Chicago i teraz

zaczynała powoli ześrodkowywać się i otaczać giełdę pszeniczną Izby Handlowej.

Nic dziwnego, że dla ucha Page gmach był rozedrganym dziwnym, a złowrogim szumem. Słyszała go w dalekim klekocie telegrafu, w echu gorączkowych rozmów, prowadzonych szeptem po ciemnych kątach, w tupocie śpiesznych kroków, w brzęku dzwonek telefonicznych. Odgłosy te dolatywały ją zewsząd dokoła; wybiegały z biur w gmachu pod nią, nad nią i z obu stron. Była niemi otoczona, a zlewały się, tworząc jeden przeciągły, przytłumiony szum, który potęgował się z każdą chwilą.

W Otchłani tworzył się wir, jego prądy huczały niby burza na oceanie, której ryk dochodzi zdala.

Page i Landry dotarli zaledwie do połowy ostatniego piętra. Na górze i w dole stał tłum stłoczony i unieruchomiony. Stopniowo Landry zdołał przecisnąć się naprzód, krok po kroku, ale był bardzo niespokojny; co chwila spoglądał na zegarek. W końcu rzekł:

— Muszę iść. Nie mogę zostać już ani minuty dłużej, byłoby to szaleństwo. Dam ci swoją kartę.

— Dobrze, zostaw mnie tutaj, — odparła Page. — Daj mi swoją kartę. Powiem woźnemu na galerji, że zatrzymałeś miejsce dla mnie... jeżeli się w ogóle tam dostanę. Ty musisz iść... nie możesz pozostać tu ani chwili dłużej... Jeżeli będziesz mógł, przyjdź po mnie na galerję jak się to skończy. Poczekam na ciebie. Ale jeżeli nie będziesz mógł, mniejsza o to; dam sobie radę sama.

Skinął głowo potakująco. Nie pora teraz myśleć o takich drobnostkach. Zaczął przepychać się całą siłą z powrotem po przez tłum, a gdy dotarł do zakrętu balustrady, przesłał młodej dziewczynie ukłon kapeluszem i zniknął.

Minął kwadrans. Page, uwięziona w tłumie, nie mogła ani pośunać się naprzód, ani się cofnąć. Przed sobą, w odległości jakich dwudziestu kroków, widziała tylne rzędy miejsc na galerji, były wszakże już zajęte. Dostać się tam dzisiaj, żeby zobaczyć giełdę, wydało jej się zupełnie beznadziejne. Ale nie mogła też wyswobodzić się ze ścisku; trzeba było zatem stać w miejscu.

Ze wszystkich stron dobiegały ją urywki rozmów i dyskusyj — stopniowo zainteresowała się niemi.

— Tak, — zauważył mężczyzna w wysokim białym kapeluszu, który usiłował zniechęcić Court'a do dotarcia na galerję, — tak, zadał im cios nielada. Jakkolwiekbądź, bez względu na to, czy oni położą jego, czy on ich położy, stoczył dzielną bitwę.

Towarzysz jego, młodzieniec w okularach, który miał na sobie nadzwyczajną białą kamizelkę z dziwacznymi guzikami szklanemi, przyznał słuszność i dodał:

— Ten Jadwin, to wielki spekulant.

— Jednak oni się teraz rzucają na niego.

— Nie jestem tak bardzo tego pewien. Potańczy on jeszcze z nimi. Zobacz pan.

— Widział go pan kiedy?

— Nie, nie... nie przychodzi na giełdę; te grube ryby nigdy tu nie bywają.

Tuż przed Page dwie kobiety paplały bez końca.

— Moja pani, — mówiła jedna, — to wszystko bardzo pięknie, ale pan Jadwin zrobił z mojej siostry... ona mieszka w Dubuque, pani wie... bogatą kobietę. Kupiła trochę pszenicy... tak, dla żartów, pani wie... już dawno i przechowała ją dopóki pan Jadwin nie podbił ceny... tak, że była cztery razy wyższa od tej, jaką ona zapłaciła. Wtedy sprzedała. Moja pani, żeby pani widziała jaki ona sobie teraz śliczny dom buduje! A jej syn pojechał do Europy, żeby się nauczyć malować... tak, tak, moja pani; a rok temu, mówię pani, nie mieli ani centa... tylko tyle co pensja męża.

— Jest jednak i odwrotna strona, — odparła towarzyszka i dodała ochryplym szeptem: — Jeżeli panu Jadwinowi nie uda się dzisiaj... no, to uczciwie mówiąc, Juljo, nie wiem co Filip pocznie.

W tej chwili męski głos basowy, wydobywając się z innego grona obok Page, przeciął przyciszoną paplaninę tych dwóch kobiet.

— Przypuszczam, że jednak jakoś wybrniemy. Chociaż Burbank i S-ka... dalibóg, co do nich, nie jestem pewien. Zawikłani są mocno w tę całą sprawę, a kilka firm drobniejszych jest w zależności od nich. Jeżeli Gretry,

Converse i S-ka zawieszają wypłaty, Burbank runie z wielkim hukiem. A potem bank w Keokuku... ten już niewiele wytrzyma. Depozytarjusze urządzają run w mgnieniu oka, jeżeli nastąpi krach tutaj, w Chicago.

— O, Jadwin wybrnie.

— Mam nadzieję; do licha, mam nadzieję! Ale, powiedzno, jakżeś się ty z tego wydostał?

— Ja! Oho! Wiesz, jak mi się jeszcze kiedy zachce spekulacji pszenicą dam ci znać, mój chłopcze! Byłem jednym z tych wesołych kretynów, którzy mniemali, że Crookes jest Wielkim Magiem. Przyczepiłem się do ich klikli i ten Jadwin upuścił mi krwi na dwanaście tysięcy dolarów. Ale, powiedz, czy my nigdy nie dostaniemy się na tę przeklętą galerję? W końcu nic nie zobaczymy, a ja... słyszysz? Na Boga! to już gong się odzywa! Święty Mojżesz! posłuchajno tylko! Czyś ty kiedy... Chciałbym widzieć... chciałbym dostać się gdzieś, gdzie moglibyśmy coś widzieć.

Przyjaciół zwrócił się do niego i wyrzekł zdanie, które utonąło w wielkiej fali dźwięku, jaka nagle zatrzęsała gmachem.

— Hej... co?

Tamten krzyknął mu to samo w ucho. Ale i tego przyjaciół nie zdołał usłyszeć. I nie słuchał nawet. Tłum na schodach niepowstrzymanie parł naprzód i w górę. Nastąpił nagły wybuch krzyków. Głosy kobiece podniosły się ze skargą a nawet z trwogą.

— Och!... och!... proszę tak nie pchać!

— Moja ręka! och!... och, zemdleję...

A towarzyszący im mężczyźni powstrzymywali z wściekłością napór; mając twarze purpurowe, oblane potem, ciskali przez ramię przekleństwa.

— Powoli, powoli, warjaty!... co robicie?

— Nie tłóczcie się tak!

— Cofać się, cofać się!

— Tam jakaś pani zemdlała. Cofać się, mówię! Wszyscy zobaczą!... Na miłość boską, czy niema tu gdzie policjanta?

— Słyszycie? Cena spada... Mówią, że niezwłocznie po otwarciu spadła o trzy centy.

— Nigdy nie widziałem, ani słyszałem nic podobnego.

— Boże, Boże, byleby tylko Jadwin zdołał ich powstrzymać.

— Może się pan założy, że ich powstrzyma?

— Mój przyjacielu, poco się tak tłoczyć?

— To ci ludzie za mną tak pchają, nie ja... Nie wie też pan co tam słyhać na dole? Niby z pszenicą... idzie w górę, czy spada?

— Mówią, że idzie w górę... Ale zresztą nie wiem... Bo i co my możemy tu widzieć? My... oho, znów zaczynają... Musiało się tam coś stać. Myślę, że Izba Handlowa nie zapomni tak prędko dnia dzisiejszego... Przecież człowiek nie może dosłyszeć własnej myśli.

— Rad jestem, że mnie niema tam, na dole.

Nareszcie zjawili się policjanci. Siłą ramienia utorowali sobie drogę na górę po schodach, poczem zaczęli pchać tłum w tył, krzycząc co chwila:

— Proszę schodzić... niema miejsc!... niema miejsc!

Naraz Page zdołała uwolnić rękę ze ścisku i trzymając kartę Landry'ego w powietrzu, zaryzykowała drobne oszustwo:

— Mam przepustkę. Czy pozwolą mi panowie przejść?

Na szczęście jeden z policjantów usłyszał ją; podążył tedy całym ciężarem swoich dwustu funtów i majestatu prawa, jakie reprezentował, na pomoc i odsiecz ślicznej młodej dziewczynie.

— Proszę przepuścić tę panią! — ryknął, rozpychając tłum łokciami. — Niech pani idzie tedy, prosto... Cofnąć się!... czy państwo nie widzą, że ta pani ma przepustkę?... A teraz, niechże pani przejdzie coprędzej, nie mogą ich przecież tak wiecznie trzymać na miejscu.

Popychana i potrącana, w pomiętej sukni, w kapeluszu na bakier Page pchała się naprzód, aż wreszcie policjant schwytał ją za rękę i wydobył ze ścisku. Odetchnawszy głęboko, stanęła na galerji.

Woźny, starzec w niebieskim mundurze z metalowemi

guzikami stał u wejścia i jemu to podała młoda dziewczyna kartę narzeczonego.

— A, tak, tak, — krzyknął jej w ucho, spojrzawszy na kartę. — Pan Court mówił mi... Przyszła pani w samą porę. Nie mógłbym zatrzymać miejsca dla pani ani minuty dłużej.

Poprowadził ją między dwoma rzędami krzesel; wszystkie były zajęte, z wyjątkiem jednego na samym przedzie.

— Stąd zobaczy pani wszystko, — krzyczał zrobiwszy z dłoni tubę. — Pani jest siostrzenicą pana Jadwina. Wiem, wiem. Ach, ciężki dziś dzień, bardzo ciężki... Ale pan Jadwin trzyma się mocno, nie da się.

Page zajęła miejsce i, pochyliwszy się naprzód, patrzyła z zaciekawieniem na salę giełdową.

Wyzwoliwszy się z tłoku po rozstaniu się z Page, Landry całym pędem swoich długich nóg zbiegł ze schodów i, zdyszany, leciał przez korytarze aż do prywatnego biura Gretry'ego. Inni agenci giełdowi firmy, w liczbie ośmiu czy dziesięciu, byli już obecni, a w chwili, gdy Landry wszedł jednymi drzwiami, Gretry ukazał się w tych, które prowadziły z pokoju klientów. Jadwina nie było widać nigdzie.

— Jakie zlecenia dla nas na dzisiaj, panie?

Gretry był bardzo błądy a Landry widział jasno lęk w wyrazie jego twarzy, w każdym ruchu jego rąk.

Zanim makler odpowiedział na zadane pytanie, przeszedł przez pokój, zatrzymał się przed chłodnią do wody i wypił parę łyków. Poczem opróżnił szklanke, napełnił ją ponownie, zwilżył znów usta i znów ją opróżnił i napełnił. Postawił ją, wziął do ręki, napełnił i wychylił do połowy duszkiem a potem drobnymi łykami. Był zupełnie nieświadomy swoich czynów a Landry, obserwując go, uczył trwożę w sercu. Położenie musi być istotnie rozpaczliwe jeżeli Gretry, taki spokojny, trzeźwy, zrównoważony, jest do tego stopnia zdenerwowany.

— Zlecenia dla was? — odezwał się w końcu makler.

— Te same co wczoraj... podtrzymujcie rynek... to wszystko. Cena nie może spaść poniżej dolara piętnaście. Ale zajmijcie stanowisko obronne. Nie występujcie z inicjaty-

wą dopóki nie dam znać. Narazie, przez kilka chwil początkowych, podaż będzie prawdopodobnie, bardzo znaczna. Każdy z was może kupić pół miliona buszli. Jeżeli to nie utrzyma ceny, jeżeli nawet po tem będą jeszcze sprzedawali... to... — Gretry zawahał się i umilkł na sekundę, poczem dodał nagle — no, to, jeżeli i po zakupieniu przez każdego z was po pół miliona oni w dalszym ciągu będą chętnie sprzedawali, dam wam znać jak postąpić. A pamiętajcie, — mówił dalej, patrząc im prosto w twarz — pamiętajcie... zachować zimną krew... Sądzę, że dzień dzisiejszy zadecyduje o położeniu. A baczyć pilnie na klikę Crookes'a. Oni znów coś knują. To wszystko, zdaje mi się.

Landry wraz z towarzyszami opuścili śpiesznie biuro. Serce Landry'ego biło mocno, zęby miał zaciśnięte. Każdy nerw jego naprężył się jak struna, wobec niebezpieczeństwa, jakim groziły nadchodzące godziny. Teraz nastąpi ostatnia utarczka. Nie przeżywał dotychczas takiego przesilenia. Czy podoła, czy zachowa głowę na karku, jak należy? Czy udaremni te tysiące drobnych podejsć, oszustw, pułapek, jakie agenci obozu nieprzyjacielskiego przygotowują dlań z niespodziewaną nagłością, urągającą najbystrzejszej bacności?... czy zdoła ująć tym sidłom, zewsząd nań zastawianym? Czy gong nie odezwie się nigdy?

Landry znalazł się odrazu w progu giełdy pszenicznej, przepełnionej ciżbą agentów i handlarzy a podniecenie, które szło od tego wzburzonego tłumu bladych twarzy i roziskrzonych oczu, było wprost przerażające, obezwładniające.

Stłoczeni mężczyźni rzucali w przestrzeń zdania bez związku, których nikt nie słuchał, nawet oni sami. Inni znów w milczeniu gryzli paznokcie do krwi, pierś ich unosiła się szybkim, dosłyszalnym nawet oddechem, nozdrza rozdymały się i zaciskały. Dokoła huczał nieokreślony grzmot, który od wczesnego ranka wstrząsał gmachem. Na giełdzie cena podnosiła się i spadała, jakkolwiek czas otwarcia jeszcze nie nadszedł; zdawało się, że nawet posadzka rozstępuje się pod nogami w pierwszym ostrzegawczym zawrocie dośrodkowego skurczu Otchłani.

Atmosfera była wprost odurzająca. Jakaś nieokre-

ślona, bezmierna noc, tocząc się odwiecznymi drogami wstrząsała giełdą w konwulsyjnym chwycie. Coś zagłuszało słuch, oślepiało oczy, oszalało i stępiało umysł rykiem, pyłem i prochem zawieruchy, poczuciem tej potęgi, równej trzęsieniu ziemi i lodozwałom, bezlitosnej, wszechmogącej, niedoścignionej i niepowstrzymanej.

Czy handel się rozpoczął? Czy gong już się odezwał? Landry nie wiedział, nie słyszał odgłosu wielkiego dzwonu. Odrazu poszedł w bój; odrazu został jakby pochwycony z ładu stałego i rzucony na oślepa w samo serce, w samo ognisko Otchłani. Co robił — nie mógł powiedzieć; co się dookoła niego działo — nie widział. Wiedział tylko, że wrzask następował po wrzasku, że w uszach i w mózgu huczał mu ryk setek wodospadów Niagary. Cudze ręce czepiały go się i szarpały; a jego ręce własne szarpały i czepiały się wzajem innych.

Giełda zwarjowała, była pijana, wściekła; ani jeden z tych wszystkich, którzy walczyli i wrzeszczeli nie wiedział co czyni sam ani też jego sąsiad. Wiedzieli tylko, że podpora przez długi czas uważana za pewną, usuwa się stopniowo, nie równomiernie, ale z przerażającymi skokami w górę. Teraz się trzyma, teraz się zapada, a teraz znów powstaje, podnosi się i znów, w ohydny kataklizm, spada z pod ich stóp do coraz niższych głębin.

Sprawozdawca urzędowy siedział na swoim miejscu bezsilny. Na ścianie nad jego głową, skazówka na tarczy kołysała się w tył i naprzód, niby maszt okrętu, gnanego podmuchem musonu. Nikt nie mógł nawet w przybliżeniu określić ceny pszenicy lipcowej. Wahania nie ujawniały się już ułamkami centa, lecz dziesięciu, piętnastu, dwudziestu pięciu centami naraz. Z jednej strony sali sprzedawano pszenicę po dziewięćdziesiąt centów, a z drugiej po dolarze i ćwierć.

A przez cały czas ponad huczącym rozgwarem, ponad tupotem i wrzaskiem potęgował się ryczący szum samej pszenicy, która napływała niby wzbierająca fala, burząca wszystkie przeszkody i zapory, tocząca się, jak bezmierna, wszechpotężna rzeka, z farm Jowy i ranch'ów Kalifornji na Wschód — do sklepów piekarskich i głodnych ust Europy.

Landry pochwycił za ramię jednego z agentów Gretry'ego.

— Co teraz poczniemy? — wrzasnął, — kupiłem już pół miliona. Nie otrzymałem żadnego nowego zlecenia. Rynek wymknął nam się z rąk. Co zrobić?

— Nie wiem — krzyknął w odpowiedzi zagadnięty. — Nie wiem. Pójdziemy wszyscy do diabła! Tak coś wygląda jakby zanosilo się na ostateczne rozbicie. Niema już zleceń, które nas podtrzymywały; stało się coś złego. Gretry nie przysłał ani słowa.

Landry, nawpół przytomny, zdjęty trwogą, zaledwie świadomy co czyni, odwrócił się i zaczął torować sobie drogę ku wyjściu. Pchał się bez kapelusza, zadyszany, wpadał między grupy widzów, przedzierał się wśród nich, pędził po schodach na dół do korytarza i wpadł do biur Gretry - Converse.

W pierwszym pokoju grono reporterów i przedstawicieli wielkiej agencji handlowej osaczyło jednego ze zwierzchników firmy, zarzucając go pytaniami.

— Niech nam pan tylko powie co się dzieje... To wszystko, co chcemy wiedzieć.

— Jaka cena pszenicy lipcowej?

— Czy Jadwin zwycięża, czy przegrywa?

Nagabywany machnął ręką ruchem rozpaczliwej bezsilności.

— Sami nie wiemy! — krzyknął; — rynek wyłamał się z pod wpływu wszystkich. Wiem tyle, co i wy. Piekło rozpetalo się, i tyle. Nie możemy powiedzieć jak stoimy... nie nie wiemy.

Landry popędził dalej. Otworzył drzwi do gabinetu prywatnego, wszedłszy zatrzaskał je, wołając:

— Panie Gretry, co robić? nie otrzymaliśmy żadnych zleceń.

Ale nikt go nie słuchał. Z grona zebranego dokoła biurka Gretry'ego, nikt nawet nie odwrócił głowy.

Jadwin stał w środku, z gołą głową, twarz miał bladą, oczy krwią nabiegłe. Gretry stał wprost niego, trzymając dłoń na jego ramieniu. Nadto poznał Landry wśród reszty kierowników biura, jednego ze zwierzchników wielkiego

domu handlowego i kilku innych mężczyzn, poufnych agentów, którzy dopomagali do przeprowadzenia manipulacji Jadwina.

— Ale nie możesz! — wołał Gretry, — nie możesz; czy nie widzisz, że nie jesteśmy w stanie pokryć dopłaty do zadatków? Gra skończona. Nie masz już pieniędzy.

— To kłamstwo! — Póki życia Landry nie zapomni głosu, jakim Jadwin krzyknął te słowa: — To kłamstwo! Kupować w dalszym ciągu, mówię. Mówię wam, że dojdziemy do dwóch dolarów jeszcze przed południem.

— Stąd nie wyjdzie już ani jedno zlecenie, — odparł Gretry. — J., zapytaj kóregokolwiek z tych panów; powiedzą ci sami.

— To już na nic się nie zda, panie Jadwin, — rzekł bankier ze spokojem. — Faktycznie został pan pobity przed dwoma dniami.

— Panie Jadwin, — prosił kierownik biura, — na miłość boską, niech pan posłucha głosu rozsądku. Nasza firma...

Ale Jadwin był głuchy na wszelkie perswazje. Odtrącił rękę Gretry'ego.

— Wasza firma, wasza firma... byliście tchórzami od początku. Ja was znam, ja was znam. Wyście mnie sprzedali... Crookes was kupił. Precz mi z drogi! — ryknął; — precz mi z drogi! Słyszycie? Odtąd będę działał na własną rękę.

— J., mój stary... zastanów się... posłuchaj...—błagał Gretry, pochwywszy go znów za ramię; — dokąd idziesz? Głos Jadwina zabrzmiał, jak wezwanie wojenne:

— Na giełdę.

— Zastanów się... poczekaj... Panowie, wstrzymajcie go; nie wie zupełnie co robi.

— Skoro nie chcecie wykonać moich rozkazów, działać będę sam. Idę na giełdę, mówię.

— J., mój stary, oszalałeś. Jesteś zrujnowany... czy ty nie rozumiesz?... jesteś zrujnowany.

— W takim razie, niech cię Bóg skarże, Samie Gretry, człowieku, któryś mnie opuścił w potrzebie!

To mówiąc Curtis Jadwin uderzył maklera prosto w twarz.

Gretry zachwiał się pod ciosem i oparł się o róg biurka. Błada twarz jego przez chwilę zapłonęła szkarłatem, pięści się zacisnęły, poczem ręce jego opadły.

— Nie, — rzekł, — puście go, puście go. Ten człowiek poprostu zwarjował.

Jadwin walczył przez chwilę z mężczyznami, którzy usiłowali go powstrzymać, poczem wyrwał się z ich objęć, odepchnął ich na obie strony i wybiegł, jak szalony z pokoju.

Gretry siadł przed biurkiem.

— Skończyło się, — rzekł tylko.

Przysunął sobie kartkę papieru i drżącą ręką skreślił kilka wierszy, poczem podał kartkę kierownikowi biura, mówiąc:

— Niech pan to weźmie i wręczy natychmiast sekretarzowi Izby Handlowej.

A „wielki Byk“ wtargnął prosto w zamęt i wrzawę Otchłani, na widownię tylokrotnych swoich zwycięstw, na pole bitwy, gdzie, pobiwszy tylekrotnie wrogów, pozostawał niezaprzeczonem, nieulekłym zwycięzcą.

Skoro tylko stanął u wejścia, wieść o tem, jak błyskawica, poleciała z ust do ust. Wbiegła na galerję, na salę dla publiczności, i do „Westeru Union“, do budek telefonicznych, a w końcu na giełdę pszeniczną, szarpaną i rozrywana, targaną mocami, które ten człowiek właśnie rozpętał; i na tę wieść ogarnęło ją przerażenie.

Albowiem i teraz jeszcze taka wielka była jego potęga, takie nieograniczone jego panowanie, tak głęboko zakorzeniony strach, jaki wzbudzał, że to ostatnie posunięcie w grze, jaką prowadził na olbrzymią skalę, to niespodziewane bezpośrednie osobiste objęcie nadzoru wywołało w sercu najzuchwalszych nawet jego wrogów uczucie trwogi.

Jadwin we własnej osobie, potężny mąż, „wielki Byk“, na giełdzie! Co się ma stać? Czyżby ich nadzieja jego porażki była przedwczesna? Czy przygotowuje jakiś potajemny, niespodziewany manewr? Zawahali się przez chwilę; poczem, pod wpływem wspólnego porywu, czując po za so-

bą napór zdumiewających nowych plonów, zjednoczyli się do ataku ostatecznego i zaofiarowali znów pszenicę na sprzedaż; zaofiarowali ją tysiącami tysięcy; zasypywali nią posadzkę Izby Handlowej, jakby zbiorami z całych dziełnic.

Jadwin stał teraz w ośrodku zamętu; a nawała, niepowstrzymanego żadną tamą Oceanu Pszenicy, pędzona biczem huraganu, runęła mu prosto w twarz.

Słyszał ją teraz; nie słyszał nic innego. Pszenica wymknęła się z pod jego władzy. Przez miesiące całe powstrzymywał ją siłą jedynie swej ręki; a teraz podnosiła się i wzrastała niby olbrzymi wał. Piętrzyła się i piętrzyła, zawisała przez chwilę, zachwiana w równowadze, poczem z trzaskiem, zgrzytem i hukami chaosu wszechświata runęła na niego, przerwała tamę giełdy i, zalewając go, niepowstrzymanym pędem dążyła na Wschód, do zgłodniałych narodów.

I naraz, pod wpływem gwałtownego naprężenia chwili bieżącej, coś pękło w mózgu Jadwina. Biała błyskawica rozdarła nagle mrok, zasnuwający mu oczy. Dziwne osłabienie i napady nerwowe, jakim ulegał w ciągu ostatnich miesięcy, ześrodkowały się w tej chwili w jakimś wielkiem przesileniu, a kółka i zęby wszelakich czynności — z wyjątkiem jednej — wykoleiły się i stanęły. Trwało tylko jedno kółko skomplikowanej maszyny; ale poruszało się z taką szybkością i takim zawrotnym drganiem, że zdawało się, iż szarpie na strzępy tkanki istnienia, a rytm kółka tego wybijał dawną, groźną kadencję:

„Pszenica — pszenica — pszenica, pszenica — pszenica — pszenica“.

Ślepy i nieprzytomny, Jadwin walczył przeciw potokowi pszenicy. Otoczony i napadany przez całe stada wilków, które wyjąc, czyhały na jego zgubę, stał w środku Otchłani mocno, odważnie, z głową do góry, z ręką podniesioną — tą dużą, kościstą ręką, która tak niedawno trzymała całą giełdę w swej dłoni — ruchem wyzywającym a głos jego, niby dźwięk rogu, nawołującego do ataku w obronie opuszczonej nadziei, zagłuszał raz po raz wrzawę jego wrogów:

— Dolara na lipiec... dolara na lipiec!

Jednomyślnie rzucili się na niego. Nieliczne grono jego agentów zostało odepchnięte. Pozostał tylko Landry— Landry, który nie odstąpił Jadwina od chwili, gdy ten wybiegł z biura Gretry'ego; Landry Court, wierny do końca, ostatni żołnierz, jaki mu pozostał, blady, drżący, z gardłem ściśniętem łkaniem — uczepił się go rozpaczliwie. Przygotowywał się już drugi zwal pszenicy. Oni dwaj — pobity generał i jego giermek — słyszeli jak się zbliżał z sykiem, hukiem, jak ze zgrzytem staczał się na nich. Z gardła Court'a wydarł się krzyk. Ciało i krew już nie mogło wytrzymać tego naprężenia. Landry skulił się przy boku wodza, pochylił ramiona i jedną rękę wznosił nad głowę, jakgdyby chcąc odeprzeć istotną siłę fizyczną.

Ale Jadwin, nieugięty do ostatka, stał wyprostowany. Nieświadomy swoich czynów, pochwycił w dłoń rękę Court'a, który odczuł na palcach, jakby zakręcającą się śrubę stalową. Dłoń druga niby trzymająca sztandar, wzniesiona była jeszcze w powietrzu, a doniosły niski głos biegł w tłum i odzywał się ponad wrzawą, tem samem ciągle hasłem wojennem:

— Dolara na lipiec... dolara na lipiec!

Ale stopniowo Landry zauważył, że wrzawa przerywała się. Następowala nagła krótkka cisza, podczas której dobiegały go z jakiejś strony sali głosy, wołające:

— Do porządku... do porządku, do porządku, panowie!

Wnet jednakże wrzask wybuchał nanowo. Uciszał się w odpowiedzi na te wezwania, lecz jedynie po to, by powstać z większą jeszcze siłą, gdy pewne grupy agentów, wykrzykując swoje oferty, wznawiały znów szal w tem pandemonjum. W końcu wszakże starsi mężczyźni, odzyskawszy potrosze panowanie nad sobą, podjęli wezwanie i przeciskali się śród tłoku, powtarzając: „Do porządku, do porządku“.

A potem nagle cała sala giełdowa osłupiała. Naprężenie odrazu znikło, zaciekły bój ustał, rozgwar ucichł. Landry, oszołomiony, trzymając jeszcze zwierzchnika swego za rękę, rozejrzał się dokoła. W sali, tuż, w pobliżu, stał prezes Izby Handlowej we własnej osobie, a wraz

z nim wiceprezes i grono dyrektorów. Oni to widocznie nawoływali do porządku. Ale nie na nich skierowali teraz wzrok wszyscy obecni w sali.

Na małym balkonie przy ścianie południowej, naprzeciwko galerji widzów, ukazała się znana postać — wysoki, poważny mężczyzna w długim czarnym surducie — sekretarz Izby Handlowej. Landry widział go tak dobrze, jak inni — widział go zbliżającego się do kraty balkonowej i zwracającego się ku giełdzie pszenicznej. W rękę trzymał kartkę papieru.

I wśród głębokiej ciszy, jaka naraz zapanowała, sekretarz oznajmił:

— Wszelkie tranzakcje z firmą Gretry, Converse i S-ka winny ustać niezwłocznie.

Echo tych słów drgało jeszcze pod wysokiem sklepieniem dachu, a już powitał je dziki wrzask uciechy i tryumfu, który wybiegł, jak huragan z ciżby, przepętniającej giełdę pszeniczną.

Wielki Byk pobity — nareszcie pobity! Zdruzgotany! Jadwin powalony! A oni ocaleni, ocaleni, ocaleni! I rozległo się wycie i pisk bez końca. Kapelusze fruwały w powietrzu. W szale radości mężczyźni tańczyli i skakali, padali sobie wzajemnie w objęcia, ściskali sobie dłonie, wrzeszczeli, krzyczeli; hurra! ochryplemi i omdlałemi z wysiłku głosami.

Niektórzy starsi protestowali. Odzywało się nawoływanie:

— Hańba, hańba!

— Do porządku! dajcie mu pokój.

— Nie znęcać się nad pobitym! Hańba, hańba!

Ale niepodobna było pohamować radości; ciężar rąci Byka zbyt dotkliwie dał się we znaki przeciwnikom; zbyt boleśnie bodły jego rogi. Pobili go nareszcie, powalili!

— Hu-u-u! huhu! Leży, leży, leży! Hip, hip, hip hurra!

— Chodźmy stąd! Na miłość boską, panie Jadwin, chodźmy stąd!

Landry uczeplił się oburącz ramienia Jadwina i wrze-

szczał mu w ucho błagalnym głosem, chcąc, by go usłyszał po przez wycie tłumu.

Jadwin milczał. Zdawało się, że już nic nie widzi ani słyszy; oparł się ciężko na ramieniu młodzieńca.

— Pójdźmy stąd, panie... na miłość boską!

Grono agentów rozstąpiło się przed nimi, ale nawet usuwając się z drogi nie przestawali wydawać okrzyków radości — wzrok wszakże odwracali, nie radzi patrzeć na ruinę, która im przynosiła zbawienie.

— Hu-u-u, huhu! leży, leży!

Landry mocno objął ramieniem Jadwina, wyprowadzając go z giełdy. Łkanie ścisnęło mu gardło, po twarzy jego spływały łzy wzburzenia, smutku, gniewu i bezsilności.

— Hu-u-u, huhu! załatwiony... leży, leży!

— Niech was wszystkich piorun trzaśnie! — wrzasnęła Landry, podnosząc groźnie pięść; — bodaj was djabli wzięli! bydlęta, brutale! Na jedno skinienie jego palca bylibyście przed tygodniem przylecieli wszyscy!

Ale radosne okrzyki zagłuszyły głos Court'a, a gdy opuszczał salę wraz z Jadwinem, rozległ się dźwięk gongu, zamykający giełdę, a ten dźwięk był jakby ostatecznym zakończeniem kariery Curtisa Jadwina, spekulanta.

Landry prowadził swego pobitego wodza ku wyjściu. Jadwin szedł jak we śnie — nic nie widział, nie nie słyszał. Spokojnie, cicho poddał się kierującej ręce Court'a. Widzowie na galerji przechylali się przez barjerę, by go ujrzeć przechodzącego, a ze wszystkich stron sali nadbiegali pośrednicy, handlarze, gońcy, kantorzyści, reporterzy i różni „pieczeniarze“ giełdowi, chcąc przyjrzeć się ostatniemu zejściu Wielkiego Byka z widowni wielokrotnych zwycięstw i jednej druzgocącej porażki.

Przypatrywali mu się w milczeniu. Zdawało się, że dochodziły odgłosy przycichających okrzyków radosnych. W korytarzu, wiodącym do wyjścia, stał człowiek, którego Landry poznał odrazu — mały wygolony, starannie ubrany, o wargach wywiniętych, jak otwór zamkniętej sakiewki, spokojny, jak zwykle, zimny, zrównoważony — Calvin Crookes we własnej osobie.

Gdy mijał go wraz z Jadwinem, Landry dosłyszał jak przywódca Niedźwiedzi mówił:

— Mogą krzyczeć teraz z uciechy ile chcą. Nie oni są sprawcami. Pobiła go pszenica sama. Wrzeszczcie, wrzeszczcie, przeklęte głupcy! Przerastał on o głowę najmądrszego z nas.

Wraz uderzeniem gongu i ogólnym poruszeniem, dążącego ku wyjściu tłumu na galerjach, Page wstała, odetchnęła głęboko i przycisnęła dłonie do rozpalonych policzków. Widziała wszystko co zaszło, ale nie zrozumiała. Cały ranek wydał jej się jednym, oszałamiającym zamiętem. Patrzyła z góry na ciżbę mężczyzn, którzy przez trzy godziny nie robili nic innego tylko popychali się wzajemnie i wrzeszczeli. Widziała jak na salę wchodził Jadwin, i wtedy wrzask zamienił się prawie niezwłocznie na radosne okrzyki; widocznie — pomyślała — Jadwin uczynił coś, co się spodobało tym wzburzonym mężczyznom. Bo oni wszyscy, niewątpliwie są jego przyjaciółmi. Na jego cześć wznosili okrzyki — radowali się jego powodzeniem. Wygrał zatem! A jednak to oznajmienie z przeciwległego balkonu, że wszelkie transakcje z panem Gretrym mają ustać niezwłocznie miało jakiś dźwięk złowrogi! Albo może oznaczało tylko chwilowe niepowodzenie.

Schodząc ze schodów wraz z innymi widzami, słyszała wyraźnie za sobą męski głos mówiący:

— Dobrze-mu tak!

Być może jednak, iż pan Jadwin stracił trochę pieniędzy dzisiaj. Pragnęła coprędzej zobaczyć się z Landrym, by się dowiedzieć co zaszło i długo jeszcze po wyjściu ostatnich widzów stała u stóp schodów, wiodących na galerję, w nadziei, że przyjdzie po nią. Ale nie pokazał się wcale i Page niebawem przypomniała sobie, że powiedziała mu żeby przyszedł po nią tylko w razie, gdyby mógł się uwolnić. Niewątpliwie miał teraz za dużo zajęcia. Nawet, gdyby pan Jadwin wygrał czekała ich szalona praca. Wielki to był dzień dla spekulantów pszenicą. Nic dziwnego, że Landry nie mógł się oderwać od roboty. Poczeka zatem do dnia następnego i dowie się o wszystkim co zaszło.

Page powróciła do domu. Godzina lunch'u już

dawno minęła, gdy młoda dziewczyna weszła do jadalni w domu przy North Avenue.

— Gdzie moja siostra? — spytała pokojówki, siadając do stołu; — czy jadła już śniadanie?

Ale okazało się, że pani Jadwin dała znać, iż jeść nic nie będzie; że ma ból głowy i pozostanie u siebie.

Page śpiesznie wypila czekoladę i zjadła sałatkę, potem kazała podać filiżankę mocnej herbaty i zanosła ją sama do gabinetu Laury.

Laura, w długiej sukni domowej, leżała na szezlongu, podsunawszy dłonie pod głowę i napozór wyglądała przez okno. Była jeszcze bledsza niż zwykle i wydała się Page głęboko zadumana, zajęta jakąś natężoną, przykrą myślą. Jak wspominała dzisiaj Court'owi, Page zauważyła w ostatnich czasach to natężenie i jakąś surowość w wyrazie twarzy i obejściu siostry. Dzisiaj wszakże uwydatniło się to wyraźniej niż zwykle.

Stanowczo Laura miała jakąś zgryzotę. Była, jak ktoś, który postawił wszystko na jedną kartę i, ślepy na resztę, hamował całą siłą woli wzruszenie, czekając bacznie na wynik. Page domyślała się, że zmartwienie siostry miało związek z zupełnem utonięciem Jadwina w otchłani interesów, ale wołała trzymać język za zębami. Z natury młoda dziewczyna „pilnowała swoich interesów“, a Laura nie była kobietą, zwierającą się ze swoich trosk komukolwiek. Raz jeden tylko Page spróbowała wtrącić się do spraw siostry, a wynik nie zachęcił jej do powtórzenia tej interwencji. Od czasu zajścia ze srebrnym pudełkiem do zapalek, trzymała się zdaleka.

Laura odmówiła wypicia herbaty, przyniesionej przez Page. Oznajmiła, że nie chce nic; ma lekki ból głowy — pragnie tylko leżeć w ciszy i spokoju.

— Byłam przez cały ranek w Izbie Handlowej, — zauważyła Page.

Laura rzuciła na nią szybkie spojrzenie i spytała śpiesznie:

— Widziałś Curtisa?

— Nie... albo tak... raz jeden; wychodził z giełdy. Ach, Lauro, nie masz pojęcia, jakie tam było dziś wzburze-

nie. Musiało się zdarzyć coś ważnego. Nie mogę uwierzyć, żeby tak było zawsze. Obawiam się, że pan Jadwin stracił dużo pieniędzy. Słyszałam, jak ktoś tak za mną mówił, ale nie mogłam zrozumieć, o co chodzi. Przez miesiąc całe usiłowałam wytworzyć sobie jasne pojęcie o handlu pszenicą, bo to przecież interes Landry'ego, ale dzisiaj nie mogłam się w tem wszystkiem połapać.

— Curtis nie mówił, że wróci do domu dzisiaj wieczorem?

— Nie, Czy nie rozumiesz, że widziałam go tylko, ale nie mogłam z nim mówić?

— A to dlaczego, Page?

— Lauro, kochanie, nie gniewaj się. Nie masz pojęcia jacy wszyscy byli zaferowani. Nie usiłowałam nawet zobaczyć się z Landrym.

— Czy wydawał się bardzo zajęty?

— Kto... Landry? Ja...

— Nie, nie, nie, Curtis.

— O, ja myślę!... Słuchaj, Lauro, zdaje mi się, mówiąc szczerze... zdaje mi się, że pszenica spadła... bardzo nisko. Mówią, że to bardzo ważne dla pana Jadwina... spadała i spadała ciągle. Tak mi się przynajmniej wydawało. Czy to nie znaczy, że straci bardzo dużo pieniędzy? A jak Landry był przez cały czas dzielny i odważny. Wszystkie moje myśli biegły do niego! Takbym była pragnęła pójść z nim razem do tej sali giełdowej i stać przy nim.

Laura poruszyła się niecierpliwie i krzyknęła rozpaczliwym głosem:

— Nie dbam o pszenicę!... nie dbam o to przekłete uganianie się za pieniędzmi!... Mówisz, że Curtis był bardzo zajęty?

Page skinęła głową.

— Wszyscy byli zajęci — rzekła, poczem odważyła się dodać: — Jabym się nie dręczyła, Lauro. Mężczyzna, z natury rzeczy musi poświęcać dużo czasu interesom. Nie martwiłabym się, gdyby Landry nie mógł przyjść ze mną do domu.

— O... Landry, — szepnęła Laura.

Oczy Page zabłyły, ale się pohamowała.

— Wydaje mi się, że ta ironja jest nie na miejscu,— rzekła, prostując się i podnosząc głowę; — a ja ci powiem tylko tyle Lauro Jadwin: gdybyś była dbała trochę więcej o pszenicę... o interesy męża; gdybyś się bardziej zainteresowała jego pracą; spróbowała wejrzeć głębiej w jego życie i być mu pomocą... i... i... współczuć jego troskom... i...—Page urwała, nieco oszołomiona własnem uniesieniem i śmiałością. Ale już się cofnąć nie mogła, mówiła tedy odważnie dalej: — Pomyśl tylko! On może staczał walkę na śmierć i życie tam, przy ulicy La Salle, a ty nic nie wiesz... nie, nawet wiedzieć nie chcesz. „Nie dbam o pszenicę“ powiedziałaś. Otóż i ja nie dbam o pszenicę samą, ale pszenica związana jest z interesami Landry'ego, z jego pracą i, słusznie czy niesłusznie... — Page zerwała się na równe nogi, i z zaciśniętymi pięściami, z twarzą oblaną szkarłatem, z głową podniesioną wysoko ciągnęła dalej:—słusznie czy niesłusznie, dobrze czy źle, włożyłabym obie ręce w ogień, żeby mu domódz.

— Co mnie do tego.. — zaczęła Laura, ale Page nie pozwoliła sobie przerwać.

— I gdyby nawet pozostawił mnie nieraz samą, — mówiła, — czy sądzisz, że gryzłabym się i martwiła, że zostawił mnie w domu? O, nie, wcale nie. Pomogłabym mu przypiąć miecz, a za powrotem nie opowiadałabym mu jaką byłam osamotnioną, lecz otoczyłabym go troskliwą opieką i płakałabym nad jego ranami i mówiłabym mu, żeby się trzymał mężnie... i... i., i byłabym mu pomocą,

To mówiąc, Page ze łzami w oczach, z tłumionem łkaniem wybiegła z pokoju i trzasnęła drzwiami.

Na razie ogarnęło Laurę tylko uczucie gniewu. Jak zwykle, młodsza siostra pozwoliła sobie znów wydawać sąd o niej — wybrała dzień dzisiejszy właśnie, żeby ją drażnić. Młoda kobieta patrzyła przez chwilę na zamknięte drzwi, poczem wstała i podniosła głowę wysoko. Ona jedna ma słuszność a Page, mąż, wszyscy nie mają racji. Zadrwili z niej, zapomnieli o niej. Chodziła przez chwilę po pokoju, poczem rzuciła się na szezlong i oparła podbródek na dłoni.

Podczas krótkiej wędrówki po pokoju oczy jej zatrzy-

mały się na otwartym liściku pani Cressler, otrzymanym dnia poprzedniego i oznajmującym datę pogrzebu. Na ten widok stanęła jej żywo w pamięci tragedia zgonu pana Cresslera; widziała się znów w bibliotece, jak dłonią zaciskała usta, żeby stłumić krzyk wydzierający się z piersi; lęk i zgroza przed nagłą śmiercią szarpały znów jej sercem, wstrząsnęły nawet umysłem. Tylokrotnie już o owej strasznej chwili powracała trwoga, połączona ze smutkiem, ze współczuciem i z głębokim żalem po dobrym przyjacielu, który odszedł od niej nazawsze.

A potem wysiliła energję, natężyła wolę i odsunęła od siebie tragedję. Zagroziły inne i — dla niej donioślejsze — wypadki. Wszystko w życiu, a nawet i śmierć, musi ustąpić, wobec tego, że miłość jej wystawiona była na próbę. Życie i śmierć to drobnostki. Istnieje tylko miłość; niechaj karjera męża będzie zwichnięta, mniejsza o to, byleby tylko miłość ostała się i wyszła z walki zwycięzko! I teraz, leżąc na szezlongu, stłumiła w sobie wszelki żal, z powodu bolesnej klęski, której ostatnią scenę pierwsza wykryła, i zwróciła myśli na męża i na własną dolę. Czy wstrząśnienie, doznane na tragiczny widok w domu Cresslerów i wyczerpująca niepewność, w jakiej żyła ostatnimi czasami, do tego stopnia poszarpały jej delikatne kobiece nerwy, że jakaś histerja kierowała jej porywami, słowami jej i czynami? Laura nie wiedziała. Wiedziała tylko, że dzień mijał i że jej mąż ani do niej nie przyszedł, ani nie dał znaku życia.

Nawet, gdyby był bardzo zajęty, toć to przecież dzień jej urodzin—pomimo, że stracił miliony, czyż nie mógł był przysłać jej najgłupszego upominku, choć jeden wiersz, trzy wyrazy na skrawku papieru. Ale opanowała się. Dzień jeszcze nie minął; może, może przypomni sobie jednak, zanim skończy się popołudnie. Niewątpliwie przygotowuje dla niej drobną niespodziankę. Wie dobrze jaka to dzisiaj rocznica. Po rozmowie niedzielnej w jego palarni nie zapomni. A zresztą wszak przyrzekł, że ten wieczór z nią spędzi. „Jeśli ją kocha“, powiedziała, poświęci jej ten wieczór. Nigdy, nigdy nie zrobi jej Curtis zawodu, gdy go zobowiąże tem zaklęciem.

Laura ułożyła sobie na wieczór mały obiad. Miał być podany o ósmej. Page zje wcześniej; tylko ona sama i jej mąż zasiadają do stołu. Będzie to jej obiad urodzinowy. Cały hałaśliwy, wrzaskliwy świat został wyłączony; nie wtargnie najłżejszy odgłos giełdy. Będzie miała męża wyłącznie dla siebie. Postanowiła, że mąż zapomni o wszystkim, ogarnięty miłością dla niej. A ona będzie piękna, jak nigdy dotychczas — olśniewająca, oszalamiająca, przykuje go do swych nóg swoim urokiem czarownym i będzie jej własny, własny jak te jej ręce. A zanim mu odejść pozwoli będzie musiał wyrzec się na zawsze udziału w „walce Ulicy“, która tak często odrywa go od niej. Giełda już go mieć nie będzie: prąd potężnego wiru nigdy już nie odniesie zwyczajstwa nad władzą jej miłości.

Tyle już cierpiała; zaznała upokorzenia kobiety zaniedbywanej. Ale to się raz skończy; nigdy już duma jej nie będzie poniżoną, miłość jej lekceważoną.

Wszelako południe minęło, i nadchodził wieczór, nie przynosząc ani jednego słowa od Curtisa. Pomimo ogarniającego ją niepokoju powtarzała ciągle szeptem, chodząc po swoim pokoju i nasłuchując głosu dzwonka u drzwi wejściowych:.

— Da znać, napisze; wiem napewno...

O godzinie czwartej zaczęła się ubierać. Nigdy jeszcze nie stroiła się staranniej, nie przywdziewała tualety wspanialszej. Pogardziła „kostiumem“ na ten uroczysty wieczór. Nie będzie „Teodora“ ani „Julją“, ani „Car-mena“. Ma być tylko Laurą Jadwin, tylko sobą, bez pomocy świecideł teatralnych. Niemniej jednak wybrała najpiękniejszą ze swoich sukien, i uzbroiła się we wszystkie własne wdzięki. A ta suknia, obciskająca szczerze rysy jej smukłej postaci, obnażająca ramiona i szyję, była jednym czarnym, migającym blaskiem, który mienił się za każdym jej ruchem. W zwoje bujnych kruczonych włosów wpięła dwa wielkie kaboszony z pereł, szyję zaś otoczyła szerokim jak dłoń *coller de chien* z pereł i brylantów. Pęk róż *Jacquemint*, jaśniejących królewską purpurą, spoczęła na jej lewym ramieniu.

Dochodziła szósta, gdy nareszcie uwolniła pokojówkę.

Skoro pozostała sama, podeszła do wielkiego zwierciadła, które odbijało całą jej postać od głowy do stóp, a na ten widok nie mogła się powstrzymać od uśmiechu i od nagłego dumnego podniesienia głowy. Cała kobieta w niej pyśniła się i chełpiła potęgą swojej urody. Ewa tryumfowała nad silniejszą wrzawą „walki Ulicy“, nad najgwałtowniejszym chwytem prądu Otchłani giełdowej. *Venus toute entiêres'attachait a ta proie.*

Jakże jej było żal kobiet amerykańskich, tych, które pozwalały, żeby interesy coraz bardziej i bardziej mężów od nich odrywały, które poddawały się okrutnym warunkom, zmuszającym je do zadawania się resztkami, pozostałymi po burzy i wysiłku pracy dziennej — zmożonym umysłem, wyczerpanem ciałem, przytępieniami przeprowadzaniem zmysłami. Mniej olśniewające niż ona, nie posiadające takiej jak ona potęgi czaru, nie mogły przyzywać mężów z powrotem. Ale ona, Laura jest piękna; wie o tem; szczyci się swoją urodą. W tej urodzie spoczywa jej siła. Jest z niej dumna, jak dumny jest wojownik z dobrze zahartowanego miecza.

A dzisiaj uroda Laury promieniowała silniej niż kiedykolwiek. Otaczała ją jakby prawdziwa aureola. Młoda kobieta miała świadomość niepokonanej potęgi swego czaru. Niech ją mąż tylko taką zobaczy — zwycięży go napewno. A on przyjdzie. „Jeśli ją kocha“, rzekła. Przyrzekł, w imię swojej miłości dla niej; i z pomocą tej miłości ona zwycięży.

A potem naraz, gdzieś z mroku, gdzieś z najtajniejszych, niezbadanych głębin jej własnego serca, wybiegł pierwszy dreszcz wątpliwości, odezwało się opóźnione drganie srebrzystej struny, w którą Page uderzyła tak ostro. Czy ona ostatecznie walczy w imię miłości czy też samolubstwa? Od chwili, kiedy usłyszała słowa siostry. Laura odpychała tę myśl, która jednak stopniowo wypłynęła na powierzchnię i w końcu zarysowała się jasno w jej umyśle.

Czy ta wystawa własnej urody, ta parada stroju, to wyzyskiwanie własnych wdzięków, jest istotnie właściwą drogą do odzyskania męża?

Byłażby samolubna od początku? Jakiż istotny udział

brała w pracy męża? „Słusznie czy niesłusznie, dobrze czy źle, włożyłabym obie ręce w ogień, żeby mu dopomóc”. Czy tedy właśnie droga jedyna? Odzyskać go dla siebie? A jeżeli on już jej odzyskać nie zechce? Kiedyś mogła powiedzieć że miłość, najwyższy tryumf życia kobiety, jest nietylę zwycięstwem ile kapitulacją. Czy urządziła swoje życie według tego ideału? Czy nawet wierzy dzisiaj w ten ideał? Dokąd zaprowadził ją ten okrutny kult samej dla siebie?

Laura Jadwin zaczęła niejasno zdawać sobie sprawę z nowej zupełnej koncepcji własnego niewielkiego świata. Narodziny nowej istoty duchowej nie mogły jeszcze nastąpić tego wieczora. Było to dopiero poczęcie — uczucie powstawania nowego pierwiastku, nowej siły, która nie była nią samą i powstawała gdzieś w głębi jej jaźni.

Kobieta w niej była zanadto skomplikowana, nici charakteru zbyt zacieśnionemi węzłami spojone, charakter sam za bardzo dojrzały, by przekształcić się na nową modłę drogą nagłego przewrotu. Ale z taką pewnością jak dzień mija, jak dzień nowy następuje po nocy, z taką samą pewnością, nastąpiło w jej duszy poczęcie. Cokolwiek uczyniła tego wieczora, cokolwiek jej się zdarzyło, jakiegokolwiek czekały ją jeszcze przesilenia, nie będzie już ona teraz zupełnie ta sama. Przywykła mówić sobie, że istnieją dwie Laury. A oto teraz nagle spostrzegła, że jest i trzecia — trzecia, która przewyższyła tamte dwie i zapomina o nich, która w jakiś przepiękny, tajemniczy sposób jest tą samą, tylko nie znającą samolubstwa.

Ale przemiana nie miała przyjść nagle. Myśli te kielkowały w jej duszy niejasne, nieokreślone. Przemiana nastąpi powoli, stopniowo — będzie ewolucją, nie rewolucją. Dokona się w ciągu lat nadchodzących. Dziś wieczór zaś Laura jest — czemże jest? Tylko kobietą, słabą, udręczoną wzruszeniem kobietą, działającą pod wpływem porywu i stojącą w progu, wielkiego, jak mniemała, przesilenia życiowego.

Czas jednak upływał. Laura zeszła do biblioteki, a opanowawszy się, wzięła pierwszą lepszą książkę i próbowała czytać. Gdy minęła szóstą, zaczęła skwapliwie tłu-

maczyć sobie, że nie może przecież spodziewać się, żeby mąż przybył punktualnie. Nie, musi być względna; dzień, jak przypuszczała Page, był prawdopodobnie doniosły, zaszły niewątpliwie ważne wypadki. Curtis spóźni się nieco, ale przyjdzie już niebawem.

„Jeżeli mnie kochasz, przyjdiesz“, powiedziała.

Ale w godzinę później Laura z zaciśniętymi ustami i licami w ogniu chodziła po pokoju. Była jeszcze sama; dzień jej mijał, upływała jej godzina, a on nie przysłał nawet słówka. Przez chwilę przyszło jej na myśl, że jest może w ciężkich kłopotach, że walczy z wielkimi trudnościami, że to może usprawiedliwia. Ale wnet myśl tę odepchnęła.

— Nie, nie, — zawołała głośno — powinien przyjść, bez względu na to, co zaszło; albo przynajmniej powinien być przysłać jakąś wiadomość.

Minuty wlokły się. W bramie nie rozlegał się turkot kół powozowych; nie odzywał się w przedsiönku odgłos kroków. Cicho było w domu, cicho na ulicy; nieprzerwana cisza wieczoru letniego zataczała dokoła młodej kobiety coraz szersze kręgi, niby wielki spokojny staw. Tylko miarowe krzyki gońców z gazetami, wywołujących, z rogów na rogi uliczne, nowiny z dodatków wieczornych, wybiegały od czasu do czasu w powietrze. Laura była znów sama. Miałażby ponieść ponowną porażkę? Miałażby raz jeszcze zostać odepchnięta, jak już tylkokrotnie przedtem— odepchnięta, zapomniana, być znów igraszką drwin?

„Jeżeli mnie kochasz“ — powiedziała.

A to miała być próba ostatnia. Ten wieczór miał zacydować co w życiu jej męża ma wpływ przemożny, dowieść, czy miłość jest wszechwładna.

— A on o tem wie! — zawołała Laura, — wie o tem. Nie zapomniał, nie mógł zapomnieć.

Minęło pół godziny, a gdy zegar na kominku wydzwonił ósmą, Laura stanęła sztywna, wyprostowana na środku posadzki.

Gniew zawrzał w niej, jak ogień. Dreszcz oburzenia kobiety pogardzonej wstrząsnął nią od głowy do stóp. Właśnie w chwili spodziewanego tryumfu naigrawał się z niej,

zranił jej dumę! I to nie po raz pierwszy. Wszystkie zawody, poniżenia i upokorzenia stanęły jej odrazu w pamięci. Prosiła i raz po raz spotykała się z odmową; dała wszystko, a otrzymała wzamian zaniedbanie; ona, Laura, piękniejsza od tylu innych kobiet, która od najmłodszych lat dziewczęcych otoczona była miłością, usłużnością, pełną oddania, troskliwym szacunkiem, została odepchnięta.

Nagle pochyliła szybko głowę, nasłuchując. Poczem z piersi jej wyrwało się głębokie westchnienie i szepnęła:

— Nareszcie, nareszcie!

Z przedsionka bowiem dochodził wyraźny odgłos kroków. Przyszedł jednak. Ale tak późno, tak późno! Nie może być łaskawa odrazu; Curtis musi odczuć jak głęboko ją uraził; musi pokornie, bardzo pokornie błagać o przebaczenie. A teraz rozległ się odgłos kroków lokaja, dążącego do drzwi wejściowych.

— Jestem tutaj, Macieju, — zawołała Laura, — w bi-
bljotece. Proszę powiedzieć, że jestem tutaj.

Rzuciła szybkie spojrzenie w pobliskie zwierciadło, poprawiła zwinnymi palcami włosy, usiłowała pokonać wzburzenie i, z książką w ręku, plecami do drzwi odwrócona, usiadła w głębokim fotelu przy kominku.

Słyszała jak wszedł, ale się nie poruszyła. Nie odwróciła głowy nawet, gdy szedł przez pokój. Kroki zatrzymały się tuż przy niej. Nastąpiła chwila ciszy, poczem Laura powoli odłożyła książkę i odwróciła się twarzą ku niemu.

— Najserdeczniejsze życzenia wszystkiego dobrego, — rzekł Sheldon Corthell, podając jej pęk fiołków.

Laura zerwała się na równe nogi; lica jej oblał rumieniec, oczy rozwarły się szeroko, patrząc roziskrzonym wzrokiem.

— Pan? — nie mogła wymówić nic innego, — pan?...
Artysta uśmiechnął się, kładąc kwiaty na stole.

— Wyjeżdżam znów jutro—odparł, nazawsze, zdaje mi się. Czy przestraszyłem panią? Przyszedłem tylko pożegnać się... i powinszować pani... życzyć szczęścia w rocznie urodzin.

— O... pan pamiętał! — zawołała, — p a n pamiętał!
Powinna była wiedzieć, że pan sobie przypomniał.

A więc jednak Laura omyliła się. Jadwin zapomniał. W sercu jej wezbrały uczucia, których nie umiała określić, łkanie ścisnęło jej gardło, łzy nabiegły do oczu. Dawne porwy, zapomniane wybuchy potęgowały jej wzburzenie.

— O! pan pamiętał, pan sobie przypomniał! — zawołała ponownie, wyciągając ręce do Corthell'a.

Pochwyił je w swoje dłonie.

— Przypomniał! — powtórzył, — ja nigdy nie zapomniałem.

— Nie, nie, — odparła, potrząsając głową, mrugając oczami dla powstrzymania łez. — Pan nie rozumie. Słowa moje wyprzedziły myśl. Pan nie rozumie.

— Rozumiem, niech mi pani wierzy, że rozumiem, — zawołał. — Rozumiem panią lepiej niż pani sama siebie rozumie.

Odpowiedź Laury brzmiała jak jeden krzyk.

— A więc dlaczego mnie pan opuścił.. pan, który mnie rozumie? Dlaczego mnie pan opuścił, gdy panu odejść kazałam? Dlaczego więc nie doprowadził mnie pan do tego, żebym pana pokochała? Dlaczego nie dopomógł mi pan, żebym sama siebie zrozumiała? — zacisnęła konwulsyjnie dłonie na piersi; słowa jej, przerywane łkaniem, wybiegały bezładnie z poza zaciśniętych zębów. — Nie, nie! — zawołała, gdy postąpił ku niej. — Niech mnie pan nie dotyka, niech mnie pan nie dotyka! zapóźno!

— Nie, nie zapóźno. Proszę... niech mnie pani posłucha.

— Dlaczego pan nie był mężczyzną takim silnym, żeby zrozumieć kobiecą słabość? Teraz może mnie pan tylko udrećzać. Nienawidzę pana, nienawidzę pana!

— Lauro, ty mnie kochasz! Mówię ci, że mnie kochasz! — krzyknął namiętnie i, zanim oprzytomniała, była w jego objęciach, usta jego przywarły do jej ust, całowały jej ramiona, szyję.

— Kochasz mnie! — wołał, — kochasz mnie! Nie ośmielisz się zaprzeczyć!

— A więc s p r a w, żebym cię kochała, — odparła; s p r a w, żebym uwierzyła, że ty mnie kochasz.

— Czyż nie wiesz, — zawołał, — nie wiesz jaką mito-

ścią cię ukochałem? Od pierwszego spojrzenia! Ta miłość stała się mojem życiem, byłaby moją śmiercią; stała się moją jedyną radością i moją jedyną goryczą. Ty jedna istniałaś dla mnie, rok po roku, w każdej godzinie. I narreszcie cię odnalazłem. I teraz już ci nigdy odejść nie pozwolę, nigdy!

— Nie, nie! Przestań! — prosiła; — błagam pana. Jestem taka słaba. Jedno słowo, a zapomnę o wszystkim.

— A ja to jedno mówię i twoje własne serce odpowiada mi wbrew tobie... i ty zapomnisz... zapomnisz o wszystkim, co było nieszczęściem w twojem życiu...

— Przestań, przestań, — błagała bez tchu, poczem z rozpaczliwą stanowczością zawołała: — Kocham cię, kocham cię!

— ... zapominasz o swoim nieszczęściu, — ciągnął dalej, tuląc ją mocno w objęciach. — Zapomnisz o tej wielkiej pomyłce, jaką popełniliśmy oboje. Zapomnisz o wszystkim, wszystkim z wyjątkiem tego, że się wzajemnie kochamy.

— A więc nie pozwól mi myśleć! Spraw, żebym zapomniała o wszystkim... o każdej godzinie, o każdej chwili, jaka minęła przed dniem dzisiejszym. Och! gdybym przypomniała sobie raz jeden, zabiłabym cię, zabiłabym cię własnymi rękoma! Nie wiem co mówię, — jęknęła, — nie wiem zupełnie co mówię. Zdaje mi się, że zwarzjowałam. Tak... tak... jestem obłąkana... napewno.

Cofnęła się, patrząc mu w twarz szeroko otwartemi oczyma.

— Co ja mówiłam, cośmy tu robili, poco pan tu przyszedł?

— Żeby cię zabrać, — odparł tkliwie, tuląc ją w objęciu i tonąc spojrzeniem w jej oczach, — zabrać cię stąd daleko, poświęcić całe swe życie na to, żeby zatrzeć w twej pamięci świadomość, iż byłaś kiedyś nieszczęśliwą.

— I nigdy nie pozostawisz mnie samej... nigdy, ani razu?

— Nigdy, ani razu.

Wysunęła się z jego objęcia, wodząc dokoła niewidzącemi oczyma, palce jej szarpały i rwały koronkę u sukni.

— Ja... ja się boję samotności, — mówiła, słabym cichym głosem dziecka — och, nigdy już dopóki życia, nie powinnam być sama. Zdaje mi się, że umarłabym...

— I nigdy sama nie będziesz... już nigdy. O, skarbie mój, dziś i moje urodziny. Narodziłem się dzisiaj ponownie.

Laura uczepliła się jego ramienia; zdawało jej się, że otoczona jest ciemnościami, opadł ją nieokreślony lęk.

— I będziesz mnie zawsze kochał, kochał, kochał? — szepnęła. — Sheldonie, Sheldonie, kochaj mnie zawsze, całym sercem, całą duszą i siłą.

Łzy błyszczały w oczach Corthell'a, gdy odpowiedział:

— Niechaj Bóg przebaczy temu... kto cię doprowadził do tego stanu.

Jakgdyby myśl jego urzeczywistniała się nagle, dobiegł teraz do uszu obojga turkot kół na asfalcie w bramie i odgłos podkutych kopyt końskich.

— Czy to twój mąż?

— Mój mąż? Nie wiem. — Spojrzała na niego nieprzytomnymi oczyma. — Gdzie mój mąż? Ja nie mam męża. Pozwalasz mi pamiętać! — krzyknęła w najwyższej trwodze; — pozwalasz mi pamiętać. Nie, nie, ty mnie nie kochasz! Nienawidzę cię!

Corthell pochylił się szybkim ruchem i złożył na licu Laury gorący pocałunek.

— Przyjdę po ciebie jutro wieczorem — rzekł: — Będziesz gotowa, żeby pójść ze mną?

— Gotowa? tak, tak... żeby pójść z tobą wszędzie, gdzie zechcesz.

— Do widzenia! Niech cię Bóg ma w swojej opiece. Do widzenia, do jutra wieczorem.

I z temi słowy wyszedł. Drzwi frontowe zamknęły się cicho.

Czyżby powrócił? Laura, siedząc na szeszlunku, odwróciła się, na odgłos ciężkich kroków, podedrzwiami biblioteki.

Poczem niepewna ręka rozsunała ciężkie portjery. Jądrwin, jej mąż, stał przed nią — oczy zapadły mu głęboko, twarz była śmiertelnie blada, ręce drżały nerwowo. Stał

przez długą chwilę na środku pokoju, wpatrzony w żonę. Wreszcie usta jego poruszyły się:

— Moja jedyna.. .kochanie moje...

Laura wstała i, jak po omacku, szła ku niemu—serce jej biło, jak młotem, łzy spływały po jej twarzy.

— Mój mężu! mój mężu!

Podeszli razem do szezlongu i padli oboje, i siedzieli przytuleni do siebie, we wzajemnym mocnym uścisku, drżący, wylękli, jak dzieci wśród nocy.

— Kochanie, — szepnął Jadwin po chwili, — kochanie moje, tak ciemno. Coś się stało... Nie pamiętam—przyłożył drżącą rękę do czoła... Nie mogę sobie dobrze przypomnieć... nie pamiętam. Ale ciemno jest... ściemniło się trochę.

— Ciemno jest, — powtórzyła cichym szeptem; — ciemno, ciemno Coś się stało. Tak. Niewolno mi pamiętać.

Nie mówili nic więcej. Minęła długa godzina. Przytuleni do siebie, Curtis Jadwin i jego żona, siedzieli w obszernym zbyt kownym pokoju, milczący, drżąc z niewymownej trwogi, szukając po omacku wyjścia z ciemności, które zaległy w ich duszy.

Naraz powstał na ulicy przeciągły, jękliwy krzyk i leciał przez miasto ku gwiazdom, odbijając się w powietrzu stokrotnem echem.

— Na.. a... a... adzwycza.., a,,, a,, ajny do,, o.. o.. datek,, na... a... a... adzw., dod,...! Klęska Wielkiego Byka! Bankructwo Curtisa Jadwina...

ZAKOŃCZENIE.

Wieczór zakończył się deszczem i mgłą. Przez cały dzień dał od jeziora chłodny wiatr, a w godzinie ósmej, gdy Laura i Jadwin zeszli do opróżnionej biblioteki, ulewa szalała na dobre.

Laura podała Jadwinowi ramię, idąc przez pokój, a kroki ich odbijały się głośnie echem od posadzki, ogołoconej z kobierca.

— Daj walizkę, kochanie,—rzekła.—A teraz usiądź tam, na tej skrzyni. Nie jesteś zmęczony? Włóż lepiej kapelusz. Pełno tu przeciągów teraz, kiedy niema mebli i portjer.

— Nie, nie; dobrze mi, jedyna. Czy powóz już jest?

— Nie jeszcze. Napewno nie jesteś zmęczony? — nalegała. — Takie ciężkie miałeś przejście, a wstajesz dopiero od tygodnia. Pamiętasz jak doktor...

— Za dobrą miałem pielęgniarkę, — odparł, głaszcząc jej dłoń. — Jaka ty musisz być zmęczona, Lauro. Mówili mi, że nie opuszczałaś mego pokoju... ani we dnie, ani w nocy.

Potrząsnęła głową, jakgdyby nie chcąc poruszać tego tematu.

— Ciekawam — rzekła, siadając na mniejszej skrzyni i obejmując rękoma kolana, — ciekawam bardzo jaki też jest ten Zachód. Wiesz, mam wrażenie, że będzie mi się tam podobało.

— Trzeba będzie zacząć na nowo od początku, — odparł. — Boję się, że na razie będzie ciężko.

Zaśmiała się pogardliwie.

— Ciężko... teraz?

Pochwyciła jego dłoń i przytuliła do twarzy.

— Według wszelkich przepisów powinienabyś mnie nienawidzieć — zaczął. — Cóżem ja dla ciebie uczynił, dręczyłem cię tylko, a w końcu doprowadziłem cię do...

Ale zamknęła mu usta dłonią.

— Przestań! — zawołała. — Cicho, ukochany. Daleś mi najwyższe szczęście w życiu.

Poczem szepnęła, patrząc przed siebie szeroko otwartymi, zadumanemi oczyma:

— Kapitulacja a nie tryumf, odniosłam zwycięstwo, poddaję się.

— Co mówisz? — spytał Jadwin. — Nie dosłyszałem.

— Mniejsza o to, — odparła — drobnostka — Teraz cały świat stoi przed nami otworem, możemy wybierać, nieprawda? A ten wielki dom i nasz w nim pobyt był tylko epizodem w naszym życiu... epizodem, który się skończył.

— Tak wygląda, gdy człowiek rozejrzy się po tym pokoju — odrzekł posępnie. — Nie pozostało nic oprócz tapet. Jak ci się zdaje, co jest w tych skrzyniach.

— Napisy głoszą „książki i portjery“.

— Ciekawym kto je kupił? Myślałem, że ci, co kupili dom, zatrzymają je dla siebie. Ciężko było sprzedawać to wszystko tak paskudnie tanio... i *The t i s* także, do diabła! Ale teraz rad jestem. To tak, jakgdybyśmy pozbyli się z okrefu ciężkiego ładunku. — Spojrzał na zegarek. — Powóz powinienby już być. Dobrze się stało, że wysłaliśmy naprzód bagaż; mamy więcej czasu.

— Ale, ale, — zawołała Laura otwierając nagle torebkę. — Otrzymałam dzisiaj rano z Nowego Jorku długi list od Page. Czy chcesz wiedzieć co pisze? Miałam zaledwie czas przeczytać początek. To pierwszy list po ich ślubie.

Jadwin zapalił cygaro.

— No, słucham, — rzekł, sadowiac się wygodniej na skrzyni. — I cóż pani Court donosi?

— „Najdroższa Siostró“—zaczęła Laura.—Nareszcie jesteśmy, Landry i ja, w Nowym Jorku. Bardzo jesteśmy zmęczeni rwetesem podróży, ale mieszkamy w ślicznym niewielkim hotelu, gdzie właściciel jest kuchmistrem i wszyscy mówią po francusku. Wiem, że akcent bardzo mi się poprawia, Landry nauczył się już bardzo dużo zdań. Czytamy głośno George Sand i układamy długi słownik. Dziś wieczór idziemy na koncert i wyszperałam już, że zacznę się tu niebawem serja bardzo zajmujących odczytów o „kierunkach literackich“ czy też coś podobnego. *Quelle chance.* Landry bardzo się ten zainteresował. Nie masz pojęcia, Lauro, jaki to głęboki umysł — prawdziwy myśliciel.

— „A teraz wielka nowina. Może nie będziemy zmuszeni pożegnać się z naszym dawnym domem, gdzie zamieszkałyśmy po przyjeździe do Chicago. Ciotka Wess' pisała w tych dniach, że, jeżeli zechcesz, wydzierżawiłaby go i odnajęłaby całe niższe piętro Landry'emu i mnie, tak, że moglibyśmy mieć porządny dach nad głową. A ciotka jest taka zacna stara poczwina, że pogodzimy się doskonale. Napisz do mnie w tej sprawie, jak tylko będziesz mogła najprędzej. Wiem, że przystaniesz na to, a ciotka Wess' pisze, że zgodzi się na każdą cenę dzierżawy jaką wyznaczysz.

— „Onegdaj odwiedziliśmy panią Cressler. Jest tu już blisko od dwóch tygodni i mieszka z niezamężną siostrą w bardzo pięknym domu naprzeciwko Parku Centralnego, nie taki piękny jednak jak nasz pałac przy North Avenue. Nigdy, nigdy nie zapomnę tego domu. Według wszelkiego prawdopodobieństwa zostanie już tu nazawsze. Mówi, że nie zniosłaby nawet widoku dzielnicy, w której mieszkała w Chicago. Biedna pani Cressler! Jakie to szczęście dla niej, że jej siostra“.. i tak dalej, i tak dalej, — przerwała Laura z pośpiechem.

— Czytaj, czytaj, — rzekł Jadwin, odwracając się, nagłym ruchem. — Nie przeskakuj ani jednego wiersza. Chcę słyszeć każdy wyraz.

— To wszystko, co o tem pisze,—odparła Laura.— „Powróćmy“, ciągnęła dalej, odwróciwszy stronicę listu,—

za jakie trzy tygodnie i Landry obejmie znów tę samą posadę w tem biurze kolejowem. Ze spekulacją koniec, zapowiedział. Mówi ciągle o panu Jadwinie. Ani widziałaś, ani słyszałaś, żeby kiedy kto był taki komuś oddany. Powiada, że pan Jadwin, to genjusz, największy finansista w kraju, i że byłby napewno zwyciężył, gdyby wszyscy nie byli dnia tego zwrócili się przeciw niemu. Nie przestaje mi powtarzać, że pan Jadwin był dla niego jak ojciec — że to najlepszy, najwspaniałomyślniejszy człowiek, jakiego w życiu swoim spotkał“...

Jadwin szarpnął wąsa niecierpliwie.

— Idjotyczne gadanie... głupi chłopak! — huknął.

— On od samego początku uwielbiał cię poprostu, — dodała Laura nawet, gdy się dowiedział, że mam wyjść za ciebie. Ani przez chwilę nie był zazdrosny, nigdy nie pozwolił nikomu powiedzieć słówka na ciebie.

— Dobrze, dobrze... i cóż pani Court jeszcze pisze?

— „Cieszę się bardzo“ — czytała Laura, — „że pan Gretry nie zbankrutował, chociaż Landry mówi mi, że musiał stracić bardzo dużo pieniędzy. Landry mówi mi, że osiemnaście domów maklerskich zbankrutowało w Chicago nazajutrz po zawieszeniu czynności przez pana Gretry'ego. Izabela przysłała nam na podarunek ślubny śliczną domową apteczkę, pełną lekarstw homeopatycznych, piguleczek i różnych rzeczy. Ale ponieważ Landry i ja, nie chorujemy nigdy i oboje śmiejemy się z homeopatji, więc, prawdę mówiąc, nie wiem co my z tem pocniemy. Landry tak mnie pilnuje, jakgdybym była lalką z wosku. Ale jabym chciała, żeby więcej myślał o własnem zdrowiu. Nigdy nie chce włożyć na deszcz mekintosza. Bardzo pilnie badam jego upodobania. Woli lekką operę francuską od angielskiej i lubi jasne krawaty a uwielbia poprostu nadziewane pomidory.

— „Przesyłamy oboje najserdeczniejsze pozdrowienia a Landry przypomina się specjalnie panu Jadwinowi. Mam nadzieję, że ten list przyjdzie jeszcze w porę, żeby wam od nas życzyć *bon voyage* i *bon succes*. Jaki to wspaniały krok ze strony pana Jadwina, że zaczyna nowy interes, będąc jeszcze rekonwalescentem! Landry mówi,

że pan Jadwin, w ciągu kilku lat zrobi jeszcze dwa, albo trzy majątki.

— „Bądź zdrowa, droga Lauro.

Wiecznie kochająca Cię siostra

Page Court.

„P. S. Otwieram jeszcze list, żeby Ci donieść, że spotkaliśmy wczoraj na ulicy pana Corthell'a. Odplywa dziś do Europy“.

— A, Corthell, ten artysta, — rzekł Jadwin, gdy Laura szybko złożyła list — co się też z nim stało?

Laura wsunęła głębiej grzebień w nisko upięte włosy.

— Wyjechał, — rzekła. — Pamiętasz... mówiłam ci... powiedziałałam ci wszystko.

Chciała odwrócić głowę, ale położył dłoń na jej ramieniu.

— Pamiętam... — odparł patrząc jej prosto w oczy, — nie pamiętam nic... tylko to, że zasługuję na bezwzględną naganą za wszystko. Powiedziałem ci kiedyś... bardzo dawno temu... że rozumiem. I rozumiem teraz jedyna... rozumiem tak, jak nie rozumiałam jeszcze nigdy. Wydaje mi się, że kierowaliśmy się oboje w życiu fałszywymi pojęciami. Po ślubie szliśmy zrazu właściwą drogą; ale ja z niej jakoś zboczyłem i pociągnęłem cię za sobą. Oboje wszakże przeżyliśmy wielki przewrót i zaczynamy na nowo od początku... Aha, zdaje się, że to powóz.

Wstali i wzięli walizki.

— A no, — rzekł Jadwin — niema teraz służby, Lauro, żeby zniosła nasze rzeczy i otworzyła nam drzwi; a powóz wynajęty, najdroższa... to już nie wiktoria ani coupé.

— Więc co z tego?—zawołała.—Co znaczą dziś pieniądze, służba i te wszystkie marności?

Jadwin położył dłoń na gałce drzwi frontowych, lecz nagle postawił walizkę na ziemi i objął ramieniem kibić żony. A ona zarzuciła rękę na jego szyję i przez długą chwilę przywarli do siebie oczyma. Poczem, nie mówiąc słowa, zamienili gorący pocałunek.

W przedśionku zewnętrznym Jadwin otworzył parasol i wzniosł go nad głowę żony.

— Potrzyмай przez chwilę, Lauro, dobrze? — rzekł.

Wręczył jej parasol i zatrzasnął za sobą drzwi domu. Odgłos odbił się głuchym echem w szeregu pustych, ogołoconych pokojów. Jadwin wsunął klucz do kieszeni.

— Pójdź, — rzekł.

Wyszli z przedsionka. Na dworzu było już ciemno. Deszcz padał poprzecznymi smugami, wśród wonnego, chłodnego powietrza. W parku opadały pierwsze liście; jezioro pluskało zcicha, odbijając się od kamiennego bulwarku, a spóźniony cyklista przemknął się po asfalcie, bez szelestu, jak nietoperz, rozniecając lampką roweru pomarańczowy blask wśród mgły deszczowej.

Na ulicy, przed domem, woźnica zeszedł z kozła i otworzył drzwiczki powozu. Jadwin dopomógł Laurze wsiąść, podał adres woźnicy, wsiadł sam i zatrzasnął drzwiczki. Późem usłyszeli jak woźnica wszedł na kozioł i przemówił do koni.

— No, Lauro, — rzekł Jadwin, ścierając wilgoć z szyby w drzwiczkach, — spojrzij ostatni raz na nasz dawny dom; nie zobaczysz go już nigdy.

Ale ona spojrzeć nie chciała.

— Nie, nie, — odparła, — będę patrzyła na ciebie, najdroższy, na ciebie i w naszą przyszłość, bo czeka nas teraz szczęście, jakiego nie zazналиśmy dotąd.

Jadwin za całą odpowiedź ujął jej dłoń mocnym uściskiem i jechali w milczeniu przez miasto, dążąc ku pociągowi, który miał ich zawieźć do nowego życia. Zakończyła się nieodwołalnie jedna faza ich istnienia. Wielka spekulacja należała do przeszłości — wielka spekulacja z długim łańcuchem klęsk, wywołanych jej niepowodzeniem. Olbrzymie bankructwo spowodowało bankructwa mniejsze, a nagromadzenie bankructw mniejszych pociągnęło za sobą upadek jednego domu handlowego za drugim. Przez tygodnie całe bankructwa te były niby wstrząśnieniem, spowodowanym przez podminowane gmachy, które rozpadały się w gruzy. Wybitny bank zawiesił wypłaty i setki właścicieli wkładów traciły swoje oszczędności. Rozgałęzienia katastrofy były wprost nieprawdopodobne. Zdawało się, że nastąpiła zmiana w całej istocie interesów finansowych.

Pieniądz był znów „skąpy“, kredyt został cofnięty. Świat handlowy zaczął znów mówić o ciężkich czasach.

Laura wszakże nie chciała pod żadnym pozorem przyznać, że jej mąż zasługiwał pod jakimkolwiek względem na nagane. I on też ucierpiał srodze. Powtarzała sobie ustawicznie jego własne słowa:

„Pszenica zmonopolizowała się sama. Ja poprostu stałem między dwoma prądami nieprzyjaznych okoliczności. Pszenica zmonopolizowała mnie a nie ja pszenicę“.

A teraz wszystkie te miljony i miljony buszli znikły. Pszenica, która zabiła Cresslera, która pochłonięła fortunę Jadwina i wszystko, z wyjątkiem niezachwianego zdrowego rozsądku; pszenica, która wtargnęła niby olbrzymi potok, żeby oderwać od niej męża i zatopić go w huczących wirach Otchłani, potoczyła się bez oporu ustanowionymi drogami z Zachodu na Wschód, jak tytaniczna fala; potoczyła się, zostawiając na swoim szlaku Śmierć i Upadek, ale niosąc ze sobą Życie i Pomyślność do przeludnionych miast i śródowisk Europy.

Przez chwilę opanował Laurę nieokreślony niepokój, lęk przed nieznanymi siłami żywiołowemi, siłami żądania i dostarczenia, które rządziły światem. Dlaczego ta potężna, zwycięska Karmicielka ludów nie mogła spełnić swego przeznaczenia, nie powodując tylu cierpień, nie wywołując takiej niedoli?

Nie wiedziała. Ale gdy tak szukała z niepokojem, bezradna, odpowiedzi, Laura naraz uświadomiła sobie, że dzielnica, przez którą jechał teraz powóz, jest jej znana. Ogarnęło ją szczególne uczucie, że już kiedyś przeżyła tę scenę, te wypadki.

Spojrzała szybko przez zapotniałe szyby z jednej i z drugiej strony drzwiczek powozowych. Napewno ta okolica już raz kiedyś wraziła się w jej pamięć, oddziałała na jej wyobraźnię. Z okrzykiem na ustach zwróciła się do męża, ale Jadwin, przy bladym świetle latarni, studjował rozkład pociągów.

Naraz Laura, intuicyjnie, odwróciła się i podniosła klapkę, zasłaniającą okienko powozu z tyłu. Po obu stronach widnokregu ciągnęły zbieżnymi linjami wysokie bu-

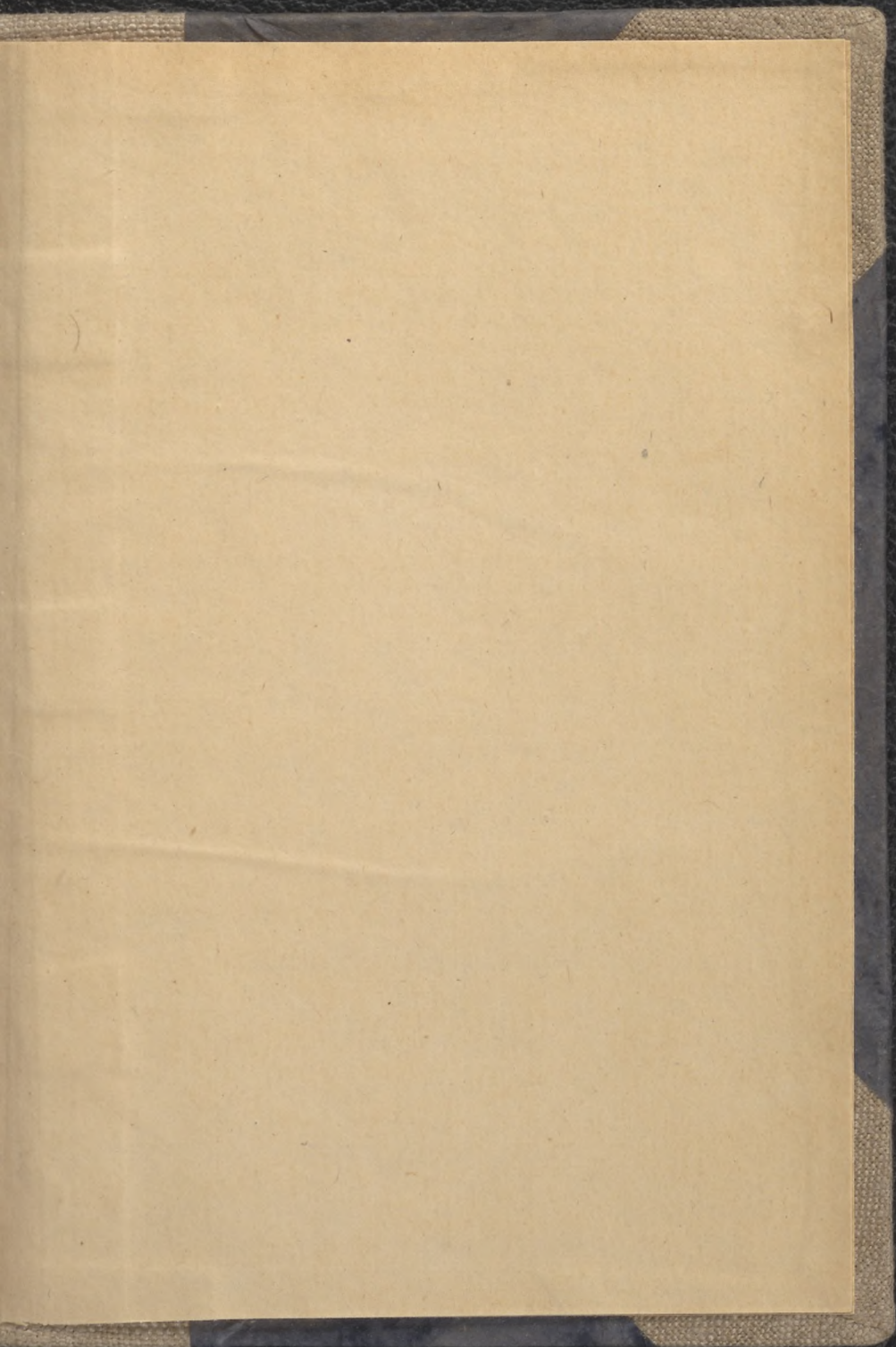
dowle biurowe, a w niektórych oknach świeciło się jeszcze teraz.

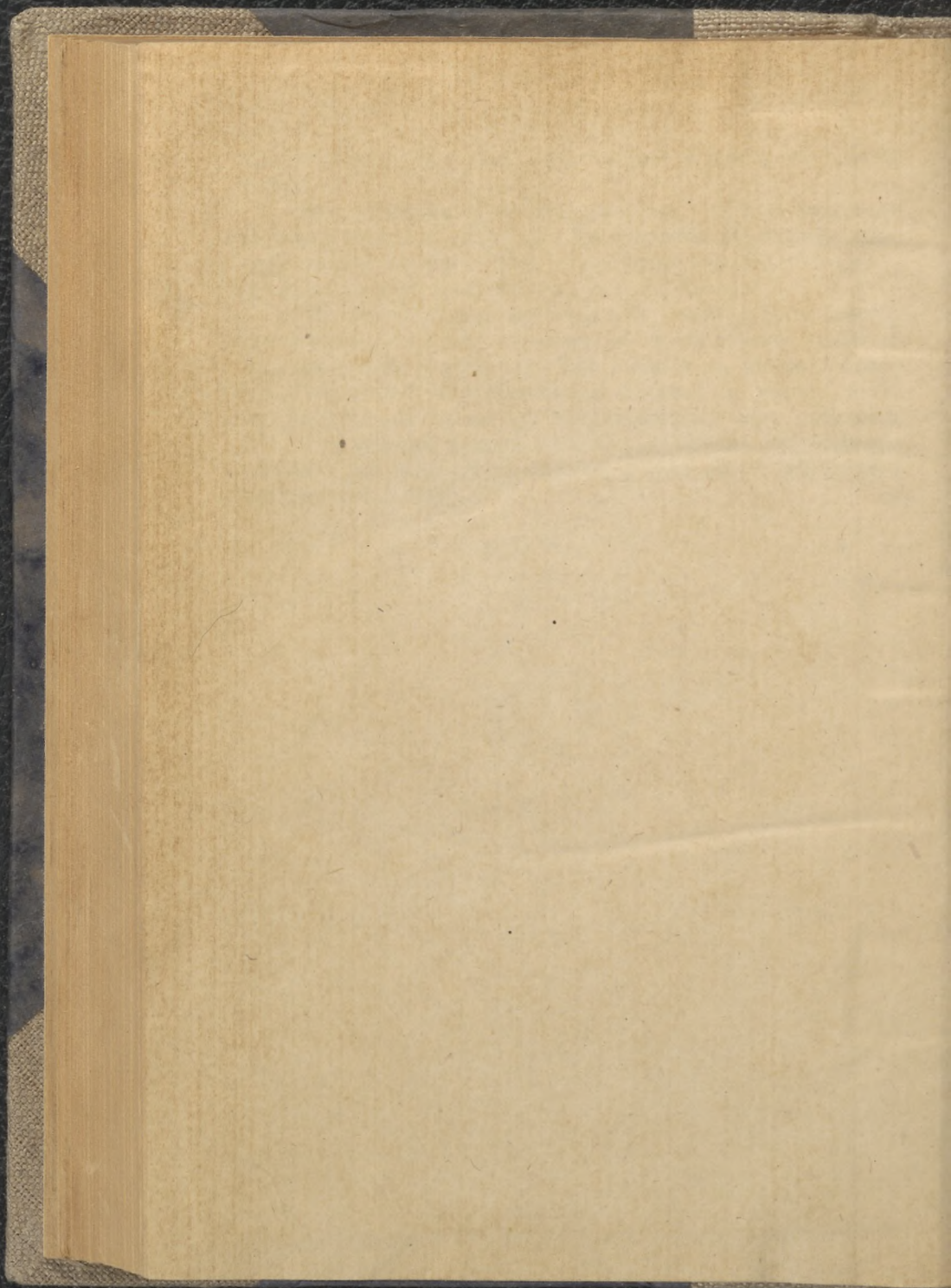
Poza krańcem ulicy blady odbłask światła przecinał ołowiane chmury, a na jego tle rysowała się sylweta ciemnej masy, nierozjaśniona najlżejszym błyskiem, wspinała się do samego nieba czarna, potężna fasada.

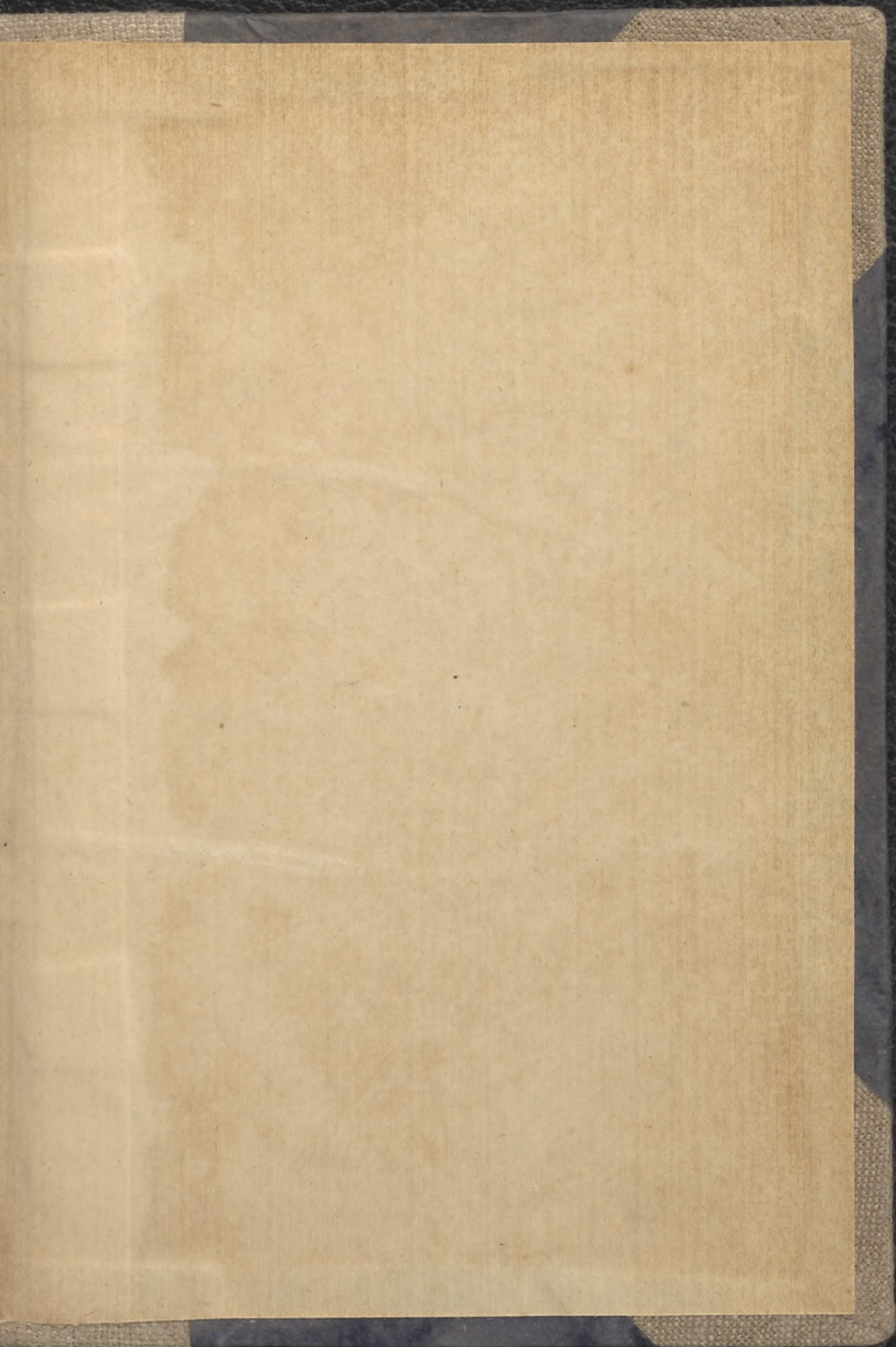
I to było ostatnie wrażenie z tej części życia Laury, którą dzień dzisiejszy zakończył — wielkie szare budynki biurowe, plusk deszczu, odbłask światła na niebie i wznoszący się gmach Izby Handlowej, z kamienia ciosany, czarny, przyczajony na swoich fundamentach, niby potworny Sfinks ze ślepymi oczyma, milczący, poważny, bez jednego dźwięku, bez znaku życia trwający wśród nocy i opadającej zasłony deszczowej.

K O N I E C.











BIBLIOTEKA
NARODOWA

221508

2